



**YVES GREVET**

**U4**

**KORIDWEN**



POLARNY LIS

**YVES GREVET**

**U4**

**.KORIDWEN**

**PRZEŁOŻYŁ PAWEŁ ŁAPIŃSKI**



POLARNY LIS

## Spis treści

Dedykacja

Motto

Jeden

7 listopada

Dwa

Cztery

Bretońska wyliczanka, Ar Rannoù. (Sekwencje, albo druid i dziecko)

Podziękowania

[Jules – pierwszy fragment]

Stephane

Yannis

Dla Pierre'a, Simona i Paula

*Wszystkich was zabijam*

słowa Ankou, bretońskiego uosobienia śmierci,  
zapisane na drzwiach kaplicy cmentarnej  
kościół w Braspart

## 1 listopada

Mija już dziesięć dni, odkąd atakujący opony mózgowo filowirus krwotoczny U4 – nazwany tak od Utrechtu, miasta w Holandii, w którym pojawił się po raz pierwszy, i czwartej generacji – sieje spustoszenie.

Piorunująco złośliwy, w czterdzieści godzin zabija wszystkich bez wyjątku: wywołuje osłabienie organizmu, migreny, astenię i paraliże, po których dochodzi do gwałtownego krwawienia, zawsze kończącego się śmiercią.

Rozprzestrzenił się już w całej Europie. Berlin, Lyon, Mediolan... Kolejne dzielnice, miasta, aglomeracje próbowano poddawać kwarantannie, aby powstrzymać epidemię. Na próżno.

Ponad dziewięćdziesiąt procent światowej populacji uległo zagładzie. Przy życiu pozostały jedynie nastolatki.

Zaczyna brakować pożywienia i wody pitnej. Połączenie z internetem staje się niestabilne. Istnieje obawa, że skończy się prąd i zerwą sieci komunikacyjne.

---

Warriors of Time (lub WOT – dla wtajemniczonych) była przed epidemią popularną grą komputerową w typie multiplayer. Gracze mogli w niej – w zależności od poziomu – podróżować między epokami w fikcyjnym świecie Ukraün, zmieniać bieg wydarzeń i w ten sposób wypełniać swoje misje. Uczestnicy regularnie spotykali się na forum, żeby wypracowywać strategie i wysłuchiwać rad doświadczonych wojowników – Ekspertów albo nawet samego mistrza gry, Khronosa.

Pierwszego listopada, przedostatniego dnia działania internetu, szeregi WOT liczyły około stu pięćdziesięciu Ekspertów pozostałych przy życiu na terytorium Francji. Ci z nich, którzy weszli na forum tego dnia, żeby zapomnieć o otaczającej ich rzeczywistości albo wymienić się informacjami na temat kataklizmu, otrzymali taką wiadomość:

*Od: Mistrz gry*

*Do: Eksperci*

*To z pewnością moja ostatnia wiadomość. Połączenia stopniowo rwą się na całym świecie.*

*Nie traćcie nadziei. Wciąż pozostajemy Warriors of Time.*

*Znam sposób na cofnięcie czasu. Zawsze go znałem. Jednak sam nie mogę nic zrobić.*

*Dołączcie do mnie. Razem możemy uniknąć katastrofy, napisać przeszłość na nowo. Uwierzcie we mnie, uwierzcie w samych siebie, a pokonamy naszego najpotężniejszego wroga: wirusa.*

*Spotkanie 24 grudnia o północy pod najstarszym zegarem w Paryżu.*

*Khronos*

—

Jules, Koridwen, Stéphane i Yannis to czworo Ekspertów. U4 jest historią o nich.

Jeden



7 listopada

Jak zwykle wstałam wcześniej, żeby nakarmić zwierzęta. Dziś rano kosztowało mnie to jednak bardzo dużo wysiłku. Przez całą noc praktycznie nie zmrużyłam oka. Wraz z upływającym czasem moje myśli stawały się coraz bardziej ponure i pełne rozpacz. Około czwartej czy piątej nad ranem odkorkowałam fiolkę z trucizną i zbliżyłam ją do ust. Przed pierwszym łykiem postawiłam sobie ultimatum: „Koridwen, jeżeli w ciągu minuty nie znajdziesz ani jednego powodu, żeby ze sobą nie skończyć, to pij!”.

I wtedy, po długich sekundach całkowitej ciemności, gdzieś w zakamarkach mojego mózgu zobaczyłam wielką głowę starej Bergamotki. Nie ma szans, żeby poradziła sobie z porodem beze mnie. Znam ją. Towarzyszyłam jej poprzednim razem i nie była to przyjemna sprawa. Jeżeli zabraknie mnie obok, z pewnością zdechną oboje. Ona i jej cielaczek.

Właśnie dzięki tej krowie wciąż jeszcze żyję. Kiedy już się ocieli, będę musiała ponownie zadać sobie zasadnicze pytanie. Odkąd jestem jedyną żyjącą osobą w całej osadzie, funkcjonuję jak robot, bez chwili zastanowienia. Na zmianę przeżywam momenty wzmożonej aktywności i całkowitej martwoty, kiedy kucam w kącie i płaczę albo pozwalam so bie na odrobinę snu.

Nadal doję zwierzęta, ale mleko wylewam do koryta. Powinnam przestać to robić – krowy pomęczą się chwilę, ale później mleko zniknęłoby z ich wymion. Jednak te czynności pozwalają mi zająć czymś głowę, mogę łudzić się, że życie toczy się dalej w prawie niezmiennym rytmie. Wymieniam im ściółkę. Ładuję obornik na taczkę. Mocno śmierdzi, ale to pocieszające. Ciężar ładunku czuję w całych ramionach. Szybko mnie to wyczerpuje, więc wieczorem łatwiej jest mi zasnąć. To nudne i męczące zajęcie, ale od razu widać postępy, a na koniec ma się poczucie wypełnienia konkretnego zadania. Wiejskie odgłosy zmieniły się przez te dwa tygodnie. Ciszy nie zakłóca już hałas samochodów i maszyn rolniczych.

A jednak kilka minut temu zdawało mi się, że słyszę nadjeżdżający samochód. Potem już nic. Wyszłam to sprawdzić, ale nikogo nie zobaczyłam. Pomyślałam, że być może zaczynam tracić rozum.

Wykładam teraz czystą słomę na ziemię w oborze. Nagle zwierzęta robią się nerwowe jak przed burzą albo kiedy latem nękają je gzy. Wzdrygam się, czując za plecami czyjąś obecność. To dwóch chłopaków, niewiele ode mnie starszych. Są do siebie podobni, może to bracia. Jednego z nich poznaję. Nieraz widywałam go w mieście przed katastrofą. Kręcił się razem z innymi przed wejściem do marketu. Sączyli piwo i żebrali. Czyli nie tylko ja przeżyłam w tej okolicy. Doznaję czegoś w rodzaju ulgi, jednak ich towarzystwo nie rozproszy mojej samotności. Sposób, w jaki na mnie patrzą, przyprawia mnie o dreszcz. Czuję w powietrzu wrogość i niechęć. Starszy z nich mówi z grymasem:

– Potrzebujemy narzędzi w stylu wiertarkowkrętarki, piły tarczowej, młotka, siekiery, piły łańcuchowej. Mamy w okolicy trochę drzwi i rolet do sforsowania.

– Nie jesteście tutaj u siebie i nie macie prawa – oznajmiam, groźnie podnosząc widły.

– Hej, dzieciaku – gniewnie odwarkuje chłopak. – Żyjesz na innej planecie czy co? To już koniec. Wszyscy poumierali, poza kilkoma młodymi w naszym wieku. Teraz nic już do ni ko go nie należy. Jeśli chcesz przetrwać, trzeba z tego korzystać. Kto będzie chciał pozostać uczciwy, ten zdechnie.

– Czemu nie pójdziecie gdzieś indziej? Przecież w okolicy nie brakuje opuszczonych osad.

– Bo wiedzieliśmy, że tutaj znajdziemy towarzystwo – rzuca młodszy. – Wygląda na to, że pod tymi ogrodniczkami ukrywa się boskie ciało.

– Skończ te wygłupy, Kev! Nie po to tu przyszliśmy. A ty, mała, odpowiadaj zaraz, bo pożałujesz!

– Klucz do przybudówki wisi na drzwiach.

– Dzięki, piękna.

Młody Kevin rzuca mi spojrzenie, które oznacza, że i tak się doigram. Udaję, że wracam do pracy, i spuszczam wzrok. Starszy wychodzi, a młodszy mnie pilnuje. Podchodzę, żeby porzucić słomę kilka metrów od niego. W końcu nudzi mu się patrzeć na mnie i odwraca wzrok w stronę podwórka. Wtedy rzucam się na niego z widłami i wbijam mu dwa zęby w lewe udo. Chłopakowi z bólu uginają się kolana i pada u moich stóp. Zdaje się, że zabrakło mu tchu i nie jest w stanie krzyknąć. Omijam go i biegnę do szafki na broń ukrytej w schowku w komórce za kuchnią. Chwytam jedną ze strzelb myśliwskich, z których ojciec uczył mnie strzelać. Ładuję do niej naboje znalezione w skrzyni w salonie. Wybiegam na zewnątrz, wchodzę do przybudówki i strzelam dwa razy ponad głową rabusia, który rzuca to, co wziął, i robi się szary na twarzy.

– Idź zabrać swojego kolesia i spadajcie stąd. A jak nie, to powystrzelam was jak kaczkę.

Zrozumiał i kieruje się do obory, żeby zabrać swojego brata, który ryczy teraz jak małe dziecko. Udaje mu się podnieść rannego i wsunąć mu rękę pod ramię. Oddalają się w kierunku samochodu, zaparkowanego poniżej drogi powiatowej.

Nie mogę się powstrzymać przed udzieleniem mu rady:

– Oczyszczyć tę ranę, inaczej dojdzie do zakażenia.

Chłopak, nie odwracając się, podnosi lewą rękę z wyciągniętym w górę środkowym palcem.

Od dwóch dni nikogo nie widziałam. Osta tni miejscowy zmarł wczoraj. Nazywał się Yffig. Był pra gma tycznym człowiekiem. Kiedy tylko usłyszał w telewizji o rozmiarach epidemii spowodowanej wirusem U4, przygotował się na najgorsze. Pojechał do marketu budowlanego i wypożyczył koparkę z łyżką dostosowaną do ko pania rowów.

Z pomocą jego maszyny pochowaliśmy dziewięćdziesięciu pozostałych mieszkańców osady. Pokazał mi, jak obchodzić się z koparką, gdyby zaszła taka potrzeba. Dobrze zrobił, bo to ja musiałam złożyć go do grobu. Skorzystałam z okazji i wykopałam jeden dla siebie. Kiedy dopadnie mnie choroba albo nie będę już mogła wytrzymać, rzucę się do niego. Szkoda, że nie będzie już wtedy nikogo, kto mógłby mnie pogrzebać.

8 listopada

Kolejna praktycznie bezsenna noc. Od kiedy pojawili się tu ci złodzieje, czuję się zagrożona. Poznałam po ich nienawistnych spojrzeniach, że wrócą ukarać mnie za to, jak ich upokorzyłam. Teraz dzielę łóżko z nabitą strzelbą i nasłuchuję najcichszych odgłosów.

Nadal nawiedza mnie myśl, żeby dołączyć do reszty i umrzeć. Przed skończeniem ze sobą nie powstrzymuje mnie strach przed wielkim krokiem, tylko poczucie, że popełniłabym błąd, naruszyłabym naturalny porządek, według którego nikt nie decyduje sam o końcu własnego życia. Babka zawsze uczyła mnie, że życie jest cenne, zarówno gdy chodzi o ludzi, jak i o zwierzęta czy nawet rośliny. Możemy sobie pozwolić na odbieranie go tylko w przypadku najwyższej konieczności. Mawiała, że wszyscy jesteśmy żyjącymi komórkami wielkiego organizmu zwanego Ziemią, że każdy gra w nim pewną rolę. Odczuwam to co rano, zajmując się zwierzętami. Ich ciepło, zapach, porykiwanie, wszystko wydaje się na swoim miejscu.

Co stałoby się z moimi zwierzętami, gdybym je porzuciła? Nigdy nie doświadczyłam cierpienia krowy, której się nie poi albo pozostawia samą przy cieleniu się. Jak daleko sięgam pamięcią, widzę mojego ojca co rano i co wieczór opiekującego się zwierzętami. Widziałam, jak zajmował się nimi, nawet kiedy ledwo trzymał się na nogach, bo przez całą noc pił z kumplami. To było jak święty obowiązek, od którego nikt nie może zwolnić.

Teraz, kiedy pozostały już tylko zwierzęta, powinnam być zadowolona – ja, która powtarzałam wciąż, że wolę je od ludzi, bo łatwiej je zrozumieć i zadowolić. Zwierzęta nie chowają się za stodołę, żeby popłakać, ani nie wpadają w histerię z powodu plamy po winie, która nie znikła w praniu.

Brakuje mi rodziców. Jeszcze kilka tygodni temu nie pomyślałabym, że kiedyś wypowiem to zdanie. Od czterech czy pięciu lat miałam w głowie tylko jedną myśl: uciekać z tej ponurej chaty, którą określiłam nawet mianem grobu. Dziś, kiedy prawie cała ludzkość wymarła, wstydę się tego słowa. Czuję się winna, że używałam go z taką łatwością. Ktoś, kto wierzy w znaki, mógłby się nawet posunąć do stwierdzenia, że to moja wina – moja osada rzeczywiście zamieniła się w cmentarz.

O piątej trzydzięci postanawiam wstać. Biorę latarkę i idę przez pole do Bergamotki, która oddzieliła się od reszty. Patrzą jej prosto w oczy. Wydaje się taka spokojna. Czuję, jaki wysiłek ją czeka, ale wie, że może na mnie liczyć. To nie będzie pierwszy raz ani dla niej, ani dla mnie, ale zawsze – aż do teraz – wiedziałam, że ojciec jest w pobliżu i w razie czego będzie mógł interweniować albo wezwać weterynarza.

Mówię do niej spokojnie, by dodać jej otuchy, i prowadzę w kierunku domu. Bergamotka daje się prowadzić, a ja dziękuję jej za to, drapiąc sierść między rogami. Łatwiej będzie mi jej doglądać. Przywiązuję ją w oborze i szepczę do ucha:

– No, stareńka, bardzo cię proszę, nie ociążaj się zbytnio.

Biorę się za generalne porządki w kuchni. Matka stwierdziłaby z zadowoleniem, że wreszcie idę za jej przykładem. Przypominają mi się soboty, kiedy marzyłam o odespaniu całego tygodnia spędzonego w internacie, lecz regularnie budził mnie hałas nieuważnie przestawianych naczyń. Nie było lepszego sposobu na to, żeby przeszkodzić mi w spaniu. Teraz lepiej rozumiem, dlaczego matka lubiła szorować szafki od środka i czyścić lodówkę. Dzięki temu mniej się kombinuje. Człowiek się męczy i upaja uderzającym do gło wy zapachem detergentów. Na komodzie dostrzegam truciznę, którą przygotowałam sobie po pochowaniu Yffiga. Utałam pół na pół antydepresanty taty z tymi mamy, po czym rozpuściłam je w kolorowej, słodkiej wodzie z syropem z grenadyny. Od tego czasu wygląd mikstury znacznie się zmienił. Gruby kredowy

osad opadł na dno, przykrywa go cienka czerwona warstwa. Wyżej woda jest ledwo zmacona. Nie mogę się powstrzymać i chwytam za buteleczkę. Potrząsam nią gwałtownie, żeby płyn znów nabrał jednolitego wyglądu syropu. Przez kilka minut nieruchomo przyglądam się, jak poszczególne warstwy układają się na nowo. Następnie ostrożnie odstawiam naczynko. Być może pewnego dnia mi się przyda.

Po dwóch godzinach ciężkiej pracy czuję się wyczerpana. Siadam przy stole w kuchni. Herbata się zaparza, a tymczasem moje powieki się zamykają i zapadam w sen. Budzi mnie ból pleców spowodowany niewygodną pozycją. Nie słyszę już pocieszającego pochrapywania lodówki. Otwieram ją. W środku nie zapala się światło. Pstrykam przełącznikiem górnej lampy, nic z tego. Skończył się prąd. Po tym jak ponad tydzień temu zniknął najpierw internet, a potem telewizja, można się było tego spodziewać.

Wychodzę na świeże powietrze, żeby do końca się obudzić. Pada drobny deszcz, ledwo skrapiający ziemię. Gdy zdejmuję fartuch matki, nagle czuję jej zapach. Zamykam oczy. Kiedy widziałam ją ostatni raz, wydawała mi się odmieniona. Biła z niej jakaś energia, której nigdy wcześniej u niej nie dostrzegłam. Właśnie dowiedziałyśmy się, że mój ojciec umarł powalony wirusem w barze w Morlaix, wśród swoich kompanów od kieliszka. Nie pozwolono nam zobaczyć go po raz ostatni. Przy takim tempie rozprzestrzeniania się epidemii władze zrezygnowały z rozpoznawania ciał i indywidualnego grzebania zwłok. Byłam zszokowana śmiercią taty i nie rozumiałam, dlaczego matka nie chce mnie przytulić. Dziś myślę sobie, że już wtedy czuła się chora i bała się mnie zarazić. Sytuacja, w której się nagle znalazłyśmy, musiała nią wstrząsnąć. Mówiła do mnie długo, jak nigdy przedtem. Powtarzała, że jestem odważną dziewczyną i że będę wiedziała, co zrobić ze swoim życiem.

Ku mojemu wielkiemu rozczarowaniu nie rozodziła się nad odejściem ojca, bowiem tego, jak mawiała, nie można już zmienić i trzeba iść naprzód. Ja chciałam, żebyśmy powspominały szczęśliwe chwile spędzone we trójkę i razem przeżywały smutek. Ona wolała napomknąć o istnieniu listu, który moja babka napisała do mnie tuż przed śmiercią, rok wcześniej. „Ojciec nie chciał, żebyś go otwierała – wyjaśniła. – Wahał się, czy go nie spalić. Dlatego schowałam go pod moim materacem”. Wówczas ta informacja wydała mi się zupełnie bez znaczenia. Była tak odległa od dramatu, który przeżywałyśmy. „Póki co – kontynuowała matka – musimy przygotować się na najgorsze. Kocham cię, Koridwen, i zawsze będę w twoim sercu, nawet jeśli znajdę się daleko od ciebie”. „Czemu tak mówisz?” zapytałam.

Zostawiła mnie wtedy, żeby ugotować coś do jedzenia. Następnej nocy już nie żyła. Odtąd jestem sama na świecie.

9 listopada

Wczoraj padłam jak kłoda na kanapę w salonie tuż po zapadnięciu zmroku. Cztery godziny później obudził mnie chłód. Powlokłam się do łóżka, ale zasnęłam dopiero, kiedy zaczynało już świtać.

Ze zmęczenia staję się nerwowa i słaba. Staram się cały czas coś robić, ale zdarzają mi się gwałtowne momenty przygnębienia. Nagle całkiem niespodziewanie wybucham płaczem. Wyciągam się na długie godziny na kanapie albo na łóżku i wyobrażam sobie najgorsze scenariusze. Przede wszystkim boję się bólu i upokorzenia, jeżeli dopadną mnie jacyś ludzie. Gdybym połknęła truciznę, to wszystko nie mia łyby już znaczenia.

Jakby tego było mało, dziś rano zabrakło bieżącej wody. Na szczęście jest jeszcze ręczna pompa podłączona do starej studni. Widziałam, jak ojciec ją obsługiwał, kiedy z powodu upałów ogłaszano ograniczenia w zużyciu wody. Robię obchód po innych domach, żeby pozbierać zapas baterii i świec. Na całe szczęście miałam zapobiegliwych sąsiadów i nie muszę się o to martwić. Przetransportowałam też do stodoły ich butle z gazem. Opróżniłam całkowicie zamrażarkę i lodówkę, zanim jedzenie się zepsuło. Piekę mięso i przygotowuję zupę. Od dawna nie jadłam nic ciepłego. Wszystko, co nie nadawało się do jedzenia, zakopałam w ziemi, bo zaczynało śmierdzieć.

Skoro postanowiłam żyć dalej, to nie powinnam być sama. Ale gdzie są inni? Ilu ich zostało? Przypominają mi się słowa jednego z szabrowników: „Wszyscy poumierali, poza kilkoma młodymi w naszym wieku”.

To mogłoby oznaczać, że z jakiegoś tajemniczego powodu wirusowi U4 oparły się tylko nastolatki. Faktem jest, że kiedy zamykano internat, żaden z uczniów nie zdradzał objawów choroby, dotknęła ona tylko nauczycieli i pracowników administracyjnych. Wobec tego Cindy powinna jeszcze żyć. Chcę się z nią zobaczyć. Może zgodzi się zamieszkać tu ze mną. Potem mogłybyśmy pojechać po Maksa, mojego kuzyna, starszego dokładnie o rok. On też powinien żyć. Gdybyśmy byli we trójkę, życie stałoby się bardziej znośne.

Udało mi się uruchomić stary motorower ojca. Częściej widziałam, jak go reperował, niż jak na nim jeździł. Proszę pojazd tylko o to, żeby wytrzymał jeden dzień. Muszę zobaczyć się z moją koleżanką i kuzynem, którzy mieszkają kawałek stąd. Za pomocą elastycznych pasków przymocowałam do bagażnika strzelbę. Mam nóż, naboje i lornetkę w plecaku. Prędkość i hałas sprawiają mi szaloną przyjemność. Mam wrażenie, jakby z mojej głowy zniknęły wszystkie czarne myśli. Muszę skorzystać z okazji, bo ten stan nie potrwa długo. Zmniejszam prędkość, kiedy z daleka dostrzegam gęsty dym. To w tamtym rejonie mieszka Cindy. W miejscu, w którym jestem, zasłona z drzew uniemożliwia mi sprawdzenie, czy to jej dom się pali. Zatrzymuję motor, po czym chowam go za krzyżem. Znam drogę, która pozwoli mi zbliżyć się niepostrzeżenie. Być może coś sobie wkręcę, ale nie mogę powstrzymać się od myśli, że te okolice stały się łupem bandytów w rodzaju tych dwóch chłopaków, którzy byli u mnie.

Jestem mniej niż dwieście metrów od domu Cindy. Widok się przejaśnia. Siadam i sięgam po lornetkę. W oddali dopala się jakaś szopa. W nocy padał deszcz, trawa jest bardzo mokra i ogień się nie rozprzestrzeni. Na podwórku przed domem Cindy stoją trzy samochody. Na zewnątrz jest sporo ludzi. Sześciu chłopaków i trzy dziewczyny. Niektórych znam z widzenia. Dostrzegam Kevina, który chciał mnie okraść. Popija i chodzi o lasce. Najwyraźniej cała załoga zajęła dużą stodołę, którą niedawno wyremontowała pewna rodzina z Nantes. Przypomina mi się ich syn, Nathan, strasznie namolny jedenastolatek, który próbował poderwać moją przyjaciółkę. W ostatnie wakacje poznałam jego starszą siostrę. Przyjechała z Lyonu, gdzie mieszkała z ojcem.

Wyglądała niesamowicie: krótkie, jasnoszare włosy, czarne ubrania. Ta rodzina przeprowadziła się tu raptem cztery miesiące wcześniej. Nie nacieszyli się długo swoim ładnym domem.

Drugi ze złodziei pojawia się z butelką piwa w dłoni. Widzę też starszego brata Cindy. Paraduje z gołym torsem, chociaż powietrze jest dość chłodne. Moja koleżanka na pewno jest w swoim pokoju. Wiem, jak dostać się tam po kryjomu. Chowam rzeczy w zaroślach, żeby było mi lżej, zostawiam sobie tylko nóż. Wsuwam go do skarpetki. Dobrze, że założyłam myśliwską kamizelkę ojca, dzięki temu mniej rzucam się w oczy. Nadkładam drogi, żeby dojść do budynku od tyłu. Stukam w szybę. Cindy bardzo szybko wpuszcza mnie do środka. Na jej twarzy dostrzegam radość, ale też niepokój. Daje mi znak, żebyśmy mówiły cicho.

– Cieszę się, że cię widzę, ale nie możesz tu zostać. Kumple mojego brata są trochę podejrzani. A Greg i Kevin mają ci za złe to, co im zrobiłaś. Dotychczas mojemu bratu udaje się trzymać ich w ryzach, ale chcą się zemścić. A szczególnie chcą twojej broni. Musisz uciekać z Menesguen, zanim cię dopadną.

– Gdzie niby miałabym pójść?

– Nie wiem, ale boję się o ciebie.

– Czemu spaliła się ta szopa?

– Wczoraj wieczorem faceci trochę popili i zaczęli się wygłupiać.

– Przyjedź do mnie, tam będzie spokojniej.

– Nie, wolę zostać w domu. Tutaj przynajmniej mam brata, który mnie ochroni. Ty też musisz znaleźć kogoś, kto by nad tobą czuwał. Nie możesz żyć całkiem sama. Za bardzo się narażasz.

– Postanowiłam przygarnąć Maksa.

– Bardzo lubię twojego kuzyna. Jest miły. Ale nie wiem, czy to dobry pomysł. Będzie dla ciebie ciężarem, a nie wsparciem.

Cindy ze mną nie pojedzie. Nie ma sensu naciskać.

– Straszne jest jednak to, co się stało – zmieniam temat. – Pamiętasz, jakie byliśmy szczęśliwe we dwie w naszym pokoju w internacie? Od zawsze byliśmy jak siostry. Tam w końcu zamieszkałyśmy razem.

– To fakt. Czułyśmy się takie wolne i niezależne.

Milknie na chwilę, jej wzrok posępnieje.

– A potem, przez ten cholerny wirus – mówi dalej łamiącym się głosem – cały świat dookoła nas się zawalił. Nasze życie nagle się przerwało. Nic już nie będzie takie jak kiedyś.

Moja przyjaciółka jest wstrząśnięta. Nie powinnam była przywoływać tych wspomnień. Staram się zmienić temat.

– Nantejczycy wyjechali?

– Nie, umarli na samym początku.

– Pochowaliście ich?

– Kumple mojego brata po prostu przerzucili ich ciała do lasu za stawem, żeby smród nie przeszkadzał.

– To obrzydliwe. Każdy ma prawo spoczywać w pokoju.

Jej wzrok wyraża niemoc. Jest tak samo zszokowana jak ja. Wiem o tym i nie naciskam.

– Pójdę już. Jeśli zmienisz zdanie, to wiesz, gdzie mieszkam.

Ściskamy się przez dłuższą chwilę. Ona płacze. Ja się po wstrzymuję.

Pcham motorower kilkaset metrów, zanim go odpalę. Gdyby reszta chciała mnie ścigać samochodami, szybko by mnie dogonili. Potem staram się, jak poprzednio, zapomnieć o wszystkim, pozwolić, by upoiły mnie prędkość i buczenie silnika, ale to już niemożliwe. Cindy mnie opuściła.

Po powrocie do domu stawiam szezlong w oborze blisko Bergamotki i zawijam się w kilka koców. Od razu zapadam w sen. Budzi mnie szczekanie w oddali. Byłam w samym środku snu. Latałam nad gospodarstwem jak Superman, a potem krążyłam nad plażą smaganą wiatrem. Tam płonął ogromny krąg ognia. W jego środku dziewczynka, której twarz trudno było dostrzec, wołała o pomoc, podnosząc ręce w górę. Jakaś *groab*, stara kobieta o przerzedzonych, brudnych włosach, starała się zwabić ją do ognia. Na szczęście w ostatniej chwili interweniowałam i wyciągnęłam stamtąd dziewczynkę. Uniosłam ją do nieba. Całej scenie przyglądała się wataha psów usadowionych na klifie i ujadających z pianą na pyskach.

Wstaję i przyciągam broń do siebie. Przez dłuższą chwilę stoję nieruchomo, próbując zinterpretować dźwięki w oddali. Nie słychać żadnego podejrzanego odgłosu, więc postanawiam się ruszyć. Głaszczę Bergamotkę, dla której najwyraźniej nie nadszedł jeszcze czas na wydanie na świat malucha.

Odgrzewam resztki jedzenia i siadam naprzeciwko milczącego telewizora. Przyglądam się swojemu odbiciu. Wyglądam jak nigdy przedtem. Od trzech dni nie czesałam się ani nie myłam. Bo i po co?

10 listopada

Zakład, w którym przebywa mój kuzyn, znajduje się na północy aglomeracji Morlaix, z dala od domów mieszkalnych. Na szczęście daleko również od centrów handlowych, a podejrzewam, że to właśnie tam grasują bandy.

Okolica jest dziwnie spokojna. Chowam motorower i torbę w zagajniku. Idę przez ogród w kierunku głównego budynku. Wielkie drzwi wejściowe nie są zamknięte na klucz, więc wchodzę do holu. Uderza mnie paskudny odór zgnilizny i ekskrementów. Jest prawie całkiem ciemno, bo zasunięto rolety. Nie zamykam drzwi – chcę, żeby docierało tu jakieś światło i żeby smród trochę zelżał. Czuję wokół siebie obecność kilku osób, ale nikogo nie dostrzegam. Jestem obserwowana. Mieszkańcy udają, że to miejsce jest puste, i mają nadzieję, że sobie stąd pójde. Boję się, ale powstrzymuję chęć ucieczki. Oznajmiam niepewnym głosem:

– Chcę się widzieć z Maksem. Max, jesteś tu? Max!

Idę dalej w kierunku świetlicy, gdzie widywałam się z moim kuzynem w weekendy, raz lub dwa razy w miesiącu. Kiedy kładę rękę na klamce, słyszę za sobą przeraźliwy gwizd. Zanim zdążę się obrócić, zostaję otoczona przez tłum osób, których twarze są zasłonięte plastikowymi maskami z wizerunkami postaci z kreskówek. Kilkanaście rąk chwyta mnie w pasie, czepia się moich ramion i nóg. Jakiś raczej wąły Kaczor Donald rozpina moją bluzę i podciąga mi koszulkę aż do stanika. Kulę się, ogarnięta paniką. Donald ściąga moje spodnie dresowe, ale prawie od razu wciąga je z powrotem. Pewnie sprawdzają, czy nie jestem uzbrojona. Ciągną mnie na piętro. Słyszę, jak dyszą i zrzędzą. Są podekscytowani. Praktycznie donoszą mnie do jakiegoś krzesła, do którego zostaję brutalnie przywiązana. Staram się opanować. Jeżeli mam do czynienia z pensjonariuszami, to sprawy nie powinny potoczyć się źle. Wszyscy znają mnie z widzenia. Z niektórymi już kiedyś rozmawiałam, poza tym przecież Max musi tu gdzieś być. Staje przede mną wysoki Piotruś Pan. Podnosi rękę, żeby uspokoić pozostałych, którzy krążą wokół mnie i popychają. Mówi niepewnie, ale ma mocny głos.

– Czemuś tu przyszła?

– Chcę się spotkać z Maksem.

– Czemu?

Zdaje się, że wiem, kto to. Rzucam się na głęboką wodę:

– To mój kuzyn. Wiesz o tym. Jesteś Jason, prawda?

– Nie, ja jestem Piotruś Pan – wrzeszczy, wyraźnie rozgniewany. – I jestem zły!

Gwałtownie przyciska swoją dłoń do mojego czoła i powtarza, żeby weszło mi to do głowy:

– Jestem zły Piotruś Pan! Zły Piotruś Pan! Jesteśmy psychopatami!

– Psychopatami! Psychopatami! – podejmują krzyk pozostali.

Ktoś ciągnie mnie do tyłu za włosy i skręca szyję. To boli, moje oczy zalewają się łzami. Gdzie jest Max?

Ktoś puszcza mój warkocz. Mam wrażenie, że nie wiedzą, co ze mną zrobić. Jason i reszta wychodzą z pomieszczenia. Zostawiają mnie pod nadzorem Myszki Minnie i Śpiącej Królowny. Staram się być miła, żeby poprawić swoje położenie:

– Proszę, czy mogłybyście otworzyć okno? Żeby wpuścić trochę powietrza?

Patrzą po sobie, po czym Królowna postanawia mnie posłuchać. Wreszcie mogę zaczerpnąć trochę powietrza. Koncentruję się na tym, żeby przywołać wszystkie wspomnienia. Muszę koniecznie nawiązać z nimi kontakt, żeby dowiedzieć się, co się stało z moim kuzynem. Obserwuję je. Minnie ma tik. Bez przerwy skręca szalik. Staje mi przed oczami młoda



dziewczyna, trochę krągła, która ciągle słuchała muzyki przez słuchawki i miała ten sam nerwowy odruch. Podśpiewywała przy tym. Czasami robiła to za głośno i Max serdecznie się z niej nabijał: „Solène, nie zgrywaj Madonny!”. Ona za każdym razem odpowiadała ze śmiechem: „Głupi jesteś! To nie Madonna! Madonna jest za stara”.

– Solène? Gdzie jest Max? – próbuję, starając się uspokoić strach.

– Max jest głupi!

– Czemu jest głupi?

– Max nie chce być zły!

– Poszukaj go! Powiedz, że Kori przyjechała.

Dziewczyna spogląda na swoją koleżankę, która kiwa przecząco głową. Solène spuszcza wzrok i znów koncentruje się na szaliku. Jeżeli mojego kuzyna tu nie ma, to nie wiem, jak z tego wybrnę. Przez ponad godzinę nic się nie dzieje. Zaczynają mnie boleć mięśnie. Jakiś okutany Alladyn przyniósł każdej z moich dozorczyń garść surowego makaronu i małą plastikową buteleczkę, pełną podejrzaną wodą. Powoli chrupią i połykają swój ohydny posiłek, krzywiąc się przy tym.

– Surowy makaron jest niedobry – zauważam jak najspokojniejszym głosem. – Trzeba go ugotować! Pochorujecie się od tego. Powiedzcie Piotrusiowi Panu, że mogę wam coś ugotować! No już! Idźcie mu to powiedzieć!

Minnie porozumiewa się wzrokiem z drugą dziewczyną, która daje jej znak, że się zgadza.

Kwadrans później przychodzi ich przywódca z Goofym. Wyglądają na spokojnych. Ponawiam moją propozycję. Piotruś Pan długo mi się przygląda, po czym stwierdza:

– OK, ale nie próbuj żadnych numerów! Zrozumiałaś?

Prowadzą mnie do innego, parterowego budynku. Po cichu modłę się, żeby zbiornik z gazem, który widziałam podczas mojej poprzedniej wizyty, nie był pusty. Podłoga na stołówce jest usłana śmieciami. Jedna ze ścian kuchni jest czarna od sadzy. Kafle pokrywa coś przypominającego kleik, miejscami mniej lub bardziej rozwodniony. Zapasy znajdują na zapleczu kuchni. Przy odpowiednim zarządzaniu mogłyby im wystarczyć na kilka tygodni. Pomagają mi Minnie, Królowna i Alladyn. Woda, której używają, pochodzi z pobliskiej rzeki. Napelnili nią wielkie beczki, ale woda w nich już zaśmiardła i musimy ją wylać. Przewracamy beczki na ziemię i wytaczamy je przez drzwi wychodzące na dwór. Gotuję w wielkim kotle świeżą wodę, dolewając ją stopniowo, kiedy tylko ciecz dochodzi do wrzenia. Minnie śledzi wszystkie te czynności z zainteresowaniem. Proszę wszystkich, żeby wyczyścili beczki i napelnili je świeżą wodą. Dodaję do niej po kilka kropel wybielacza. Pytam mojej pomocnicy, ile osób jest w ośrodku. Żeby mnie zrozumiała, podnoszę po kolei palce i wymieniam ich ksywki: Minnie, Piotruś Pan, Królowna, Alladyn, Goofy...

Doliczamy się piętnastu osób, w tym Maksa, którego Minnie wymienia na końcu i po dłuższym wahaniu. Podnosi mnie to na duchu. Max gdzieś tu jest. Wydzielam makaron, potem wszyscy czworo nakrywamy do stołu. Stwierdzam, że musieli zrobić to już wcześniej, bo ich gesty są dokładne. Piotruś Pan wraca ze swoją bandą, kiedy zabieramy się właśnie do wydawania posiłku. Wszyscy w jednej chwili zsuwają maski na głowę. Pytam o Maksa. Nikt nie odpowiada. Rzucają się na jedzenie. Dostrzegam uśmiechy zadowolenia. Pięć minut później talerze są już czyste. Przywódca, wyraźnie rozluźniony po posiłku, wstaje i daje mi znak, żebym za nim poszła.

– Max? – pytam się.

– Max – powtarza ze śmiechem.

Zabierają mnie razem z Goofym w stronę jakiegoś budynku na uboczu. To tam, gdzie schowałam motorower. Jeden z nich wyciąga klucz i otwiera drzwi. Zaprasza mnie do wejścia,

a ponieważ się waham, chwytam mnie za koszulkę, podczas gdy drugi staje za mną i gwałtownie popycha do przodu. Udaję mi się wyrwać i nurkuję w trawie. Obydwaj są zaskoczeni moją szybkością. Przekręcam się na bok i z powrotem wstaję. Rzucam się do swojej torby i sięgam po strzelbę. Oni od razu się oddalają i podnoszą ręce.

– Max! – krzyczę.

Odbezpieczam broń i strzelam w ziemię. Goofy zatyka sobie uszy i kuca. Piotruś Pan krzywi się ze strachu: przekaz został odebrany. Wie, że nie żartuję. Reszta wyszła ze stołówki, ale trzyma się z daleka. Powtarzam, starając się okazać spokój, ale celując w klatkę piersiową przywódcy:

– Max!

Piotruś Pan nerwowo pokazuje coś Solène, która do niego podeszła. Dziewczyna kiwa głową i od razu się oddala. Po dłuższej chwili wreszcie nadchodzi mój kuzyn. Wciąż jest tak samo potężny i przerasta mnie o dwie głowy. Wydaje się bardzo zmęczony. Kiedy mnie dostrzeże, jego wzrok się rozpromienia. Zrozumiał, że przyjechałam po niego. Strasznie śmierdzi, a ja pocieram nos. Max się uśmiecha i daje mi znak, żebym poczekała. Zawraca i idzie w drugą stronę. Od razu żałuję, że nie potrafiłam ukryć mdłości. Piotruś Pan chyba się poddał, usiadł i cierpliwie czeka. Reszta idzie za jego przykładem, po czym zaczynają rozmawiać między sobą. Po kwadransie Max wraca w czystszej ubraniu i z mokrymi włosami. Smród jest trochę mniejszy. Odjeżdżamy, zanim jego towarzysze zdążą się tym przejść.

Droga powrotna jest długa, bo motorower nie wytrzymał naszego ciężaru. Maszerujemy i robimy postoje, kiedy mój kuzyn jest zmęczony. Próbuję go wypytać o to, co przeżył przez ostatnie tygodnie, oraz o powód jego uwięzienia. Max nie chce nic wyjaśniać i zadowala się powtarzaniem słowa „zły” na wszelkie sposoby. Potem udaje strzały i ludzi zabitych z broni palnej.

– Zabici! Zabici! – oznajmia bardzo zdenerwowany.

Niczego więcej się nie dowiaduję. Docieramy do domu. Mój kuzyn wyciąga się na kanapie i głęboko zasypia.

11 listopada

O świcie budzi mnie Max, który buszuje po kuchni w poszukiwaniu jedzenia. Kiedy do niego dołączam, nurkuje akurat głową w brytfance, w której piekłam mięso dwa dni temu.

– Nie wiem, czy to jeszcze dobre, Max – uprzedzam go. – To było mrożone mięso, rozchorujesz się. Nie wolisz, żebym ci coś przygotowała?

Max przyciąga do siebie naczynie. Po brodzie spływa mu sos. Uśmiecha się do mnie.

– Nie, jestem głodny – oznajmia z pełnymi ustami.

Po śniadaniu kuzyn prowadzi mnie do salonu i chwyta album ze zdjęciami. To był jego rytuał: robił tak za każdym razem, kiedy do nas przyjeżdżał. Nie mogłam mu przerywać.

Teraz siedzimy obok siebie i przeglądamy kolejne strony. Jako dzieci często bawiliśmy się razem. Max głośno śmieje się na widok zdjęcia, na którym jesteśmy cali goli na plaży. Długo uznawałam go za brata. Nie wiem, kiedy dokładnie otoczenie zdało sobie sprawę z jego upośledzenia. Matka mówiła mi, że bardzo późno zaczął mówić. Z biegiem lat jego ciało się rozwijało, ale sposób wyrażania się pozostał taki jak dawniej. Od zawsze jestem przekonana, że Max się ukrywa i że jest o wiele zdolniejszy, niż to pokazuje. Fakt, że nie popadł w zbiorowy obłęd swoich kumpli w zakładzie, jest na to kolejnym dowodem. Cieszę się, że tu jest. Mój kuzyn spędzał większą część wakacji u nas w gospodarstwie. Pomagał w pracy na polu, kiedy tylko chciał. Marzyło mu się jeżdżenie traktorem, ale mój ojciec nigdy na to nie pozwolił. Dobrze się razem bawiliśmy – kotłowaliśmy się na sianie albo ganiałiśmy, żeby oblać się nawzajem wodą.

– Śmierdzisz, kuzynie! Jeżeli następną noc chcesz przespać w pościeli, trzeba cię będzie wyszorować. Dobrze?

Max kiwa głową, po czym stwierdza uśmiechnięty:

– Ty też śmierdzisz.

Nic nie odpowiadam. Wierzę mu na słowo.

Zaglądam do Bergamotki. Położyła się na boku. Jest w odpowiedniej pozycji, ale poród jeszcze się nie zaczął. Na wszelki wypadek przygotowuję sprzęt. Sznury, miskę czystej wody, wyjałowione rękawiczki, które sięgają aż do łokci. To na wypadek, gdyby trzeba było włożyć rękę do środka. Przysunęłam nawet wycielacz, metalowe urządzenie, pomocne, kiedy trzeba wyciągać cielaka. Bergamotka mi się przygląda. Klepię ją po głowie. Nie stresuje się. Ma rację – kiedy tracimy głowę, popełniamy głupstwa.

Podgrzewam wodę, żeby Max mógł wziąć kąpiel. Kiedy tylko zanurza się w pianie, podbieram jego rzeczy, żeby je namoczyć. Od ponad dwudziestu minut słyszę, jak się bawi. Podśpiewuje, fałszując, i puszcza bańki. Domyślam się już, w jakim stanie zastanę łazienkę. Przygotowuję mu rzeczy mojego ojca do ubrania po kąpieli. Pewnie będą go uwierać, bo ojciec nie był aż taki potężny. Potem idę pościelić Maksowi łóżko w pokoju moich rodziców. Otwieram szeroko okno, żeby spróbować wygonić ich zapach, który przenika tkaniny i meble. Gdy wkładam rękę pod materac, natrafiam na list od mojej babki, o którym mama mówiła mi przed śmiercią. Najpierw kończę z łóżkiem, a potem siadam, żeby go przeczytać. Waham się, czy go otworzyć, bo wiem, że ojciec by tego nie chciał. Bardzo kochałam moją babkę, ale to, co opowiadała pod koniec swojego życia, czasami wprawiało mnie w zakłopotanie. Była przekonana, że jest prawdziwą czarownicą. Mawiała na przykład, że komunikuje się z drzewami i siłami, które rządzą wszechświatem. Kiedy byłam mała, zabierała mnie na coś, co nazywała „wyspami ciszy”. Były to zalesione, podmokłe lub pochyle miejsca, gdzie nie mogły się dostać maszyny rolnicze. Przysłuchiwała się szelestowi liści i pomrukowi lasu. Przykładała rękę do pni i trzymała oczy zamknięte. Nawet nie poruszając ustami, mówiła do drzew. Ja sumiennie ją

naśladowałam i dziwiłam się, że nic nie słyszę. Pewnego dnia mi to wytłumaczyła.

– Jeśli chcesz wiedzieć... Teraz, w tej chwili, stary dąb skarży się na twojego ojca, który wysuszył jego pole. Część jego korzeni nie dosięga wody, a to zagraża równowadze drzewa. Jednak dąb nie chce, żebyśmy się martwiły. Mówi, że się dopasuje. To dumny typ i nigdy nie poprosi o pomoc.

– Kiedy będę wystarczająco duża, żeby rozumieć drzewa? – zapytałam ją.

– Kiedy staniesz się prawdziwą kobietą, drzewa ci zaufają, a ja przekażę ci schedę. Otwieram kopertę i wyciągam dwie kartki zapisane okrągłym i starannym pismem.  
*Koridwen,*

*Jeżeli czytasz ten list, to znaczy, że osiągnęłaś piętnaście lat, celtycki wiek dojrzałości. Czas więc na Ciebie. Musisz wybrać, czym będzie Twoje życie. Jesteś wystarczająco inteligentna, żeby wiedzieć, że decyzje nie zapadają tylko wówczas, gdy mamy piętnaście lat. Masz już pewną historię, która zaczęła się jeszcze przed Twoimi narodzinami.*

*Twoje imię: Koridwen*

*To mnie zawdzięczasz swoje imię. Podpowiedział mi je sen. Pewnej nocy złożyła mi wizytę czarodziejka we własnej osobie – ta, którą Galowie nazywają Kerridwen albo Cerridwen. Zapowiadała wielkie nieszczęście i zapewniała, że możesz ocalić świat od chaosu, jeżeli nazwie się Ciebie jej imieniem. Postanowiłam jej posłuchać, chociaż bałam się jej, bo legenda opisuje ją jako budzącą strach. Ale na pewno to kobieta wolna, niezależna i odważna. Jest boginią nauki i natchnienia, szczęścia, ale też śmierci.*

*Mój syn jest przekonany, że Twoje imię to odrobinę dziwaczny pomysł Twojej matki. A ponieważ nie chciał sprawić jej przykrości – jej, która i tak była nadwrażliwa – nie sprzeciwił się tej propozycji. Gdyby wiedział, że to ja za tym stoję, odmówiłby. Twój ojciec nie znośi wszystkiego, co ma w sobie choćby ślad dawnych wierzeń. Ponieważ regularnie korzystałam ze swoich zdolności znachorki, niektórym w okolicy łatwo przychodziło wyzywanie mnie od czarownic. Twój ojciec wiele wycierpiał w dzieciństwie z powodu mojej reputacji i myślę, że chciał Cię od tego uchronić. Wszystko przez to, że od ponad wieku kultura naszych przodków bywa często wyśmiewana lub odrzucana.*

*Wiedza o snach*

*Przypomnij też sobie, co Ci zawsze mówiłam: słuchaj swoich snów.*

– *Uczą Cię one, kim jesteś naprawdę.*

– *Pomagają Ci przewidywać przyszłość i dokonywać dobrych wyborów.*

– *Pozwalają Ci zrozumieć przeszłość poprzez przeżywanie minionych wydarzeń we własnej osobie lub pod postacią Twoich wrogów.*

– *Pozwalają Ci penetrować nieznane światy, niewidzialne dla innych. Te światy koegzystują z naszym.*

*Kiedy nadejdzie odpowiedni moment, będziesz wiedziała, jak się tam przedostać i wpłynąć na bieg historii.*

*Twoje przeznaczenie*

*Powtarzam Ci to, odkąd byłaś całkiem mała: jesteś powołana do zastąpienia mnie i zostaniesz kimś o wiele większym, niż ja byłam.*

*Twoje miejsce jest tutaj. Należysz do tej ziemi, do tych pejzaży. Ale pewnego dnia być może będziesz musiała ruszyć w wielką podróż. Jeżeli się tak stanie, nie obawiaj się – będę blisko Ciebie i Cię ochronię.*

*Powierzam Ci mój kuferek znachorki.*

*Zadbaj szczególnie o książki i notatniki. Jest tam zapisane wszystko, co musisz wiedzieć, żeby zrozumieć, działać i wypełnić swoją misję. W saszetkach znajdziesz podstawowe rośliny, które pozwalają przywracać zdrowie, nieść ulgę, leczyć, ale też odstrzążyć przeciwnika, zranić, a nawet zabić. To ogromna odpowiedzialność. Włożyłam tu również kociołek i drewnianą łyżeczkę, które otrzymałam od mojej babki (a ona dostała je od swojej), święty nóż i kamienie do jego ostrzenia, świece do modlitw. Nie zabieraj ze sobą współczesnych leków. Większość z nich to trucizny.*

*Mamm-gozh*

Podpisała się słowem „babka” po bretońsku, w języku, którego nauki moi rodzice wciąż mi odmawiali – pod pretekstem, że przeszkodzi mi to w poprawnym opanowaniu francuskiego. Teraz lepiej rozumiem, dlaczego mój ojciec chciał zniszczyć ten list. Dobrze znał swoją matkę i musiał domyślać się, co zawiera ta korespondencja. Jako dziecko byłam gotowa uwierzyć we wszystko, co mówiła mi babka, i zazdrościłam jej tego, co brałam za magiczne moce. Dorastając, dalej lubiłam z nią przebywać, ale często uznawałam za dziwne jej słowa lub zachowania i bardzo się pilnowałam, żeby nie opowiadać o nich koleżankom. Natomiast nie da się zaprzeczyć, że moja babka posiadała gruntowną wiedzę o roślinach i była znachorką szanowaną przez swoich pacjentów. Naprawdę niosła im ulgę w bólach i nie żądała żadnej zapłaty. Tutaj, Mamm-gozh, posuwasz się jednak trochę za daleko. Według ciebie jestem od dzieciństwa predestynowana do uratowania świata, a wszystko to dlatego, że jestem twoją wnuczką i noszę imię bogini-czarodziejki.

Przez kilka sekund rozmyślałam nad listem. Powinnam się go pozbyć i jak najszybciej wymazać jego treść z pamięci. Postanawiam jednak złożyć go na pół i schować do kieszeni. Jak mogłabym zniszczyć bez wyrzutów sumienia list od mojej babki, którą tak kochałam? Poza tym zastanawiam się, czy w głębi ducha nie chciałabym chociaż trochę w niego uwierzyć.

Kąpiel Maksa całkiem już wystygła, ale on daje mi do zrozumienia, że nie zamierza wyjść. Robiąc bańki, znika w odmętach wody pełnej mydlin.

– Max, przeziębisz się. No już, jeżeli wyjdiesz od razu, to nauczę cię strzelać ze strzelby. Trafiłam w punkt, bo kuzyn nagle wyskakuje z wody, ochlapując mnie przy tym. Uciekam za drzwi.

Widok Maksa w ubraniach mojego ojca jest naprawdę zabawny. Zdaję sobie sprawę, że

mój ojciec zawsze nosił za duże ubrania, jak gdyby chciał się w nich ukryć. To dlatego jego rzeczy pasują na mojego kuzyna i uwypuklają jego nieco masywną budowę. On sam wydaje się bardzo zadowolony i paradytuje przede mną, napinając bicepsy.

Maksowi z trudem przychodzi niezamykanie oczu podczas naciskania spustu. Za pierwszym razem praktycznie wypuścił broń. Odrzut i wybuch wprawiają go w popłoch, ale nie chce zrezygnować. Zabieram mu broń po trzeciej próbie i obiecuję, że jutro wrócimy do nauki. Nie robię tego tylko po to, żeby mu sprawić przyjemność. Kto wie, może pewnego dnia uratuje nam to życie.

Bergamotka zaczęła rodzić beze mnie. Widzę dwa zwisające kopytka i kołyszący się strzęp błon płodowych. Na prawą rękę wsuwam rękawicę, żeby chwycić w środku nadpęcia, czyli kostki cielaczka. Powoli ciągnę, żeby odsłonić wystarczająco dużo i przymocować sznury. Jest dobrze, cielak wychodzi przednimi kopytami. Teraz mogę pomóc Bergamotce. Zachęcam ją na głos. Czuję, że reaguje, jednak niespecjalnie szybko posuwamy się do przodu. Wiem, że wystarczy mi siły, żeby zrobić to samodzielnie, więc ponawiam wysiłki. Wiem też z doświadczenia, że może to potrwać długo i że nie należy marnować całej energii na sam początek. Cielak wychodzi spokojnie centymetr po centymetrze. Wkrótce widać już całe przednie nogi, a potem głowę. I już, wyciągnęłam go. Nie rusza się. Drażnię jego nozdrza słomą, żeby wciągnął powietrze. Grzebię mu ręką w pysku, żeby usunąć klejącą maź, która zapycha mu gardło. Wreszcie reaguje. Wtedy powoli prowadzę go do matki. Dostrzegam, że to jałówka. Jest całkiem czarna, jak Bergamotka, z białą plamą pośrodku czoła. Krowa instynktownie zaczyna lizać cielątko i uwalnia je z białawych skórek, które małeństwo wciąż jeszcze ma na sobie tu i tam. Czuję ulgę Bergamotki. Mnie samej też ulżyło.

Wracam do kuchni zrobić sobie herbaty, do której przegryzam sucharki starej Yvonne, posmarowane jej konfiturą z morw. Obok mnie Max topi wosk ze świeczki, żeby ulepić kształty przypominające zwierzęta. Jest wyciszony. Po raz pierwszy od dłuższego czasu czuję się prawie dobrze.

12 listopada

Dziś w nocy z dziesięć razy przeczytałam list od Mamm-gozh. Z początku robiłam to, żeby poczuć się blisko mojej babki, która tyle dla mnie znaczyła. Czytając jej słowa, przypominałam sobie jej pełną zmarszczek, pogodną twarz. Była jedynym dorosłym, któremu się zwierzałam. Jej oczy były jak lustro, które pozwalało mi widzieć samą siebie taką, jaką jestem. Była gotowa wysłuchać wszystkiego. W każdych okolicznościach przybierała pocieszający uśmiech i obdarowywała mnie kojącymi słowami. Kiedy trochę zawstydzona zwierzałam jej się z moich wygłupów, zawsze odpowiadała mi tymi samymi słowami: „Dopóki pozostajesz szczerą sama ze sobą, dopóki nie ranisz innych, nie można ci nic zarzucić. Dobrze, że popełniasz błędy, w ten sposób nauczysz się życia. Jesteś jeszcze za młoda, żeby znać dobrą drogę”. Uważałam, że jest bardzo mądra, choć ktoś mógłby powiedzieć, że odpowiadała mi banałami i miała gdzieś moje historie.

Babka pokazała mi niezawodny sposób na przezwycięzenie napadów złości albo przygnębienia. Często uciekałam się do tej metody, aby jakoś znieść moich rodziców, ignorujących moje problemy, ale jednocześnie nerwowych i niepotrzebnie autorytarnych. Miałam recytować bretońską wyliczankę *Ar Rannoù*. To bardzo stary tekst o tajemniczym pochodzeniu, który przedstawia rozmowę druida z jego uczniem. Oczywiście jego, wszechwiedzącego, utożsamiałam z Mamm-gozh, a siebie samą widziałam w roli dziecka. Po francusku *Ar Rannoù* tłumaczy się jako *Sekwencje*. Druid kojarzy liczby – od jednego do dwunastu – z obrazami, wydarzeniami, które interpretuje się jako najważniejsze w dziejach świata, od jego stworzenia aż po kres. Nawet moja babka przyznawała, że słowa wyliczanki są dość niejasne i ludzie powtarzają je od wieków, tak naprawdę ich nie rozumiejąc. Stary mędrzec recytuje strofy po kolei, ale za każdym razem powtarza poprzednie sekwencje. W konsekwencji wypowiedzenie całego tekstu zajmuje ładne kilkanaście minut.

Według mojej babki ten magiczny dialog oczyszcza mózg ze złych myśli i nie trzeba docierać aż do końca recytacji, żeby odczuć efekty. Często go powtarzałam, więc znam go na pamięć.

– *Moje dobre, piękne dziecko – mówi druid. – Cóż mam ci zaśpiewać?*

– *Zaśpiewaj mi sekwencję numer jeden, niech się jej dziś nauczę.*

– *Nie ma sekwencji o numerze jeden – odpowiada druid. – Wyjątkowa konieczność, Śmierć, ojciec Bólu, nic wcześniej, nic później.*

– *Zaśpiewaj mi sekwencję numer dwa, niech się jej dziś nauczę – prosi dziecko.*

I tak dalej.

W świetle trudności, z którymi się dziś borykam, ten początek przypomina to, co widzę. Śmierć jest wszędzie wokół mnie, a ból wypełnia mi serce i mózg. Babcia widziałaby w tym wiadomość z zaświatów.

Noc powoli mijała, a niektóre zdania zawarte w liście od Mamm-gozh zaczynały strasznie mnie niepokoić.

Najpierw to polecenie, żeby odczytywać swoje sny. Jedyny sen, jaki sobie przypominałam, to ten, w którym leciałam nad plażą w ogniu i ratowałam jakąś dziewczynkę. Leciałam jak legendarna Kerridwen, która przemieniła się w krogulca, żeby ścigać karła Gwiona,

który sam wcześniej zamienił się w ptaka, aby przed nią uciec.

W jeszcze większe zakłopotanie wprawiła mnie poczyniona przez Mamm-gozh aluzja do wielkiego nieszczęścia. No i to, że według niej mogę podróżować do światów równoległych i zmieniać bieg historii. To już totalne szaleństwo, ale dobrze je znam, bo bardzo przypomina Warriors of Time, grę, od której byłam uzależniona aż do czasu zamieszkania w internacie. W tej grze uczestnik przeskakuje między epokami, żeby zmieniać przeszłość i ratować świat. Mogłabym pomyśleć, że to wszystko jest prostym zbiegiem okoliczności, gdybym 1 listopada nie otrzymała przez internet pewnej wiadomości.

Na to wspomnienie wstałam z łóżka, żeby przekopać biurko. Przezornie wydrukowałam sobie wówczas tę wiadomość i w nocy musiałam jeszcze raz przeczytać ją na głos:

*Od: Mistrz gry*

*Do: Eksperci*

*To z pewnością moja ostatnia wiadomość. Połączenia rwą się stopniowo na całym świecie.*

*Nie traćcie nadziei. Wciąż pozostajemy Warriors of Time.*

*Znam sposób na cofnięcie czasu. Zawsze go znałem. Jednak sam nic nie mogę zrobić.*

*Dołączcie do mnie. Razem możemy uniknąć katastrofy, napisać przeszłość na nowo. Uwierzcie we mnie, uwierzcie w samych siebie, a pokonamy naszego najpotężniejszego wroga: wirusa.*

*Spotkanie 24 grudnia o północy pod najstarszym zegarem w Paryżu.*

*Khronos*

Co właściwie chciał powiedzieć? Że to, co jest opisane w grze, istnieje naprawdę i wszystko dzieje się tam według tego samego scenariusza? Że gdzieś w Paryżu miałyby się znajdować przejście do przeszłości, wyglądające jak tunel pełen świetlistej mgły? Każdego, kto by tam wszedł, przeszywałoby gwałtowne, wciągające wyładowanie energii, od którego traci się przytomność, żeby następnie obudzić się dokładnie w miejscu i czasie, o których pomyślało się przed wejściem, kilka sekund wcześniej?

Z początku wzięłam to za dziecinadę. Zastanawiałam się, jak ktoś może wciąż jeszcze czerpać przyjemność z gry, podczas gdy wokół nas wszystko wali się w gruzy. Doszłam do wniosku, że to jakiś dorosły wszedł na forum i w trochę idiotyczny sposób chciał dać nadzieję nastolatkom, których mogła kusić myśl o samobójstwie.

Dziś rano te nocne przemyślenia wydają mi się bardzo odległe. Trudno mi nawet wyobrazić sobie, że coś takiego nie dawało mi spać. Fakt, że dwie nieznające się osoby wpadły na ten sam idiotyczny pomysł, nie czyni go godnym uwagi. Nie, Mamm-gozh, nie, Khronosie, nikt nie może zawrócić czasu i napisać historii na nowo!

Ja, Koridwen, pochodzę ze wsi i stąпам twardo po ziemi. Nie będę się zapalać do jakichś bzdur. Myślę o zwierzętach, za które jestem odpowiedzialna. Myślę o Maksie, którego przygarnęłam. To jest moje prawdziwe życie, a nie ta fikcja.



Mój kuzyn wchodzi do salonu i siada, opierając się o mnie na kanapie. Nic nie mówi, trzyma głowę wspartą na moim ramieniu, trochę jak dziecko szukające pieszczot matki. Pozwalam mu na to, bo ten kontakt mnie także dobrze robi. Max ładnie pachnie. Postanawiam, że po śniadaniu sama też się umyję.

Po południu ruszam na poszukiwanie kufierka, o którym babka pisała mi w swoim liście. Przeszukuję jej kącik w przybudówce do gospodarstwa. Moi rodzice zostawili ją taką, jaka była. To tam babka przyjmowała swoich „pacjentów”. Pomieszczenie jest niewielkie, więc szybko dostrzegam wierzbowy kufer zapięty dwoma pasami. Odpinam je i rozpoznaję różne wspomniane w liście przedmioty, ale też bardzo stare książki z rycinami przedstawiającymi dziwne znaki i sceny – mitologiczne albo historyczne. Co ciekawe, w jednej z nich za zakładkę służy rentgenowskie zdjęcie lewego nadgarstka mojej babki. Strony najbardziej zniszczonej książki są połączone sznurkami. Jest tam też zielnik. Nazwy roślin są napisane po bretońsku, piórem, bardzo starannym pismem. Babka dodała ołówkiem francuskie tłumaczenia i komentarze, z pewnością z myślą o mnie. Chciała ze mnie zrobić znachorkę. Na samym dnie znajduję medalionik, który nosiła pod ubraniem. To złoty triskelion, symbol Bretończyków, z trzema krzyżującymi się spiralami. Babka mówiła, że dostała go od swojej babki. Ta ozdoba zawsze wydawała mi się śliczna, ale rodzice nie chcieli mi takiej dać. Od razu zakładam go sobie na szyję. W ręce trafia mi też notesik zawiązany na sznureczek. Odsupłanie węzełków zajmuje kilka minut. W środku znajdują się nazwiska i adresy. W sumie koło trzydziestu. Pośpiesznie przebiegam po nich wzrokiem. Przeważająca większość wymienionych tu osób mieszka lub – jak pewnie powinnam dziś powiedzieć – mieszkała w Bretanii, ale jest tam kilka adresów z Paryża, a jeden nawet z Nowego Jorku. Trudno mi sobie wyobrazić, że Mamm-gozh miała koleżankę w Ameryce. Na ostatniej stronie babka pozostawiła dla mnie wiadomość.

*Droga Koridwen,*

*to osoby, na które możesz liczyć. Wszystkie wiedzą o Twoim istnieniu i spodziewają się Twojej wizyty pewnego dnia. Teraz jesteś jedną z nich.*

*Mamm-gozh*

Dostrzegam małą kopertę wciśniętą między dwie strony – taką, jakiej używa się do wysłania kartki z życzeniami. Jeden róg ma naddarty i częściowo urwany. Otwieram ją, rozkładam kartkę ze środka. Oczywiście to także wiadomość dla mnie:

*Jeśli akceptujesz swoje dziedzictwo, zawieś triskelion na szyi.*

Nie mogę się powstrzymać, żeby nie położyć ręki na ozdobie. Jeszcze chwila i nastraszy mnie ta moja babka, chociaż przecież już jej tu nie ma. Muszę zachowywać się racjonalnie i złapać dystans. Tysiące ludzi w Bretanii i innych krajach celtyckich nosi ten symbol, także turyści. Dlaczego w moim przypadku miałby on nabrać jakiegoś szczególnego znaczenia? Zamykam z powrotem kuferek i próbuję odpiąć medalion. Trzęsę się i nie daję rady. Poczekam z tym. Zdejmę go, kiedy uda mi się opanować. Dlaczego mam wrażenie, jakbym wpadła w pułapkę?

13 listopada

Dziś rano znów czułam się bardzo nieswojo, bo po raz drugi moją noc zakłócił dziwny sen. Odkąd przeczytałam o poglądach mojej babki w tej kwestii, nie mogę się powstrzymać przed doszukiwaniem się jakiegoś znaczenia w tym, co mi się śni. Tym razem byłam w świecie Warriors of Time, w skórze mojego awatara. Mój awatar nosi moje imię, bo kiedy trzeba było wybrać sobie nick, nie miałam żadnego pomysłu, a „Koridwen” nie było jeszcze zajęte. Fizycznie moja postać jest większa ode mnie i dobrze zbudowana – bardzo umięśniona, z dużym biustem, jak Lara Croft. Wykonywałam misję ze Spider Snake’iem. Uwielbiam grać razem z nim. Oczywiście jest przystojny, ale przede wszystkim gra fair, działa instynktownie i jest niebywale szybki. Całkowite przeciwieństwo mnie – mózgowca. Tworzymy idealną parę.

W moim śnie razem ze Spider Snake’iem przeszukiwaliśmy podziemia stolicy królestwa Ukraïn. Właśnie odnaleźliśmy tajemne przejście do wielkiego laboratorium, którego sufit wyglądał jak sklepienie katedry. Schowani za metalową szafą szpiegowaliśmy naukowców w kombinezonach, z bezgraniczną ostrożnością manipulujących jakimiś próbkami. Dzięki okularom na podczerwień dostrzegliśmy strażników przyczajonych w ciemnościach. Nie udało nam się natomiast zrozumieć, co mówią do siebie naukowcy. Nagle jeden z nich obrócił się w naszą stronę. Zostaliśmy dostrzeżeni. Żeby odwrócić ich uwagę, Spider Snake strzelił do butli z gazem i spowodował jej wybuch. Kilka sekund później uruchomił się automatyczny system przeciwpożarowy i na laboratorium spadł prawdziwy potop. Byłam przemoczona i zabrakło mi powietrza. W tym momencie się obudziłam, mokra od potu, zakopana pod kołdrą, nie mogąc złapać tchu.

Dawno już nie śniła mi się gra. Odkąd zamieszkałam w Morlaix, coraz rzadziej grałam w WOT. Mniej tego potrzebowałam. Wcześniej gra była mi absolutnie niezbędna do zachowania równowagi psychicznej. Bez tygodniowej dawki co najmniej dwudziestu godzin grania poddałabym się zaraźliwej depresji moich rodziców. Dzięki grze przenosiłam się gdzie indziej, mogłam uwolnić moją złość i mój gniew. Odczuwałam autentyczną radość z wygrywania, z przetrwania. Pamiętam, że zdarzało mi się nawet krzyczeć ze szczęścia i budzić ojca, który potem zrzędził. Na pewno zdarzały się takie chwile, kiedy zdawało mi się, że jestem w Ukraïn na dobre i kiedy całkowicie zapominałam o moim prawdziwym życiu. To gra się nim stawiała.

Brakuje mi Spider Snake’a. Bardzo chciałabym zobaczyć, jak wygląda w rzeczywistości. Ma skórę gładką jak wąż czy może jest włochaty jak pajak? Myślę, że jego wygląd nie byłby dla mnie taki ważny, ale czasami chciałabym mieć w kimś oparcie. Czy przeczytał wiadomość od Khronosa? Przyjdzie na spotkanie? Jeśli jest tak inteligentny, jak sobie wyobrażam, to nie będzie tracił czasu na te głupoty.

Od obiadu zachowanie mojego kuzyna zmienia się całkowicie. Nie jest już uśmiechniętym i spokojnym nastolatkiem, który pomaga mi opiekować się zwierzętami i naśladuje ich odgłosy, ani tym, który pożera z entuzjazmem wszystko, co mu ugotuję. Jest zmartwiony. Wykonuje w sposób kompulsywny gesty, które widziałam już u niego, kiedy wpadał w kryzys w swoim ośrodku. Drapie się w palce i mruga oczami. Powtarza w kółko to samo zdanie:

– Chcę tatę i mamę. Chcę tatę i mamę. Chcę...

– Max, przestań. Oni nie żyją, podobnie jak wszyscy dorośli, poszli do nieba.

Tłumaczyłam mu to już ze dwadzieścia razy – i to różnymi słowami. Jestem pewna, że zrozumiał, ale chce usłyszeć coś innego: chce, żebym mu dała nadzieję, żebym go okłamała, czego nie zamierzam zrobić.

- Chcę tatę i mamę.
- Zamknij się Max, błagam.

Żeby odwrócić jego uwagę, proponuję powrót do nauki strzelania, ale on mnie już nie słucha. Siada na schodach przed wejściem do domu, trzymając się rękami za głowę. Zaczyna się kiwać, co doprowadza mnie do szału. Wiem, że potrafi spędzać w tym stanie całe godziny. Zostawiam go na chwilę. Muszę czymś się zająć, żeby odzyskać kontrolę nad sobą. Nie powinnam się denerwować, pozwalać sobie na płacz ani myśleć znów o butelczce z trucizną, którą ukryłam na szafie. Teraz nie mogę już brać pod uwagę skończenia ze sobą. Jestem odpowiedzialna za Maksa. Idę do spiżarni obok kuchni i segreguję konserwy, weki, paczki makaronu, ryżu, cukru... Dokładnie wszystko notuję. Zajmuje mi to ładne dwie godziny.

Gdy wracam na podwórko, mój kuzyn dalej siedzi w tej samej pozycji, ale już się tak nie kiwa. Zdaje się, że zasnął. Uważam, żeby go nie obudzić. Siadam w salonie i zajmuję się rachunkami zapasów, żeby ocenić, na jak długo starczy nam żywności. Zakładam z góry, że powinniśmy przetrwać zimę. Na wiosnę zasieje się ziarna, w komórce mam saszetki z nasionami.

Mój kuzyn do mnie dołącza. Po jego wzroku poznaję, że kryzys minął. Mam świadomość, że ta poprawa jest tylko chwilowa i że będą nawroty, dopóki nie udzielę mu odpowiedzi, której oczekuje. Póki co, Max nie jest w stanie zmierzyć się z myślą, że nigdy więcej nie zobaczy swoich rodziców. Poświęciłabym własne życie, gdyby to mogło mu dać choćby najmniejszą nadzieję.

Zabieram go na strzelanie. Stwierdzam, że nabrał pewności siebie, bo już się nie trzęsie. Wciąż jeszcze nie umie trafić do celu, ale jestem pewna, że wkrótce się nauczy.

Leżę w łóżku i staram się uporządkować myśli. Chcę odsunąć od siebie obrazy, które nawiedzają mnie bez zaproszenia, ale one wciąż powracają. Na przykład nie potrafię wybić sobie z głowy wydarzeń z mojego ostatniego snu, tego ze Spider Snake'iem. Skąd taka niespójność? W jaki sposób mój mózg mógł pomieszać średniowieczne realia z gry z obrazami katastrofy, które pokazywała nam telewizja, kiedy jeszcze działała? Dlaczego korzystamy z okularów z podczerwienią, podczas gdy znamy tylko sztylet, łuk i kuszę? Zastosuję do analizy tego snu teorie Mamm-gozh. Ostatecznie to dobry sposób, żeby się od niego uwolnić.

Bardzo dobrze, Koridwen, stawiasz czoła trudnościom, nie uciekasz.

W pierwszej kolejności ten sen uczy mnie, że moją prawdziwą naturą jest bycie bohaterką, która niczego się nie boi. To bezużyteczne: znam swoją naturę i wiem, że to nieprawda.

Scena z tego snu nie nawiązuje do niczego, co przeżyłam w swoim życiu ani nawet podczas przygód w WOT. Jeżeli istnieje, miała miejsce w przeszłości, której nigdy nie poznałam, albo należy do przyszłości, której jeszcze nie znam. W obydwu przypadkach chodzi o podróż w czasie lub do świata równoległego. Jeśli uznać ten element za przepowiednię, wkrótce naprawdę tego dokonam i to być może z moimi przyjaciółmi z gry.

Gdyby więc potraktować poważnie ezoteryczne majaczenia mojej babki, wniosek nasuwa się sam: powinnam uwierzyć w wiadomość od Khronosa i pakować się, żeby jak najszybciej dotrzeć do Paryża na wielkie spotkanie Ekspertów WOT.

– Właśnie tak, stara – mówię sobie na głos. – Jesteś superbohaterką, będziesz w stanie odwrócić bieg historii i wskrzesić martwych. Jesteś nowym Mesjaszem!

Śmieję się z własnej głupoty, kiedy nagle dociera do mnie daleki odgłos samochodu. Zjeżdża na drogę do nas. Zabieram ze sobą strzelbę i ładuję do niej dwa naboje. Delikatnie uchylam okno. Księżyc jest w pierwszej kwadrze, a niebo jest tylko częściowo zachmurzone. Dzięki temu mogę dostrzec pojazd i trzy osoby, które z niego wysiadają. Dwóch chłopaków i dziewczyna. Żadnego z nich nie znam. Jeden z tej trójki staje przed wejściem na czatach,

z bronią przewieszoną na skos, podczas gdy pozostali kierują się w stronę starej studni. Włączają pompę. Kiedy woda zaczyna płynąć, napełniają kanister, po czym ładują go do bagażnika. Obchodzą też wkoło oborę. Wychodzą po mniej niż minucie. Następnie idą aż do drzwi wejściowych i gwałtownie szarpią za klamkę. Strzelam w powietrze, a oni nieruchomieją. Potem biegiem wracają do swojego kombi i ruszają z piskiem opon. Max się obudził i dołącza do mnie ze swoją strzelbą. Kiedy zaczyna ją ładować, powstrzymuję jego ruch.

– Już nie trzeba, Max. Odjechali.

14 listopada

Budzę się dosyć późno. Widzę Maksa przy stole, jak chrupie płatki prosto z pudełka. Idę zobaczyć, co ze zwierzętami. Mam wrażenie, że dziwnie mi się przyglądają dziś rano. Przynoszę im trochę paszy, którą spokojnie zjadają. Mała jałówka ssie mleko swojej matki z zamkniętymi oczami. Nie będę ich już doić. Prędzej czy później musiałabym przestać. Do czego to podobne, cała ta robota, żeby potem wylewać mleko.

Sporą część nocy spędziłam na rozmyślaniu. Cindy ma rację. Pozostając tu całkiem sama (lub prawie całkiem), wystawiam się na niebezpieczeństwo. Ale co robić? Jak znaleźć ludzi, z którymi mogłabym żyć, nie tracąc mojej wolności i niezależności? Myślę o mojej najlepszej koleżance, dzielącej życie z bandą chuliganów, którym w głowie tylko popijawa i wygłupy. Ona drogo płaci za swoje bezpieczeństwo. A oni, jak obchodzą się z nią na co dzień? Nie zrobili sobie z niej czasem służącej?

Ci, którzy przyjechali wczoraj, nie wydawali się agresywni. Szukali tylko wody. Spróbują mojej. Jeżeli im zasmakuje, to wrócą. Będą chcieli się podzielić czy raczej przegonić mnie z własnego domu? Jest ich tylko trójka czy cała banda? Czy będę w stanie się im przeciwstawić? Na pewno przekonamy się następnym razem. Chyba że nie będzie następnego razu, bo w międzyczasie dwójka łobuzów, których przegnałam tydzień temu, wróci, żeby dobrać mi się do skóry.

Wszystkie te zmasowane zagrożenia w końcu wpędzą mnie w obłęd. Jak mam żyć przez całą noc i cały dzień z bronią pod ręką, gotowa strzelać do wszystkiego, co się rusza? Będę jakoś wegetować, raz lepiej, raz gorzej, w oczekiwaniu na wroga i w strachu przed nim? Taki właśnie kierunek ma obrać moje życie?

Zaprzestałam zajmowania się krowami, więc błądzą po domu bez celu. Przeszukuję moje biurko w poszukiwaniu zdjęcia najstarszego zegara w Paryżu. Znalazłam je w necie i wydrukowałam po przeczytaniu ostatniej wiadomości na forum WOT. To tam spotkają się Eksperci Khronosa. Nie tak dawno byłam dumna, że do nich należę. Ci ludzie liczyli na mnie tak, jak ja liczyłam na nich. Czemu by nie założyć, że w prawdziwym życiu wszystkich graczy oraz ich awatary charakteryzują takie same wartości i cechy?

A gdybym pojechała do Paryża ich odnaleźć? A gdybym spróbowała choć trochę w to uwierzyć – w cudowne rozwiązanie, które wszystkiemu zaradzi? Gdybym zaufała słowom mojej babki i wezwaniu Khronosa? Co stracę? Nic, bo nie ma już nic do stracenia. A nawet jeżeli nie uda nam się cofnąć czasu, żeby zdusić w zarodku tego piekielnego wirusa, przynajmniej zdobędę przyjaciół.

Nagle wpadam w euforię i podskakuję w miejscu, wyrzucając pięści do góry. Jednak moja energia szybko znika i wysokość moich podskoków maleje. Zwijam się w kłębek. Po policzkach płyną mi łzy. Podchodzi Max i mnie przytula. Stopniowo się uspokajam. Max podaje mi paczkę płatków. Dzielimy się nimi. Czuję się lepiej.

Następnie zabieram się do porządków w kuchni. Trzeba wszystko pozmywać. Max przygląda mi się z założonymi rękami. Jakby mnie nadzorował, czy nie dostanę jakiegoś nawrotu. Kontakt z wodą dobrze mi robi i mam wrażenie, że mój umysł się oczyszcza. Stopniowo pomysł wyjazdu jawi mi się jako oczywistość. Musimy się ruszyć. Wyjdziemy naprzeciw wielkim niebezpieczeństwom, ale przynajmniej nie będziemy czekać beczynn timer na śmierć. Wiemy, jak jest tutaj, tam być może będzie lepiej. Możemy przynajmniej pojechać i spróbować. Kończę zmywać i idę poszukać notesu w schowku na zapasy, a potem siadam przy stole obok mojego kuzyna.

- Co byś powiedział na wyjazd do Paryża?
- Och tak, Kori – stwierdza uradowany. – Max chce jechać do Paryża.

Przez resztę dnia jestem na zmianę bardzo podekscytowana myślą o wyjeździe i bardzo smutna, że wszystko zostawiam. Tutaj jestem u siebie – od zawsze, to dom moich przodków. Jest przesiąknięty ich obecnością. Wszystkie drzewa zostały zasadzone przez nich, rowy wykopane ich rękami. To ich pejzaż i także mój. Przyglądam się temu wszystkiemu, po czym zamykam oczy. Szepczę sama do siebie:

– Masz rację Mamm-gozh. Tutaj jestem u siebie. Składam przysięgę, że wrócę, kiedy moje zadanie zostanie wykonane. I wrócę silniejsza.

Wybieram ulubiony traktor mojego ojca – ten, którego spojlerzy ozdobiłam kwiatami i gwiazdkami z niezmywalnego tuszu, kiedy miałam pięć lat. Rysunek trochę już wyblakł, ale wciąż jest dobrze widoczny. Doczepiam do niego czterometrową przyczepę do przewozu bydła, przypominającą mały dom bez dachu. Łatwo można przykryć ją plandeką.

Będziemy powolni i ciężcy jak czołg ciągnięty przez dwa woły, ale będziemy mieli schronienie. To wybór, który spodobałby się mojej babce. Jestem pewna, że rozpoznałaby w nim ten obraz z wylizanki *Ar Rannou*:

– *Zaśpiewaj mi sekwencję numer dwa, niech się jej dziś nauczę – prosi dziecko.*

*A druid mu odpowiada:*

– *Dwa woły zaprzęgnięte do skorupy; ciągną, zdechną; oto cud.*

Ona z pewnością widziałaaby w tym znak bogów. Uśmiecham się na tę myśl. Ja widzę przede wszystkim środek na ominięcie szos, a może nawet lokalnych dróg, możliwość jazdy na skrót przez pole, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Gromadzę stare metalowe skrzynie, które napełniam żywnością. Zaglądam w tym celu również do sąsiadów. Do jednej ze skrzyń chowam strzelbę, naboje, ale też narzędzia i sznury, które mogą okazać się przydatne. Zabieram kilka śpiworów, koce i ciuchy mojego ojca dla Maksa. Wyobrażam sobie, że to jak wyjazd na kemping, tylko na bardzo długo. Staram się pomyśleć o wszystkim, o toalecie, kuchni, myciu naczyń, praniu. Oceniam zużycie oleju napędowego i napełniam ogromne kanistry z cysterny schowanej w głębi stodoły. Załadowuję plastikowe butelki z wodą pochodzące z zapasów sąsiadów, którzy nie ufali kranówce. Napełniam również wszelkie możliwe baniaki wodą ze studni. Na końcu zajmuję się swoimi ubraniami. Wybieram raczej dżinsy, adidas, T-shirty i bluzy, ubrania praktyczne i uniwersalne. Na samym dnie szuflady ze skarpetkami znajduję kopertę z dziwnym ostrzeżeniem zamiast adresu.

*Do otwarcia 15 października*

*(Wcześniej byś w to nie uwierzyła!)*

Jestem poruszona, bo od razu rozpoznaję swoje pismo, ale w ogóle nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek napisała te słowa. Połowa października już dawno minęła. Trochę się trzęsę, gdy próbuję otworzyć list. Ten właśnie moment wybiera sobie Max, żeby wpaść z wrzaskiem do mojego pokoju. Całą brodę ma we krwi, jego sweter też jest zaplamiony. Co mógł sobie zrobić? Obawiam się najgorszego. Jeżeli rana jest głęboka, nie będę w stanie poprawnie jej pozszywać. Muszę zachować spokój i nie panikować. Wkładam list z powrotem do szuflady, po czym machinalnie ją zamykam. Prowadzę kuzyna do łazienki i delikatnie myję mu

twarz gąbką. Szybko się uspokajam, bo Max krwawi tylko z nosa. Upływ krwi jest znaczny, co strasznie go niepokoi. Uciskam mu górną część nosa i głaszczę go po głowie. Krwawienie bardzo powoli ustaje. Idę znaleźć mu jakieś czyste ubrania. Wracam do mojego pokoju, żeby zabrać rzeczy, które przygotowałam.

Wszystko zapakowane. Zostawiam list do Cindy w rogu stodoły, gdzie bawiłyśmy się jako dzieci. Kładę go za grubą belką, w żelaznym pudełku, w którym trzymałyśmy nasze sekrety. Tylko ona będzie mogła go znaleźć. Idę pożegnać się z krowami. Odwijam z folii kule kukurydzy magazynowanej na kiszonkę. Będą mogły jeść ją według potrzeb i spokojnie przeżyją zimę. Niczego im nie zabraknie.

Do każdej z nich zwracam się po imieniu. Dociera do mnie, że nie ochrzciliśmy małej jałówki Bergamotki.

– Jak chcesz ją nazwać, stareńka? Wiesz, że masz szczęście w tym nieszczęściu...

Normalnie ojciec oddzieliłby cię od niej, żeby ją sprzedać. To jak, nie masz pomysłu?

Wołam mojego kuzyna, który od razu wpada na pomysł:

– Max, tak ładnie, Max.

– Tak, to ładne, Max, ale chodzi o dziewczynkę. Urodziła się 11 listopada, tego dnia podpisano zawieszenie broni kończące I wojnę światową. Moglibyśmy więc nazwać ją Pax. To prawie jak Max i znaczy „pokój”. Zgadzasz się?

Bergamotka raczy nas mruknięciem, które odczytuję jako wyraz entuzjazmu.

– Sprzedane! – mówię. – Od dziś nazywasz się Pax.

Mój kuzyn wzdycha i odchodzi, mamrocząc pod nosem.

– Max brzmi lepiej. To ładne, Max.

Na stole w jadalni rozkładam mapę drogową, a z biurka mojego ojca biorę czysty notes. Notuję każde miasteczko i wieś, przez które musimy przejechać albo je ominąć, w zależności od napotkanych trudności. W sumie naliczam ich dziewięćdziesiąt siedem. Do pokonania mamy pięćset czterdzieści kilometrów. Na płaskim terenie i na ubitej drodze mogę rozbijać traktor do trzydziestu pięciu kilometrów na godzinę. Czyli w teorii i bez zbędnych przystanków moglibyśmy dojechać w trzy lub cztery dni.

Robię ostatni obchód gospodarstwa. Tak samo jak to zrobił Yffig. Bardzo starannie zamykam wszystkie drzwi, po czym chowam klucz do torby. Odpalam traktor. Drogę na początku mam opanowaną i wiem, jak ominąć Morlaix, ale po jakichś pięćdziesięciu kilometrach dotrę do terenów kompletnie mi nieznanych. Jest szesnasta. Będziemy jechać, dopóki nie zrobi się ciemno.

15 listopada

Przebyliśmy trzydzieści dwa kilometry, żeby ominąć Morlaix, czyli trochę mniej niż sześć procent trasy. Nie spotkaliśmy absolutnie nikogo. Niektóre wioski wyglądały na kompletnie opuszczone. Wiatr wpadał do domów, trząsał drzwiami i oknami. Chodniki i schody były usłane połamanymi meblami, różnymi przedmiotami i bielizną. Przypominało to widmowe miasteczka w Kalifornii, porzucone po czasach gorączki złota. Ocaleni musieli się połączyć w grupy w osadach oddalonych od dróg albo może w centrum miasta. Zdaję się tylko na wzrok, bo warkot traktora nie pozwala mi wsłuchiwać się w odgłosy z zewnątrz. Zaparkowaliśmy maszynę w ukryciu, przy wjeździe na leśny dukt między Plounérin i Plounévez-Moëdec. Dotarło do mnie, że kanarkowy żółty i soczysty zielony naszego pojazdu zdecydowanie zbyt mocno rzucają się w oczy.

Udało mi się przespać tylko kilka godzin na raty. Podrywałam się na najmniejszy odgłos. Czasami to Max uderzył łokciem o ścianę przyczepy albo głośno sapnął. Czasem podchodziły do nas zwierzęta: mała grupka dzików albo zbłąkany pies. Kiedy powrócił spokój, nawiedziło mnie wspomnienie o liście z szuflady ze skarpetkami. Nie otworzyłam go. Co w nim było? Czy to na pewno ja go napisałam? I skąd ta data, która z niczym mi się nie kojarzy? Koło czwartej rano, po kolejnej bezsennej godzinie, o mało nie zawróciłam go szukać. Potem zrezygnowałam. Nie chciałam ryzykować, że obudzę Maksa, a przede wszystkim obawiałam się chyba odkrycia tam czegoś strasznego, co być może odwiódłoby mnie od ruszenia w dalszą drogę.

Przed wyjazdem napoczynamy zapasy ciastek Yvonne. Staruszka była uzależniona od wafelków z nadzieniem truskawkowym. Wciąż bała się, że ich zabraknie, więc zrobiła sobie solidne zapasy w szafie. Zajadamy się, nie zamieniając ani słowa. Max dziwnie je. Powoli przykłada ciastko do zębów, a potem tnie je drobnymi, bardzo szybkimi ruchami żuchwy. Jakby naśladował rozdrabniacz, który rozbija na kawałki gałęzie drzew. Zajmuje go to na długie minuty.

Ruszamy. Powoli wycofuję. Nie lubię jeździć na wstecznym z przyczepą, ale tym razem idzie mi całkiem nieźle. Kiedy tylko wyjeżdżamy na drogę, widzę, jak twarz mojego kuzyna nagle pochmurnieje. Przyglądam mu się z uśmiechem, który ma być pocieszający, ale on zdaje się tego nie widzieć. Ponad pół godziny później przejeżdżamy przez kolejną całkiem opuszczoną wioskę. Nagle pojawia się sfera bardzo agresywnych psów, które biegną za nami przez kilkaset metrów. To właśnie ten moment Max wybrał sobie, żeby wrócić do swojej litanii:

– Chcę tatę i mamę – zaczyna cicho. – Chcę tatę i mamę. Chcę tatę i ma...

Zachowuję się, jak gdyby nigdy nic, i staram się skupić na drodze. Wtedy mój kuzyn podkręca głośność. Dosłownie drze mi się nad uchem. W odróżnieniu od poprzedniego kryzysu, podczas którego mogłam mu uciec, tym razem jestem na niego skazana. Muszę coś zrobić za wszelką cenę, inaczej wjedziemy do rowu. Biorę głęboki oddech i próbuję:

– Max, właśnie po to jedziemy do Paryża. Znajdę tam ko legów i postaramy się sprawić, żeby tata i mama wrócili. Dobrze?

Max wreszcie przestaje i długo się we mnie wpatruje. Wyobrażam sobie, że jego mózg przetwarza teraz nowe informacje.

– Tata i mama w Paryżu? – pyta.

– Niezupełnie to powiedziałam, Max. To trochę bardziej skomplikowane. Jedziemy do...

– Tata i mama w Paryżu? – powtarza, przerywając mi w pół zdania.

– Właśnie tak, tata i mama w Paryżu.

No i dostał to, czego żądał: nadzieję. Może teraz przynajmniej pozwoli mi spokojnie



kierować przez resztę podróży. Jestem jednak zdecydowanie zbyt optymistyczna, bo kiedy tylko trafiamy na tablicę z nazwą kolejnej wioski, pada nowe pytanie:

- Paryż? Tutaj, Paryż?
- Nie, to Louargat.
- Luaarga?
- Właśnie.

Pierwszą żywą osobę dostrzegam w centrum tej miejscowości. Ktoś siedzi na skraju drogi, całkiem nieruchomo, zbląkany i z pustym wzrokiem. Ma na sobie sportowy kostium w odblaskowych kolorach; może to strój rowerowy. Czeka na kogoś? Tak czy inaczej, ja na pewno się nie zatrzymam. Za bardzo się boję. Przyspieszam, to już taki odruch, kiedy przejeżdżam przez wioski. Te miejsca wydają się sprzyjać zasadzkom. Oddycham z ulgą tuż po wyjeździe na szosę. Lubię proste drogi, które pozwalają patrzeć daleko do przodu. Max daje mi do zrozumienia, że chciałby poprowadzić. Z zazdrością wgapia się również w mój fotel. Tutaj miejsce z prawdziwego zdarzenia ma tylko kierowca. Max musi ułożyć sobie poduszkę obok i trudno mu znaleźć wygodną pozycję. Zatrzymuję traktor i tłumaczę mu rolę pedałów hamulca i gazu. Ja sama zajmę się sprzęgłem i biegami. Dzisiaj spróbujemy tylko na kilkuset metrach. Max jest uradowany, chociaż jego twarz zdradza przede wszystkim ogromne skupienie. Dla mnie to spora dawka stresu, bo mam wrażenie, że nie nad wszystkim panuję. Mój kuzyn się krzywi, kiedy kładę rękę na kierownicy. Robiłam tak samo, kiedy uczył mnie ojciec. Powtarzał, że jestem uparta jak osioł, ale poznawałam po jego uśmiechu, że nie uważa tej cechy charakteru za szczególnie negatywną.

Wracam za kierownicę sto metrów przed wjazdem do Ploumagoar. Zapowiadam nazwę wioski, żeby mój kuzyn nie pytał, czy dojechaliśmy do Paryża.

- Umagluar – odkrzykuje jak echo.

Od wjazdu do osady mam poczucie, że ktoś nas obserwuje. Góra odpadków zagradza środek drogi, a chodniki po dwóch stronach zajmują zwęglone karoserie samochodów. Idealna pułapka. Z przyczepą nie dam rady tu zawrócić. Ulica jest za wąska. Przywieram do kierownicy i proszę Maksa, żeby się trzymał. Wjeżdżam z impetem w stos. Najpierw mocno nami zarzuca, potem traktor się blokuje i motor nagle gaśnie. Biorę głęboki wdech i odpalam ponownie. Podkręcam do maksymalnych obrotów i tylne koła napędowe pokonują przeszkodę. To właśnie wtedy dosięgają nas pierwsze kamienie. Rzucający celują w przednią szybę, ale na szczęście jedyny kamień, który do niej dolatuje, uszkadza ją w niewielkim stopniu. Udaje im się natomiast stłuc jedną z bocznych szyb kabiny w momencie, kiedy pojazd nabiera pełnej prędkości. Nogi mi drżą. Max kuli się na podłodze z rękami na głowie. Głaszczę go po ramionach, żeby dodać mu otuchy. Pozostaje taki zgięty przez ładny kwadrans. Unika dzięki temu widoku łez płynących po moich policzkach. Nie wiem, jak dojedziemy żywi do Paryża. Czego oni od nas chcieli? Bali się nas? Czy wszystkim już odbiło? Następnym razem być może zabiję jednego albo dwóch. I nie będzie chodziło o grę komputerową, naprawdę odbiorę komuś życie i będzie mnie to prześladować do końca moich dni. Patrzę z obawą na tablicę kolejnej wioski. Chwytam za strzelbę i ją ładuję. Powierzam ją mojemu kuzynowi, który waha się przed jej przejściem.

- Wystaw głowę na zewnątrz i strzelaj, jeśli będziemy w niebezpieczeństwie.

Krzywi się, po czym postanawia mnie posłuchać. Jestem czujna. Max strzela i wybuch masakruje nam bębenki.

- Co widziałeś? – krzyczę do niego.
- Nic! Nic! – broni się.

Domyślałam się, że chciał tylko dotknąć spustu, ale wystrzelił. Wreszcie wyjeżdżamy. Oświadczam z ulgą:

- To było Plouagat.
- Pulaga – poprawia mój kuzyn.

Przez miejscowości „Sam ogon” i „Gdzie mój ząb” (Châtelaudren i Trémuson) przejeżdżamy bez żadnego problemu. Postanawiam, że potem zrobimy duży objazd, żeby uniknąć Saint-Brieuc i okolicznych mostów. Kierujemy się na wąskie dróżki, czasami nawet jadę polem, kiedy jakiś porzucony samochód blokuje przejazd. Kiedy nawracamy na Yffiniac, wyprzedza nas trzech motocyklistów. Widzę w lusterku, jak zbliżają się z ogromną prędkością. Przy mijaniu każdy z nich rzuca na nas okiem. Nie dopatruję się w ich spojrzeniach wrogości, ale mimo wszystko spodziewam się, że trochę dalej mogą utworzyć blokadę. Przy każdym wychodzeniu z zakrętu szykuję się na zagrożenie.

Ostatecznie jedziemy dalej bez przeszkód. Wjeżdżam powoli do małej wioski, którą Max nazwał „Fifiniak”. Mój kuzyn wraca na swoje stanowisko i obiecuje mi, że będzie bardzo uważał. Dostrzegam sylwetkę jakiejś dziewczyny w kapeluszu o szerokim rondzie. Stara się ukryć za drzewem, kiedy przejeżdżamy obok. Kilka chwil później znika mi z pola widzenia. Szkoda, bardzo chciałabym znaleźć sobie towarzyszkę podróży. Jednak nie chcę się zatrzymywać, żeby jej szukać. Tutaj to zbyt niebezpieczne. Gałęzie na ubitej drodze powodują, że podskakuję prawie pod sam sufit kabiny. Maksa to bawi. Uśmiecha się do mnie. Domyślam się, że chciałby, żebym pozwoliła mu wystrzelić. Nie chcę. Przeczuję, że pewnego dnia przyda nam się ta amunicja. Narastające od wyjazdu zmęczenie dopada mnie nagle. Oczy same mi się zamykają. Zwalniam. Zastanawiam się, czy nie mam zwidów, bo zdaje mi się, że widzę w lewym lusterku dziewczynę sprzed godziny, która szła sama drogą. Zatrzymuję pojazd i wystawiam głowę przez okno. Zupełna cisza, najmniejszego ruchu.

Chociaż jest jeszcze bardzo wcześnie, to naprawdę już pora, żebym się przespała. Szukam jakiejś kępy drzew, za którą moglibyśmy się schować. Jadę jeszcze dwa kilometry i wreszcie jedną znajduję. Wtedy gaszę silnik i zsiadam z traktora. Bez pośpiechu przyglądam się okolicy, po czym biorę koc i daję rady mojemu kuzynowi:

– Trzymaj się blisko traktora i nie baw się strzelbą. A przede wszystkim obudź mnie, jeżeli przyjdą jacyś ludzie, dobrze?

Kładę się i od razu zasypiam.

Po przebudzeniu czuję zapach ciepła, trochę słodkawego. Nie spodziewałam się, że Max sam z siebie weźmie się za gotowanie. Perspektywa napełnienia czymś żołądka sprawia mi radość. Wzdrygam się nagle, bo Max nie jest sam. Jest z nim dziewczyna, która nerwowo ścisną w rękach miseczkę mleka. Widzę zresztą, że poplamiała się, pijąc. Chwytam za strzelbę i spokojnie podchodzę. Max siedzi obok niej i patrzy się na nią uśmiechnięty.

– Kto to? – pytam go oschle.

Dziewczyna odstawia miseczkę i zaczyna kaszleć. Przez jej ciało przebiegają dreszcze. Max oświadcza uradowany:

– Anna. Jest miła. Jest głodna.

– A jesteś pewien, że jest zupełnie sama?

Długo obserwuję okolicę przez lornetkę, żeby upewnić się, że panienka nie zapowiada najazdu jakichś bandytów. Przyglądam jej się przez chwilę. Cała się trzęsie, jest w poszarpanym T-shircie i paskudnych dzinsach. Dostrzegam kapelusz, który położyła obok siebie.

– Byłaś w Yffiniac. Jak dotarłaś aż tutaj?

– Chwycałam się przyczepy, kiedy przejeżdżaliście przez osadę, ale po kilku kilometrach nie miałam już siły się trzymać i skoczyłam. Potem schowałam się w rowie, a jeszcze później poszłam w stronę lasu. Twój brat mnie przyjął. Nie jadłam nic od dwóch dni... Mogę trochę z wami zostać?

– Tak. Weźmiemy cię na próbę. Jeżeli można ci zaufać, zostaniesz z nami. Dam ci czyste ubrania, ale najpierw musisz się umyć. Zgodna?

– Zgodna.

Nalewam pół wiadra wody, daję jej myjkę i żel do kąpieli.

– Więcej nie mogę ci dać. Wiesz, że trzeba oszczędzać zapasy.

– Wiem. Jak się nazywasz?

– Koridwen, ale możesz mówić na mnie Kori. A Max to mój kuzyn.

Przyklejam taśmą klejącą kawałek czarnego plastiku, żeby zasłonić miejsce po rozbitej szybie i powstrzymać zimne powietrze wlatujące do środka. Anna rozkłada się w przyczepie, z nogami w misce. Temperatura na zewnątrz nie przekracza dwunastu stopni, a ja nie pomyślałam o podgrzaniu wody dla naszej pasażerki. Dlatego się nie ociąga. Wraca okutana w trzy swetry, które włożyła jeden na drugi. Porządkujemy cały nasz sprzęt i ściskamy się w kabinie. Moi towarzysze moszczą się, gdzie mogą. Anna nie otwiera ust, a Max zaczyna przysypiać dziesięć minut po ruszeniu. Nie lubię tych chwil samotności, bo wtedy właśnie wyobrażam sobie najgorsze scenariusze albo powracam myślami do wszystkiego, co straciłam. Wiem, że mogą mi puścić nerwy, a nie mam ochoty rozkleić się przed dziewczyną, której nie znam.

– Mogłabyś coś do mnie mówić? Potrzebuję pomocy, żeby trzymać pion.

– Dobrze – odpowiada. – Dokąd właściwie jedziemy?

– Do Paryża.

– Dobrze się składa, ja też chciałam tam jechać. Chociaż boję się wielkich miast.

– Nie martw się, znam tam różnych ludzi. Nie będziemy całkiem sami. Potrafisz prowadzić traktor?

– Nie.

– Potrafisz obchodzić się z bronią?

Wyciąga z kieszeni nóż do tapet i macha mi nim przed oczami.

– Tym, trochę.

– Miałam na myśli strzelbę.

– Nie, ale bardzo chciałabym się nauczyć. Kori, zaparkuj pod drzewami i wyłącz silnik. Szybko!

Wjeżdżam w szpaler kasztanowców i gaszę silnik. Dobiega do mnie warkot z góry. To helikopter. Pytam wzrokiem dziewczynę.

– To żołnierze. Zmuszają nastolatków, żeby zbierali się w strzeżonych obozach. Obiecują ci bezpieczeństwo, dach nad głową, wyżywienie i ubrania. Ale szybko orientujesz się, że tak naprawdę chodzi o więzienie. Każą nastolatkom zajmować się brudną robotą: sprzątaniami, grzebaniem ciał. Rekrutują ich do namierzania reszty, która organizuje się na zewnątrz. Ich największa obsesja to broń palna, którą konfiskują i systematycznie niszczą. To właśnie z takiego obozu udało mi się uciec dwa dni temu.

– To wciąż są jeszcze jacyś dorośli? Moja kumpela powiedziała mi co innego.

– Tylko wojskowi. Oni zawsze przemieszczają się w kombinezonach, które chronią ich przed ryzykiem zakażenia. Wielu młodych znika. Mówi się, że wypompowują z nich całą krew i testują na nich szczepionki. Zdaje mi się, że helikopter odleciał. Lepiej unikaj dużych arterii.

Droga jest płaska, więc udzielam Annie lekcji jazdy. Szybko łapie, o co chodzi, i nabiera pewności siebie. Daje nawet radę rozmawiać ze mną i jednocześnie prowadzić. Jesteśmy mocno na południe od Lamballe i jedziemy w kierunku Plestan. Obserwuję horyzont przez lornetkę. Wszystko wydaje się spokojne. Mimo to chwytam strzelbę, kiedy przejeżdżamy przez miasteczko. Max się obudził i też chce poprowadzić. Pozwalam mu na kilkanaście minut. Anna

wyjaśnia mi na ucho, że pochodzi z następnej wioski i że chciałyby się tam zatrzymać, żeby zabrać kilka rzeczy. Opowiada mi, że nie mogła tam wrócić od początku epidemii. Żołnierze otoczyli jej liceum i zabrali wszystkich uczniów, po których rodzice nie przyjechali przed zamknięciem placówki.

– Myślisz, że moja matka mogłaby wciąż żyć? – pyta mnie na skraju płaczu.

Obejmuję ją i kładę głowę na jej ramieniu.

– Szczerze mówiąc, nie wierzę w to. W odizolowanej osadzie, takiej jak moja, byłyby na to niewielkie szanse, ale w twoim miasteczku, tuż przy drodze krajowej, to byłby cud.

Przejmuję kierownicę, kiedy wjeżdżamy do Tramain. Wargi Anny prawie dotykają mojego ucha.

– Tam, pod wiatą przystanku, pocałowałam mojego pierwszego chłopaka w usta – szepcze. – To było w połowie podstawówki. Założyłam się z jedną koleżanką, Caroline, której rodzina przeprowadziła się pod Paryż.

Domy są otwarte. Niektóre zostały podpalone. Wszędzie walają się jakieś rzeczy. Głos Anny coraz bardziej się załamuje:

– W tym domu mieszkała moja niańka z czterema swoimi córkami. Długo były dla mnie wzorami i marzyłam tylko o jednym: być jak one, szczególnie jak Arwen, która miała buzię jak lalka, a chłopak zabierał ją na przejażdżki motorem... Dojeżdżamy na moją ulicę. Mój dom to ten biały z zielonymi okiennicami. Zatrzymaj się tam.

Anna kładzie rękę na klamce, ale jej nie naciska. Cała się trzęsie.

– Pozwól mi tam wejść pierwszej – proponuję jej. – Opowiem ci i wtedy zdecydujesz, czy chcesz zajrzeć.

Anna nie odpowiada. Biorę strzelbę i schodzę z traktora. Drzwi nie są zamknięte na klucz. Wnętrze nie jest zdewastowane, ale widać, że zostało przeszukane i prawdopodobnie opróżnione z najcenniejszych rzeczy. Ohydny smród odpadków chwyta mnie za gardło. Przykładam do nosa chustkę, ale to niewiele zmienia. Robię szybki obchód po pomieszczeniach. Boję się natknąć na trupa, który nie został wywieziony. Na końcu wchodzę do kuchni. To stąd dociera odór zgnilizny. Banda szczurów pożera żywność ułożoną w ogromny stos na środku pomieszczenia. Gryzonie są niewzruszone, na mój widok ledwo podnoszą głowy. Wracam do traktora, żeby opowiedzieć wszystko Annie, a ona chwyta mnie za rękę i prowadzi za sobą. Idziemy prosto do salonu, Anna grzebie w komodzie w poszukiwaniu albumu ze zdjęciami, który przyciska do piersi. Następnie idzie do swojego pokoju, podnosi materac i zabiera mały notes. Po drodze chwyta jeszcze starego pluszowego misia. Zapełnia plastikową siatkę ubraniami. Waha się, a potem rezygnuje z wejścia do pokoju rodziców. Bardzo szybko dołączamy do Maksa, który zdaje się zatopiony we własnych myślach.

– Możemy jechać – rzuca Anna, starając się mówić tonem pewnym siebie.

Wyjeżdżamy z jej miasteczka, nie napotykając żywej duszy. Zapada wieczór, więc proszę ją, żeby wskazała mi miejsce, w którym moglibyśmy spokojnie spędzić noc. Anna kieruje mnie jakąś dróżką w stronę zalesionego pagórka, na którego wierzchołku stoi wieża ciśnień.

Gdy zapada noc, prowadzi nas w stronę wejścia do budynku. Wyciąga klucz spod kamiennej płyty i wkłada go do zamka w metalowych drzwiach. Idzie przodem, a my krocymy za nią po omacku, trzymając się wzajemnie za ubrania. Wspinamy się na bardzo długą metalową drabinę wyposażoną w osłony. To sprawia, że cały czas musimy być przyciśnięci do szczebli. Nasze kroki rezonują w przestrzeni, która zdaje się ogromna. Wreszcie docieramy na piętro i kilka minut łapiemy oddech. Anna otwiera klapę i kolejną drabiną, tym razem przymocowaną do wąskiego betonowego cylindra, docieramy do kładki zwisającej nad zbiornikiem. Zapalam latarkę i kieruję ją w stronę dna. Zbiornik jest pusty. Wchodzimy na dach budynku. Siadamy

i podziwiamy widok w milczeniu. Niebo jest trochę zachmurzone, a księżyc nie wszedł jeszcze w pełni. Żadnych świateł. Jakbyśmy byli na pustyni.

– Chciałam wam pokazać moją tajną kryjówkę. Przychodziłam tu tylko z moim chłopakiem, którego ojciec pracował w wieży i zarządzał wodą.

Trzymamy się za ręce, żeby nie spaść, ale też dlatego, że wszyscy troje mamy ochotę poczuć się razem, złączeni wspólnym nieszczęściem.

16 listopada

Dobrze spałam i jestem pewna, że to dzięki Annie. Zwinęłyśmy się jedna obok drugiej na podłodze przyczepy, jak dwie siostry. Było mi mniej zimno niż poprzedniej nocy, chociaż temperatura nie przekraczała pięciu czy sześciu stopni. Moje ciało musi się zahartować. Anna budzi się dopiero teraz. Miałam czas, żeby przygotować śniadanie. Przez kilka sekund możemy się poczuć jak na wakacjach na kempingu, z Maksem wspinającym się na drzewa. Dziś mój kuzyn uważa się za Tarzana i zdecydowanie wystrzega się pomocy przy pracach domowych. Robię rachunki. Pokonaliśmy prawie jedną czwartą trasy. Nadchodzące dni już przyprowadzają mnie o niepokój, bo zbliżamy się do Rennes, a przede wszystkim do Paryża. Do jakiego piekła ich zabieram? Jak mogę przekonać Annę, że mam jakiekolwiek szanse spotkać Spider Snake'a, że z chęcią będzie chciał mnie ugościć, że znajdziemy Khronosa i że... Nie śmiem wspominać, nawet w myślach, do czego miałyby dojść w wyniku tych radosnych wydarzeń. To zbyt... żałosne.

Anna zjada wafelki, naśladując Maksa, co sprawia mu wielką przyjemność. Oznajmia, że następną miejscowość na trasie to Broons, co jeszcze bardziej cieszy mojego kuzyna.

– Broooooonssss! Broooooonssss! – wrzeszczy Max, naśladując ryczący motor.

– Super mi się spało – mówię.

– Widzieliśmy. W pewnym momencie musiałas mieć szczególnie sugestywny sen. Twoja twarz w kilka sekund zmieniła wyraz: ze zmartwienia do bólu, potem do radości, a potem do smutku.

– A bredziłam coś, hałasowałam? Nie mów mi, że nie dałam wam spać?

– Nic z tych rzeczy. I jeżeli ma cię to pocieszyć, nic nie powiedziałaś. W sumie to obudziliśmy się z Maksem koło czwartej przez jakieś trzaski. Pomyśleliśmy, że to jacyś włóczędzy. Twój kuzyn naładował broń. Umierałam ze strachu. Ale dobrze zrobiliśmy, że cię nie zbudziliśmy, bo to nie było nic takiego. A kiedy staraliśmy się z powrotem zasnąć, widzieliśmy, jak się poruszasz. Co ci się śniło? Jeżeli to nie zbyt osobiste?

– Pamiętam dość wyraźnie. Na początku byłam martwa, a ludzie, którzy mnie kochali, jak moi rodzice, płakali wokół mnie. Następnie wracałam do domu i nikomu nie wydawało się dziwne, że znów żyję. I życie toczyło się od nowa, aż do kolejnego wypadku, w wyniku którego kładziono mnie z powrotem do trumny. I znów tak samo.

– Sen jak u kota. Mówi się, że koty mają siedem żyć.

– Ja miałam tam tylko trzy.

– Jak w *Ar Rannoù*:

– *Zaśpiewaj mi sekwencję numer trzy, niech się jej dziś nauczę – prosi dziecko.*

*A druid mu odpowiada:*

– *Są trzy części na świecie: trzy początki i trzy końce, dla człowieka tak samo jak dla dębu. Trzy królestwa Merlina, pełne złotych owoców, błyszczących kwiatów i małych, śmiejących się dzieci.*

– Ty to znasz? – pytam, zaskoczona i uradowana.

– Nie ty jedna jesteś Bretonką, moja droga Koridwen.

Jestem zmieszana tym, że mamy ze sobą tyle wspólnego. Znam ją dopiero od wczoraj, ale już czuję, że jest mi bliska. Być może jest siostrą, której nigdy nie miałam i którą przeznaczenie

postawiło na mojej drodze. Składamy śpiwory i układamy rzeczy na przyczepie. Nie mogę się powstrzymać, żeby się jej nie przyglądać. Anna to zauważa i uśmiecha się do mnie porozumiewawczo. Cieszę się, że jest obok mnie, żeby stawić czoła wyzwaniom, które na nas czekają. Czy podziela moje uczucia? Widzi już we mnie przyjaciółkę czy przede wszystkim mnie potrzebuje? Nie mogę tego wiedzieć, ale chciałabym wierzyć, że to początek trwałej relacji.

Właśnie mam przekręcić kluczyk w stacyjce, kiedy Anna ściska mnie za rękę.

– Kori, chciałabym porozmyślać nad grobem mojej matki.

– Skąd będziemy wiedzieć, gdzie jest pochowana? Nie ma tu już nikogo, kto mógłby nam pomóc. Wiele osób było grzebanych w zbiorowych grobach, inni zapewne są jeszcze...

– Widziałam wczoraj krzyż w moim ogrodzie. Podejrzewam, że to sąsiedzi ją tam pogrzebali. Pozwól mi tam pójść, proszę.

Docieramy na miejsce w kilka minut. Anna kieruje się w stronę domu i biegnie do samego ogrodu. Muska krzyż. Są na nim wyryte inicjały. Miała rację, to jest to miejsce. Dziewczyna klęka i modli się przez kwadrans. Max odwraca się od całej sceny i zatyka sobie uszy. Następnie Anna wstaje, żeby pozbierać jesienne liście, które układa na kopcu ziemi. Ma oczy pełne łez i znów zaczyna się modlić. Mój kuzyn chce stąd odjeżdżać i widzę, że denerwuje go brak Anny. Schodzi z traktora i zaczyna kopać opony pojazdu, wyjąc. Podchodzę do niego.

– Uspokój się, Max. Pójdę po nią. Odjedziemy.

Twarz Anny przeszywa ból. Staram się wziąć ją za rękę, ale ona się wymyka.

– Musisz już iść. Max ma kryzys. Nie możemy tu zostać.

Delikatnie chwytam ją pod ramiona, żeby wstała. Pozwala mi na to i zgadza się iść za mną. W kabinie kuli się i płacze rze wnymi łzami.

Wreszcie odjeżdżamy. Jadę najszybciej, jak mogę, żeby oddalić się od miejsca, z którego Max chciał uciekać za wszelką cenę. Przejeżdżamy w ten sposób kilka kilometrów. Mój kuzyn się nie uspokaja. Wydaje z siebie okrzyki i wykonuje chaotyczne ruchy. Jego cios trafia mnie tuż za karkiem, aż podskakuję.

– Anno, proszę, znajdź mi miejsce, gdzie moglibyśmy schować traktor, dopóki Maksowi się nie poprawi.

– Poprowadzę cię – mówi Anna, wciąż szlochając.

Jedziemy kilkaset metrów, po czym Anna każe mi zjechać na polną drogę wzdłuż szpaleru drzew. Wjeżdżamy na podwórko jakiegoś gospodarstwa. Parkuję pojazd w stodole pełnej siana. Max wysiada, przepycha się między nami i ucieka. Gonię go i łapię, żeby go zatrzymać. Max chwytam mnie za kurtkę. Chce, żebym straciła równowagę. Odrywam się od niego i uginam nogi, żeby obniżyć środek ciężkości. Oboje ćwiczyliśmy zapasy *gouren*, kiedy byliśmy młodszy. To była metoda na spożytkowanie naszej energii. Max jest ode mnie o wiele silniejszy, ale wolniejszy. Podnosi mnie. Ja się na nim uwieszam. Pociąga mnie ze sobą, upadając. Turlamy się po ziemi. Udaje mi się uwolnić i przyciskam go do podłoża. Max wreszcie patrzy mi prosto w oczy. Na jego twarzy pojawia się lekki uśmiech. Pewnie przypomniały mu się nasze bójki na sianie w okresie żniw. Dociskam go mocniej. Nie broni się już.

– Kori wygrała – mówi. – Zostaw, Kori!

Wstajemy. Czuję, że Max jest zmęczony. Rozkładam koc na wiązkach siana. Max kładzie się tam z chęcią. Natomiast Anna dalej płacze. Naprawdę mam wrażenie, że jestem matką, która nie radzi sobie z dwójką dzieciaków. Siadam obok niej i pytam łagodnie:

– Znasz historię o dziewczynie, która nie mogła powstrzymać się przed oplakiwaniem swojej matki? To bretońska opowieść. Mnie samej przypomniała się, kiedy umarła Mamm-gozh, i dobrze mi to zrobiło.

Wygląda, jakby mnie nie słuchała. Postanawiam opowiedzieć tę przypowieść mimo

wszystko.

– To historia dziewczyny, której matka zmarła i która była niepokieszona. Płakała bez przerwy i nie mogła nic więcej robić, ani pracować, ani jeść, ani spać. Pewnej niedzieli po mszy ksiądz, który słyżał, jak płacze przez całe nabożeństwo, zapytał ją:

– Chciałabyś zobaczyć swoją matkę po raz ostatni?

– Tak – odpowiedziała dziewczyna. – Bardzo bym chciała.

– W takim razie zostań w kościele do północy i zamknij oczy.

O oznaczonej godzinie dziewczyna zobaczyła jakąś wioskę całkiem podobną do jej własnej, gdzie ludzie żyli weseli i pogodni. Wkrótce dostrzegła w oddali jakąś kobietę ze zwieszoną głową, niosącą dwa ciężkie wiadra ciemnej wody. Rozpoznała w niej swoją matkę i wysła jej na spotkanie.

– Mamusiu – spytała – a dlaczego ty jesteś taka smutna? I dlaczego musisz się tak męczyć?

– To dlatego, że muszę dźwigać twoją rozpacz. Widzisz, te wiadra są pełne twoich łez. Jeśli chcesz, żeby odnalazła pokój i odpoczynek, proszę cię, córko, przestań płakać.

Kiedy kończę, sama jestem głęboko poruszona. Nie mam odwagi spojrzeć na Annę, ale czuję, jak jej dłoń zaciska się na mojej.

Max śpi. Czekamy z odjazdem, aż się obudzi. Nagle zaskakuje nas odgłos helikoptera, który krąży nad gospodarstwem. Chowamy się w stodole. Po kilku minutach helikopter odlatuje na zachód.

– Jakby nas szukali – mówi Anna.

– To możliwe. Proponuję, żebyśmy poczekali z wyjazdem do nocy.

Sprawdzam moją trasę na mapie i dostrzegam, że będziemy przejeżdżać całkiem blisko rodzinnego domu jednej z koleżanek Mamm-gozh, mieszkającej w pewnej wiosce nieopodal Rennes. Bardzo przydałyby mi się jej rady. Nigdy nie wiadomo, być może przeżyła.

Odjeżdżamy tuż przed północą, po jedzeniu. Nie dałam rady zasnąć.



17 listopada

Jedziemy bez zapalania świateł. Oświetla nas półksiężyc. Na początku prowadzenie bez świateł jest prawdziwym wyzwaniem, szczególnie kiedy droga skręca. Sunę siedem czy osiem kilometrów na godzinę aż do drogi regionalnej, prowadzącej do Broons. Potem moje oczy przyzwyczajają się do szosy, bardziej prostej i prawie płaskiej. W pobliżu miasteczka najpierw dostrzegamy łunę ognia, a potem słyszymy wielki zgiełk, w którym mieszają się okrzyki i donośne śpiewy. Jakbyśmy byli na jakimś stadionie. Anna chce, żebyśmy zatrzymali traktor i poszli przyjrzeć się z bliska.

– Jesteśmy niedaleko mojego domu. Na pewno spotkam jakichś ludzi, których znam. Będą mogli nam pomóc.

– Nie ma mowy. To zbyt niebezpieczne. Poza tym na tę noc mam inne plany.

– Co takiego?

– Później ci opowiem.

Przyspieszam, jak za każdym razem przy wjeździe do aglomeracji. Zapalam światło, żeby nie wjechać w odpadki zaścielające drogę. Anna mówi, że hałasy dochodziły z placu Guesclin, w samym centrum. Przejeżdżamy ulicę usytuowaną kilkaset metrów dalej na północ. Wyjeżdżamy z Broons. Mogę zwolnić oraz zgasić światła. Pozostajemy na dawnej drodze do Rennes i przejeżdżamy kolejno przez wioski Saint-Jouan-de l'Isle oraz Quédillac. Anna coraz bardziej przywiera do szyby. Wkrótce zasypia. Sama będę musiała walczyć z sennością. Staram się przypomnieć sobie szczęśliwe chwile mojego życia. Pierwsze, które przychodzą mi na myśl, to te spędzone z babką. Miałam pięć czy sześć lat i przemierzałyśmy las w poszukiwaniu wróżek. To był z pewnością pretekst, który babka znalazła, żeby nakłonić mnie do maszerowania (bardzo zresztą skuteczny). Babka wszędzie widziała znaki. Stykające się ze sobą korzenie stawały się złączonymi dłońmi kochanków, którzy umarli kiedyś u stóp dębu, bowiem ich idylla została przeklęta przez bogów. Drobne żłobienia w skale dowodziły przejścia przez te miejsca złośliwych karłów. Babka wciąż mi powtarzała, że należymy do ziemi, że jesteśmy stworzeni z tej samej materii co drzewa i kamienie, czyli z tej samej mąki.

Wkrótce inne obrazy wypełniają mi głowę: moja matka podczas pogrzebu, Yffig, którego ciało tak ciężko było przeciągnąć. Dlaczego nie zostałam obok nich, na ziemiach moich przodków? A jeśli nigdy nie wrócę? Jeśli umrę z dala od domu? Nagle drogę przebiega mi grupa dzików. Muszę zatrzymać się na kilka minut, bo jest ich dużo. Dla nich życie toczy się dalej i będzie łatwiejsze bez nagonek myśliwych. Pewnego dnia zapanują nad wsiami. Ostatni warchlak goni resztę, przebierając nóżkami. Zatrzymuje się, żeby na mnie popatrzeć, po czym znika w wysokiej trawie ogoru.

Jadę szybko i mijam miasteczka Montfort-sur-Meu, Breteil i Pacé, ich nazwy z pewnością bardzo zainspirowałyby Maksa. Gdy zbliżam się do celu, nachodzi mnie coraz więcej wątpliwości. Przede wszystkim są małe szanse, że koleżanka Mamm-gozh zwana Erell wciąż żyje. A jeśli nawet jest przy życiu, to nie pozwoli mi się do siebie zbliżyć. Szczerze się obawiam, że nikogo nie znajdę albo zostanę wyrzucona. Naprawdę muszę być zdesperowana, żeby chcieć tam mimo wszystko jechać. Po wjeździe z Thorigné-Fouillard zatrzymuję się na każdym skrzyżowaniu. Kieruję latarkę na wszystkie małe tabliczki wskazujące odosobnione gospodarstwa. Przy czwartej próbie wreszcie znajduję to, czego szukam: La Lande-Martin. Zjeżdżam na bardzo wąską jezdnię, która po stu metrach staje się po prostu kamienistą dróżką. Parkuję na podwórku. Kiedy otwieram drzwi, do kabiny wkrada się chłód i budzi Annę.

– Zostań w ciepłe – szepczę, żeby ją uspokoić. – Idę się z kimś zobaczyć. Nie zajmie mi

to dużo czasu.

Nie wiem, czy mnie słyszy, bo nie reaguje. Wkrótce zamyka oczy i kładzie głowę na swojej poduszce. Delikatnie zamykam drzwi i kieruję się w stronę wejścia. Jest czwarta rano, ale o dziwo nie waham się zapukać. Nie dociera do mnie żaden odgłos. Postanawiam policzyć do trzystu i odejść, jeśli nikt nie się przez ten czas nie pojawi.

– 1, 2, 3, 4...

Sekundy upływają spokojnie. Staram się zachować dobry rytm. Gdy kładę rękę na dziurce od klucza, orientuję się, że dociera z niej trochę ciepła. Czyli dom jest ogrzewany i z pewnością zamieszkały.

– 205, 206, 207, 208, 209...

Słyszę jakiś ruch. Podskakuję. Erell żyje i zaraz mi otworzy. Jej kroki są wolne. Drzwi się uchylają, ale nikogo nie widzę.

– Kim jesteś? – pyta poważny i oschły głos.

– Jestem Koridwen, wnuczka Rozenn de Menesguen.

– Cieszę się, że przybyłaś. Słuchaj uważnie: za minutę wejdiesz do środka. Na stole po prawej znajdziesz rękawiczki chirurgiczne i maskę. Załóż je i dołącz do mnie przy kominku.

Wykonuję jej polecenia w milczeniu i docieram do krzesła owiniętego plastikową folią. Siadam na nim. Ona trzyma się dwa metry ode mnie za swoim biurkiem, na którym króluje wielki ekran komputera. Jest przykryta chustą z czarnego jedwabiu, która faluje lekko, kiedy Erell mówi.

– Opowiedz mi, co cię sprowadza.

Relacjonuję jej wszystko, od wiadomości od Khronosa aż do pojawienia się Anny. Erell słucha mnie, nie przerywając. Dostrzegam tylko drobne ruchy jej głowy, jakby zgadzała się z moimi słowami albo odnajdywała w nich potwierdzenie czegoś, o czym już myślała albo wiedziała. Kiedy przestaję mówić, namyśla się dłuższą chwilę, po czym stwierdza:

– Jesteś taka, jaką cię sobie wyobrażałam, Koridwen: podążasz za intuicją, jesteś zdecydowana, poważna, rozumna, wielkoduszna. Poradzisz sobie, jeżeli będziesz w siebie wierzyć. Jednak zanim pozwolę ci odjechać, muszę sprawdzić twoją trasę.

Podaję jej mój notes. Teraz to ona zakłada rękawiczki, zanim chwyci go w rękę, i powoli przerzuca strony. Czyta wszystkie nazwy na głos. Czasami się krzywi i skreśla niektóre ołówkiem, żeby wpisać inne. Tak to przynajmniej wygląda z miejsca, w którym siedzę. Następnie Erell strasznie długo coś pisze. Wreszcie prosi mnie, żebym dokładnie opisała jej Annę.

– Czy jej ręka coś mówi?

„No i doczekałam się – myślę sobie. – Teraz pokaże mi swoją prawdziwą twarz starej kobiety, żyjącej w swoim magicznym świecie”.

Podejmuję tę grę, żeby jej nie obrazić.

– Nie wiem.

– Czy na lewym przedramieniu ma dość wyraźną bliznę na dwa centymetry w kształcie litery V?

– Nie wiem.

– Idź od razu i sprawdź, bardzo cię proszę. To ważne.

Wychodzę i zbliżam się do traktora. Anna się nie porusza. Zastanawiam się, jak może spać w tak niewygodnej pozycji. Delikatnie ją obracam, żeby dotrzeć do jej lewej ręki, na której oparła głowę. Zapalam latarkę. Między zgięciem łokcia i nadgarstkiem Anna ma różową bliznę, która odpowiada opisowi Erell. Przez plecy przechodzi mi dreszcz, przełykam ślinę. Skąd mogła wiedzieć? Układam Annę w poprzedniej pozycji. Wracam do domostwa uprzejmej

czarownicy i potwierdzam jej intuicję.

– Wiesz ze sobą w przyczepie folię aluminiową?

– Tak, zdaje się, że ją mam.

– Jutro rano pokryj tę bliznę trzema warstwami folii i starannie zaklej taśmą. Jeżeli Anna odmówi, odłącz się od niej. Zaznaczyłam ci bezpieczne miejsce, żebyś odpoczęła kilka godzin przed powrotem na trasę. Wskazałam ci też schronienie na czas pobytu w Paryżu. Znajduje się w Gentilly, trochę oddalonym od stolicy. Jeżeli będziesz się trzymać mojej trasy i wskazówek, już niedługo dotrzesz do bezpiecznej przystani.

– Dziękuję za wszystko, Erell. Niech pani na siebie uważa.

Przed odjazdem odszukuję na mapie schronienie wskazane mi przez koleżankę babki. Nie mam ochoty błąkać się godzinami, bo czuję, że dopada mnie zmęczenie. Miejsce jest położone w samym środku lasu zwanego Kozim Borem, obok strumyka zwanego Listowianką. Żeby tam dojechać, muszę pokonać jeszcze jakieś piętnaście kilometrów. Słońce zaczyna wschodzić i mogę jechać szybciej. W miarę zbliżania się do celu wskazówki Erell stają się coraz bardziej precyzyjne. Po skręceniu w leśną ścieżynkę mam „jechać dziesięć na godzinę i liczyć do dwudziestu siedmiu, a potem zgasić silnik”. Stosuję się do tego jak grzeczna młoda uczennica-czaro wnica, którą zaczynam się czuć.

Budzę Annę i prowadzę ją do przyczepy, żeby mogła ułożyć się wygodniej. Przesuwam mojego kuzyna, który śpi na samym środku, uśmiechnięty. Wreszcie sama się kładę, jest mi dobrze.

Drzemię sobie aż do południa. Reszta na mnie czeka. Max pachnie mydłem. Mówię mu o tym.

– Kąpaliśmy się na golasa w strumyku. Było zimno, ale zabawnie! Widziałem Annę, jest ładna i ma...

– Tak, Max, wiem, co widziałeś. Nie musisz mi opowiadać. Mniejsza z tym, odważni jesteście! – mówię z podziwem. – Ja bym nie mogła. Jest okropnie zimno.

– Ja też nie myślałam, że jestem do tego zdolna – tłumaczy Anna – ale jakiś czas temu zrozumiałam, że pora się zmienić i wziąć za siebie. Musisz spróbować, woda nie wydaje się taka zimna, kiedy się ją porówna z temperaturą otoczenia.

Uśmiecham się powątpiewająco i przyglądam okolicy. Rzeczywiście jest tu ładnie. Osłaniają nas wysokie drzewa, strumyk szemrze jak cicha, uspokajająca muzyka. Prawie miałoby się ochotę zostać i obozować tu jakiś czas. Opowiadam im o moim spotkaniu z Erell.

Anna pokazuje mi swoją bliznę i rzuca nieco pogardliwie:

– Stara powiedziała tak przez przypadek. Po wszystkim, co przeżyłam, mam jeszcze kilka blizn. Ta tutaj powstała chyba wtedy, gdy podrapał mnie kot, którego próbowałam przygarnąć podczas ucieczki.

– Jesteś tego pewna?

– Tak. Dlatego nie mam ochoty poddawać się wymysłom twojej starej koleżanki.

– A ja postanowiłam jej wierzyć, więc zrobisz tak albo się pożegnamy. Ale naprawdę wolałabym, żebyś została. Ostatecznie nie proszę cię o nic wielkiego.

– Dlaczego zawsze to ty decydujesz o wszystkim? Moglibyśmy zagłosować. Być może Max przyzna mi rację.

Rzucam okiem na mojego kuzyna, który nie doszedł jeszcze do siebie po porannej kąpieli i wodzi za Anną zakochanym spojrzeniem.

– Nie – kontynuuję oschłym tonem. – Będzie tak i już. To ja tu dowodzę.

Anna nie odzywa się do mnie aż do wyjazdu. Wyjmuję folię aluminiową, żeby zrobić sobie z niej bransoletkę, ale ona jej nie dotyka. Czyli stracę towarzyszkę podróży. Jej zachowanie

jest naprawdę podejrzane. Woli zostać sama i z pustymi rękami, zamiast poddać się czemuś, co ma prawo uznać za jeden z moich kaprysów. A przecież nie proszę jej o akceptację niczego upokarzającego ani bolesnego. Zapewne nie było nam pisane zostać przyjaciółkami.

Dojeżdżamy na przedmieścia Noyal-sur-Vilaine. Przy jednym z rozjazdów Anna daje mi znak, żebym się zatrzymała, i kładzie rękę na klamce.

– Mogę zatrzymać ciuchy, które mi dałaś? – pyta, wskazując plastikową torbę.

– Oczywiście. Powodzenia.

– Wiesz, gdzie się zatrzymasz w Paryżu?

– Wczoraj dostałam adres w Gentilly. To bliskie przedmieścia.

– Może pewnego dnia znów się spotkamy.

– Nie wiem – odpowiadam.

Anna całuje Maksa w policzek i wysiada. Ledwo podnosi rękę, żeby nam pomachać.

Z ruchu jej warg odczytuję: „Wam też powodzenia”.

Max najpierw jest oszołomiony, potem wielokrotnie odwraca głowę do tyłu.

Zdecydowanie nie rozumie, co właśnie się wydarzyło. Potem dotyka mojego ramienia, żebym na niego spojrzała. Muszę się zatrzymać.

– Kori, Kori – zawodzi we łzach. – Trzeba wracać po Annę... jechać po Annę... Annę...

Przyspieszam, żeby warkot silnika zagłuszył jego krzyki. Max poddaje się dopiero pół godziny później. Wtedy kuli się, obejmuje kolana ramionami i kiwa głową. Poczekam, aż przejdzie mu kryzys.

Podążam dokładnie trasą poprawioną przez Erell. Kazała mi omijać niektóre miejscowości, być może z uwagi na brzmienie ich nazw. Tak jest w przypadku Cornillé, Mondevert, Saint-Denis-d’Orques czy Chassillé. Zabawiam się snuciem hipotez: Cornillé kojarzy się z rogami diabła, Saint-Denis d’Orques z orkami i świętym z uciętą głową<sup>1</sup>. Z dwoma pozostałymi odpuszczam. Podążam tą trasą, nie zadając sobie pytań, bo Erell zaplanowała także schronienia na noc. Pierwszego wieczoru zatrzymujemy się na południowym wschodzie Brains-sur-Gée, na polanie w lesie zwanym Wielkim Borem.

Podczas gdy jedzenie się podgrzewa, mój kuzyn przytula się do mnie. Głaszczę go po włosach. Czuję, że wraca do życia. Mówi do mnie cicho:

– W Paryżu znajdziemy tatę i mamę?

– Spróbujemy, Max, obiecuję.

18 listopada

Zanim uruchomię silnik, oceniam naszą sytuację. Jesteśmy dwieście kilometrów od Paryża. Doświadczenie z pierwszych dni podróży pokazało mi, że trudno jest samodzielnie dokończyć wiarygodnych prognoz. Natomiast zgodnie z programem Erell powinniśmy dojechać do stolicy jutro przed południem.

Gdy wyciągam rzeczy mojej babki, dostrzegam, że ktoś w nich grzebał, bo okładka skorowidza jest pozaginana. Stwierdzam też, że dwie strony z mojego notesu zostały wyrwane. Podejrzewam, że to Anna chciała coś zanotować. O co jej chodziło? Co ukrywała? Nigdy się tego nie dowiem.

Od kiedy ją zostawiłam, widziałam kilka samotnych osób włóczących się po miasteczkach albo czekających na poboczu drogi. Nie zatrzymałam się. Być może robię się bardziej egoistyczna.

Przejeżdżam przez Saint-Ulphace, na wschód od La Ferté-Bernard. Niedaleko kościoła jakiś chłopak robi miny i stara się uśmiechnąć. Mój wzrok przyciąga coś jakby szarawy bandaż, który nosi na lewej ręce. Zbliżam się i dostrzegam warstwę pomarszczonej folii aluminiowej. Gwałtownie zatrzymuję pojazd. Max, który drzemał, aż podskakuje. Chłopak pytająco kiwa głową. Odpowiadam mu pośpiesznym gestem. Wsiada. Za moim fotelem chowa dość ciężki worek marynarski.

– Jestem Marek. Jedziesz do Paryża?

– Tak.

– Jakby co, to potrafię prowadzić.

– Zobacz się – odpowiadam zwyczajnie.

Kilka minut przygląda mi się bez słowa. Zauważył strzelbę, którą trzymam pod siedzeniem. Nie wydaje się tym przestraszony. Wreszcie zasypia.

Robimy przystanek w lasku niedaleko Houville-la-Branche. Chłopaki się budzą. Max oprowadza Marka po naszym królestwie. Marek jest pod wrażeniem mojego zmysłu organizacji. Siadamy razem do jedzenia. Marek wyciąga z torby wielką puszkę pasztetu wieprzowego i dzieli jej zawartość między naszą trójkę. Potem prosi o trochę wody, żeby się umyć. Wkłada czyste ubranie.

– Nie jesteś zbyt rozmowna – mówi. – Zastanawiam się, dlaczego pozwoliłaś mi wsiąść...

– Chciałam się dowiedzieć, czemu nosisz tę folię wokół lewego ramienia.

– To żeby zakłócić sygnał nadajnika. Wszczepili mi go wojskowi, kiedy mnie zgarnęli.

Jakbym miał dobry nóż i coś do odkażania, spróbowałbym go sobie usunąć.

– Zdaje się, że ja mam. Jak chcesz, mogłabym ci nawet pomóc.

– Super. A tak w ogóle, jak się nazywasz?

– Kori.

– Dziękuję, Kori.

– Te nadajniki wszczepiają każdemu?

– Nie, na razie to raczej wyjątkowe. Robią to na próbę.

– To dlaczego wybrali ciebie?

– Bo ocenili mnie jako niebezpiecznego.

– A mają jakiś powód?

– Dla nich taki jestem. Ty nie musisz się niczego obawiać.

– W mieście jest dużo wojskowych?

– W sumie to nie. Armia zadowala się zrzutami żywności do miejsc zbornych zwanych

Z-Punktami. Niewielu ludzi schodzi z helikopterów. Tymi miejscami zarządzają młodzi, tacy jak my. W Rennes dowódca żołnierzy był nadgorliwy. Nie miałem szczęścia.

Ruszamy znów w drogę późnym popołudniem. Max znalazł sobie partnera do durnej gry, która polega na zniekształcaniu nazw wioszek: Są sery! (Champseru), Siedem zero! (Serazereux), Bardzo w lewo! (Bazoches-les-Hautes). Mają podobne pouczcie humoru. Marek dziwi się, że tak szybko stajemy na noc.

– Moglibyśmy dojechać na miejsce – proponuje. – Jak jesteś zmęczona, to mogę poprowadzić.

– Nie, wolę dojechać nad ranem.

– OK, nie naciskam.

Wieczorem otwieram kuferek Mamm-gozh i wyciągam z niego zielnik z jej odręcznymi komentarzami. Nad każdą rośliną dopisała wskazówki dotyczące jej zastosowania. Na końcu książki jest nawet kilka przepisów podzielonych na dwie kategorie: *Receptury życia* i *Receptury śmierci*. Pierwsza w kolejności receptura dotyczy właśnie ran. Zaleca się w niej dziurawiec. Namierzam fiolkę z mętym płynem i rysunkiem żółtego kwiatu w kształcie gwiazdy na etykietce. To podobno świetny odkażacz. Odkręcam korek i wącham zawartość. Upewnia mnie o tym mocna woń alkoholu. W zablźnieniu rany ma pomóc, według mojej babki, miód z lawendy. Znajduję go w glinianym słoiku, który zdaje się stary jak świat. Zastanawiam się teraz, czy nie zaproponowałam pomocy za szybko. A jeśli z powodu tych trochę podejrzanych produktów w ranie Marka dojdzie do zakażenia? Dlaczego nie zabrałam lekarstw, których było pełno w domowej apteczce? Teraz za późno już na odwrót – muszę zaufać mojej babce i wziąć na siebie konsekwencje tej decyzji. Przed operacją starannie ostrzę „święty nóż” Mamm-gozh. Mam cztery różne ostrzałki, więc Marek korzysta z okazji, żeby zaostrzyć swój stary zardzewiały szczyryk.

– Szykujemy broń do walki – stwierdza afektowanie mój nowy przyjaciel. – Widzę, że jesteś dobrze wyposażona, Kori.

– To dar od mojej babki. Jeżeli kamienie są cztery, to na pewno nie przez przypadek.

Myślę o wylizance, której mnie nauczyła:

– *Zaspiewaj mi sekwencję numer cztery, niech się jej dziś nauczę – prosi dziecko.*

*A druid mu odpowiada:*

– *Cztery kamienie do ostrzenia, ostrzałka Merlina, kamień, który ostrzył miecze śmiałków.*

– Czy twoja babka nie była czasem czarownicą?

– Bez wątplenia, ale w każdym razie szlachetną czarownicą.

Odkazam ostrze, po czym przykładam je do skóry i próbuję ją naciąć. Moja broń jest skuteczna jak chirurgiczny skalpel. Marek zaciska zęby na patyku, a Max nam przyświeca, odwracając wzrok. Pluskwa nie siedzi głęboko, wyjmuję ją przy pierwszym podejściu. Ręka krwawi dość intensywnie. Marek skręca się, kiedy polewam ranę dziwacznym alkoholem. Następnie smaruję ją odrobiną miodu i robię mu ładny opatrunek.

– Nie zdejmuj go przez kilka dni, niech się porządnie zablźni.

– Dziękuję. Można by powiedzieć, że całe życie nie robiłaś nic innego! – rzuca do mnie entuzjastycznie.

19 listopada

Z uwagi na obecność Marka śpię czujnie przez całą noc. Położyłam między nami mojego kuzyna, ale wietrzę niebezpieczeństwo. Tuż przed zaśnięciem zorientowałam się, że nasz gość ukrywa w swojej torbie kilka sztuk broni palnej. Poza tym Erell nie wspominała o żadnym potencjalnym spotkaniu na trasie. Czyżbym popełniła błąd, za który przyjdzie mi drogo zapłacić?

Budzę się pierwsza i mogę dokładnie obejrzeć naszego nowego towarzysza podróży. Ma kanciastą, ale harmonijną twarz. Szczupłe, umięśnione ciało. Jego skóra jest biała i gładka. Wydaje mi się atrakcyjny. Otwiera jedno oko. Czerwienię się. Czy zauważył, że mu się przyglądam? Śniadanie jemy we dwoje. Marek pyta mnie spokojnym głosem:

– Znasz kogoś w Paryżu?

– Mam kilka adresów.

– Zajedziesz tam swoim traktorem?

– Nie – odpowiadam z uśmiechem. – Zamierzam go schować gdzieś na przedmieściach.

Resztę drogi pokonam pieszo.

– I planujesz paradować po ulicy z tą wielką pukawką, która waży z dziesięć kilo? Trochę się rzuca w oczy.

– Lepszej nie mam. W mieście namierzę jakiś porzucony sklep z instrumentami muzycznymi. Zwinę stamtąd jakiś futerał na gitarę, do którego mogłabym schować strzelbę.

– Jak płatni zabójcy z amerykańskich filmów o czasach prohibicji. Poczekaj, dam ci coś praktyczniejszego.

Zanurza rękę w swojej torbie i wyciąga kilka pistoletów, które przede mną rozkłada.

Wybiera odpowiedni i podaje mi go zdecydowanym ruchem. Chwytam pistolet po chwili wahania. Jest zimny i ciężki. Trzymam go ostrożnie, bo nie wiem, czy jest naładowany. Marek rozumie moją nieufność.

– Nie przejmuj się, jest pusty.

Znów grzebie w swoich rzeczach, żeby wyciągnąć dwa magazynki. Trzyma je w lewej dłoni, a prawą zabiera mi broń i pokazuje, jak ją załadować. Wykonuje tę operację dwukrotnie i prosi, żebym ją powtórzyła. Pokazuję mu, że zrozumiałam całą procedurę.

– Wymienię go na jedną z twoich starych strzelb myśliwskich – mówi.

– Zgoda, dobijmy targu – odpowiadam, wyciągając do niego rękę.

– Niestety – dodaje – mam do nich tylko tyle amunicji. Dwa razy po osiem naboju, nie należy ich marnować.

– Dziękuję. To nie w moim stylu.

– Domyśliłem się.

Chowam broń, zanim Max wyjdzie z przyczepy.

Chwilę później ruszamy w dalszą drogę. Pozwalam Markowi prowadzić i przesuвам się bliżej Maksa. Korzystam z okazji i obserwuję horyzont przez lornetkę. Musimy mieć zapas czasu, żeby zareagować na ewentualne kłopoty. Od Égły mamy wrażenie, że wjechaliśmy w ogromną aglomerację, bo wszystkie miasta są przyklejone jedno do drugiego. Skupiam uwagę na budynkach w poszukiwaniu żywych ludzi, którzy mogliby stanowić zagrożenie. Nagle wszyscy podskakujemy na dźwięk uderzenia o dach traktora. Instynktownie schylamy głowy. Marek jako pierwszy orientuje się w sytuacji:

– Ktoś do nas strzela. Z prawej strony, pewnie z tego szarego budynku jakieś sto metrów stąd. Przesiądź się na moje miejsce i jedź dalej, ja się tym zajmę.

Wślizguję się na jego siedzenie. Marek grzebie w swojej torbie i wyciąga z niej rozłożony

na części karabin z lunetą. Składa go w kilka sekund. Dociera do nas drugi strzał. Kula dziurawi górną część szyby i przechodzi blisko mojej głowy, żeby utkwic w blasze tuż za mną. Uczepiam się kierownicy maksymalnie skulona. Całe szczęście, że droga jest prosta, bo moje członki są sparaliżowane strachem i czuję się niezdolna do najmniejszego ruchu.

– Mam go – krzyczy Marek.

Strzela dwa razy. Huk wystrzałów przesywa nam bębni. Następnie Marek odkłada broń i od razu ją rozmontowuje. Pytam słabym głosem:

– Kto to był?

– Jakiś świr, który zabawiał się jak w lunaparku. Chcesz, żebym wrócił za kierownicę, Kori?

– Nie, dam radę.

Max leży skulony na podłodze jeszcze dłuższą chwilę, po czym wraca na siedzenie. Kilka minut później mijamy pierwszy samochód, trochę dalej dwa kolejne. Następnie kilka razy wyprzedzają nas pojazdy wyładowane ludźmi albo towarami. Niektórzy kierowcy agresywnie trąbią, ale żaden nie prowokuje konfliktu. We Fresnes trafiamy na blo kadę. Marek radzi mi, żebym schowała się do naczepy razem z Maksem. Postanawiam mu zaufać i pozwalam zająć moje miejsce.

Przez ponad godzinę traktor jest zablokowany. Wiele razy dobiegają mnie głosy ludzi, którzy zbliżają się do nas i posuwają aż do chwycenia za klamkę naczepy. Jednak nikt nie próbuje dostać się do środka. Odjeżdżamy. Po kilku minutach Marek zatrzymuje pojazd i otwiera drzwi naszej kryjówki. Wślizguję się do kabiny. Marek tłumaczy mi, że zna ludzi, którzy kontrolują wjeżdżających do stolicy. Niestety, dziś rano nie było ich na warcie i trzeba było poczekać, aż przyjadą.

– A co to za ludzie?

– Tacy jedni. Służą władzom. W zamian za to pozwala się im na handel nielegalnym towarem i eliminację innych handlarzy.

– Często pokonujesz tę trasę?

– To mój trzeci raz. Przywożę broń i inne towary przydatne w kryzysowych czasach. A ty po co przyjechałaś do Paryża?

– Uratować świat.

– Ach, tak – uśmiecha się. – A w jaki sposób?

– Na razie dokładnie nie wiem – odpowiadam, też się uśmiechając, jakbym żartowała.

Nie chcę, żeby wziął mnie za wariatkę, a nie mam odwagi wszystkiego mu tłumaczyć.

Dojeżdżamy do Gentilly na obrzeżach stolicy. Na miejscu kieruję się pod adres warsztatu samochodowego, gdzie mogę, według czcigodnej Erell, przechować bezpiecznie mój pojazd. Miejsce zostało splądrowane. Marek pomaga nam przesunąć jeden z samochodów i zrobić wystarczająco dużo miejsca, żeby zaparkować ciągnik i przyczepę. Zanim sobie pójdzie, radzi, żebyśmy byli ostrożni i wystrzegali się zbłąkanych psów, których namnożyło się w stolicy. I unikali świrów uzależnionych od zakazanych substancji oraz band, które grasują w nocy.

– Niedługo wrócę – rzuca na koniec.

– Jak chcesz.

Unosi brwi. Trudno mu ocenić, czy mam na to ochotę. Ja sama nie jestem tego pewna. Marek kładzie mi ręce na ramionach, jak gdyby miał mnie pocałować albo objąć, ale zadowala się uśmiechem. Ścisną rękę Maksa i znika. Przez chwilę stoimy ze zwieszonymi rękami. Znow tylko we dwoje.

Muszę znaleźć jakiś sposób, żeby się zabarykadować. Zaczynam przeszukiwać lokal. Żelazne schody prowadzą do pomieszczenia, które służyło za biuro. W głębi jednej z szuflad



metalowej szafy znajduję pęk kluczy. Schodzę spróbować, czy jakimś cudem któryś z nich nie pasuje do drzwi wejściowych. Pasuje! Musi nad nami czuwać jakaś dobra wróżka albo celtycka czarownica.

Na piętrze znajduje się małe mieszkanie z pokojem, toaletą, prysznicem i aneksem kuchennym wyposażonym w palnik gazowy podłączony do butli. Dobrze zrobiłam, że zabrałam dwie butle z domu. Marzę o tym, żeby znów się umyć. Czerpię wodę z naszych zapasów i wlewam ją do miski. Trochę wody podgrzewam też w garnku, żeby całość zrobiła się letnia. Wślizguję się do kabiny. Po raz pierwszy od wyjazdu myję się cała. Nie jest mi zbyt zimno, więc się nie spieszę. Jestem drobna, ale dobrze to ukrywam. Tak mawiał mój nauczyciel od zapasów *gouren*. „Nasza Kori jest taka gibka” – dodawał czasem. Kiedy brałyśmy prysznic razem z Cindy po treningu, często porównywałyśmy nasze sylwetki. Jedna zazdrościła drugiej: ja jej kobiecych kształtów, a ona jędrności mojego ciała. Pewnego wieczoru powiedziała mi: „Masz piersi jak wojowniczką, a ja jak mleczna krowa”.

Jednak moja koleżanka miewała już chłopaków, co dowodzi, że jej wygląd bardziej ich pociągał. Ja zwykle musiałam zadowalać się ćwiczeniem pocałunków w usta oraz pospieszonymi i niezdarnymi pieszczotami podczas imprez, z chłopkami, którzy nie byli tego warci. Obiecałam sobie, że będę uprawiać miłość tylko z kimś, kogo naprawdę pokocham. Od kiedy życie stało się takie niebezpieczne, zaczęłam sobie myśleć, że lepiej byłoby nie czekać za długo. Inaczej ryzykuję, że nigdy do tego nie dojdzie.

Powoli wycieram ciało, myśląc o Marku. Jemu mogłabym powiedzieć „tak”. Następnym razem, kiedy przyjdzie mi na to ochota, sama przejmę inicjatywę.

Przygotowuję coś do jedzenia, uważając, żeby nie hałasować. Nie chcę zwracać na nas uwagi włóczęgów. Max bierze swój śpiwór i układa się do snu na tylnym siedzeniu jakiegoś starego volvo kombi. Czyli zostawia cały pokój tylko dla mnie. Przedemną trudna noc. Brakuje mi już spokoju wsi i być może też głośnego oddechu mojego kuzyna. Kilka razy budzą mnie mniej lub bardziej odległe krzyki, trzaski, strzały. Około trzeciej przejeżdża jakiś motor i zwalnia tuż przed żelazną kratą. Czyżby ktoś zauważył już naszą obecność?

Dwa

20 listopada

Wstaję wcześnie rano i myję włosy. Zawsze lubiłam swoje włosy i uważałam je za swój największy atut. Już kiedy byłam całkiem mała, wszyscy ekscytowali się ich bujnością i kasztanowym kolorem z jaśniejszymi odcieniami rudego. Szczególnie przydają mi się do chowania twarzy, którą lubię już mniej: odstające uszy, blada cera, piegi. Moja matka, która nie była obiektywna, mawiała, że mam subtelne i regularne rysy, tymczasem ja zawsze uważałam się za banalną.

Korzystam z tego, że Max śpi, i wychodzę na ulicę, żeby rozejrzeć się trochę po okolicy. Dookoła panuje spokój. Przemykam pod ścianami aż do skrzyżowania z większą drogą prowadzącą do Paryża. Dostrzegam na chodniku jakiś ciemny kształt otoczony przez trzy psy. Podchodzę bliżej. To ciało nastolatka z klatką piersiową podziurawioną kulami. Przez kilka sekund wyobrażam sobie, że to Marek. Moje serce wali jak oszalałe. Jednak ten chłopak na ziemi jest o wiele większy. Z daleka dobiega mnie warkot ciężarówki. Chowam się w dawnym sklepie z telefonami, którego szklane drzwi rozprysły się na kawałki. Pojazd porusza się wolno. Na pace stoi człowiek w masce gazowej. Tłucze w dach kabiny, żeby kierowca się zatrzymał. Wojskowi ubrani w kombinezony ochronne ładują ciało na tył. Nie wiem dokładnie, co zamierzają z nim zrobić, ale cieszę się, że nie zostawili go psom.

Wychodzę z ukrycia, kiedy jestem pewna, że znajduję się już poza zasięgiem ich wzroku. Jeśli mam wierzyć Markowi, żołnierze poszukują też żywych, żeby wszczepiać im nadajniki. Pewnie dzięki temu mogą nadzorować populację. Tak samo robi się, żeby śledzić migracje niektórych ptaków. Ja chcę za wszelką cenę pozostać wolna i niezależna. Dopóki się da, chcę również zachować przy sobie Maksa.

Wracam do warsztatu. Pod koniec śniadania oświadczam mojemu kuzynowi, że Paryż przejdziemy na piechotę, to będzie długi marsz i potrzebuję go u swego boku. Myślę, że podobnie jak ja jest zadowolony z pomysłu, żeby rozprostować trochę nogi i wreszcie poznać miasto. Przyznaję, że gdybym знаła sposób na pozostawienie go w bezpiecznym miejscu, nie zawracałabym sobie nim głowy. Boję się, że będzie mnie spowalniał albo że wystawi się na jakieś niebezpieczeństwo.

W szufladzie biurka znajduję plan Gentilly. Mapa Paryża wisi w kuchni obok plakatu z latarnią Ar-Men zalewaną przez ogromne fale. Właściciel był Bretończykiem, być może przyjacielem koleżanki Mamm-gozh. Na początek staram się zapamiętać nazwy ulic, które prowadzą na wyspę Cité, gdzie znajduje się najstarszy zegar w Paryżu, miejsce spotkania Khronosa i Ekspertów. Wyobrażam sobie, że niektórzy spośród nich będą mieli ochotę, tak jak ja, pokręcić się po okolicy na długo przed ustaloną datą. Jak ich rozpoznam? Przybędą tylko po to, żeby poznać swoich partnerów z gry, czy uwierzą w Khronosa i w to, czego według swoich własnych słów potrafi dokonać? Jak uwierzyć, że podróż w czasie jest możliwa nie tylko w snach albo książkach? A z drugiej strony, jak tu być pewną, że to absolutnie niemożliwe?

Nagle przypomina mi się rada Erell napisana na dole mojej mapki:

*W stolicy unikajcie dziennego światła. Stańcie się szczurami, zjedźcie do podziemi. Szczury zawsze przetrwają katastrofę.*

Do tej pory jej rady były raczej pomocne. Dlatego postanawiam, że pójdziemy linią kolejki podmiejskiej RER, która przecina region paryski z południa na północ i przechodzi niedaleko naszej kryjówki. To dokładnie ten kierunek, który musimy obrać, żeby osiągnąć nasz cel. Będziemy iść pod ziemią aż do stacji Saint-Michel. Potem będziemy zmuszeni wyjść na

światło dzienne, żeby przejść przez most św. Michała i skierować się w stronę Conciergerie, bo to jedną z jej wież zdobi słynny zegar.

Do stacji RER Gentilly dochodzimy wąskimi uliczkami. Trwa to najwyżej pięć minut. Wchodzimy na dworzec. Wszytko jest splądrowane. Stopy pustych butelek po alkoholu na podłodze i ławkach świadczą, że to musiało być miejsce spotkań, być może także imprez. Teraz aktywnością wykazują się jedynie szczury, wspinające się na góry śmieci w poszukiwaniu pożywienia. Schodzimy na tory małymi schodkami na końcu peronu. Milczący Max idzie tuż za mną. Im bardziej posuwamy się do przodu, tym światło jest słabsze. Stawiamy stopy płasko na podkładach, żeby się nie potknąć. Mój kuzyn uczeplił się myśliwskiej kamizelki mojego ojca, którą dziś włożyłam. W mieście to nie najlepszy kamuflaż. Wkrótce z oddali dociera do nas światło. Podejrzewam, że kolejna stacja jest naziemna. Nie spodobałoby się to Erell, ale mnie bardziej pasuje. Stacja Cité Universitaire jest w takim samym stanie co poprzednie, zdewastowana i opuszczona. Aż do Denfert-Rochereau idziemy pod gołym niebem. Jestem wyczulona na wszelkie odgłosy. Tory prowadzą tuż przy budynkach. Przyglądam się uważnie każdemu oknu w poszukiwaniu najmniejszego ruchu. Nie chcę, żebyśmy stali się celem jakiegoś snajpera jak wczoraj. Za Denfert-Rochereau trasa znów prowadzi pod ziemią. Po jakichś pięciuset metrach Max chwyta mnie za rękę. Rozumiem, że ten długi tunel wywołuje w nim niepokój, postanawiam jednak oszczędzać światło i posuwać się dalej na ślepo. Wkrótce nasze oczy przyzwyczajają się do ciemności, która przecież nie jest całkowita. Słyszymy tylko echo naszych kroków na drewnie. Jeśli gdzieś tu ukrywają się jacyś ludzie, szybko zostaniemy namierzeni i możliwość ucieczki będzie minimalna. Czuję, jak wzbiera we mnie niepokój, kiedy docierają do mnie dziwne dźwięki przypominające skrobanie o metal. Max dosłownie miażdży mi palce, a ja szepczę mu do ucha kilka słów otuchy:

– Wkrótce stąd wyjdziemy i zobaczymy niebo. Nie martw się.

Podskakujemy na nieoczekiwany dźwięk z prawej strony. Ktoś wali w coś metalowego. Zapalam latarkę i dostrzegam drzwi. To stamtąd dochodzi ten odgłos. Podchodzę bliżej i słyszę jakiś jęk. Klucz jest w zamku. Przekręcam go i otwieram drzwi. Panuje totalna cisza i oboje stajemy na progu nieruchomo jak posągi. Z półmroku wyłania się cienka i brudna ręka. Łapię ją i ciągnę do siebie. To dziewczyna w moim wieku. Jej smród chwyta mnie za gardło i przyprawia o mdłości. Dziewczyna zapala małą latarkę i celuje nią we mnie.

– Jesteś aniołem – bełkoce. – To Bóg cię wysłał, żeby mnie uratować?

Nie mogę się powstrzymać od uśmiechu.

– Nie – odpowiadam. – Jestem tylko dziewczyną, która szukała drogi na skróty.

– Pić mi się chce! – mówi z trudem ona.

Podaję jej swoją manierkę. Dziewczyna pochłania całą zawartość w kilka sekund, o mało się nie zadławiwszy. Krztusi się dłuższą chwilę, po czym zaczyna z powrotem normalnie oddychać. Teraz jej głos jest pewniejszy.

– Idziesz w stronę Port-Royal?

– Tak.

– Droga tam zakręca i widać światło dzienne. Dokąd zmierzasz potem?

– Aż do wyspy Cité.

– Wyjdź na następnej stacji, nie brnij dalej tunelami, to zbyt niebezpieczne.

Przez kwadrans podążamy razem. Dziewczyna opiera się na mnie, posuwa się z trudem i cicho płacze. Trzęsie się. Wychodzimy na powierzchnię na Port-Royal. Orientuję się, że szła boso. Siadamy na ławce i wreszcie mogę się jej przyjrzeć. Jest bardzo szczupła, brązowe włosy ma ściągnięte do tyłu w mały kok. Ubrana jak na imprezę, ale cała zakurzona, no i ciuchy ma poplamione jakąś tłustą ciecżą. Czestuję ją wafelkami, które łapczywie pochłania. Następnie

zażenowana oddaje mi puste pudełko.

- Przepraszam... Wszystko zżarłam. Nic nie zostało... Ale jak chcesz, to u mnie...
- To nic. Mam ich więcej. Jak długo siedziałaś w tej dziurze?
- Nie wiem. Jak dziś mamy dzień?
- 20 listopada.
- To będzie prawie trzy dni.
- Co się stało?
- Tak naprawdę to nie wiem. Kumple zorganizowali imprezę w podziemiach.

W pomieszczeniu technicznym metra znaleźli generator prądu, dzięki któremu mieliśmy puścić jakąś muzykę. Dasz wiarę, że to już dwa tygodnie, jak nie słyszeliśmy ani dźwięku? Poszłam tam z dziewczynami z mojej ekipy. Trochę popłyłyśmy. Zakręciłam się wokół jednego gościa i oddaliliśmy się od grupy, a potem... Obudziłam się w tej dziurze, w samym środku koszmaru. Od tego wirusa wiele osób dostało świra, a są jeszcze ci, którzy już tacy byli i teraz korzystają z chaosu, żeby przejść do czynów. Masz rację, że nie chodzisz sama. Jak się nazywacie?

- On nazywa się Max, a ja jestem Kori. A ty?
- Zoé.
- Chcesz, żebyśmy cię odprowadzili?
- Bardzo.

Dziewczyna nie jest w stanie długo ustać na nogach. Kręci jej się w głowie. Max bierze ją sobie na plecy. Oczy Zoé same się zamykają. Dwa razy muszę nią potrząsać, żeby pokierowała nas do swojego domu. Z daleka dobiegają mnie krzyki. To ktoś na czwartym piętrze jednego z budynków, jakieś pięćdziesiąt metrów stąd.

– Zoé! Zoé!

Otwierają się drzwi w bramie pięknej kamienicy i wychodzą cztery dziewczyny okryte kocami. Zatrzymujemy się. Dziewczyny szaleją z radości i otaczają nas, podskakując w miejscu.

- Położymy ją na kocu i każda złapie za jeden róg – ogłasza wysoka brunetka w okularach.
- Kurwa, ale ona cuchnie, ta nasza Zoé! Nie wiem, gdzie żeś się szlajała, stara – rzuca inna, krzywiąc się.
- Psiknęłaś się chyba „zmysłowym ściekiem” albo „mgiełką z kibla”, jak Boga Kocham – śmieje się trzecia.

Liczą do pięciu, po czym podnoszą ją w tej samej chwili i robią kilka kroków w kierunku budynku.

Zoé rozchyła powieki. Jej twarz na kilka sekund się rozpogadza, potem dziewczyna zapada w sen. Brunetka w okularach odwraca się i spogląda na nas zaczerwienionymi, lecz błyszczącymi z emocji oczami.

- Wejdziecie na górę? – pyta.
- Nie – odpowiadam. – Musimy iść.
- Tak czy inaczej dzięki, dzięki – powtarza załamującym się nagle głosem. –

Myślałyśmy, że nie zobaczymy jej już żywej. Jakbyście potrzebowali schronienia albo czegokolwiek innego, to wiecie, gdzie mieszkamy. OK? Jeszcze raz dzięki.

Ciężkie drzwi zamykają się z powrotem i dobiegają mnie metaliczne odgłosy. Domyślam się, że dziewczyny barykadują się w budynku.

Idziemy dalej opustoszałymi ulicami. Spodziewałam się, że w tak dużym mieście spotkamy po drodze więcej osób. Ludzie musieli się pochować po domach i wychodzą tylko w poszukiwaniu żywności. Na witrynach sklepów porozwieszano trójkolorowe afisze. Pochodzą od władz i zapraszają młodych, żeby udali się do Z-Punktów, gdzie czeka na nich „jedzenie,

pomoc medyczna i bezpieczeństwo”. Jestem zaskoczona liczbą psów, które bląkają się po mieście. Najczęściej przemieszczają się sforami. Max i ja nigdy nie baliśmy się psów. Kiedy puszczają się w naszą stronę, nie cofamy się i mówimy do nich spokojnie. W większości przypadków to wystarcza, żeby je uspokoić, i psy idą dalej swoją drogą. Jednak od połowy bulwaru św. Michała przez kilkaset metrów podążają za nami bardzo agresywne psy bojowe, które pokazują kły i nie wahają się ocierać o nas, żeby nas przestraszyć. Myślę, że ich pan jest gdzieś niedaleko i to on szczuje je na przechodniów. Tutaj każdy broni swojego terytorium, jak wilki w lesie.

Docieramy do końca bulwaru. W pobliżu pomnika przy fontannie zgromadzili się jacyś ludzie. Denerwują się i krzyczą, więc postanawiamy się nie zbliżać. Proponuję Maksowi, że zrobimy przerwę nad Sekwaną. Schodzimy schodami nad rzekę. Nabrzeże jest praktycznie opustoszałe – nie ma nikogo poza kilkoma osobami, które czerpią wodę kilkaset metrów po prawej, i młodym mężczyzną zbierającym śmieci i suche gałęzie, żeby ułożyć z nich ogromny stos. Max przygląda mu się z zainteresowaniem, co wydaje się przeszkadzać chłopakowi, który podnosi pięść i mu grozi. Bezpośrednio na bruku leży nieruchomo dziecko. Proszę Maksa, żeby patrzył w inną stronę. Słucha mnie, ale burczy, że „ten pan jest bardzo niedobry”. Następnie zgadza się usiąść obok mnie i razem przyglądamy się rzece. Prąd niesie pnie drzew, tłumoki ubrań, na których przysiadają czarne ptaki i srebrzyste mewy. Te drugie z trudem utrzymują równowagę na takich tratwach. Czasem wbijają dziób w materiał. To, co biorę za stopy brudnych rzeczy, to... trupy spuchnięte od wody, służące za pożywienie tym sępom.

Wstaję i proszę mojego kuzyna, zaafierowanego tym makabrycznym spektaklem, żeby poszedł za mną. Gość za nami rozpałił swój stos. Teraz wyrzuca z siebie coś jakby zaklęcia, których szczegółów nie słyszę. Chwyta nieruchome dziecko pod ramiona i unosi je nad ogniem. To musi być jego młodsza siostra. Wygląda na siedem czy osiem lat. Musiała umrzeć niedawno, bo jej twarz jest nienaruszona. Ma na sobie tylko bawełnianą piżamę. Najwyraźniej przeżyła dłużej niż inni, bo od kilku tygodni nie widziałam nikogo, kto miałby mniej niż piętnaście lat. Max wstał i idzie w ich kierunku. Zatrzymuję go. Wyobrażam sobie, jak zrozpaczony musi być ten chłopak, żeby zdecydować się na spalenie jej na stosie. Przypomina to rytualną kremację w Indiach albo zwyczaj dawnych Celtów. Mówi się, że to pomaga duszy uwolnić się z ciała i dotrzeć do nieba. Max znów rusza w stronę tego gościa. Staram się powstrzymać go przed zakłóceniem ceremonii, której sensu nie mam prawa oceniać.

I wtedy nagle przez moje ciało przechodzi jakby elektryczny wstrząs. Przez ułamek sekundy dostrzegam twarz dziecka, które krzywi się ze strachu. Max pcha gościa, który zatacza się na nogach, i chwyta dziewczynkę. Facet jej nie puszcza. Obydwu opanowała jakaś szalona furia i powstało realne ryzyko, że dosłownie ją rozerwą. Bez zastanowienia wślizguję się za szaleńca, przykładam mu lufę pistoletu do karku i naciskam spust. Facet nieruchomieje na kilka sekund, po czym osuwa się z obrotem na ziemię. Podbiciem stopy popycham jego ciało, głową do przodu, w płomienie. Dziecko ścisną szyję Maksa, niemalże go dusząc. Biegniemy w kierunku schodów, tymczasem jakaś dwójka nastolatków zatrzymała się na moście i przygląda się całej scenie. Po wejściu na schody kierujemy się w stronę wyspy Cité. Gapie uciekają, kiedy się do nich zbliżamy, pewnie z obawy, że wezmę się także za nich. Max idzie szybko. Krzyczę, żeby się zatrzymał. Odpowiada na mój rozkaz dopiero po pokonaniu połowy mostu.

– Max, stój! Musimy się zastanowić. Ta mała na pewno ma jakąś rodzinę. Nie możemy jej tak po prostu zabrać ze sobą. I co z nią zrobimy? Max! Max, popatrz na mnie. Trzeba ją wypytać.

– Siostrzyczka, siostrzyczka Maksa.

– Dobrze wiesz, że to nieprawda. Pozwól mi z nią pomówić, proszę.

Dziecko unika mojego wzroku i stara się schować twarz w kaptur niebieskiej bluzy Maksa, wystający spod jego starej kurtki. Staram się mówić do niej jak najdelikatniej. Głaszczę ją po włosach. Jest cała rozpalona. Max kuca i kładzie ją na kilka sekund, żeby zdjąć kurtkę i owinąć nią dziewczynkę. Mała nie oponuje. Z trudem oddycha i wydaje się wyczerpana.

– Jak się nazywasz?

Podnosi głowę, patrzy na mnie, ale nie odpowiada.

– Jak się nazywasz? – próbuję raz jeszcze. – Powiesz mi? Proszę. Dzięki temu będę mogła zabrać cię do ludzi, którzy cię znają. Rozumiesz? No, hej, bądź grzeczna, powiedz mi, jak ci na imię!

Mała podnosi się, żeby popatrzeć na coś za mną. Jej twarz się rozpromienia i dziewczynka krzyczy, bardzo podniecona:

– Diego! Diego! Diego!

Odwracam się i dostrzegam jakiegoś kolesia, który biegnie w naszą stronę. Wydaje się zszokowany. Max też się obraca, a dziecko wrywa się do przodu, żeby rzucić się w ramiona tego, który musi być jej prawdziwym bratem. Max to zrozumiał i nie powstrzymuje dziewczynki.

– To twoja siostra? – pytam oschle.

Gość patrzy na mnie potwierdzająco. Czuję, jak wzbiera we mnie złość na niego. Czy zdaje sobie sprawę, do czego by doszło, gdyby nie było nas na nabrzeżu w odpowiednim momencie?

– Jak wytłumaczysz, że trafiła w ręce tego świra, który chciał ją spalić?

– To jakiś szalony Indianin – próbuje się tłumaczyć. – Porwał ją, kiedy...

– To twoja siostra. Nie powinieneś nigdy zostawiać jej samej. Źle jej pilnowałeś. Poza tym jest cała rozpalona. Czemu nie zadbałeś o jej leczenie?

Nie cisnę go dalej. Ostatecznie w tych trudnych czasach wszystkim nam zdarza się popełniać błędy. Ten akurat kosztowałby życie tego biednego dziecka.

– Dziękuję wam obojgu za uratowanie Alicji.

– Nie ma za co. No to cześć.

Chłopak wyciąga do nas rękę, ale Max nie reaguje, a ja w tej chwili też nie mam na to ochoty.

Odwracamy się do nich plecami i idziemy dalej. Kilka sekund później chłopak, którego dziewczynka nazwała imieniem Diego, woła za nami i pyta Maksa, czy chce odzyskać swoją kurtkę. Mój kuzyn go nie słyszy. Odpowiadam za niego:

– Nie trzeba, zatrzymaj ją. On ma inną kurtkę, a mała bardziej jej potrzebuje.

Max zatrzymuje się na środku chodnika i patrzy na dziewczynkę, która macha do niego na do widzenia. Najwyraźniej postanowiła, że mój kuzyn nazywa się „Benek”. Max uśmiecha się do niej błogo, mrużąc:

– Ja, Benek. Tak, ja Benek.

Ciągnę go za rękaw, żeby skierować w przeciwną stronę. Zgadza się podążyć za mną dopiero wtedy, kiedy dziecko całkiem znika z pola widzenia. Idę powolnym krokiem, żeby spróbować się uspokoić. Dociera do mnie, że właśnie rozwaliłam gościa. Ot, tak. Nie mogę powstrzymać się przed myślą, że działałam zbyt szybko. To było niepotrzebne. We dwoje dalibyśmy mu radę. Wybrałam najprostsze, ale też najpoważniejsze rozwiązanie. Nie mówiąc o tym, że popchnęłam go do ognia, żeby spalił się tak jak odpadki. Zaprzeczyłam w ten sposób jego człowieczeństwo. Odebrałam życie facetowi, który pewnie był tylko chorym pozbawionym leczenia. Zaskakuję sama siebie, mamrocząc:

– Nie powinnam była, nie powinnam była...

Max obejmuje mnie ramieniem i trochę się uspokajam. Patrzę za siebie i spostrzegam, że

przeszliśmy obok miejsca spotkania, nie zauważywszy go nawet. Wracamy. Zegar jest na swoim miejscu, dokładnie na rogu budynku, ponad dwa metry nad ziemią. Jest połączony i otoczony dwiema postaciami w niebieskich szatach. Rozglądam się po okolicy. Chciałabym spenetrować budynki administracyjne, żeby namierzyć jakiś punkt obserwacyjny wychodzący na cyferblat. Biorę się za popychanie ciężkich drzwi, które pozwalają dostać się do budynku naprzeciwko. Są mocno zamknięte.

– Kori! – krzyczy Max, widząc nadciągających dwóch wojskowych w ubraniach ochronnych.

Celują w nas z broni, ale trzymają się na dystans. Jeden z nich mówi coś do mnie przez maskę. Z trudem go rozumiem.

– Czego tu szukacie?

– Zwiedzamy Paryż – odpowiadam.

– Ty, ruda, nie rób se ze mnie jaj, bo mogę zrobić głupstwo i przez przypadek nacisnąć spust. Do którego Z-Punktu należycie?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Gdzie mieszkacie?

– Gentilly.

– To musi być Sainte-Anne w 14. dzielnicy. Idźcie tam natychmiast i zostańcie jak najdłużej – rozkazuje oschle – albo nie daję wam wielkich szans na przeżycie. A teraz spadajcie! Żebyśmy was więcej nie widzieli włączających się po dzielnicy.

Po kolejnej półgodzinie marszu Max zaczyna być zmęczony. Wpływa to na jego morale. Czuję wiszący w powietrzu kryzys. Wkrótce znów zacznie mówić o swoich rodzicach.

A ponieważ jesteśmy już w Paryżu, być może oczekuje ode mnie, że w jakiś cudowny sposób ich tu sprowadzę. Albo sprawię, że spotkamy ich tuż za rogiem. Kuzyn chwyta mnie za ramię, żebyśmy się zatrzymali. Jego twarz przybiera nieszczęśliwy wyraz, co nie wróży nic dobrego.

– Kori?

– Tak, Max?

– Tata i mama... tata i mama... tata i mama...

– Tak, Max?

– Tata i mama nie żyją?

– Tak, Max – mówię, patrząc mu prosto w oczy.

Porusza ustami, ale nie wydaje z siebie żadnego dźwięku. Robi krok w moją stronę, po czym pada mi w ramiona. Przez dłuższą chwilę stoimy tak, wycieńczeni, na środku chodnika. Pozwalam płynąć łzom, które tylko na to czekały. Wracamy drogą na powierzchni, chowając się na dźwięk nadjeżdżających samochodów. Max mówi, że bawimy się w Indian. Docieramy do naszego schronienia zupełnie wyczerpani.

Mój kuzyn pada jak kłoda. Mnie nawiedzają wydarzenia z tego dnia. Uratowałam dwie osoby przed śmiercią, ale jedną zabiłam. Czy mam wierzyć mojej babce, która twierdziła, że mam do wypełnienia misję? Czyżbym zaczęła spełniać zadanie, które przewidziało dla mnie przeznaczenie? Babka radziła mi słuchać snów. Przypomina mi się jeden z nich, który śniłam przed wyjazdem – ten, w którym latałam. Tyle w nim podobieństw do dzisiejszego dramatu, że nie może chodzić o przypadek: najpierw obecność wody, twarz dziewczynki wyczerpana strachem, płomienie, w których miała zginąć, i groźne psy kilka minut wcześniej. Czyli było przewidziane, że zadziałam, żeby uratować to dziecko? A Erell umyślnie wysłała mnie do tuneli, żeby uwolniła Zoé, która nie wytrzymałaby ani dnia dłużej?

Tak jak poprzedniej nocy budzą mnie odgłosy motorów przejeżdżających ulicą i zatrzymujących się przed żelazną kratą na kilka sekund. Po drugim przejeździe zajmuję pozycję



przy oknie i udaje mi się przyjrzeć tym manewrom. Pasażer motoru zsiada i szybko porusza klamką bocznych drzwi, potem klamką żelaznej kraty. Nie odnoszę wrażenia, że próbuje ją otworzyć, raczej sprawdza, czy wszystko jest dobrze zamknięte. Ktoś nad nami czuwa. To pewnie Marek, który zna ludzi w okolicy. No, chyba że to gildia bretońskich czarownic, która ochrania swoją ostatnią rekrutkę.

21 listopada

Dziś rano policzyłam nasze zapasy żywności. Jeżeli chodzi o suchy prowiant, mamy co jeść przez co najmniej miesiąc. Natomiast wkrótce zacznie nam brakować butelkowanej wody. Zabieram się do pierwszego prania od momentu wyjazdu. Wykorzystuję wodę, która posłużyła nam do mycia, żeby namoczyć w niej ubrania. Używam mało mydła, żeby nie trzeba było długo ich spłukiwać. Max jest zadowolony, że mi pomaga. Sam pierze swoje rzeczy. Potem wylewamy całą brudną wodę do rezerwuaru w toalecie. Następnie rozciągamy w warsztacie sznurki, żeby powiesić na nich ubrania.

Wczesnym popołudniem postanawiam, że pójdziemy namierzyć Z-Punkt, do którego niby należymy. Na mapie Paryża odkrywam, że Sainte-Anne to nazwa szpitala. Ostrożnie docieramy do krańca Gentilly i przechodzimy pod wiaduktem obwodnicy. Idziemy chodnikiem naprzeciwko jakiegoś stadionu, wzdłuż czarnej kraty. Max zatrzymuje się i kuca obok bramy. Dostrzegł kota i wbił sobie do głowy, że go złapie. Gwałtownie przyspiesza kroku aż do wejścia. Kompletnie mnie zaskakuje. Znika za bramą miejsca, które nazywa się Cité internationale de Paris. Wchodzę za nim do środka i rzucam okiem na tablicę informacyjną. To miasteczko akademickie dla studentów z całego świata. Max zatrzymuje się po jakichś stu metrach. Głaszcze zwierzę trzymane na rękach. Miejsce jest pełne zieleni, a niektóre budynki wyglądają na inspirowane tradycyjną architekturą różnych krajów. Chyba rozpoznaję orientalny styl jednego z domów, jeszcze inny wydaje mi się typowy dla Europy Północnej. Kiedy docieram do mojego kuzyna, kotek wymyka mu się i prowadzi nas w stronę dużego trawnika, gdzie – jak podejrzewam – studenci przychodzili poczytać albo zrobić piknik. Teraz zamieniono go w miejsce pamięci. Do drzew przyczepiono setki portretów osłoniętych plastikowymi koszulkami. Wiele zdjęć jest rozmytych, a pożegnalne napisy się rozpląnęły. Co prawda dominują tu twarze nastolatków, ale można znaleźć osoby w każdym wieku. Kot zniknął na dobre i Max chyba zrezygnował. Zatrzymuje się przed stosem pięciu kamiennych bloków ułożonych obok sosny. Każda ze skał musi ważyć kilkadziesiąt kilo. Tuż przed nimi jest zamocowana tabliczka z napisem. Można na niej przeczytać *Naszej siostrzyczce na wieczność*. Mój kuzyn klęka, żeby przyjrzeć się jej z bliska. Chciałabym opuścić to miejsce, bo sprawia, że wzbiera we mnie fala smutku, ale nie mam odwagi przeszkadzać Maksowi. Można by pomyśleć, że się modli. Po dłuższej chwili bezruchu mój kuzyn wstaje i rusza do wyjścia. Pokazuje mi prawą dłoń, rozciągając palce.

– Pięć – stwierdza. – Pięć, pięć... Pięć, Kori.

Dlaczego tak naciska na tę liczbę? To odniesienie do *Ar Rannou*? Do tego miejsca, którego mieszkańcy pochodzili z pięciu kontynentów?

– *Zaśpiewaj mi sekwencję numer pięć, niech się jej dziś nauczę – prosi dziecko.*

*A druid mu odpowiada:*

– *Pięć ziemskich stref, pięć wieków w trwaniu czasu, pięć skał dla naszej córki.*

Mamm-gozh, co chcesz mi znów powiedzieć tym znakiem? Że czuwasz nad swoją wnuczką w tym wielkim mieście? Nie ma potrzeby, Mamm-gozh, już o tym wiem.

Opuszczamy miasteczko i przecinamy bulwar. Wracamy na niego jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, po czym zbaczamy w prawo. Idziemy wzdłuż wielkiego, opuszczonego parku. Po przejściu następnych kilkuset metrów docieramy przed wejście do szpitala Sainte-Anne. Jak wskazuje tablica, kiedyś był to dom dla obłąkanych.

Chciałabym zrozumieć, jak działają te punkty zborne, do czego mogłyby nam się przydać. Zachowam czujność. Nie chcę skończyć zaciągnięta mniej lub bardziej na siłę do organizacji, w której nie panowałabym już nad swoim życiem. To miejsce natomiast mogłoby sprzyjać nowym znajomościom. Zawsze dobrze jest mieć zaufanych ludzi, na których można liczyć. Czasami trzeba być optymistką, nawet jeżeli to nie leży w mojej naturze.

W przedśionku dwóch młodych gości w odblaskowych kamizelkach kontroluje przybywających. Prawie wszystkie nastolatki są im znane i wchodzą prosto na wewnętrzny dziedziniec. Kilkoro nowych, jak my, zostaje skierowanych do części biurowej w celu rejestracji. Jakaś dziewczyna niewiele starsza ode mnie wypytuje nas o dane osobowe, pochodzenie i zameldowanie. Tłumaczy, że od dzisiaj ma że my co dwa dni zgłaszać się po porcję żywności i wody. Zrzuty mają miejsce po południu. Zapewnia je armia. Dzie wczy na stara się też przekonać nas, żebyśmy zamieszkali w Z -Punkcie.

– To bezpieczne miejsce, strzeżone dzień i noc – dodaje.

– Nie jesteśmy zainteresowani – odpowiadam. – Ale dziękuję ci za propozycję.

– Każdy tak mówi na początku. Wszystkim nam zależy na niezależności. Jednak pewnego dnia, kiedy los cię doświadczy albo otrzesz się o śmierć, zmienisz zdanie. Uwierz mi, sama tego zaznałam.

Widzę w jej spojrzeniu, że nie kłamie.

– Poza tym – wraca do tematu – panuje tu miła atmosfera. Pomagamy sobie nawzajem.

Każdy pełni jakąś funkcję i mamy mniej czasu na użalanie się nad sobą.

– Pomyślę o tym – mówię zwyczajnie, wstając.

– Nie zwlekaj zbyt długo, Koridwen, bo możesz tego potem żałować. A w ogóle nazywam się Louise.

Dołączamy do reszty na dość obszernym podwórzu z trawnikiem. Wzdłuż ścian poustawiały się długie kolejki. Młodzi rozmawiają między sobą. Niektórzy już się chyba znają, ale inni zagadują nieznanym. Uświadamiam sobie, że od dawna nie widziałam uśmiechniętych ludzi. Jestem uprzejma, ale trzymam się na dystans. Nie czuję się jeszcze gotowa zawierać przyjaźni.

Odległy hałas sprawia, że rozmowy milkną, wszyscy wpatrują się w niebo. To dwa helikoptery przylatujące prawie w tym samym czasie. Obydwie maszyny transportują metalową platformę podwieszoną do płóz za pomocą stalowych lin. Zawisają w powietrzu na czas rozładunku. Kilkunastu młodych ludzi tworzy łańcuch i opróżnia platformy. Cała operacja nie trwa dłużej niż dziesięć minut. Helikoptery odlatują i rusza rozdawanie. Czuję, jak atmosfera wokół mnie się zmienia. Młodzi stają się bardziej nerwowi i rozglądają się z niepokojem na wszystkie strony. Sprawiają wrażenie, jakby chcieli jak najszybciej opuścić to miejsce. Przeczuję zagrożenie, którego źródła nie znam.

Nagle dostrzegam nadjeżdżający pick-up z dwoma uzbrojonymi kolesiami na pace. Kierowca jedzie szybko i trąbi bez opamiętania. Hamuje dopiero przed stosem artykułów żywnościowych. Dwóch uzbrojonych gości schodzi na dół. Nie słyszę dokładnie, co mówią, ale rozumiem, że toczą się negocjacje. Organizujący dystrybucję ulegają groźbom i napełniają pakę samochodu. Łupieżcy wracają na samochód, ale ciśnienie nie słabnie. Ruszają na pełnym gazie i zabawiają się, wykręcając ósemki po całym terenie, zmuszając ludzi do uciekania biegiem z ich drogi. Oglądanie przestraszonych twarzy ewidentnie sprawia im przyjemność. Samochód staje niedaleko nas. Kierowca kogoś dojrzał. Zostawia kierownicę i idzie w kierunku dzie wczyny, która próbuje się schować za atletycznym blondynem.

– I co, Camille, wciąż tu jesteś z tą bandą leszczy? Nie chcesz dołączyć do klanu Panów? Pewnego dnia będziesz mnie błagać na kolanach, żebym cię zabrał ze sobą, ale wtedy będzie za

późno. No już, wsiadaj! Chodź, poznasz swojego przyszłego pana.

Dziewczyna płacze i wydaje się sparaliżowana strachem. Jej facet staje przed nią, napinając mięśnie. Dziewczyna go błaga:

– Daj spokój, Nico, daj spokój, proszę cię.

On się odwraca, żeby wyszeptać jej kilka słów, których nie rozumiem.

Brutal stwierdza rozbawiony:

– A ty, mięśniaku, chcesz zgrywać bohatera, tak? Panowie, dajcie mu małą lekcję.

Goście z pick-upa schodzą na dół i rzucają się na tego biednego chłopaka, któremu starcza czasu tylko na wysunięcie pięści przed siebie. Nikogo nie dosięga, a ci dwaj krążą wokół niego, zasypując go ciosami. Walka jest nierówna, a Max nie może tego znieść. Wchodzi w sam środek szarpaniny i uderza głową jednego z bandytów. Kierowca wraca do kabiny wielkimi susami. Szybko docierają do mnie jego zamiary. Lecę za nim i przykładam mu pistolet do skroni.

– Nie wiesz, kim jestem, tak? Nazywają mnie Atylla. Jeżeli ci życie miłe, ruda, opuść gnata i przeproś mnie. A potem pojedziesz ze mną robić za moją służącą do wszystkiego aż do końca życia. To dla ciebie jedyna opcja, żeby uratować skórę.

Jego kumpel zajmuje się swoim współnikiem, który leży na ziemi, kompletnie ogłuszony. Wołam mojego kuzyna:

– Max, zabierz im broń. Jak znajdziesz jakąś amunicję, też ją weź. A wy spadajcie stąd! – mówię, starając się ukryć strach.

– Nie dajcie się, panowie, ona blefuje. Tak się składa, że swoją pukawkę wzięła ze sklepu z zabawkami.

Cofam się i celuję w jego klatkę piersiową.

– Mam ci pokazać, chcesz tego? – mówię, przelitykając ślinę.

A on śmieje się do mnie głupawo, pewny siebie. Pistolet robi się coraz cięższy i moje ramię zaczyna się uginać. I nagle, bez mojej świadomej decyzji, naciskam spust. Rozlega się wystrzał. Chłopak łapie się za udo i wije z bólu. Mój oddech przyspiesza.

– Tak to wygląda, zadowolony? – pytam w nagłej euforii. – Mam nadzieję, że twój kumpel potrafi prowadzić, bo teraz będzie ci trudno wykręcać kółka na trawniku.

Nagle czuję się odmieniona, wszechmocna, jak we śnie. Przypomina to WOT, kiedy czuje się, że misja jest za kończona, ale mimo wszystko czerpie się przyjemność z kontynuowania masakry. Tylko że tutaj wszystko dzieje się w realu.

Rabusie zabierają się natychmiast. Słyszę, jak wykrzykują swoją złość. Pomiędzy obelgami obiecują mi gwałtowną śmierć poprzedzoną wszelkiego rodzaju torturami i upokorzeniami. Uspokajam moją uzbrojoną rękę, żeby się nie trzęsła, podczas gdy pick-up odjeżdża. Ludzie otaczają nas, żeby podziękować. Niektórzy nawet rzucają się nas wyściskać. Max jest w siódmym niebie, ale ja nie czuję się dumna, czuję tylko ulgę, że wciąż jestem w jednym kawałku. Zabieramy nasze zapasy, po czym, przed odejściem, szukam Louise, żeby oddać jej broń podebraną grabieżcom. Dzięki temu następnym razem tych dwóch czuwających przy wejściu będzie miało więcej argumentów.

Louise nie ma już na stanowisku. Ładne pół godziny czekamy w jej biurze. Kiedy wreszcie nadchodzi, prosi nas, żebyśmy poszli za nią do sali spotkań. Czuję, że jest zakłopotana. Na sali inni kolesie w kamizelkach zasiedli wokół stołu. Kiedy podaję im broń, dołącza do nas wysoki gość z dreadami. Obrzuca nas pogardliwym spojrzeniem. Nie spodziewam się komplementów z jego strony.

– Nie chcemy tu twoich śmiercionośnych maszyn. Nie chcemy przypominać tych, z którymi walczyliśmy. Przez ciebie wrócą liczniejsi i lepiej uzbrojeni i tym razem być może ktoś zginie.

- Czasami unika się konfrontacji, jeśli okaże się własną siłą.
- Twoja kumpela jest naprawdę durna! – rzuca facet z dreadami, odwracając się do Louise.
- Daj spokój, Joachim. Podejrzewam, że masz ważniejsze sprawy do załatwienia.

Louise ciągnie mnie do kąta pomieszczenia i mówi półgłosem:

– Mamy deal z armią. Oni dostarczają nam żywność, ale zabraniają korzystać z broni. Nie ufają nam. Boją się, że sprawy pójdą w złym kierunku i sytuacja wymknie się spod kontroli.

– A co robicie w międzyczasie, kiedy rabusie przyjeżdżają nękać nieuzbrojone dzieciaki?

– Staramy się rozwiązywać konflikty bez stosowania prze mocy. Kiedy nie chcą dać się przekonać, piszemy raporty i przekazujemy je żołnierzom.

– I wojskowi potem interweniują?

– Nie wiem. Podejrzewam, że czasem muszą to robić.

– Przestań ściemniać, Loulou – wtrąca chłopak, który nagle zza niej wyrasta. – Oni nigdy nie stawiają stopy na ziemi, chyba że chodzi o obronę naprawdę strategicznych punktów. W kwestii rabusiów nie wstydzę się powiedzieć, że z nimi negocjujemy i że czasami poświęcenie kilku osób jest ceną za uratowanie większej ich liczby.

Louise kontynuuje, coraz bardziej zakłopotana:

– Koridwen, pozostali zobowiązali mnie, żebym ci powiedziała, że nie przyjmimy was więcej w naszym Z-Punkcie. To kwestia bezpieczeństwa. Przede wszystkim twojego, ale też wszystkich, którzy tu pracują albo przychodzą się zaopatrywać.

Nie odpowiadam i chwytam mojego kuzyna za rękaw. Nie jestem pewna, czy Max zrozumiał treść dyskusji. Szybkim krokiem kierujemy się w stronę wyjścia. Nico czeka na nas tuż za dwoma platanami. Twarz ma całą w opatrunkach i lekko kuleje.

– Chciałem wam podziękować. Bez was już bym nie żył. Camille też wam dziękuje.

– Nie ma za co – mówię, dając znać Maksowi, żeby przekazał mu broń, którą zabraliśmy z samochodu bandytów. – To prezent. Czasem może się przydać. Podzielcie się nią z tymi, na których wam zależy.

Ruszamy z powrotem w kierunku naszej kryjówki, bardzo uważnie nasłuchując najmniejszego odgłosu silnika. Jestem pewna, że gość, którego zraniłam, szybko wyśle swoich kumpli, żeby objechali dzielnicę i nas dorwali. Po nadłożeniu drogi w kilku miejscach docieramy wreszcie do warsztatu. Od razu zjadamy nasze racje żywnościowe. Jestem śmiertelnie zmęczona. To prawdopodobnie wynik stresu. Szybko się kładę, ale chociaż moje ciało jest wykończone, nie udaje mi się zasnąć.

Kiedy podsumowuję tych kilka dni, zdaję sobie sprawę, że zabiłam już jednego gościa, a drugiego poważnie zraniłam. To po to opuszczałam moją rodzinną Bretanię? Żeby zadawać śmierć? Myślę, że przez jakiś czas powinnam unikać wychodzenia, żeby ochronić życie nasze i innych.

Patrzę na śpiącego Maksa i zastanawiam się, czy zainterweniowałabym, gdyby mnie do tego nie zmusił. Czy pozwoliłabym, żeby zlinczowali tego Nico, gdyby mój kuzyn nie włączył się do walki? On się nie zastanawiał. Przyszedł z pomocą nieznanemu, nie myśląc o konsekwencjach. Czy to właśnie jest odwaga?

Zasypiam kilka godzin później. Zostało mi tylko czternaście nabojów w zapasie i trzydzieści trzy dni, które trzeba przetrwać do spotkania.

22 listopada

Dzisiaj nie opuścimy naszego schronienia. Nic nas do tego nie zmusza i myślę, że już czas, żebym się trochę ogarnęła i zaplanowała najbliższe dni.

Po śniadaniu zanurzam się w kufierku Mamm-gozh, żeby przekartkować dzieło zatytułowane *Misteria i legendy celtyckie*. Książka zawiera liczne ryciny. Zatrzymuję się na rysunku triskelionu, który jest najbardziej znanym symbolem Celtów. Czytając, ściskam moją ozdobę w prawej ręce. Taki gest często wykonywała moja babka podczas medytacji. Czytam tekst komentarza:

*Triskel, słowo pochodzenia greckiego, oznacza trzy nogi. Przedstawia ruch kolisty, postępujący odwrotnie do ruchu wskazówek zegara. Dla niektórych to symbol solarny, który ukazuje powtarzający się cykl gwiazdy na niebie – od wschodu, poprzez zenit, aż do zachodu. Inni widzą w nim przedstawienie trzech głównych bogów: Luga, Dagdy i Ogmego. Jeszcze inni przywołują trzy żywioły: ziemię, powietrze i wodę, które odpowiadają trzem stanom skupienia: stałemu, gazowemu i ciekłemu. Wreszcie, niektórzy mówią, że triskelion przedstawia upływ czasu: przeszłość, teraźniejszość i przyszłość albo następowanie wieków życia: młodości, dojrzałości i starości, albo jeszcze świat żywych, świat martwych i świat duchów.*

Mamm-gozh, czy widzisz mnie z zaświatów? Dlaczego nic mi się już nie śni? Jeżeli nie mogę odczytywać wiadomości od ciebie podczas snu, skąd będę wiedziała, którą drogę wybrać?

Zaciskam rękę na wisiorku aż do bólu. Ozdoba odciska się na mojej skórze i zostawia ślad, odwrócony, a więc skierowany w prawo, w „złowróbnym kierunku”, jak precyzuje książka. Nawet jeżeli ta opcja jest przeklęta przez bogów, rozwiązanie znów staje mi przed oczami. Trzeba odmłodzić o kilka miesięcy, wrócić do przeszłości i zmienić bieg wydarzeń. Mamm-gozh już drugi raz wysyła mi tę wiadomość. Czyli zgadza się z projektem Khronosa i prosi mnie, żebym wzięła w nim udział. Muszę w to uwierzyć. Muszę w to uwierzyć. Tak trzeba. Inaczej po co właściwie żyć?

Zamykam książkę i starannie ją odkładam. Nagle nabieram ochoty, żeby się ruszyć, działać, poczuć, jak moje ciało się rozgrzewa. Jeśli tego nie zrobię, mózg skupi się na trudnej sytuacji, w której znajduję się w tym momencie. Jestem sama – no, prawie – we wrogim otoczeniu, z dala od moich stron. Po piętach depczą mi goście, którzy chcą mojej śmierci. Jakbym była w WOT, w najgorszym momencie rozgrywki, kiedy istnienie postaci, którą się wypracowywało, wisi na włosku. W grze istnieje realna szansa na wyjście z sytuacji, bez względu na konsekwencje, a w najgorszym razie zawsze można zacząć od początku z nowym życiem. Dlaczego w realu jest to takie trudne?

Truchtam po warsztacie jak najbliżej ścian. Muszę uprawiać slalom między pudełkami z narzędziami i porzuconymi na ziemi kawałkami karoserii. Po kilkunastu rundach czuję się lepiej. Wkrótce dociera do mnie, że nie widziałam mojego kuzyna od śniadania, ponad godzinę temu. Wchodzę do pokoiku. Nie ma go tam. Sprawdzam jego ulubione zakątki. Kabina traktora jest pusta, tak samo jak kabina starego volvo. Nasza przyczepa jest zamknięta od zewnątrz. Czuję, jak powoli ogarnia mnie niepokój. A jeśli wyszedł? W jaką pułapkę się wpakował? Szybkim krokiem zmierzam do drzwi wejściowych, które są solidnie zamknięte. Klucz nadal tkwi w zamku. Czyli Max gdzieś się schował. Może chce wystawić mnie na próbę. Robię krok za krokiem, nadstawiając uszu. Obchodzę wszystkie zakamarki parteru po raz pierwszy, nie dostrzegając najmniejszego znaku. Za drugim razem dociera do mnie cichy szelest. Zdaje się, że rozpoznałem odgłos przewracanej kartki. Nieruchomieję. Odgłos powraca dopiero po minucie.

Zdaje się dobiegać z podłogi. Pochylam się i dostrzegam pod stopami metalowe płytki, na które dotychczas nie zwracałam uwagi. Częściowo zasłania je samochód, który Max upatrzył sobie jako sypialnię.

Idę dalej na czworaka, starając się posuwać jak najciszej. Pod spodem jest kanał. Z pewnością służył kiedyś do wchodzenia pod samochody, kiedy podnośnik był zajęty. Kanał jest bardzo długi i na pewno mogły z niego korzystać ciężarówki. Wkładam głowę przez otwór. Dostrzegam mojego kuzyna przykucniętego na drugim końcu, z zapaloną świeczką u stóp. Przekłada duże kartki papieru, mówiąc do siebie. Nie mam odwagi mu przeszkadzać. Prostuję się i oddalam, zostawiając go w spokoju. Każdy ma prawo do swoich małych sekretów.

Strach, który czuliśmy wczoraj podczas powrotnej drogi do warsztatu, cały czas mi towarzyszy. Musieliśmy stawić czoła ponad trzydziestu psom blokującym ulicę. Bardzo agresywne zachowanie niektórych zwierząt zmusiło nas do wycofania się. Przez krótką chwilę myślałam nawet, że sfora ruszy za nami w pogoń i rozszarpie nas na kawałki. Trasę dokończyliśmy w biegu, z żołądkami podchodzącymi do gardeł. Trzeba szybko znaleźć jakieś rozwiązanie.

Zagłębam się w zielnik Mamm-gozh. Znajduję w nim preparat odstraszający: na wilki, niedźwiedzie i inne dzikie zwierzęta... Wydaje mi się, że to doskonale pasuje do naszego problemu. Sprawdzam listę składników i szukam ich w starannie opisanych kopertach z papieru pakowego. Znajduję aksamitkę rozpiechłą, lawendę, trawę cytrynową i rutę. Niezbędny jest też pieprz kajeński. Mam go w swoich zapasach. I jeszcze cynamon. Będę musiała zajrzeć do jednego z porzuconych okolicznych sklepów, żeby go wyszperać. Powinno to być wykonalne, bo nie jest to produkt, którego ocaleni szukaliby w pierwszej kolejności.

Korzystam z tego, że Max jest zajęty, i wychodzę bez uprzedzenia. Idę w kierunku głównej ulicy. Na oko w pobliżu nie ma żadnego człowieka ani psa. Przechodzę przez ulicę w kierunku marketu. Wślizguję się do środka przez uchylone drzwi. Smród zapiera dech. Dociera do mnie, że za jednym z regałów musi rozkładać się trup jakiegoś człowieka lub zwierzęcia. Staram się wstrzymać oddech. Sklepowe półki w niektórych miejscach są całkiem puste. Wiele żywności leży na podłodze. Wyobrażam sobie sceny paniki, do jakich doszło tutaj jakiś czas temu. Regał z przyprawami również został przewrócony. Jakimś cudem znajduję na podłodze dwa nietknięte słoiczki z tartym cynamonem. Chowam je do kieszeni i pospiesznie wychodzę. Po drugiej stronie ulicy stoi dwóch gości. Czekają na mnie. Twarze mają schowane pod kapturami. Zapobiegliwie wsuwam rękę za pasek spodni i chwytam broń. Zsuwam trochę rękaw kurtki, żeby ją zasłonić. Idę w ich stronę zdecydowanym krokiem. Przechodzę kilka metrów od nich, a kolesie ani drgną. Pochylam głowę, mijając ich.

– Stop! – mówi jeden z nich władczym tonem. – Musimy pogadać pięć minut. Potem pozwolimy ci iść swoją drogą.

– Zgoda – mówię ze ściśniętym gardłem.

Zaciskam rękę na kolbie pistoletu. Jestem gotowa wystrzelić. Dostrzegam teraz ich twarze. Obydwaj są pochodzenia afrykańskiego albo karaibskiego.

– Schowajmy się gdzieś. Nie możemy się dłużej wystawiać na łaskę snajperów.

Idę za nimi bez słowa. Nie wydają mi się groźni, ale zachowują czujność. Myślę o tych chłopakach, którzy spędzają noc, obserwując drzwi od warsztatu. Może to oni. Przechodzimy raptem kilkanaście metrów i wchodzimy do czegoś, co było kiedyś barem z kebabem. Kolesie siadają na plastikowych krzesłach wokół zadziwiająco czystego stołu i proponują mi to samo. Wsuwam broń do kieszeni kurtki i zostawiam prawą rękę pod stołem. Jeden z dwójki obserwuje ulicę, podczas gdy drugi zwraca się do mnie:

– Znalazłaś to, czego szukałaś?

– Tak.

– Co to?

Stawiam przed nimi dwa słoiczki z tartym cynamonem.

– Będziesz piekła ciastka? – pyta rozbawiony.

– Niezupełnie. To składnik starego przepisu mojej babki. Chcę zrobić specyfik do odstraszenia psów.

– Będzie działać?

– Nie wiem. Zamierzam to sprawdzić.

– Jak ci się uda, to chętnie skorzystamy. Te rozszalałe kundły są gorsze od bandytów czy żołnierzy. Nie odstraszą ich nawet wystrzały. Czyli nazywałeś się Kori, tak?

– A wy?

– Marek mówił mi, że niczego się nie boisz. Widzę, że się nie mylił.

Na samo wspomnienie tego imienia czuję, jak opuszcza mnie napięcie. To przyjaciele i nie mam się czego obawiać.

– Mylił się – mówię. – Prawie cały czas mam stracha: o siebie, o mojego kuzyna, o innych...

Jestem zaskoczona tonem własnego głosu. Brzmi jak głos małej dziewczynki, która się zaraz rozplacze. Biorę głęboki oddech, żeby się uspokoić i odzyskać pewność siebie.

– Nie łam się, mała, to normalne. Ci, co się nie boją, nie żyją za długo. Ja jestem Ibra, a to jest Youss, mój brat. Wiesz, że ładnie ci z tymi włosami! Więc jesteś dziewczyną Marka?

Pochyliłam głowę, zarumieniona.

– Tak? Nie? Nie wiesz? No to może mam szansę – stwierdza chłopak, śmiejąc się.

Zmieniam temat, żeby ukryć zmieszanie.

– Wiesz, gdzie jest teraz Marek?

– Nie, nie wiem. Załatwia swoje sprawy w stolicy. Wciąż ma jeszcze trochę towaru do upłynnienia przed wyjazdem. Zakładał, że wkrótce wpadnie cię odwiedzić. Potrzebujesz żarcia?

– Nie, ale szukam jakichś rowerów.

– Znajdzie się. Póki co, trzymaj się swojej kryjówki. Jak możesz, unikaj wychodzenia. Ach, tak, zapomniałbym... Jak będziesz mieć potrzebę, żeby się z nami skontaktować, napisz wiadomość na tablicy ściennej za ladą. Bywamy tu regularnie.

Zostawiam ich i idę do warsztatu. Max wyszedł ze swojej dziury i rozłożył się przy kuchennym stole. Formuje kształty z wosku zeszkobanego ze świeczek, który ogrzewa nad płomieniem. Jest zaabsorbowany swoją pracą i nie zauważa, że wróciłam. Wyjmuję kociołek i wrzucam do niego jeden po drugim składniki, zachowując nakazaną kolejność oraz dawkowanie. Max przerywa swoje dzieło i przygląda mi się. Mówię głośno:

– Po pierwsze, łyżka ruty. Po drugie, dziewięć żdźbeł suszonej lawendy. Po trzecie, dwie łyżki pieprzu kajeńskiego...

– Po czwarte! – stwierdza mój kuzyn, który zaczyna rozumieć.

– Siedem dużych liści trawy cytrynowej.

– Po piąte! – podchwytuje Max, bardzo podekscytowany.

– Trzy łyżki sproszkowanej aksamitki rozpierzchłej, zbieranej o pełni księżyca.

– Po szóste! – wrzeszczy Max.

– Dwie łyżki cynamonu. I to tyle, jeżeli chodzi o składniki. Dodam do tego litr wody źródlanej i zagotuję wszystko razem.

Stawiam kociołek na gazie. Stwierdzam półgłosem:

– No i proszę, Mamm-gozh, zabieram się za mój pierwszy eliksir! Stałam się prawdziwą czarownicą.



Max pyta, czy może mi pomóc dokończyć cały proces. Pozwalam mu mieszać w kociołku, ale trzymam się blisko niego. Max zabiera się do swojego zadania bardzo serio. Kiedy płyn zaczyna się gotować, gaszę ogień. Teraz, przed zastosowaniem preparatu, muszę go zostawić do maceracji na dwadzieścia cztery godziny.

Wyszukuję w metalowej szafie spryskiwacz wypełniony płynem do czyszczenia szyb. Pluczę go i zostawiam do wyschnięcia.

Max woła mnie, żeby przedstawić mi swoje dzieła:

- To małe dzieci. Jest pierwsze, drugie, trzecie, czwarte, piąte i szóste, tak jak zioła, Kori. Chwalę jego pracę. Nagle dopada mnie oczywista zbieżność. Recytuję sobie w głowie:  
– *Zaśpiewaj mi sekwencję numer sześć, niech się jej dziś nauczę – prosi dziecko.*

*A druid mu odpowiada:*

*– Sześcioro małych dzieci z wosku, ożywionych światłem księżycy, ty tego nie wiesz, a ja wiem. Sześć leczniczych roślin w kociołku; mały karzeł miesza napój z palcem w ustach.*

Wszystko się zgadza, poza rozmiarem Maksa, którego uważam raczej za olbrzyma. Co jeszcze chcesz nam powiedzieć, Mamm-gozh? Być może podążamy dobrą drogą, tą, którą dla nas wytyczyłaś.

Zaglądam do notesu z adresami mojej babki. W regionie paryskim ma dwie koleżanki. Jedna mieszka jakieś piętnaście kilometrów na północ od stolicy, druga w dzielnicy Montparnasse, niedaleko dworca zwanego bretońskim<sup>2</sup>. Do tej drugiej mamy niedaleko. Przypominam sobie, jak dobrze zrobiły mi odwiedziny u Erell, która przywróciła mi wiarę w siebie i z pewnością pozwoliła dotrzeć do celu, aż tutaj. No i bez niej nigdy nie trafiłabym na taką kryjówkę. Chciałabym pojechać tam od razu, ale muszę się pohamować. Odstraszacz nie jest jeszcze gotowy, a ja obiecałam sobie, że nie będę używać dziś broni. Będę się nudzić, co pewnie podziała na mnie deprymująco. To właśnie w takich chwilach żałuję, że nie mam przy sobie zwierząt z gospodarstwa. Brak mi ich kojącej obecności. Jako dziecko mogłam przyglądać się krowom całymi godzinami. Starłam się wyobrazić sobie, co myślą i która się z którą przyjaźni. Mówiłam do nich. Nie odpowiadały mi częściej niż moi rodzice, ale przynajmniej nie odwracały wzroku.

Oczy mi się zamykają i nagle znów widzę krajobrazy wokół naszego gospodarstwa. Pochyłe pola obrosnięte leszczyną. Tam nie trzeba podnosić głowy, żeby zobaczyć niebo.

23 listopada

Dziś rano zaczynam od otwarcia drzwi wychodzących na ulicę. Usłyszałam w nocy, że dostarczono nam rowery. Chłopaki działają skutecznie. Wolałabym, żeby przyszli w dzień. Moglibyśmy spędzić chwilę razem i zabić trochę czasu. Max zabiera się do posprzątania podłogi ze wszystkiego, co się po niej wala, żeby poćwiczyć pedałowanie wewnątrz warsztatu. Zajmuje mu to większą część poranka. Kiedy wreszcie droga jest wolna, mój kuzyn orientuje się, że przestrzeni jest za mało, żeby mógł rzeczywiście sobie pojeździć. Zaczyna więc mnie męczyć, żebyśmy wyszli. Zgadzam się wczesnym popołudniem, kiedy oceniam, że mój odstraszcacz jest gotowy. Spryskuję nasze dzinsy, adidas i doły naszych kurtek. Max uważa, że to śmierdzi, i krzywi się.

Przed wyjazdem zaplatam sobie włosy w dwa warkocze i wkładam na głowę małą czarną kominiarkę. Kręcimy się po opustoszałych uliczkach. Doceniam dyskrecję i szybkość tego środka transportu. Unikam zapuszczania się na osiedla ze strachu, że staniemy się celem snajpera. Wkrótce zaczynają nas gonić dwa psy bojowe. Bardzo szybko są tuż przy nas. Szczekają i odsłaniają kły. Daję znak Maksowi, żeby zwolnił, po czym wstrzymuję oddech. Mój kuzyn, szczęśliwy z powodu jazdy rowerem, nie do końca zdaje sobie sprawę z zagrożenia. Zwierzęta obwąchują nas natarczywie. Po jakiejś minucie pełnej lęku dociera do mnie, że się udało. Pierwszy pies odczepia się i pozwala nam jechać dalej. Szepczę sama do siebie:

– Dziękuję, Mamm-gozh.

Przejeżdżamy pod obwodnicą i wjeżdżamy do stolicy w okolicach stacji Porte d'Orléans. Maksa cieszy uprawianie sportu. Jedzie tuż przede mną, żeby mi pokazać, że jest szybszy. Przypomina mi to sceny z dzieciństwa. Na początku Max zawsze za bardzo się spinał i trudno było mu jechać prosto. Jego matka próbowała go zniechęcić do dalszych prób, ale on się uparł i zamęczał się całymi dniami, aż osiągnął swój cel. Był z tego ogromnie dumny. Moja matka prosiła mnie, żebym pozwalała mu się wyprzedzać, co mi się nie podobało.

Jedziemy wzdłuż muru jakiegoś dużego cmentarza. Mam przed sobą wieżę Montparnasse. Zbliżamy się do celu. Na kilka minut wjeżdżamy na bulwar, kiedy nagle pojawia się dwóch facetów. Stają przed nami z rozpostartymi ramionami. Przyspieszam, starając się ich wyminąć. Udaje mi się, ale zbieram serię błuzgów i gróźb. Jeden z dwóch świrów dosięga ramienia Maksa. Rower mojego kuzyna zaczyna się chwiać i obawiam się najgorszego. W ostatniej chwili Max z powrotem łapie równowagę i unika upadku. Dwóch gości biegnie za nami przez kilkaset metrów. Z łatwością się od nich oddalamy.

Wkrótce stajemy przed wejściem do budynku, w którym mieszka Elwen. Skrzynka domofonu została wysadzona i ciężkie drzwi otwierają się bez problemu. Parkujemy rowery w szerokim korytarzu wychodzącym na małe podwórze z kubłami na śmieci. Śmietniki są wywrócone i roi się na nich od uczujących w najlepsze szczurów. Wnioskuje z tego, że stos został świeżo uzupełniony. Wciąż jeszcze żyją tu ludzie i wyrzucają odpadki przez okna. Wspinamy się na ostatnie piętro i delikatnie pukamy do drzwi. Przez długie minuty nic się nie dzieje. Siadamy na schodach, żeby poczekać. Myślę o Mamm-gozh, która często drzemała po południu.

Ponad godzinę później podejmuję ostatnią próbę przed powrotem. W tej samej chwili docierają do nas kroki kogoś, kto wchodzi po schodach. Daję Maksowi do zrozumienia, żeby się nie ruszał. Wchodząca też staje bez ruchu. Staram się, żeby mój głos brzmiał jak najspokojniej, aby nie spowodować jej ucieczki:

– Nazywam się Koridwen, jestem wnuczką Rozenn. Pochodzę z Menesguen niedaleko

Morlaix. Przyjechałam do Elwen, którą znała moja babka.

Po chwili ciszy dziewczyna pyta mnie zdecydowanym głosem:

– A ten chłopak to kto?

– To Max, mój kuzyn.

– Połóżcie ręce z tyłu głowy. Uprzedzam was, że jestem uzbrojona.

Robię, o co prosi, a mój kuzyn mnie naśladuje, choć rzuca przy tym zaniepokojone spojrzenie. Dziewczyna powoli do nas podchodzi, nie spuszczając nas z oczu. Jest raczej masywna. W prawej ręce ma nóż do tapet.

– Moja babka nie żyje – zaczyna. – Ale to nie powinna być dla was nowość. Już od tygodni nie ma żadnych dorosłych.

– Miałam nadzieję – mówię – że ponieważ znała się na medycynie, to mogła się jakoś zabezpieczyć.

– No i skucha! Znikajcie stąd jak najszybciej.

Wymachuje nam bronią przed nosem i trzęsie się przy tym. Łatwo byłoby ją rozbroić, ale szamotanina na schodach mogłaby okazać się niebezpieczna. A ja postanowiłam nikogo więcej celowo nie zabijać ani nie ranić. Podchodzę do Maksa i pokazuję mu, żeby posłuchał. Zawsze się obawiam, żeby nie próbował przejąć inicjatywy. Max podąża za mną bez słowa. Na ulicy po raz ostatni podnoszę głowę w stronę okien Elwen. Zasłona się uchyla i dostrzegam sylwetkę starszej kobiety. Podnosi rękę, żeby dać znać o swojej obecności. Wzywa pomocy. Odpowiadam jej ukradkowym ruchem ręki i wsiadam na rower. Jeszcze tu wrócę.

Żeby ominąć bulwar, na którym zaczęło się na nas dwóch gości, początek trasy przemierzamy wąskimi ulicami. Wyjeżdżamy z ukrycia przy dużym placu, który już przejeżdżaliśmy. Jesteśmy niedaleko mieszkania Zoé i jej koleżanek. Postanawiam nadłożyć drogi i przejechać wzdłuż ich budynku. Jeżeli nas dostrzegą i zaproszą, to skorzystam. Jak nie, to wra camy. Chociaż bardzo chciałabym mieć koleżanki, nie mam zamiaru się narzucać.

Z zamyślenia wrywa mnie szczekanie. Mniej więcej sto metrów od nas jakiegoś chłopaka otoczyła sfora i szykuje się do ataku. On jest uzbrojony w kij i wywija nim młynki, odpychając napastników. Póki co, trzyma psy na dystans, ale to nie potrwa długo. Prędzej czy później opadnie z sił, a wtedy jeden z kundli poświęci się i ruszy do ataku. Skręcamy w ich stronę. Mam nadzieję, że dobrze przesiąkliśmy odstrasającym zapachem. Zwalniamy jakieś dwadzieścia metrów od chłopaka. Kładziemy rowery na ziemi i idziemy dalej wśród zwierząt, które na chwilę się rozstępują, ale zaraz potem znów łączą. Chłopak nas dojrzał, ale wygląda na zrozpaczonego. Podnoszę ręce do góry. Max robi tak samo. Nieszczęśnik przestaje się miotać. Podchodzimy do niego i go obejmujemy. Śmierdzi potem i strachem. Nagle wstrząsają nim drgawki i zaczyna dziwnie oddychać. Kładę mu ręce na ramionach, żeby go uspokoić. Szepczę mu do ucha:

– Nie ruszaj się i zamknij oczy. Zaraz sobie pójda.

Podobnie jak kilka godzin wcześniej, efekt nie jest natychmiastowy. Niektóre psy nadal pokazują kły i ujadają. Nie chcą tak szybko się poddać. Wreszcie jednak wszystkie odchodzą i możemy odetchnąć.

– Już po wszystkim – mówię do chłopaka.

Trochę czasu zajmuje mu zorientowanie się, że wyszedł z tego żywy. Wygląda na oszołomionego i kompletnie rozkojarzonego. Prowadzimy go na ławkę, żeby doszedł do siebie. Chwyta głowę rękoma i głośno płacze. Kiedy próbuję złapać go za nadgarstek dla pocieszenia, gwałtownie odskakuje.

Max chce odjeżdżać i daje mi to do zrozumienia. Siedzi już na rowerze i trąbi na mnie klaksonem. Nie ruszam się z miejsca. Dlaczego się waham? Czyżbym czekała na

podziękowania? Ten pomysł nagle mnie zawstydza i dołączam do mojego kuzyna.

Pedałujemy jakieś sto metrów, gdy dobiega nas głos krzyczący moje imię.

– Kori! Kori!

Doganiam Maksa i mówię mu, żeby się zatrzymał. To Zoé za nami biegnie. Mój kuzyn jest rozgniewany:

– Wracać do domu! Wracać do domu! Teraz!

Staram się go przytrzymać, przemówić mu do rozsądku, ale on się opiera i uwalnia. Zoé nas dogania. Nabrała kolorów i wygląda zachwycająco. Rzuca mi się na szyję, aby mnie uściskać, po czym robi to samo z moim kuzynem. Max jest zaskoczony, jego twarz się rozjaśnia. Rozpoznaje ją i docenia ten czuły gest. Już mu się tak nie spieszy.

– Kori, wejdziecie do nas? Jestem megaszczęśliwa, że zajechałaś w okolicę.

– Z przyjemnością.

– Nie kręćmy się po ulicy. To coraz bardziej niebezpieczne.

Zoé, nie czekając na zaproszenie, wsiada na mój bagażnik i chwyta mnie na wysokości talii. Czuję jej głowę przywierającą do moich pleców. Nasza jazda trwa raptem kilkadziesiąt sekund i zatrzymujemy się pod drzwiami Zoé. Na zewnątrz stoją dwie dziewczyny obserwujące okolicę. Jedna jest uzbrojona w jakąś przedpotopową strzelbę.

Wchodzimy za nimi do środka. Podczas gdy my parkujemy nasze pojazdy na podwórku, dziewczyny we trójkę zakładają ciężką sztabę, żeby całkowicie zablokować drzwi. Potem się rozluźniają. Teraz z kolei ściskają nas koleżanki Zoé, co wprawia Maksa w prawdziwą ekscytację.

– Idziemy do dziewczyn – mówi trochę za głośno.

Mój wzrok przyciąga stara pukawka trzymana przez jedną z nich. Ta zauważa moje zainteresowanie i podaje mi broń.

– To tylko dla efektu, wiesz, nie jest naładowana. Tak czy inaczej, nie potrafiłabym się nią posługiwać. To kolekcjonerska strzelba. Wisiała w salonie moich emerytowanych sąsiadów. Nie znalazłyśmy amunicji.

– Mogę wam dać prawdziwą strzelbę. Może się przydać.

Na klatce na czwartym piętrze czeka na nas reszta grupy. Wszystkie dziewczyny mają na sobie swetry, a największy zmarzłak nawet szalik. Wchodzimy przez szerokie wejście do ogromnego salonu o wysokim stropie. Ściany są ozdobione starymi obrazami i czarno-białymi zdjęciami. Stoją tam dwie duże kanapy przykryte pledami i trzy stare skórzane fotele. Miejsce jest superprzytulne, w stylu tych, które dziewczyny wynajmują razem w amerykańskich serialach. Jedynym szczegółem gryzącym się z otoczeniem jest ustawiona na środku opasła butla gazowa, taka sama jak te, które przywiozłam ze sobą ze wsi. Kuchenka gazowa stoi z boku, na ślicznym drewnianym stole. Grzeje się na niej czajnik z wodą. Dziewczyny szykują herbatę. Wyciągam z torby trzy paczki wafelków, a gospodynie wiwatują. Przedstawiamy się sobie wzajemnie. Adèle nosi okulary i jest chyba najstarsza, Lola i Coline są siostrami. Obydwie związały sobie jasne włosy w baletowy kok. Jest jeszcze Sarah, brunetka, której śniada skóra kontrastuje z karnacją reszty dziewczyn.

Rozmowa toczy się na temat naszych przygód. Dziewczyny są przekonane, że posiadam magiczne moce.

– Jak wytłumaczyć – zaczyna Lola – że przez przypadek wpadłaś na więzienie, w którym była przetrzymywana Zoé?

– To było gdzieś zapisane – stwierdza bardzo poważnie jej siostra.

– A jak wyjaśnisz ten cud sprzed chwili? – dąży Lola. – Sfora psów pożarłaby tego biednego chłopaka. My, całkiem bezsilne, zatykałyśmy uszy, stojąc w oknie i modląc się, żeby

gość za długo nie cierpiał. A tu nadjeżdżacie wy dwoje i bez najmniejszego strachu rozganiacie to mrowie wściekłych kundli. Sprawiacie, że uciekają.

– Aż chce się to nazwać psim cudem! – stwierdza Coline.

– To anioł stróż, mówiłam wam, dziewczyny – komentuje Zoé, przyciągając mnie z uczuciem do siebie.

– Wysłanniczka niebios – przebija ją Sarah.

Jestem coraz bardziej zakłopotana i osuwam się na kanapę. Adèle orientuje się jako pierwsza i macha rękami, żeby uciszyć resztę.

– Ej, pozwólmy się jej wypowiedzieć – nakazuje.

Jej przyjaciółki milkną i kierują w moją stronę życzliwe spojrzenia.

– Racja, wybacz nam, Kori – szepcze Zoé.

– Wyprodukowałam odstraszcacz psów. Według receptury mojej babki. Przetestowaliśmy go wcześniej, po południu. Najwyraźniej działa. Jeśli chodzi o trasę przez tunele RER, to dopiero co przyjechałam z Bretanii i myślałam, że bezpieczniej będzie przemieszczać się raczej w ukryciu, niż poruszać się samym środkiem ulicy. To po prostu cudowne zrządzenie losu, że dosłyszeliśmy Zoé.

– Nie bardzo wierzę w przypadek – upiera się Coline. – Podo bnie jak moja siostra. Co nie, Lola?

– Nie naciskaj – prosi ją grzecznie Zoé. – Zdaje mi się, że Kori chciała zmienić temat.

Popijamy herbatę, rozmawiając. Dziewczyny opowiadają mi, jak postanowiły zamieszkać razem, chociaż część z nich nie znała się przed katastrofą.

– Wtedy też byliśmy jakby pod wpływem magii; wymiana spojrzeń na ulicy, nieodparta chęć zbliżenia się do drugiej osoby, nagle zaufanie – podsumowuje Lola. – Zostałyśmy stworzone, żeby przetrwać to razem.

Żadna nie wspomina o tym, co działo się wcześniej – o śmierci bliskich czy pierwszych dniach, kiedy każdy zadał sobie pytanie, dlaczego przeżył i czy nie lepiej skończyć z tym jak najszybciej. Opowiadam im pobieżnie o moim gospodarstwie, rodzinie, Cindy, mojej podróży traktorem i spotkaniach z Anną oraz Markiem. W ich oczach jestem bohaterką i mówią, że zazdroszczą mi odwagi. O czym mówią? Przecież tak często się boję. Ponieważ zrobiło się ciemno, dziewczyny nie chcą nas puścić. Max cały czas milczy, ale podoba mu się towarzystwo dziewczyn, które go otaczają, oraz ich sympatia.

Na kolację zjadamy dwie paczki ravioli, a na deser pistacjowy krem Mont-Blanc. Następnie Sarah idzie po gi tarę i razem podśpiewujemy stare piosenki, nawet jeśli znamy tylko refreny albo początek. Atmosfera się ociepla. Śmiejemy się, kiedy któraś się zagalopuje i pomyli słowa. Lola nalewa alkohol do niewielkich szklaneczek. Jako córka uzależnionego ojca zawsze unikałam picia. Teraz nie mam ochoty odmawiać, a szczególnie tłumaczyć się z tego. Napój jest gorzki i bardzo mocny. Podobnie jak reszta krzywię się, przelękając. Maksowi oczy same się zamykają. Jedna z dziewczyn prowadzi go do pokoju na końcu korytarza. Lola podaje mi rękę, żebym z nią potańczyła. Wszystkie dziewczyny wstają. Zdejmujemy swetry. Nagle zdaje mi się, że czas się cofnął, a ja jestem dzieciakiem na początku gimnazjum, kiedy urządziłyśmy sobie z koleżankami pidżama party. Wolna od kompleksów włączam się bez wahania w choreografię narzuconą przez Adèle. Zazwyczaj nie mam odwagi się rozluźnić i przyglądam się innym z zazdrością.

Około drugiej w nasze szeregi zaczyna się wkradać zmęczenie. Sprzątam w kuchni z Sarah, podczas gdy jej przyjaciółki doprowadzają salon do porządku.

– Było super – mówię.

– To z pewnością jeden z ostatnich razów. Zaczyna nam wszystkim brakować i wczoraj

przegłosowałyśmy, że pójdziemy do Z-Punktu za kilka dni. Mamy już dość ryzykowania życiem przy każdym wyjściu na zewnątrz.

– Stracie swoją wolność. Poza tym Z-Punkty nie są szczególnie bezpiecznymi miejscami. Sama się o tym przekonałam.

– Wiem. Słyszałyśmy o nich różne rzeczy. Pójdziemy do punktu Salpêtrière, który jest najlepiej strzeżony. Uzbrojony wojskowy dwadzieścia cztery godziny na dobę pilnuje tego miejsca.

Następnie Sarah prowadzi mnie do pokoju, w którym śpi już Max. Mój kuzyn leży na samym środku łóżka, z rozpostartymi rękami. Sarah proponuje mi, żebym przespala się u niej. Zgadzam się bez wahania. Po drodze zachodzę do łazienki. Na brzegu wanny stoi duży sześcienne kanister z wodą. Zadowolam się namoczeniem myjki, żeby się odświeżyć. Wszędzie dookoła poustawiane są baniaki pełne trochę mętnej wody. Sarah wyjaśnia mi, że zbierają deszczówkę na podwórzu. Zdemontowały zakończenia rynien i poustawiały tam duże zbiorniki. Rozbieram się i składam swoje ubrania. Sarah dostrzega moją broń, kiedy chowam ją na dno plecaka.

– To splanowa? – pyta pod wrażeniem. – Jest naładowana?

– Zawsze – odpowiadam zwyczajnie. – Ale zabezpieczona.

– Używałaś jej już?

– Tak.

– Zabiłaś kogoś?

Nie mam ochoty odpowiadać i odwracam głowę. Sarah zrozumiała i nie naciska. Łóżko nie jest zbyt szerokie i czuję jej ciepło. Dobrze mi.

24 listopada

Dziś rano zostaję z dziewczynami. Pragną mi pokazać Z-Punkt, do którego niedługo się przeniosą. Przy okazji chcą skorzystać i się zaopatrzyć. Sama zrobię tak samo. Po posileniu się kilkoma sucharami z dwoma kostkami cukru i odrobiną wody z butelki wyruszam razem z Maksem, Zoé i Sarah. Sarah wdrapuje się na rower, za którym zamontowano chyboczącą się przyczepkę. Zoé wsiada na rower miejski. Jedziemy bardzo długim bulwarem. Ulica delikatnie opada i możemy korzystać z rozpędu, nie naciskając zbyt mocno na pedały. Nie mijamy kompletnie nikogo po drodze.

Salpêtrière to bardzo stary szpital. Żeby wejść do środka, trzeba przejść przez bramę. Podobnie jak w Sainte-Anne, Max i ja musimy się przedstawić, żeby wpisali nas na swoje listy. Podaję adres dziewczyn, precyzując, że dopiero co przyjechałam z Bretanii z moim kuzynem Maksem. Idziemy wzdłuż kościoła. Dostrzegam na wieży wojskowego snajpera, który czuwa nad prawidłowym przebiegiem dostaw. Zoé wskazuje mi miejsce zrzucania zapasów żywnościowych z helikoptera. To jakiś skwer, na którym wycięto większość drzew.

Moje nowe koleżanki oprowadzają mnie po okolicy. Nie uważam tego miejsca za szczególnie atrakcyjne. Sarah trzyma mnie za rękę, tak jak robiła to Cindy. Pozwalam jej na to, bo podoba mi się taki kontakt. Razem czekamy na przylot helikoptera i zabieramy ładunek jedzenia oraz butelek wody mineralnej. W drodze powrotnej czuję, że dziewczyny niepokoją się bardziej niż w poprzednią stronę, bo są obciążone, a do pokonania jest niewielki podjazd. Jedziemy wolniej, więc siłą rzeczy bardziej się zamyślamy. Dziewczyny zamieniają się miejscami w połowie trasy. Kawalek dalej Max oddaje swój rower Zoé i ją zmienia. Podskakujemy, przejeżdżając przez skrzyżowanie z aleją Gobelins, bo rozlega się kilka wybuchów, a po nich straszne krzyki. Przyspieszamy, nie namyślając się zbyt mocno. Dojeżdżamy do kamienicy dziewczyn kompletnie wyczerpani, ale czujemy ulgę.

Chcą, żebyśmy z nimi zostali, ale ja postanawiam wracać. Dziewczyny zmuszają mnie, żebym obiecała, że wrócę pod koniec tygodnia na coś, co nazywają imprezą pożegnalną. Max chętnie przedłużyłby swój pobyt wśród nich i schodzi ze schodów obrażony. Obawiam się, że przez dłuższy czas nie odezwie się do mnie ani słowem.

W drodze powrotnej zachowujemy się bardzo ostrożnie. Chowamy się na każdy najmniejszy odgłos. O mało co nie wpadamy na jakiś samochód, być może wysłany przez Atyllę, żeby nas wytropić. Przy otwieraniu drzwi wejściowych dostrzegam wsuniętą pod nie kartkę. To Marek.

*Co ty wyprawiasz? Mówiłem ci, żebyś unikała wychodzenia.*

*Wrócę dziś wieczór albo w nocy.*

*Marek*

Cieszę się na myśl o ponownym spotkaniu. Rozumiem, że mu na mnie zależy i że się niepokoi. Jednak nie podoba mi się, że przyznaje sobie prawo do dyktowania mi, jak mam postępować. Musi mi zaufać i wiedzieć, że potrafię sobie bez niego poradzić.

Przez resztę dnia snuję się po warsztacie jak cień. Max siedzi w swojej kryjówce i jestem zadowolona, że nie muszę się nim zajmować. Znam siebie: kiedy nic nie robię, mam tendencje do poddawania się czarnym myślom. Waham się przed ponownym zanurkowaniem do kuferka

Mamm-gozh. To, co w sobie kryje, przyciąga mnie i jednocześnie odstrasza. Kiedy przeglądam jej stare książki, mam wrażenie, że moja babka jest obok mnie i do mnie mówi, ale też, że chce sprowadzić mnie na drogę wiary. Czy nie ryzykuję, że się na niej zgubię? Potrzebuję Elwen, przyjaciółki Mamm-gozh, przetrzymywanej w swoim własnym mieszkaniu jak w więzieniu. Jestem pewna, że ona mogłaby pomóc mi zobaczyć to wszystko wyraźniej. Ale nie wiem, jak nawiązać z nią kontakt.

Max pojawia się z powrotem pod koniec dnia, bo jest głodny, więc pośpiesznie przegryzamy coś we dwójkę. Zwierza mi się, że chce ponownie odwiedzić dziewczyny, za którymi już tęskni. Obiecuję mu to z ochotą. Max miał wyczerpujący dzień i od razu kładzie się spać. Zaparzam sobie herbatę z nadzieją, że mój przyjaciel nie każe na siebie zbyt długo czekać.

Marek dociera koło pierwszej. Youss podwozi go na motorze i kiwa ręką w moją stronę, kiedy dostrzega mnie w oknie, przez które wypatruję ich przyjazdu. Ledwo otwieram drzwi, a Marek przyciąga mnie do siebie. Ściskamy się i całujemy przez kilka minut. Dostaję czegoś na kształt zawrotu głowy i uwieszam się na Marku. Kiedy się od siebie odrywamy, z trudem przychodzi mi patrzenie mu w twarz. On chyba też odczuwa pewne zakłopotanie. Oboje pozwoliliśmy naszym ciałom mówić, nie kontrolując niczego. Tydzień temu rozstaliśmy się jak dobrzy kumple, trochę powściągliwie, a teraz, nie zamieniwszy ani słowa, przemieniamy się we dwoje namiętych kochanków. Zakłopotanie nie trwa długo. Chwytam go za rękę i prowadzę na piętro.

- Niepokoiłem się – zaczyna Marek.
- Widziałam. Ja też. Twoja rana dobrze się zablizniła po mojej operacji?
- Perfekt. Korzystałaś z broni?
- Tak. Dwa razy.
- W jakim celu?
- Do ćwiczeń.
- Gdybyś miała jakieś problemy, to byś mi powiedziała, mam nadzieję?
- Daję radę, Marek.
- A Max?
- W porządku. Śpi.
- A...

Przykładam mu palec do ust, żeby zamilkł. Jesteśmy już obok łóżka i rozbieramy się. Wślizgujemy się pod pościel. Moje ciało przechodzą dreszcze. Czuję się prawie jak w gorącej. Pozwalam się prowadzić. Oddaję się. To mój pierwszy raz.



25 listopada

Dziś rano odnoszę wrażenie, że jestem inna, bo mam to za sobą. Czuję się tak, jakbym się uwolniła od jakiegoś ciężaru, jakiegoś strachu. Wczoraj wszystkie decyzje zapadały tak szybko. Podporządkowaliśmy się fizycznemu pragnieniu, które w tamtej chwili wydawało się nieodparte. Ale czy naprawdę czuję coś do Marka? Nie jestem tego pewna. A on – czy coś do mnie czuje? Nic nie wiem o jego życiu.

Max cieszy się, że znów ma kolegę. Marek mówi mi po przebudzeniu, że następnej nocy wyjeżdża do Chartres, gdzie ma odebrać nowy ładunek.

– Znów broń? – pytam go.

– Niekoniecznie. Zobaczymy. Chociaż to towar, który jest wart najwięcej.

– Ale też taki, który przynosi śmierć i cierpienie.

– Gdybym się tym nie zajmował, moje miejsce zająłby ktoś inny.

Nie lubię tego typu argumentacji – trochę powierzchownie – ale nie mam ochoty się z nim kłócić. Przynajmniej sobie, że później zwierzę mu się z tego, co o tym myślę, bo między przyjaciółmi nie należy się oszukiwać. Marek prosi mnie, żebym wytłumaczyła mu, co miałam na myśli, kiedy powiedziałam tydzień temu, że jadę do Paryża uratować świat. Obiecuję, że wszystko mu wyjaśnię, ale kiedy indziej. Nie chcę, żeby uznał mnie za pomyloną i odwrócił się ode mnie.

– A dziś czym zamierzasz się zająć?

– Niczym specjalnym.

– A potem? – naciska, z leciutkim uśmiechem w kąciakach ust, który wskazuje na to, że nie da się łatwo zwieść.

– Chcę odwiedzić pewną osobę, która jest uwięziona we własnym domu. Drzwi są wzmocnione. Mieszka na ostatnim piętrze jednej kamienicy na Montparnasse i myślę, że to miejsce jest strzeżone już od samego wejścia.

– Kto to?

– Koleżanka mojej babki.

– Dorosła osoba i wciąż przy życiu?

– Przynajmniej przedwczoraj tak było.

– Możesz się tam dostać po dachach. Youss i Ibra zabiorą cię jutro.

Kiedy przyglądam mu się trochę sceptycznie, tłumaczy mi, że w Paryżu dachy przeważnie są cynkowe i niezbyt pochyle. Przed katastrofą ludzie często na nie wychodzili, szczególnie w lecie, opalać się albo wypić drinka czy podziwiać krajobraz.

– To zabronione i niebezpieczne. Powinno ci się spodobać – podsumowuje.

Marek odchodzi pół godziny później. Obiecuję mi, że szybko wróci. Długo się całujemy, co mój kuzyn kwituje salwami śmiechu.

Po zamknięciu drzwi przez dłuższą chwilę stoję bez ruchu. Brak mi tchu jak po długim biegu i kilka minut zajmuje mi dojście do siebie.

Resztę dnia spędzam w łóżku, próbując sobie wyobrazić, jak mogłoby wyglądać spokojne życie z Markiem, gdybyśmy przetrwali katastrofę. Ciągłe przysypiam i budzę się we łzach. Nie wiem dlaczego.

26 listopada

Na wyprawę wyruszamy późnym popołudniem. Max i ja wsiadamy na tylne siedzenia motorów. Mamy kaski oraz odpowiednie spodnie i kurtki. Youss i Ibra jadą szybko przez wyludnione ulice. Mijamy czołg stojący na środku jakiegoś ronda. Wojskowy podnosi rękę, żeby nas zatrzymać. Chłopaki dają mu znak, że z przykrością się nie podporządkują, i objeżdżają przeszkodę. Nieco dalej wyprzedzamy sforę psów zgromadzoną wokół padliny. Ledwo mają czas obrócić pyski w naszą stronę. Docieramy na plac Bienvenüe, tuż obok dworca Montparnasse. Następnie wjeżdżamy na podwórko między dwiema kamienicami. Silniki gasną w tej samej sekundzie. Pytam Youssa:

– Dlaczego nie zatrzymaliście się na znak wojskowych?

– Gdybyśmy pozwolili im się przeszukać – tłumaczy – z pewnością skonfiskowaliby nam broń. To się zdarza. Póki co, korzystamy z faktu, że oni tak naprawdę nie panują nad terenem. Według pogłosek to ma się niedługo zmienić.

– Co się stanie?

– Podobno mają wprowadzić godzinę policyjną, zmuszać młodych, żeby dołączali do Z-Punktów, konfiskować motory i samochody. Ulice mogą też być patrolowane przez drony. Ludzie, którzy przybyli niedawno z Lyonu, opowiadają, że u nich już tak jest.

Szybko dociera do mnie, że moi przewodnicy zbadali wcześniej trasę, bo wchodzi na schody, nie zastanawiając się ani sekundy. Na ostatnim piętrze Youss wyciąga z wewnętrznej kieszeni kurtki płytkę szarego plastiku. Wkłada ją między futrynę i skrzydło drzwi, tuż poniżej klamki. W ten sposób udaje mu się je otworzyć. Pytam go, jak to zrobił.

– Drzwi były tylko zatrzasknięte. W takim wypadku można skorzystać z plastikowej płytki jednocześnie giętkiej i wytrzymałej. Idealna jest klisza rentgenowska. Wsuwasz ją w szczelinę i przesuwasz do góry.

Przypomina mi się, że znalazłam zdjęcie z prześwietlenia nadgarstka Mamm-gozh w jednej z jej książek. Skąd mogła znać ten patent?

Wchodzimy do miniaturowej służbówki na poddaszu. Je den z braci namierza małą drabinkę i ustawia ją pod świetlikiem. Wspina się i szeroko go otwiera. Bez problemu wchodzi na dach. Podążamy za nim. Max nie czuje się zbyt pewnie i Ibra szybko każe mu usiąść za jednym z kominów. Tak czy inaczej nie przewidywałam, że pójdzie za mną do samego końca.

– Trzeba iść ostrożnie – tłumaczy mi Youss – i dobrze sprawa wdzać, gdzie stawia się stopy. Unikaj też patrzenia w dół.

Pokonujemy jakieś pięćdziesiąt metrów, stawiając, kiedy to tylko możliwe, po jednej stopie z każdej strony kalenicy. Lawirujemy między kominami i antenami. Nie zawsze orientuję się, w którym momencie przechodzimy z jednego budynku na drugi. Mój przewodnik wskazuje mi otwór. Pochyłam się nad świetlikiem wychodzącym na mały salon. Delikatnie stukam w szybę. Elwen szybko reaguje i przygląda mi się kilka sekund, po czym uśmiecha się do mnie. Jest tak samo korpulentna i ma takie samo ciemne spojrzenie jak jej wnuczka. Daje mi znak, żebym się odsunęła, i kręci korbką, żeby otworzyć okno dachowe. Następnie podsuwa stół dokładnie pod nie. Wślizguję się do środka. Zwisam przez kilka sekund. Moje pięty muskają blat. Opuszczam się najdelikatniej, jak potrafię. Stół trochę się chybotze, potem przestaje. Elwen nakazuje mi pozostać w miejscu.

– Zabiorę cię, kiedy chcesz – wyjaśnia Youss, wsuwając głowę przez okno. – Dzień dobry pani.

– Dzień dobry, młody człowieku. Koridwen, nie muszę ci tłumaczyć, że nie możesz się

do mnie zbliżać ani dotykać niczego tutaj. Zabezpieczę się, a ty włożysz rękawiczki i zawiążesz sobie maskę na ustach.

– Oczywiście – odpowiadam.

Pochylam się, żeby sięgnąć po materiał, który położyła mi pod nogami. Ponieważ stół jest trochę niestabilny, wszystkie ruchy wykonuję bardzo powoli. Po wypełnieniu jej poleceń schodzę na podłogę i czekam na jej powrót. Elwen niesie przed sobą krzesło obwiązane przezroczystą folią spożywczą i stawia je obok mnie.

Sama siada pięć lub sześć metrów dalej, w swoim fotelu.

– Oczekiwałam cię wcześniej, Koridwen.

– Jak to oczekiwała mnie pani?

– Zanim Rozenn dołączyła do duchów, dużo nam o tobie opowiadała. Twoja babka przewidywała katastrofę i mówiła, że będziesz uczestniczyć w jej przewyciężaniu. Dlatego zgromadziła dla ciebie całą swoją wiedzę, umieściła wszytko w kuferku i modliła się do bogów, żeby dali jej czas na przekazanie ci najważniejszych informacji. Tak się nie stało, ale skoro tu jesteś, to znaczy, że zaakceptowałaś jej dziedzictwo.

– Jaka będzie moja rola?

– Ty sama musisz ją odkryć. Cerridwen, galijska bogini, której imię nosisz, nigdy do mnie nie przemówiła. Nie jestem taka jak twoja babka, nie rozmawiam z bogami. Zadowolam się byciem dobrą zachorką.

– Nie może mi pani pomóc?

– Nie. Nie potrzebujesz tego.

– Czemu pani tak twierdzi?

– Masz w sobie wiedzę, której nie wykorzystujesz.

Co chce mi powiedzieć? Nie rozumiem. Naciskam dalej:

– Ale czy pani wierzy, że można wrócić do przeszłości, żeby napisać historię na nowo?

– Znam ludzi, którzy potrafią przenosić się w przeszłość, żeby przyglądać się bardzo odległym wydarzeniom. Ale nie mogą zareagować na to, co widzą, bo obecni są tam tylko duchem, nie ciałem.

– Ale taka fizyczna podróż w czasie wydaje się pani niemożliwa?

– Jest poza moim pojmowaniem, ale czy to musi koniecznie oznaczać, że nie mogłoby do niej dojść?

Elwen chwilę się namyśla i dodaje:

– Założmy, że to możliwe. Czy jednak trzeba podążać tą drogą? To mogłoby się okazać niebezpieczne dla podróżującego i być może dramatyczne dla ludzkości.

Ładną minutę zajmuje mi przetrwanie jej odpowiedzi. Zanim ruszę w powrotną drogę, pytam ją, czy nie chce, żebym pomogła jej uciec z tego mieszkania. Elwen przecząco kręci głową.

– To już nie ma znaczenia. To więzienie jest moją ochroną. Oni przypisują mi magiczne moce i chronią mnie jak cenne dobro, jak trofeum. Dopóki tak będzie, wirus mi nie zagraża.

– Jacy „oni”?

– Atylla i jego ludzie. Ta dzielnica to ich teren. Czemu robisz taką minę? Znasz ich?... Nie mów mi, że to ty postrzeliłaś go w biodro? Wielkie nieba! Powinnaś się była domyślić. Gdybym wiedziała...

Zastanawia się przez dłuższą chwilę, po czym kontynuuje:

– Uratowałam go od śmierci i wkrótce będzie znów chodził. Wszędzie rozpowiada, że osobiście zajmie się zemstą. Koridwen, nie jesteś odpowiedzialna za swoje czyny. Jeżeli tak postąpiłaś, to znaczy, że tak było zapisane. Całe szczęście, że czuwa nad tobą bogini. Gdyby tak

nie było, nie dałabym wiele za twoją głowę.

Wchodzę na stół, potem na taboret, który postawiła na nim Elwen. Starsza pani czuwa nad stabilnością całej konstrukcji. Kiedy docieram na szczyt tej piramidy, moje ramiona wystają już ponad otwór w dachu. Youss chwytą mnie za ręce i wyciąga zdecydowanym ruchem. Kiedy wracamy do pozostałych, Youss pyta:

– I co, dowiedziałaś się czegoś interesującego?

– Tak. Powiedziała mi, że czuwa nade mną bogini.

– Superwiadomość – mówi, uśmiechając się. – Dobrze zrobiłaś, przychodząc tu.

Dyskretnie zbieram trochę sadzy z jednego z kominów, żeby pokryć nią sobie brwi. Przed usadowieniem się na jednym z motorów starannie wiążę włosy, żeby żaden nie wystawał spod kasku. Youss się niecierpliwi i warczy silnikiem. Wyjeżdżamy z podwórza i odjeżdżamy z tej ulicy, żeby ruszyć dalej bulwarem. Na samym środku drogi w ogrodowych fotelach rozsiadło się dwóch gości. Motory hamują i zatrzymują się na ich wysokości. Szepczę do mojego kierowcy:

– Dlaczego stajemy?

– Tutaj nie można inaczej.

Youss wyjeżdża przed Ibrę i podnosi szybkę swojego kasku.

– Czołem, chłopaki – mówi powściągliwie.

– Zdejmij kask, gościu!

– Nie mam za dużo czasu. Pracuję dla Marka, który zaopatruje waszego szefa w gnaty.

– Jesteś Ibra?

– Nie, to ten drugi. Ja jestem Youss.

– OK, OK. A ta panienska? Kto to? Pokaż no mi oczy!

Podnoszę swoją szybkę. Facet się uśmiecha, wyraźnie zadowolony.

– Wyrywasz fajne panienki. Ładna sztuka. My aktualnie szukamy raczej rudych. Żeś nie minął jednej takiej, bracie?

– Nie.

– Inaczej byś nam powiedział, co nie?

– Jasne.

Youss pozdrawia go skinieniem i odpala. Ściskam go bardzo mocno. Myślałam, że nadeszła moja ostatnia godzina. Aż do samego warsztatu trzymam oczy zamknięte.

Po powrocie wspinam się do mojego pokoju, żeby zdjąć z siebie ekwipunek. Korzystam z okazji i czyszczę brwi. Wsu wam spodnie od dresu i schodzę z powrotem do chłopaków.

– To dziwne, ten gość szukał jakiejś rudej.

Boję się, żeby nie zaczął drążyć tematu.

– Są dziewczyny o bardziej rudych włosach niż moje. Mój kolor nazywa się kasztanowy. On szukał kogoś innego.

– Skoro tak twierdzisz.

– Tak czy inaczej, dziękuję, że nie powiedziałeś mi o mnie.

– Nie znoszę tych gości. To wariaci.

Ibra i Youss odjeżdżają. Być może powinnam była uświadomić ich co do groźby wiszącej nade mną i Maksem. Kiedyś szczęście się od nas odwróci, a sami nigdy nie damy sobie rady.

27 listopada

Wracam myślami do moich wczorajszych odwiedzin u Elwen. Wszystkie te stare czarownice widzą we mnie superbohaterkę, ale zdecydowanie unikają wytłumaczenia mi dlaczego, a szczególnie co mogłabym zrobić, żeby zmienić oblicze świata... Ich gadanie zaczyna mnie już nudzić.

Poczekam na spotkanie z Khronosem 24 grudnia, żeby zobaczyć, co się wtedy stanie. Po to przyjechałam i chcę spróbować wszystkiego, zanim wrócę do Menesguen. Do tego czasu będę bardzo uważać na niebezpieczeństwa. Zabunkruję się, na ile to możliwe, w moim warsztacie i zajmę sobą. Z pewnością będę się nudzić, ale przynajmniej pozostanę przy życiu i ochronię życie innych.

Dzień spędzam aktywnie, robię porządki, poleruję podłogi i robię pranie. Max trochę mi pomaga, a potem znika pod pretekstem wyjścia do toalety. Z pewnością zaszywa się w swojej tajnej kryjówce. Naśladuję system pozyskiwania wody, który zastosowały dziewczyny w Paryżu; odpilowuję rury odpływowe rynien piłą do metalu i montuję pod nimi wszystko, co może posłużyć jako pojemnik, a nie jest zbyt brudne. Zachowam bretońską wodę źródlaną, która mi pozostała, wyłącznie do picia i gotowania.

Około wpół do szóstej, kiedy zapada zmrok, słyszę delikatne pukanie do drzwi. To nie Marek ani jego kumple, którzy zawsze pukają w bardzo rozpoznawalny sposób. Przywieram do okna na piętrze i dostrzegam dwie postaci. Chłopak i dziewczyna. To Nico, gość z Z-Punktu, który poświęcił się, żeby uratować swoją dziewczynę ze szponów Atylli, za co o mały włos słono by zapłacił. Schodzę ze świeczką, żeby ich wpuścić. Camille, którą widziałam raptem raz, przez krótką chwilę tydzień temu, całuje mnie na powitanie, jakbyśmy znały się od zawsze. Nico zdjął opatrunki, ale jego twarz wciąż jest mocno poobijana. Siadamy w kuchni, gdzie proponuję im herbatę.

– Gdzie jest twój chłopak?

– Max? To mój kuzyn. Schował się w jakimś zakamarku, ale pewnie niedługo się pokaże.

– Miło tu u ciebie – stwierdza Camille. – To był warsztat twojego ojca?

– Nie. Przyjechałam tu z mojej rodzinnej Bretanii tydzień temu.

– Traktorem?

– Tak.

Oboje wymieniają rozbawione spojrzenia. Potem Nico odwraca się do mnie z poważną miną. Doskonale się domyśliłam, że nie przyszli tak po prostu, z przyjacielską wizytą.

– Przysłała nas Louise, dziewczyna z Z-Punktu, która dała wam do wypełnienia...

– Pamiętam – mówię.

– Chciała, żebyśmy was ostrzegli. Atylla przyjechał wczoraj zażądać namiarów na ciebie.

– Ale chyba mu ich nie dali?! – mówię zaniepokojona.

– Nie.

– Ale...? Bo czuję, że jest jakieś „ale”.

– Atylla postawił ultimatum całej społeczności. Jeżeli nie dostanie tego, czego żąda, to napuści swoje oddziały na Z-Punkt. Natomiast jeżeli się zgodzimy, zobowiązuje się nie zakłócać już więcej dystrybucji jedzenia. Członkowie rady są podzieleni. Louise obawia się, że szala ostatecznie przechyli się na złą stronę.

– Ile mam czasu?

– Przyjdą jutro w południe.

Podaję herbatę. Max do nas dołącza i siada między dwójgim gości. Uśmiecha się i zdaje

nie dostrzegać napięcia, które tu panuje. Muszę się szybko zastanowić. Nie zaskoczyła mnie ta wiadomość. W ten czy inny sposób przywódca Hunów musiał w końcu mnie namierzyć. Trudność będzie polegać na znalezieniu innego bezpiecznego miejsca, żeby schować traktor. Będę potrzebowała pomocy Youssa i Ibry, którzy doskonale znają okolicę. Camille wyraźnie oczekuje, żebym coś zrobiła. Uspokajam ją:

– Znajdę jakieś rozwiązanie. W każdym razie dziękuję, że przyszlście mnie ostrzec. Dużo ryzykowaliście, żeby dotrzeć aż tutaj. Zresztą, jeżeli wahacie się przed powrotem teraz, kiedy jest noc, to możecie się u nas przespać.

Nico robi gest, żeby odmówić, ale Camille stwierdza:

– Dobry pomysł. W ten sposób lepiej się poznamy, a jutro pomożemy wam się przeprowadzić. Zgadzasz się, Nico?

– Jeśli chcesz – odpowiada niechętnie.

Zostawiam ich na chwilę, żeby podejść do baru z kebabem i napisać wiadomość na tablicy. Chociaż miejsce wydaje się opuszczone, wchodzę do środka na palcach, ściskając w kieszeni broń. Zabieram kredę z baru i kreślę informację dla obu braci. Wkrótce dobiega mnie warkot silnika. Z chwili na chwilę staje się coraz głośniejszy. To wojskowa ciężarówka wyposażona w reflektor prześlizgujący się po fasadach. Przywieram do ziemi, póki nie odjedzie. Czekam kilka minut, po czym podnoszę się i wracam do warsztatu.

Wyjaśniam sytuację Maksowi, który jest przeciwny przeprowadzce i odmawia pomocy przy pakowaniu naszych rzeczy. Nico jest cały w nerwach, chodzi w tę i z powrotem i podskakuje na najmniejszy odgłos z zewnątrz. Chyba boi się tu być, w razie gdyby Atylla przyjechał przed czasem. Rozumiem też, że nie wyobraża sobie zostawienia Camille, która z kolei nie ma zamiaru wyruszać od razu. Pomaga mi przy układaniu części naszych rzeczy na przyczepie. Opowiada mi o swoim dawnym życiu. Była w klasie teatralnej i chciała w przyszłości zostać aktorką. Zwierza mi się, że nadal czyta sztuki i uczy się ról, które odgrywa sobie w bezsenne noce.

– Wiem, że to idiotyczne i do niczego nie służy. Ale potrzebuję zająć czymś umysł, robić coś tak, jakby to miało sens, bo inaczej... inaczej... nie wiem, co by się ze mną stało.

Odczekuje chwilę, po czym pyta mnie:

– A ty, Kori, czego się trzymasz?

Waham się, zanim odpowiem. Nawet sama dla siebie nigdy nie sformułowałam tego jasno. Bardzo się boję, że gdy wymówię na głos moje powody, odczuję ich absurdalność, chociaż to one przecież zawiodły mnie aż do Paryża.

– Trzymam się słów mojej babki, która powiedziała mi, że mam misję do spełnienia, że zależy ode mnie życie ludzi... i że tym samym nie mam prawa umierać.

Nie mam odwagi podnieść głowy z obawy, że zobaczę w jej oczach litość albo rozbawienie. Camille mówi do mnie cicho i wyczuwam w niej szczerość:

– Tydzień temu moje życie i życie Nico mogłyby nagle się zakończyć, gdybyś nie zainterweniowała. Więc masz rację, że wierzysz swojej babce.

28 listopada

Bardzo wczesnie budzi mnie wstająca Camille. Spała obok mnie, a Nico znalazł sobie tylne siedzenie w jednym z samochodów. Otwieram oczy i widzę, jak Camille się ubiera. Jej przyjaciel jest obok i podaje jej ubrania jedno po drugim. Idą sobie. Domyślam się, że Nico całą noc nie zmrużył oka.

- Która godzina? – pytam.
- Piąta – odpowiada chłopak.
- Odprowadzę was do drzwi.
- Nie ma potrzeby – mówi szeptem.

Wstaję i owijam się w koc. Wsuwam buty na nogi i schodzę za nimi po schodach. Całuję na pożegnanie moją nową koleżankę, która przeprasza, że nie może bardziej mi pomóc. Nico się do mnie uśmiecha. Wydaje się czuć ulgę, że wreszcie opuszcza to miejsce.

- Znikaj stąd jak najszybciej – radzi mi.
- Nie martw się. Zjem tylko śniadanie i wezmę się za poszukiwania jakiegoś nowego

lokum.

Mija godzina od ich wyjścia, a ja wzięłam już prysznic i poukładałam resztę swoich rzeczy. Zgromadziłam także te należące do mojego kuzyna, który śpi jeszcze głęboko. Przejdę się sprawdzić ulice po drugiej stronie bulwaru.

Słońce dopiero wschodzi. Przechodzę przed kebabem, ale nie wchodzę do środka. Gdyby Youss i Ibra przeczytali moją rozpaczliwą wiadomość, przyjechaliby do mnie od razu. Mam w torbie kilka narzędzi włamywacza: nożyce do cięcia drutu, obcęgi, łom, piłkę do metalu. Moją uwagę przyciąga jakiś warsztat, który ma trochę podobny układ do naszego, ale jego metalowa żaluzja jest podziurawiona i nie da się jej dobrze domknąć. Pięćset metrów dalej zauważam skład żelazny. Drzwi zostały wyważone. Ostrożnie je popycham i wyjmuję broń. To jakiś warsztat ze stołami roboczymi, stanowiskami do spawania, urządzeniami, które służą do cięcia albo rozrywania metalu. Miejsce jest obszerne, ale zagracone, a meble wydają się zbyt ciężkie, żeby je przesuwać. Pomieszczenia administracyjne zostały splądrowane, ale nie widzę żadnych oznak niedawnej obecności człowieka. Drzwi wychodzą na bardziej obszerny magazyn z zapasami żelastwa. Jest tam też mały, zamknięty, wewnętrzny dziedziniec, wychodzący na równoległą ulicę. Przy wejściu stoi zaparkowana furgonetka firmowa. Wsiadam do kabiny. Kluczyk i dokumenty są wciśnięte za osłonę przeciwsłoneczną. Lampki na desce rozdzielczej się zapalają. Bak jest pusty, z pewnością spuszczone z niego paliwo jakiś czas po katastrofie.

Wracam biegiem do nas i budzę Maksa, który wciąż śpi jak suseł w głębi swojego volvo. Delikatnie wyciągam go z pojazdu, żeby zjadł śniadanie. Jeszcze raz tłumaczę mu sytuację. Max zachowuje się, jakbym po raz pierwszy podejmowała ten temat. Opuszcza głowę i kurczowo łapie się stołu obiema rękami. Będzie się opierał.

Siadam obok niego, ale Max udaje, że nie zauważa mojej obecności. Zaczyna delikatnie kiwać głową w przód i w tył. Kryzys nadchodzi w najgorszym momencie. Zostawiam go i kończę ładować na przyczepę mój materac, poduszkę i rzeczy, które walają się jeszcze tu i tam. Nożycami do drutu odcinam mocowanie, które trzymało tylne siedzenie ulubionego samochodu Maksa. Dorzucam kanapę do reszty rzeczy. Na myśl, że rządzą się w ten sposób jego własnością, Max wpada w szal i zmierza do przyczepy, żeby wynieść z niej siedzenie. Korzystam z tego, żeby złapać go w pułapkę, i zamykam za nim drzwi.

Wsiadam do kabiny traktora i odpalam silnik. Przeszywające krzyki Maksa świdrują mi mózg, ale nie mogę stracić ani minuty. Jadę najszybciej, jak to możliwe. Na szczęście nie

spotykam po drodze żywego ducha. Kiedy schodzę ze swojego siedzenia, wciąż dobiegają do mnie jego wrzaski. Wlewam trochę oleju do baku furgonetki, która odpala bez problemu. Parkuję ją trochę dalej na ulicy. Potem manewruję, żeby wjechać przyczepą do magazynu. Zostawiam traktor na podwórku i zamykam bramę. Potem przekręcam klucz we wszystkich wejściach i wypuszczam Maksa, który wyskakuje jak z procy i kopie z furią we wszystkie drzwi. Poddaje się dopiero po ładnym kwadransie. Idzie wtedy schować się za stos żelaznych prętów. Cicho płacze. Wreszcie mogę odetchnąć.

Przed rozpakowaniem naszych rzeczy postanawiam obejść wszystkie pomieszczenia. Odkrywam szatnię z metalowymi szafkami zamykanymi na małe zamki szyfrowe. Są tam też umywalki, dwie toalety i dwie kabiny prysznicowe.

Wprowadzam rowery z przyczepy. Następnie usuwam z pokoju administracyjnego bardzo masywne biurko, które muszę ciągnąć przez kilkanaście metrów. Chcę zrobić miejsce na swój materac. Wolalabym, żeby Max mi pomógł, ale za wcześnie jeszcze, żeby o tym myśleć. Przez kolejną godzinę staram się jak najlepiej uporządkować nasze nowe schronienie. Potem postanawiam zobaczyć dyskretnie, w jakim stanie jest mój kuzyn. Max zmienił kryjówkę.

– A więc, wielkoludzie – mówię na głos – zachciało ci się bawić z kuzynką w chowanego? Wiem, że jesteś w tym dobry...

Kieruję się w stronę toalet. Jedna z dwóch kabin jest zamknięta, ale nie dociera do mnie żaden odgłos. Czuję natomiast powiew zimnego powietrza. Chwytam gaśnicę i walę w drzwi na wysokości zasuwki, która odpada po piątym uderzeniu. W środku zastaję otwarte okno. Max uciekł. Zostawiłam klucz do naszego dawnego lokum nad tablicą rozdzielczą traktora i teraz go tam nie ma. Jest dziesiąta. Ultimatum wygaśnie za dwie godziny. Nie ma co panikować. Wsiadam na rower i gnam na miejsce. Drzwi są otwarte, a klucz tkwi w zamku od wewnątrz, tak jak go zwykle wkładałam. Idę prosto do kanału ukrytego pod volvo. Podnoszę pierwszą płytę. Mój kuzyn siedzi w tym samym miejscu co ostatnim razem. Trzyma świeczkę w jednej ręce i duże kartki w drugiej. Znowu odzyskał uśmiech, ale ja nie mam czasu na żarty. Panuję nad swoją złością i staram się mówić do niego spokojnie.

– Chodź, Max. Jak chcesz, zabierzemy twoje papiery. Co jest na tych kartkach? Narysowałeś coś? Chcesz mi je pokazać?

Max kręci głową na „nie”. Zamierzam zejść do niego, kiedy dobiegają mnie odgłosy pojazdów wjeżdżających na naszą ulicę. Jest ich mnóstwo. Najwyraźniej atak ruszył wcześniej, niż zaplanowano. Wstaję i biegnę do drzwi, żeby zamknąć je na klucz. Potem spieszę z powrotem w stronę kanału. Nie docieram jeszcze do niego, a już ktoś uparcie szarpie za klamkę. Jakiś koleś po cichu wydaje rozkazy. To nie Atylla.

– Otoczcie budynek. Wiemy, że są w środku. Jeden z naszych obserwatorów widział, jak wchodzili. Nie próbujcie niczego. Są uzbrojeni i nie zawahają się strzelać.

Wyciągam pistolet. W tej chwili myślę raczej o tym, żeby posłużyć się nim przeciwko sobie niż do walki. Nie wezmą mnie żywej.

– Kori-coś-tam i ty drugi debilu! – krzyczy teraz ten gość. – Zablokowaliśmy wszystkie wyjścia. Wychodźcie w tej chwili z rękami za głową. Inaczej upieczemy was jak kurczaki. Daję wam minutę.

Max kiwa ręką, żebym zeszła do kanału. Myślę, że teraz doskonale zrozumiał sytuację. Gdy wślizguję się do jego kryjówki, mam wrażenie, że wchodzę do własnego grobu. Max zasuwa za mną płytę i ciągnie mnie w głąb. Trochę kuleje i zdaje się, że widziałam nieco krwi na wysokości jego prawej łydki. Kiedy już siedzimy obok siebie, Max zdmuchuje świeczkę i obejmuje mnie ramionami. Słyszymy przytłumiony głos przywódcy oblegających nas napastników:



– Czas minął. Sami dokonaliście wyboru!

Na długie sekundy zapada cisza. Nagle rozlega się brzęk tłuczonej szyby. Jednej, drugiej. Następnie dobiega nas zapach benzyny, a potem dymu. Powiew gorąca dociera trochę później. Właśnie zaczął się pożar. Zdejmuję kurtkę, dzinsy i sweter. Po omacku rozbieram mojego kuzyna. Wracamy do początkowej pozycji. Zawsze uczono mnie, że przy samej ziemi gazy są mniej gęste. My jesteśmy jeszcze niżej, więc mamy szansę z tego wyjść. Nad nami rozlegają się eksplozje, których źródła nie umiem określić. Płyty przykrywające kanał zaczynają wydzielać ciepło. Staram się jak najmniej oddychać. Mniej więcej po kwadransie ziemia zaczyna się trząść. Domyślam się, że to spada dach. Szepczę sama do siebie:

– No więc, Mamm-gozh, powiedz mi, to koniec? Nasza historia skończy się tutaj, w podziemiach garażu, tak daleko od ziemi moich przodków? Mamm-gozh, czy okłamałabyś mnie, mówiąc, że pożyję wystarczająco długo, żeby uratować ten świat? Więc to wszystko ostatecznie było nic niewarte?

Trudno mi się oddycha, zarówno z powodu czadu, jak i strachu, który mnie paraliżuje. Zaczynam recytować:

– *Moje dobre, piękne dziecko – mówi druid. – Cóż mam ci zaśpiewać?*

– *Zaśpiewaj mi sekwencję numer jeden, niech...*

Moje oczy się zamykają. Być może właśnie umieram z braku tlenu.

Jak długo byłam nieprzytomna? Wokół nas panuje cisza. Potrząsam Makssem, żeby go obudzić. Biorę moje dzinsy i owijam sobie nimi dłonie. Próbuję podnieść jedną z płyt. Jest jeszcze letnia i wydaje mi się ekstremalnie ciężka. Mimo wszystko udaje mi się przesunąć ją o kilka centymetrów. Przez otwór wkrada się trochę świeżego powietrza. Jakby się wreszcie wyciągało głowę spod wody. Nagle robi mi się zimno i zaczynam kasłać. Szukam po omacku kurtki i ją wkładam. Max pomaga mi i wspólnymi siłami jeszcze trochę odsuwamy płytę, pokrytą blachą poskręcaną z gorąca. Ubieram się i jako pierwsza wychodzę z kanału. Pomagam Maksowi zrobić to samo. Orientuję się, że poza grubą kurtką ma tylko pidżamę i kapcie. Stoimy wśród stosu gruzu. Jest już prawie ciemno. Wymykamy się na opustoszałą ulicę i ostrożnie posuwamy w kierunku naszego nowego lokum, odległego o jakieś pięćset lub sześćset metrów. Max coraz bardziej kuleje. Jego rana na prawej łydce wydaje mi się dość poważna. To prawdopodobnie ugryzienie psa. Podtrzymuję go, żeby mógł iść dalej. Dotarcie do celu zajmuje nam ponad dwadzieścia minut. Na miejscu każde z nas pochłania co najmniej litr wody i człapiemy do łóżek.

29 listopada

Budzę się. Od smrodu spalenizny, który przylgnął do moich ubrań, mdli mnie tak bardzo, że zbiera mi się na wymioty. Zmuszam się do przełknięcia kilku suchych ciastek. Zużywam na mycie całe wiadro wody i sporo mydła. Szoruję się mocno, trochę, żeby się domyć, a trochę, żeby się rozgrzać. Potem wkładam czyste ubrania.

Idę zajrzeć do mojego kuzyna. Wreszcie dowiem się, co rysował na kartkach papieru, które miały dla niego tak wielkie znaczenie. Znajduję je porzucane na ziemi obok siedzenia, na którym śpi. Zbieram je i rozprostowuję. To bardzo realistyczne portrety jego rodziców. Rozpoznaję na nich ciotkę z jej smutnym spojrzeniem i wystającymi kośćmi policzkowymi, a także wuja z twarzą częściowo zasłoniętą bujnym zarostem. Teraz lepiej rozumiem zachowanie Maksa. Nie mógł porzucić swoich rysunków na dnie tego kanału. Podnoszę jego koc, żeby obejrzeć mu nogę. Badam ugryzienie. Wydaje się dość głębokie. Poczekam, aż Max się obudzi, zanim zacznę je opatrywać.

Chciałabym uprzedzić Marka i jego przyjaciół o moim nowym adresie, ale waham się przed skorzystaniem z tablicy w kebabie. Jeśli któryś z ludzi Atylli powróciłby do dzielnicy, mógłby się domyślić, że wciąż żyjemy.

Mój kuzyn pojawia się koło południa. Zmuszam go do zadbania o toaletę, po czym zabieram się do jego rany. Skóra jest rozcięta na długości kilku centymetrów i z pewnością wymagałaby szycia. Ponieważ Marek potwierdził mi, że specyfik Mamm-gozh, którym posłużyłam się do dezynfekowania i zabliznienia jego rany, zadziałał jak trzeba, nie waham się zastosować go w przypadku mojego kuzyna. Używam też małych plasterków, żeby z powrotem zamknąć ranę. Przykrywam wszystko czystym bandażem. Sadzam Maksa w fotelu i radzę, żeby nie ruszał się zbyt. Tylko tak można uniknąć krwawienia. Max pokazuje z dumą swoje dwa rysunki.

- Piękna jest ta moja mama.
- Tak, bardzo ładna – mówię.
- A mój tata to jest piękny... jak... jak misiu!
- To prawda.
- Ty też jesteś piękna. Max chce narysować Kori.

Ściskam go w podziękowaniu za tę deklarację. Przez kilka minut trwamy przytuleni do siebie jak dwoje małych dzieci, którym brakuje pieśczo. Potem idę do przyczepy, żeby przynieść mu kartki do rysowania i ołówki. Biorę krzesło i siadam naprzeciwko niego. Pierwszy raz będę komuś pozować. Na początku się uśmiecham, ale pod wrażeniem jego koncentracji i energii, którą wkłada w rysowanie, przyjmuję bardziej neutralny wyraz twarzy. Widzę, jak kreśli długie linie, podejrzewam, że rysuje moje włosy. Mniej więcej po kwadransie Max oświadcza zadowolony:

- Skończyłem, Kori.

Podchodzę, żeby przyjrzeć się jego arcydziełu. Narysował mnie całą. Włosy sięgają mi do ziemi, a oczy mam jak dwie wielkie kule. Chciałoby się powiedzieć: wariatka albo czarownica. Max patrzy na mnie i wyraźnie oczekuje jakiejś reakcji z mojej strony. Staram się, żeby mój głos brzmiał lekko:

- Naprawdę tak mnie widzisz?
- Max nie rozumie sensu mojego pytania i przygląda mi się zaniepokojony.
- Bardzo dobrze – mówię. – Twój rysunek jest piękny, Max.
  - Tak, jesteś piękna – podsumowuje on z uśmiechem.

Zostawiam go razem z jego sztuką. Sama przeszukuję magazyn i warsztat w poszukiwaniu pojemników do odzyskiwania deszczówki. Wpadam na duży i zadziwiająco czysty kubeł. Powoli otwieram drzwi od garażu i długo obserwuję okolicę, po czym wytaczam kubeł na zewnątrz. Odpinam dolny kawałek rynny, przyczepiony tylko klipsami. Ledwo kończę montować moją instalację, a już spada ulewny deszcz. Po raz kolejny nie mogę powstrzymać się przed myślą, że ktoś nade mną czuwa.

30 listopada

Dziś w nocy obudził mnie przejeżdżający motor. Zanim wstałam, był już daleko. Przysięgłabym, że to motor Youssa albo Ibry. Położyłam się z powrotem, rozdarta między dwiema hipotezami. Albo moi przyjaciele mnie odnaleźli i powinnam cieszyć się z perspektywy, że wkrótce się zo baczymy, albo ktoś od Atylli jest na moim tropie i znów będziemy musieli uciekać. Aż do wczesnego poranka na zmianę rozmyślam i przysypiam. Po każdej pobudce mój nastrój waha się między radością i rozpaczą.

Po śniadaniu sprawdzam ranę mojego kuzyna i robię mu nowy opatrunek. Nie boli go ani bardziej, ani mniej niż wczoraj, co wydaje mi się normalne. Nie jest to rana, która mogłaby szybko się zagoić.

Około jedenastej czuję ogromną ulgę na widok dwóch przyjaciół Marka.

– Czyli oboje żyjecie? – zaczyna Youss poważnym tonem. – Wyobrażasz sobie, co myśleliśmy, kiedy odkryliśmy wasz warsztat w płomieniach i koleś od Atylli tańczących wokół niego? Kurwa, Kori! Mogłaś nas uprzedzić!

– Zostawiłam wiadomość na tablicy w keb...

– Przestań! – ucina Ibra. – Dobrze wiesz, o czym mowa. Nie rób z nas durniów! Twoje problemy z Atyllą nie zaczęły się wczoraj.

Mówi do mnie surowym tonem. Czuję, że jest bardzo rozgniewany, i staram się przybrać potulny wyraz twarzy.

– To prawda, wygłupiłam się. Ale myślałam, że to ogarnę. Przepraszam.

– Jeśli nam nie ufasz, to zginiesz. W obecnej sytuacji nikt nie ma szans na przeżycie w pojedynkę!

– Nawet taka, która myśli, że ochrania ją bogini – ironizuje jego brat.

– Skąd się dowiedzieliście, że się stamtąd wydostaliśmy?

– Nie znaleźliśmy ciała wśród gruzów. Dlatego poszperaliśmy po dzielnicy i dostrześliśmy, że ktoś wyprowadził furgonetkę ze składu żelaznego. Pomyśleliśmy sobie, że w ten sposób ktoś mógł zwolnić miejsce, na przykład po to, żeby zaparkować traktor. A potem ktoś podstawił kubek pod wylot rynny.

– Myślicie, że Atylla uważa nas za martwych?

– Od wczorajszego wieczora jest tego pewien – oświadcza Youss.

– Jak to?

– Naprawdę chcesz, żebym ci wyjaśnił? Nie wydaje mi się, żeby ci się to spodobało.

– Jestem głodny – mówi nagle Max, którego znudziła nasza rozmowa. – Kori, jestem głodny. Jestem głodny, Kori!

Dwóch pozostałych zrozumiało. Siadają przy stole. Korzystam z okazji i proponuję im, żeby zjedli z nami obiad. Zgadzą się z przyjemnością. Proszę ich, żeby wybrali jakieś menu. Optują za makaronem z sosem z tuńczyka i pomidorów. Mój kuzyn dumnie prezentuje im swój bandaż, a potem wyjaśnia:

– Bardzo zły pies. Skrzywdził Maksa.

Żeby go pocieszyć, opisuję szczegółowo zabiegi, jakim poddałam jego ranę. Youss i Ibra nie komentują. Atmosfera stopniowo się ociepla. Max uwielbia towarzystwo i robi się bardzo gadatliwy. Po skończonym posiłku chłopaki dziękują i wstają, żeby odjechać. Patrę pytająco na Youssa. Wzdycha głęboko i siada z niechęcią. Długo siedzi z zamkniętymi oczami, po czym zaczyna:

– Dowiedzieliśmy się, że Atylla chce przyjechać na miejsce i sprawdzić, czy rzeczywiście

nie żyjecie. Stwierdziliśmy, że jeżeli nie znajdzie trupów, to może dojść do takich samych wniosków co my i dalej próbować cię namierzyć. Zaczęliśmy więc szukać jakichś zwłok, które mogłyby nam posłużyć do zamydlenia mu oczu. Kumple dali nam znać, że niedaleko wiaduktu obwodnicy leży kilka ciał. Kilka godzin przed pożarem doszło tam do bójki na noże między dwiema rywalizującymi bandami. Znaleźliśmy wśród ofiar parę nastolatków o budowie podobnej do waszej. Nie mieli broni ani żadnych znaków rozpoznawczych, więc myślimy, że znaleźli się w środku bitwy przez przypadek. Przetransportowaliśmy ich ciała w ruiny warsztatu i oblaliśmy benzyną, żeby je spalić. Proszę, teraz wiesz wszystko.

Na samo wyobrażenie tej sceny czuję, jak moje wnętrze się skręcają, a przez ciało przechodzą dreszcze.

– Nie... nie... nie powinniście... – bełkoczę. – Nie można tak robić. Nikt nie ma prawa.

– Tak było trzeba, Kori. Po wizycie tego świra pogrzebaliśmy ich na dzikim terenie tuż za budynkiem. Pokażemy ci dokładnie to miejsce i będziesz mogła tam chodzić, jak chcesz, i recytować im chrześcijańskie modlitwy.

– A znaleźliście ich?

– Nie. Nie byli z tej dzielnicy. Dziewczyna miała ze sobą dokumenty. Nazywała się Camille.

Żołądek podchodzi mi do gardła i lecę do toalety, żeby zwymiotować. Zwisam nad klozetem przez dłuższą chwilę, chociaż w żołądku nic już nie mam. Trzęsę się i nie jestem w stanie się podnieść. Ibra i Youss pomagają mi wstać. Opowiadam im, w jakich okolicznościach poznałam tę dziewczynę i jej przyjaciela i co robili w okolicy warsztatu tego poranka.

– Zginęła przeze mnie i przeze mnie jej ciało zostało zbezczeszczone. Jak mam teraz z tym żyć?

Chłopaki nie próbują dyskutować i powoli prowadzą mnie do łóżka. Pozwalam im na to. Przykrywają mnie dwoma kocami. Youss głaszcze mnie po głowie, jakbym była jego chorą młodszą siostrą. Odchodzą. Max przychodzi do mnie, kulejąc, i kładzie się obok. Cicho płacę, po czym zasypiam wtulona w niego.

Budzę się kilka godzin później. Sen niczego nie wymazał i wciąż czuję się tak samo źle. Widzę ponownie rozpromienioną twarz Camille. Gdyby nie przyjechała mnie ostrzec, byłabym martwa, a ona by żyła. Jaki w tym wszystkim sens? Dlaczego ludzie wokół mnie umierają i dlaczego to ja zawsze wychodzę cało? Czy naprawdę jestem „wybranką” chronioną przez tajemnicze siły? Czy konieczna była śmierć Camille i Nica, żebym ja mogła żyć dalej? Przypominają mi się słowa Elwen: „Koridwen, nie jesteś odpowiedzialna za swoje czyny. Jeżeli tak postąpiłaś, to znaczy, że tak było zapisane”. Co to wszystko ma znaczyć? Przeznaczenie miałoby zdecydować za mnie, a ja mam tylko zaufać siłom, które mnie prowadzą? Taka myśl powinna mnie pocieszać, jednak jest całkiem odwrotnie. Przeraza mnie to.

Chłopaki zostawiły wiadomość na stole, z narysowaną pod spodem mapką:

*W awaryjnej sytuacji nie korzystaj już z tablicy w kebabie, tylko kieruj się prosto na ten adres. Pukaj do drzwi, używając kodu.*

Zajadam się z moim kuzynem kruchymi ciastkami cytrynowymi. Potem Max prowadzi mnie do swojego nowego kąca, zaaranżowanego pod stołem roboczym. Poukładał pionowo wszelkiego rodzaju deski, żeby pełniły funkcję ścian. To jakby grot, do której wchodzi się na czworaka. W środku znajduje się jego tylne siedzenie z volvo, śpiwór i poduszka. Max proponuje mi, żebym się położyła, po czym zapala świeczkę. Oświetla portrety swoich rodziców. Przymocował je pinezkami do desek najbliższej miejsca, w którym kładzie głowę. Dzięki temu czuje się chroniony przez ich życzliwe twarze. Racja, musi mu być dobrze w tym kokonie. Ja

sama za długo już nie budowałam sobie własnego kącika.

Światło świeczki pada na rysunki wykonane srebrnym flamastrem na wewnętrznej stronie blatu. Przedstawiają rozgwieżdżone niebo z półksiężycami, jakimiś... spodkami, słońcami. Wszystkich jest po siedem... siedem, jak w tej przeklętej wyliczance, która wszędzie za mną podąża. Staram się ukryć zmieszanie i pytam kuzyna:

– Ty to narysowałeś?

Właściwie znam już odpowiedź.

– Nie, Kori, to nie Max.

Recytuję sobie sama dla siebie:

– *Zaśpiewaj mi sekwencję numer siedem, niech się jej dziś nauczę – prosi dziecko.*

*A druid mu odpowiada:*

– *Siedem słońc i siedem księżyców, siedem planet, w tym Kwoka. Siedem elementów razem z mąką powietrza.*

1 grudnia

Dziś rano korzystam z tego, że mój kuzyn głęboko śpi, i wychodzę, żeby złapać trochę świeżego powietrza. Starannie psikam moje ubranie odstraszacem. Jestem czujna, ale dociera do mnie tylko śpiew ptaków. Podejrzewam, że przed katastrofą nikt nigdy w tym miejscu nie zwracał na to uwagi. Idę trasą, którą przemierzałam już na rowerze, kiedy pierwszy raz jechałam do Elwen. Mój spacer nie ma żadnego określonego celu, ale po drodze przypomina mi się, że przejeżdżaliśmy wtedy koło szkoły. Mogłabym zabrać stamtąd jakieś materiały dla Maksa.

Oczywiście drzwi wejściowe są wyłamane, ale w środku nie ma zbyt wielkich zniszczeń czy potłuczonych sprzętów. Kieruję się w stronę części dla najmłodszych. Na widok zdjęć dzieci nad wieszakami w szatni oraz wielkich kolorowych rysunków zdobiących ściany natychmiast zalewają mnie emocje. Nie zniosę tego zbyt długo. Wślizguję się do jakiejś klasy i trafiam na pusty karton, do którego wrzucam jak leci kolorowe kredki, krede, flamastry, blaszane puszki farb i pędzle. Następnie robię rulon z wielkich arkuszy, używanych zazwyczaj do wykonywania plakatów. Czy to miejsce odzyska kiedyś swoją funkcję? Za ile lat? Trzeba by poczekać, aż takie dziewczyny jak ja postanowią mieć dzieci. Jak miałabym sobie wyobrazić, że pewnego dnia stanę się matką? Ilu z nas przeżyje ten chaos? Ilu będzie miało odwagę lub na tyle małą świadomość, żeby się rozmnażać?

Wracam do siebie z zachowaniem dużej ostrożności. Max jeszcze śpi. Nie mogę się doczekać, kiedy się obudzi i odkryje, co mu przyniosłam. Szykuję mu śniadanie z ciepłego mleka z czekoladą i sucharków z konfiturą. To ostatni słoik starej Yvonne. Na wierzchu utworzyła się cienka warstwa białej pleśni. Usuwam ją i zanurzam czystą łyżkę w słoiku. Próbuję konfitury. Jest pyszna.

Pozwalam mojemu kuzynowi pospać. Jego organizm musi dojść do siebie po tych wszystkich przejściach. Jednak późnym popołudniem zaczynam się niepokoić i postanawiam obudzić go delikatnie. Jest cały spocony, chociaż przykryłam go tylko lekkim kocem. To gorączka. Max otwiera jedno oko i uśmiecha się do mnie, ale jest bardzo słaby. Odwijam jego bandaż i stwierdzam, że skóra wokół rany nabrała szarego koloru. Kiedy muskam to miejsce, Max drży. Na pewno wdało się zakażenie. Postanawiam go już nie ruszać i poszukać pomocy na zewnątrz. Najpierw pojedę do Youssa i Ibry, którzy dobrze znają zasoby dzielnicy. Póki co, żeby zbić gorączkę, wypróbuję wywar z wierzbowych bazi. W naturze przypominają śliczne puszyste kuleczki. We flakoniku Mamm-gozh wyglądają raczej jak zmokłe kłaczki bawełny. Dwie łyżki takiego soku dodaję do pół szklanki wody. Max trochę się krzywi, ale ostatecznie zgadza się wypić lekarstwo w całości.

Wsiadam na rower i w niecałe dziesięć minut dojeżdżam przed lokum moich przyjaciół w Gentilly. Mieszkają w dość starym kamiennym domku. Pcham ciężkie metalowe drzwi, robię kilka kroków po ładnie wytyczonej alei i docieram na ganek. Pukam trzy razy szybko, potem trzy razy z przerwami. Przez kilka minut nic się nie dzieje. Wiem, że ktoś tam jest, bo czuję się obserwowana. Wreszcie ktoś przekręca klucz i drzwi się uchylają. Staję twarzą w twarz z dziewczyną bardzo podobną do Ibry. Zostawiła zapięty łańcuch, który uniemożliwia pełne otwarcie drzwi.

- Muszę się zobaczyć z Ibrą albo Yousseem. To pilne.
- Ty jesteś Kori, jedna z lasek Marka?
- Dokładnie – odpowiadam trochę zmieszana, po czym dodaję: – Mój kuzyn jest w paskudnym stanie. W jego ranę wdało się zakażenie, nie wiem, co robić.
- Moich braci nie ma – stwierdza dziewczyna, przyciągając powoli drzwi do siebie. –

Powiem im, żeby do ciebie zajrzeli, gdy wrócą.

– Kiedy?

Odpowiedź, która dociera do mnie przez drzwi, jest ledwo słyszalna:

– Nie wiem. Niedługo.

Stoję tam przez chwilę nieruchomo, po czym postanawiam ruszyć w drogę powrotną.

W domu staram się uspokoić, żeby myśleć skutecznie. Nie wiem, do kogo zwrócić się o pomoc. Niczego dobrego nie mogę się spodziewać po Z-Punkcie Sainte-Anne, a poza tym tak czy inaczej za wszelką cenę muszę unikać sektora, w którym panuje Atylla. Wybieram Z-Punkt Salpêtrière. Rozkładam mapę, którą zabrałam z warsztatu. To o wiele dalej, ale trasa nie jest skomplikowana. Pojadę wzdłuż obwodnicy, a potem przetnę ją i wjadę do Paryża. Będę się trzymać Sekwany. Budzę Maksa, żeby dać mu pić, i znów wsiadam na rower. Zaczyna zapadać zmrok. Nie wiem, czy już wprowadzono godzinę policyjną. Mam nadzieję, że uda mi się uniknąć blokad i patroli. Przemykam blisko ścian i chowam się na każdy szelest, nawet odległy. To dlatego posuwam się wolno. Docierają do mnie zniekształcone okrzyki z megafonów sił porządkowych, ale też krzyki dochodzące z budynków. Domyślam się, że to bandy zbierają się przed nocnymi wypadami. Myśl o powrocie już teraz wywołuje we mnie niepokój. Na wysokości stacji Porte d’Ivry przejeżdżam pod zjazdem z obwodnicy. Słyszę nad sobą odgłosy silników, które pracują na pełnych obrotach. Wyobrażam sobie, że tam wyżej jeżdżą samochody. Zgiełk napiera na mnie ze wszystkich stron. To mnie przytłacza. Przyspieszam, żeby wyjechać z tej strefy. Jadę wzdłuż stopni prowadzących do biblioteki Mitteranda, potem dojeżdżam do dworca Austerlitz. Wracam w górę bulwarem i wreszcie docieram do celu. Wejście do Z-Punktu blokuje dwóch wartowników. Parkuję rower i idę spokojnie w ich stronę. Zauważyli mnie.

– Stop! – krzyczy jeden.

Mają na sobie czapki z daszkiem i odblaskowe kamizelki. Dzieli nas jeszcze z pięćdziesiąt metrów. Za daleko, żeby się porozumieć. Idę dalej, ale trzymam ręce nad głową.

– Mówiłem: stop! Głucha jesteś?

Są rozgorączkowani, ale ja się nie zatrzymuję, chcę im spojrzeć prosto w oczy.

– Dobry wieczór, nazywam się Koridwen. Byłam tu już kiedyś – mówię podniesionym głosem. – Mój kuzyn cierpi z powodu poważnego zakażenia. Potrzebuję antybiotyków. To pilne. Trzeba...

– Jak się w tej chwili nie zatrzymasz, to obiecuję, że podniosę rękę w górę. To sygnał umówiony ze strzelcem ulokowanym na dzwonnicy, który sprzątnie cię bez litości.

Nie ruszam się dalej. Próbuje znów spokojnie:

– Trzeba...

– Z-Punkt jest zamknięty na czas obowiązywania godziny policyjnej, od osiemnastej do siódmej. Mogłaś się domyślić, nie? Przyjdź jutro rano.

– Jutro na pewno będzie za późno.

– Zmywaj się, mówiliśmy – krzyczy ten po lewej, podnosząc rękę na wysokość ucha.

Rozumiem groźbę. Nie wygląda, jakby żartował.

– Ale mój kuzyn może umrzeć, jeżeli...

– No to zdechnie. Nie on pierwszy. W dzisiejszych czasach akurat trupów nam nie brakuje. Poddaję się i wycofuję. Jestem tak zdenerwowana, że z trudem wsiadam z powrotem na rower. Prędkości nabieram powoli, bo czuję, jakby uleciała ze mnie cała energia. Jadę przez noc, nie myśląc o niczym. Nie skupiam się już na moim strachu, tylko na Maksie, któremu nie mogę ulżyć i który być może straci nogę albo życie. Łzy wściekłości płyną po moich policzkach. Dziś w nocy, jeśli ktoś stanie mi na drodze, nie będę się starała niczego zrozumieć. Rozwalę go od razu.



2 grudnia

Wracam około pierwszej w nocy i nie znajduję żadnej wiadomości od Youssa i Ibry. Zagłębiam się w książki Mamm-gozh, ale dość szybko rezygnuję. Boję się pogorszyć sytuację. Mój kuzyn wygląda, jakby spokojnie spał. Ma regularny oddech, a jego czoło nie jest zbyt ciepłe. Postanawiam się położyć.

O szóstej wstaję i jadę sprawdzić, czy moi przyjaciele nie wrócili. Przez dłuższą chwilę pukam do drzwi, aż wreszcie się otwierają. Znowu przyjmuje mnie ich siostra. Tym razem wydaje mi się mniej surowa. Pozwala mi wejść.

– Nie wrócili. Zaczynam się martwić. To nie w ich stylu, zni kać na tak długo. Nie znalazłaś żadnego rozwiązania dla swojego kuzyna?

– Wróć do Z-Punktu. Wczoraj wieczorem było za późno i mnie przegonili. Dziękuję, że mi otworzyłaś. Mam nadzieję, że twoi bracia wkrótce wrócą.

Dziewczyna przyciąga mnie do siebie i przez chwilę ściskamy się jak stare znajome. Myślę, że potrzebujemy siebie nawzajem.

Punkt siódma stawiam się przed wejściem do Salpêtrière w towarzystwie trzech nastolatków. Jeden z nich został zraniony w ramię i jego T-shirt jest poplamiony krwią. Kazano nam czekać przez kilkanaście minut, po czym wpuszczono do środka. Jakaś dziewczyna w pielęgniarskim fartuchu zadaje kilka pytań gościom, którzy ze mną czekali, po czym prowadzi chorego do budynku z czerwonej cegły. Podchodzi do mnie dwóch strażników i proszą, żebym poszła z nimi. Staję przed tym, który wpisał mnie na swoją listę kilka dni wcześniej. Siadam przed jego biurkiem. Dwóch gości pozostaje obok mnie.

– Poznają cię – mówi. – To ty masz takie dziwne imię, Koridwin.

– Koridwen.

– Krótko po twojej poprzedniej wizycie dostałem raport na twój temat. Pochodził z Z-Punktu Sainte-Anne. Jesteś w nim opisana jako szczególnie niebezpieczna zadymiara. Zawsze uzbrojona. Teraz na przykład jesteś uzbrojona?

Przeczuwam, że rozmowa robi się napięta. Chcę zyskać na czasie i okazać dobrą wolę. Wyjmuję broń i kładę ją na stole.

– Nie przyszłam tu szukać kłopotów.

– Nie przeszukaliście jej, debile! – Kierownik denerwuje się na dwóch koleśki, którzy spuszczaają głowy.

– Przepraszam. Mojego kuzyna ugryzł pies, potrzebuję mocnego antybiotyku, bo doszło do zakażenia.

– Nie pozwalamy na wynoszenie lekarstw poza Z-Punkt.

– Dobrze. Czyli przemieszczacie się do chorych?

– To zbyt ryzykowne.

– Żartujesz sobie? Przejechałam tę trasę dwa razy w tę i z powrotem na rowerze i wciąż jestem w jednym kawałku.

– Zmykaj stąd – rzuca oschle. – Tu czy gdzie indziej, jesteś niepożądana. Takie mamy rozkazy.

Wyciągam rękę, żeby zabrać broń. Gość zmienia kolor. Dwóch pozostałych odsuwa się w panice. Wsuwam pistolet za pasek i oświadczam:

– Ja cię nie rozwalę. Nigdy nie zrobiłam tego z zimną krwią. Ty natomiast, wyrzucając mnie stąd, zabijasz mojego kuzyna! W dodatku robisz to w pełni świadomie. Jesteś tylko podłym tchórzem!

Wychodzę na ulicę kompletnie zbity z tropu. Przechodzę przez bulwar i wchodzę do czegoś, co kiedyś było kawiarnią. Siadam na kanapie i obejmuję głowę rękami. Oddycham powoli, a potem zaczynam recytację mojej wyliczanki:

– *Moje dobre, piękne dziecko – mówi druid. – Cóż mam ci zaśpiewać?*

– *Zaśpiewaj mi sekwencję numer jeden, niech...*

Już przy numerze cztery mogę ponownie zebrać myśli. Wez mę przykład z WOT i przedostanę się do Z-Punktu kanałami. Chowam rower i wracam na ulicę. Upewniam się, że w okolicy nikogo nie ma, i podnoszę pokrywę pierwszego wjazdu, na jaki natrafiam. Sieć pod ziemią dokładnie odpowiada tej na ziemi. Są nawet oznaczenia ulic. Nie mogę w to uwierzyć – dzięki temu orientacja jest jeszcze łatwiejsza niż w grze. Włączam latarkę i podążam do mojego celu przez jakieś sto metrów. Wspinam się po pierwszej drabince. Smuga światła przedostającego się przez otwór w środku wjazdu znika co dwadzieścia czy trzydzieści sekund. To musi być uczęszczane miejsce, z pewnością główny ogród albo punkt wyładunku towarów. Przechodzę jakieś czterdzieści metrów na prawo. Tam promienia światła nic nie zasłania. Delikatnie podnoszę pokrywę wjazdu i przesuвам ją na bok. Ryzykuję rzut oka na zewnątrz. Jestem schowana między jakąś ścianą i zimozielonym krzakiem. Wychodzę i przez chwilę przyczajam się bez ruchu, żeby przeanalizować swoją sytuację. Muszę namierzyć tutejszy magazyn leków i obsłużyć się sama. Dostrzegam liczne grupki rozmawiających nastolatków. Jest tam Lola, jedna z dwóch sióstr, które dzieliły mieszkanie z Zoé. Dyskretnie do niej podchodzę. Kiedy mnie rozpoznaje, jej twarz się rozpromienia. Daję jej znak, żeby nic nie mówiła. Kiedy już oddalamy się od reszty, wyjaśniam jej moją sytuację.

– I przedostałaś się kanałami? Jesteś niesamowita! Przepraszam, odbiegam od tematu. To, co przechodzisz, moja biedna Koridwen, jest naprawdę straszne. Chodź ze mną, ukryjesz się gdzieś, a ja postaram się znaleźć rozwiązanie.

Lola prowadzi mnie aż do parkingu przy nowoczesnym budynku, gdzie stoją pokryte kurzem ambulanse.

– Wejdz do tego. Wrócimy, kiedy tylko się uda.

Ktoś mną potrząsa. Musiałam przysnąć. To Sarah.

– Dzień dobry, Koridwen – mówi, biorąc mnie w ramiona. – Jestem taka szczęśliwa, że znów się widzimy! Nie damy rady załatwić ci tego lekarstwa, którego potrzebuje Max. Tutaj zasady są bardzo surowe. Tylko osoby pełniące funkcję lekarzy mają dostęp do magazynu leków, który jest strzeżony dzień i noc.

– Mogłabyś mi pokazać, gdzie znajduje się ten magazyn?

– Oczywiście.

Idziemy za rękę między budynkami. Ten z czerwonej cegły, który wskazuje mi Sarah, nie jest zbyt wysoki. Wejście na dach wydaje się dość łatwe. Spróbuję dziś w nocy. Dzielę się moim zamiarem z Sarah.

– Przemyślałyśmy sprawę z naszej strony. Jeżeli tej nocy twój plan nie wypali, zostaw swojego kuzyna przed główną bramą o czwartej nad ranem. O tej porze zmieniają się strażnicy. Będzie wówczas na warcie jeden koleś, dobry znajomy Coline. Coline jest pewna, że uda jej się przekonać go, żeby wpuścił Maksa. Kiedy już twój kuzyn znajdzie się w środku, będą musieli mu pomóc.

– Nie wiem, jak go tam przetransportować.

– Weź rower z przyczepką. Zostawiłyśmy go na podwórzu naszej kamienicy.

– A wam dobrze się żyje w Z-Punkcie?

– Powiedzmy. Szczerze mówiąc, nie bardzo. Postanowiłyśmy trzymać się razem i nie szukać protekcji u chłopaków, przez co czasem padamy ofiarą molestowania, zdarzają się też gesty nie na miejscu i próby zastraszenia. Oczywiście reagujemy, ale sytuacja się nie poprawia.

– Żadna z was nie ćwiczyła nigdy sportów walki?

– Nie, my raczej chodziłyśmy na pianino albo na skrzypce.

Przytulamy się na pożegnanie. Zupełnie jak rano z siostrą Youssa i Ibry. Ten kontakt przynosi mi ukojenie. Dostrzegam drwiące spojrzenia chłopaków, którzy obserwują nas z oddali. Mam wrażenie, że biorą nas za lesbijki. Teraz to ja im się przyglądam, nie okazując najmniejszego zakłopotania. Gdybym była zakochana w Sarah, nie kryłabym się z tym. Moja przyjaciółka, która odwróciła się do nich plecami, niczego nie zauważyła. Szepcze mi do ucha:

– Obiecuj mi, że wrócisz nas odwiedzić, kiedy sprawy się poukładają.

– Obiecuję.

– Coś nie gra?

– Nie. Tylko ci kolesie nas obserwują. Chyba im się wydaje, że jesteśmy razem.

– Znam przyjemny sposób, żeby sprawić, że te głupki odwrócą wzrok – oświadcza Sarah z uśmiechem.

Zbliża swoje wargi do moich. Spinam się i lekko odsuwam.

– Nie chcę tego.

– To dla żartu, Kori – stwierdza Sarah, patrząc mi prosto w oczy. – Tylko po to, żeby ich sprowokować.

W drodze powrotnej jadę naokoło i podmieniam mój rower na ten, do którego przymocowana jest przyczepka dziewczyn. Wracam, jak zwykle robiąc duże objazdy. Nigdy w życiu nie jeździłam tyle na rowerze. Odkrywam, że Paryż wcale nie jest płaskim miastem. Moje łydki to czują. W domu staram się sprawić, żeby Max przełknął trochę jedzenia. Nalegam i to mi się udaje. Przemywam jego ranę, której wygląd się nie zmienia. Dalej tak samo go boli, kiedy dotykam skóry. Nie wiem, czy mam rację, ale pociesza mnie, że ten obszar jest wciąż wrażliwy. Jak się domyślam, oznacza to, że nie ma tu jeszcze martwicy.

Oboje odpoczywamy przed wyprawą. Ustawiam budzik na dwudziestą drugą.

Pomimo obciążenia droga wydaje mi się krótsza niż wczoraj. Faktem jest, że znam ją coraz lepiej. Dziś w nocy mniej się boję i jestem też mniej uważna. Ostatecznie czuwa nade mną Mamm-gozh.

3 grudnia

Dwadzieścia po północy. Od ładnego kwadransa jesteśmy w opuszczonej kawiarni naprzeciwko Salpêtrière. Max ma otwarte oczy. Głaszczę go po głowie. Jest słaby, ale wydaje mi się, że gorączka trochę spadła. Chciałabym, żeby zasnął, zanim zostawię go samego. Mówię do niego spokojnym głosem:

– Pójdę po lekarstwa, żeby postawić cię na nogi. Nie martw się. Załatwię to szybko. Zobaczysz, że wrócę, zanim się obudzisz. Dobrze?

– Dobrze – mówi Max, nadal uczepiony mojego rękawa.

Muszę odczekać dłuższą chwilę, dopóki nie zamknie oczu. Wymykam się z kawiarni. Przechodzę przez bulwar i przywieram do platana. Długo nasłuchuję odgłosów z okolicy. Nie wykrywam nic szczególnego, więc przemieszczam się zgarbiona do włazu i bez problemu podnoszę pokrywę. Wślizguję się do środka, zapalam latarkę i zasuwam pokrywę za sobą. Tego wieczoru smród jest nieznośny, a dziesiątki szczurów najwyraźniej umówiły się tu na spotkanie. Nie tracę czasu i przemykam biegiem, prawie na bezdechu, te sto pięćdziesiąt metrów, które pozwalają mi przedostać się pod wejściem do szpitala i dotrzeć do wyjścia, z którego skorzystałam wczoraj. Wspinam się na drabinkę i przykładam ucho do okrągłego otworu w środku włazu.

Ktoś rozmawia. Jakichś dwóch gości czeka na kogoś około dwudziestu metrów stąd. Po mniej więcej trzydziestu sekundach ruszają. Przechodzą mi nad głową. Jeden z nich korzysta z okazji i przydeptuje papierosa, po czym spycha go do dziury. O mało co nie dostaję niedopałkiem w policzek. Czekam jeszcze kilka minut, zanim wyjdę na świeże powietrze. Cuchnę. Na szczęście pomyślałam o schowaniu włosów pod czapkę. Zapachem zgnilizny przenikną tylko moje ubrania.

Idę po trawie, żeby nie chrząścić żwirem. Docieram do małego budynku z czerwonej cegły. Wspinam się na niego, wbijając czubki butów w łączenia z cementu. Po wejściu na pochyły dach przywieram do kalenicy i pełnę bardzo powoli. Zdejmuję grzybek zasłaniający wylot wentylacji. Mocuję linę do komina i wrzucam ją do środka. Wślizguję się do przewodu, stopami do przodu. Po dotarciu na dół usuwam kopniakiem kratkę, która zasłania wejście do wentylacji. Jestem prawie dwa metry nad ziemią. Zsuwam się na dół. Pomieszczenie jest bardzo duże. Ukrywam kratkę, wpychając ją pod jakiś mebel. Lekarstwa są pochowane w szafach zamykanych na zamek szyfrowy albo czytnik linii papilarnych. Jednak ludzie z Z-Punktu wysadzili wszystkie zabezpieczenia, żebym móc korzystać z leków. Szukam antybiotyków. Myślałam, że będzie mniejszy wybór i dokonanie selekcji zajmuje mi chwilę. Mam wątpliwości, więc biorę kilka pudełek. Zabieram też ampułki ze szczepionką na wściekliznę. Nigdy nie wiadomo. Jestem pochłonięta lekturą ulotki, kiedy dociera do mnie jakiś odgłos od strony drzwi.

Nie mam czasu uciekać, a przede wszystkim nie skończyłam jeszcze robić zapasów. Gaszę latarkę i kryję się pod blatem, który z pewnością służy do przygotowywania mikstur. Obserwuję, kto wchodzi. To jakiś koleś, szeroki w barach, ale niezbyt wysoki. Omiata pomieszczenie dość mocnym snopem światła. Wyciąga jakąś kartkę, a potem zaczyna sprawdzać szafki. Zatrzymuje się na dłużej przed jedną z nich. Dopiero co ją przeszukiwałam. Czy ogłosi alarm, kiedy odkryje, że zapasy się zmniejszyły? Muszę działać szybko. Docieram do niego w kilku susach i korzystam z efektu zaskoczenia. Chwytam go w pasie i bez problemu przewracam, podbijając nogę, na której się opierał. Rozplaszczam się na nim i przyciskam przedramię do jego jabłka Adama. Jeżeli trochę docisnę, będzie bolało.

Gość jest świadomy zagrożenia i nie wyrywa się. Latarką w lewej ręce oświetlam jego

twarz. To ten chłopak z mostu św. Michała, którego siostrzyczkę uratowaliśmy. Jest oślepiiony światłem i sam nie może mnie rozpoznać. Zwalniam trochę nacisk, żeby mógł coś powiedzieć.

– Jeżeli skorzystasz z tego, żeby wzniecić alarm, to cię za biję. Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem – mówi z trudem.

– Czego tu szukasz? Pracujesz w tym Z-Punkcie?

– Nie, ja tylko przyszedłem po rzeczy dla moich...

Z zewnątrz dobiegają krzyki. Ktoś ogłosił alarm. Nakryją nas. Podnoszę się i pytam go z wyrzutem w głosie:

– Tak zneutralizowałeś strażnika?

– Nie mogłem go zabić! To nie gra komputerowa!

– Zamknij się i idź za mną.

Denerwuje mnie ten gość. Kompletny brak dyscypliny. Ale nie mogę go wystawić.

Mógłby przekazać mój rysopis władzom porządkowym, a ja i tak mam dość kłopotów. Wspinam się po linie jako pierwsza. Wsuwam się do przewodu i docieram na dach w jakieś trzydzieści sekund. Podążającemu za mną chłopakowi zajmuje to więcej czasu. Jest umięśniony, ale trochę przyciężki. Zwijam linę i chowam ją do torby. Bezgłośnie czołgamy się po cynkowym dachu. Na dole organizują się patrole, będą przeszukiwać każdy najmniejszy zakamarek. Ześlizgujemy się na mały dach-taras. Przywieramy jedno do drugiego. Facet z ochrony spuszcza psy, które biegają we wszystkich kierunkach, ujadając. Czekamy w milczeniu dłuższą chwilę, aż patrole zmęczą się przeszukiwaniem całego terenu. Dwóch strażników stanęło akurat na płycie, przez którą wyszłam z kanału. Gaszą latarki i zaczynają dyskutować. Czyli utknęliśmy tu na dłużej. Myślę o Maksie, który być może się obudzi i zacznie panikować.

– Czemu się nie ruszamy? Nie moglibyśmy poszukać jakiegoś sposobu, żeby ich wyminąć?

– Stoją dokładnie na włączniku do kanałów, przez który moglibyśmy stąd wyjść.

– Co? To ty przeszłaś kanałami?

– Czasem, żeby uniknąć niepożądanych spotkań, trzeba wybierać najohydniejsze drogi.

– Zabawne, przypomina mi to rozgrywki w Warriors of Time.

– WOT, znam, grałam w to kiedyś.

Pytam go, czego szukał w magazynie leków. Chciał zdobyć novibac, szczepionkę przeciw wściekliznie, dla przyjaciółki, którą pogryzły psy.

– Jeżeli to naprawdę pilne, mogę ci jedną odpalić. Zabrałam kilka pudełek.

– Nie trzeba, miałem czas, żeby też coś wziąć. A ty potrzebujesz jej dla brata?

– Max to mój kuzyn. Ugryzł go pies, a w ranie doszło do zakażenia.

– Słuchaj, jak potrzebujesz pomocy, to możecie przyjść do nas. Maia, nasza Aptekarka, jest naprawdę dobra, będzie mogła go wyleczyć.

Strażnicy wreszcie się ruszają. Czekamy pięć minut, żeby mieć pewność, że nikt ich nie zmienia. Daję sygnał do startu. Chłopak podąża za mną bez słowa. Wślizgujemy się do kanałów. On zapala latarkę. Mówię mu, żeby się mnie chwycił i zgasił światło, bo inaczej po wyjściu nic nie będzie widział, a poza tym ja znam drogę. Zastanawiam się nad jego propozycją. Kusi mnie, żeby ją zaakceptować, bo chcę wykorzystać wszystkie szanse na uratowanie mojego kuzyna. Wychodzimy na chodnik, całkiem blisko kawiarni, w której czeka mój kuzyn. Max nie ruszył się z miejsca i wygląda, jakby był u kresu sił. Ładujemy go na przyczepkę. Przywiązuję go do niej sznurem, żeby się nie ześlizgnął.

– Długo się do was jedzie?

– Niecałe pół godziny, to na samej górze bulwaru św. Michała.

Każde z nas wsiada na swój rower. Jedziemy bulwarem pod górę, a potem skręcamy

w prawo. To ta sama trasa, którą jechaliśmy wcześniej do dziewczyn. Poznają punkty orientacyjne. Dostrzegam pomnik Joanny d'Arc. Reflektory w oddali zapowiadają wojskowy patrol. Ukrywamy się za samochodem terenowym z wybitymi szybami i pociętymi oponami. Jakiś wojskowy w kombinezonie khaki, uzbrojony w karabin, rozgląda się po chodnikach. Dwa razy strzela do jakichś śmietników bez wyraźnego powodu. Gdy niebezpieczeństwo mija, posuwamy się dalej. Za skrzyżowaniem z aleją Gobelins rzuca się na nas sfora kilkunastu psów. Uspokajam mojego towarzysza, szepcząc mu na ucho:

– Zachowuj się jak gdyby nigdy nic, ja się tym zajmę.

Zdejmuję kurtkę i kręcę nią powoli przed pyskami psów. Oddalają się czym prędzej. Chłopak wdycha z ulgą. W gruncie rzeczy to porządny gość. Potrafi zachować spokój.

Przy wejściu jakiś atletycznie zbudowany chłopak o surowym wyrazie twarzy mierzy do nas ze strzelby. Mój towarzysz podchodzi do niego i długo dyskutują. Nietrudno zgadnąć, że mówią o nas. Wreszcie wyciągamy mojego kuzyna z przyczepki i wchodzimy do budynku. Na dole schodów dostrzegam chore dziecko z mostu św. Michała. Dziewczynka trzyma w ramionach szmacianą małąkę i lalkę. Cieszy się z powrotu swojego brata, po czym pokazuje palcem Maksa.

– Benek, Benek, Benek – powtarza.

Brat małej woła o pomoc. Jakaś bardzo śniada dziewczyna o czarnych włosach razem z gościem, który stał na straży, pomagają mi przy Maksie. Chłopak, którego imienia wciąż nie znam, wyjaśnia mi, że musi położyć dziewczynkę spać. Wnosimy mojego nieprzytomnego kuzyna na trzecie piętro, do pokoju z trzema prostymi, pustymi łózkami, i kładziemy go na pierwszym z brzegu.

Zostaję sama z dziewczyną, która bardzo wnikliwie wypytuje mnie o stan Maksa, co wzbudza moje zaufanie. Robi kilka notatek i w skupieniu ogląda ranę, zwracając uwagę na najmniejsze detale. Nic nie mówi, ale podnosi oczy do nieba, kiedy opowiadam, że zdezynfekowałam ją nalewką z dziurawca, po czym nałożyłam miód lawendowy jako środek gojący.

– Przyjechałaś w ostatniej chwili – mówi zwyczajnie.

– Tak, odbiło mi – mówię, trochę zawstydzona.

– Nie obwiniaj się. Wyleczymy go. Podejrzewam, że te babcine sposoby mogą zadziałać, gdy chodzi o małe rany. W przypadku tak głębokiego pogryzienia prosta dezynfekcja, nawet konwencjonalnymi środkami, i tak by nie wystarczyła. Przywiozłaś leki?

Wywalam wszystko na biurko. Dziewczyna bardzo szybko znajduje ten, który jej pasuje. Otwiera pudełko i pospiesznie sprawdza ulotkę. W środku są cztery identyczne flakoniki.

Wyjmuje sterylną strzykawkę i wbija igłę w korek. Wstrzykuje całą dawkę nieco powyżej rany.

– Teraz będzie wymagał opieki i dużo odpoczynku – komentuje. – Zatrzymam go na obserwacji przez kilka dni. Dobrze?

– Dobrze – odpowiadam.

– Chcesz zabrać swoje leki? Wiesz, tutaj mogłyby nam się bardzo przy...

– Zatrzymaj je.

Jestem przekonana, że Max jest w dobrych rękach, ale nie potrafię się zdecydować, żeby opuścić to pomieszczenie.

– Trzeba dać mu pospać. Będę się nim dobrze zajmowała. Możesz mi zaufać.

– Wiem. Dziękuję – mówię.

– Znajdziemy ci jakieś miejsce, żebyś mogła się przespać. Nie możesz wracać o tej porze...

– Mogę, pójdę już.

– Ale twój chłopak...

– To mój kuzyn.

– Twój kuzyn będzie o ciebie jutro pytał. Co mu powiem?

Muszę przyznać jej rację. Już teraz cierpię na myśl o opuszczeniu Maksa, ale słyszę, jak z moich ust pada:

– Muszę teraz iść. Przepraszam. Wrócę za dwa dni.

Wsiadam z powrotem na rower i odjeżdżam, nie oglądając się za siebie. Dlaczego odrzuciłam jej ofertę? Czego się tak boję? Że będę zależna od innych? Że przez jakiś czas nie będę mogła decydować o swoim życiu? Zrobiłam, jak zrobiłam – i za późno na żale.

4 grudnia

Wczoraj po powrocie do domu od razu poszłam spać. Obudziłam się dopiero kilkanaście godzin później. Jestem głodna, nie czułam tego od pewnego czasu, bo byłam zbyt zajęta zdrowiem Maksa. Wciąż zastanawiam się, dlaczego przy nim nie zostałam. Przecież ta dziewczyna mi to zaproponowała. Mam nadzieję, że Max ma się już lepiej i że nie będzie zbyt zaniepokojony moją nieobecnością. Odgrzewam sobie fasolkę po bretońsku i zjadam ją prosto z puszki. Rumienię się na wspomnienie przelotnego pocałunku Sarah. Stałam jak sparaliżowana. Byłam zakłopotana. Zastanawiam się, jak mogła to zrobić tylko dla żartu. Ja bym się nigdy nie odważyła. Być może już to kiedyś robiła? Tak naprawdę.

Co będę robić przez dwa najbliższe dni bez Maksa? Wiem doskonale, że jeżeli spędzę ten czas beczynn timer i samotnie, to ryzykuję, że ogarną mnie czarne myśli. Nie dotarła do mnie żadna wiadomość od braci. Z pewnością oznacza to, że nie wrócili do domu. Poczekam trochę i pojedę odwiedzić ich siostrę. Teraz moja kolej, żeby kogoś pocieszyć.

Przypominają mi się słowa, które dziewczyna wypowiedziała za pierwszym razem, kiedy się z nią widziałam. Powiedziała, że jestem „jedną z lasek Marka”. Wówczas tylko zarejestrowałam tę informację, bez analizowania. Miałam w tym czasie ważniejsze rzeczy na głowie. Jestem „jedną z”, czyli nie „jedną”, a może nawet „jedną z licznych”.

Co czuję w tej chwili? Zawód, bo to był mój pierwszy raz i chciałam, żeby był też początkiem pięknej historii? Czy w dzisiejszych czasach można wierzyć w piękne historie? Powinam mieć żal do Marka? Trochę na pewno. Jednak tamtego wieczora nie dałam mu zbyt wiele okazji do rozmowy.

Im dłużej nad tym myślę, tym bardziej się sobie dziwię. Oczekiwałam, że będę bardziej dotknięta tą wiadomością. Muszę pogodzić się z faktem, że pożądanie, które odczuwałam wobec Marka, wynikało raczej z fizycznego pociągu niż z głębokiego uczucia. Czy te dwie rzeczy nie mogłyby przypadkiem iść ze sobą w parze? Właśnie tak wyobrażałam sobie prawdziwą miłość.

Następnym razem, kiedy go spotkam, będę bardziej zdystansowana, a nawet jeżeli się usprawiedliwi, powiem mu, że chcę zamknąć ten rozdział. Czy mimo wszystko będziemy mogli pozostać przyjaciółmi?

Myję się przed pójściem w odwiedziny do siostry Ibry i Youssa. Zanoszę jej kilka opakowań wafelków. Mam nadzieję, że jej zasmakują. Dziś wieczorem trudno się jedzie, bo w ogóle nie widać księżycy. Dojeżdżam na miejsce po zapadnięciu zmroku. Wszystkie okiennice są zamknięte. Nie dostrzegam żadnego światła. Dziewczyna rozpoznaje mój sposób pukania i otwiera mi od razu. Wpuszcza mnie i dwa razy przekręca klucz. Robi wrażenie jeszcze bardziej zaniepokojonej niż wczoraj. Pyta o mojego kuzyna. Pospiesznie ją informuję i staram się pocieszyć:

- U ciebie też sprawy się ułożą, jestem tego pewna.
- Powinni się pospieszyć. Wieści szybko się rozchodzą. Ich nieobecność pozostawiła pustkę, którą gotowi są zapeln timer inni. Wczoraj w nocy kolesie, którzy rywalizują z moimi braćmi, przyszli mi grozić.
- Czego dokładnie chcieli?
- Jasne, że broni! A moja skromna osoba bardzo interesuje jednego z ich szefów! Boję się, że mnie porwą, żeby gdzieś uwięzić.
- Chcesz, żeby z tobą została dziś w nocy?
- Bardzo bym chciała. Potrafisz strzelać?
- Mam trochę doświadczenia.



– Super. A w ogóle – mówi – to jestem Kadi.

Szykujemy sobie purée w proszku. To moje pierwsze od dłuższego czasu. Moi rodzice woleli raczej mrożonki. Jednak to jedzenie nie jest takie złe i przypomina mi stołówkę w gimnazjum. Na deser wyciągam kruche ciastka. Moja nowa koleżanka jest uradowana. Chciałabym spróbować zrozumieć, co mogło się stać jej braciom.

– A wiesz, dokąd pojechali? – pytam.

– Nigdy tego nie mówią. Niby, żebym się nie martwiła. Ale ja słyszę, o czym opowiadają. Wiem, że czasem odbierają to war dość daleko i że załatwiają dostawy. Marek jest pragmatycznym, szanowanym przywódcą, który nie szuka kłopotów. Póki co, interes kręci się raczej dobrze. A ty jak poznałaś Marka?

– Wzięłam go na stopa w okolicy Chartres. Jeżeli dobrze zrozumiałam, skądś wtedy uciekał.

– Jesteś w nim zakochana?

– Nie mam pojęcia.

– Wiedziałaś, że ma już kogoś?

– Nie, dowiedziałam się tego od ciebie.

– Ach? Wybacz.

Naszą rozmowę przerywa gwałtowne uderzenie w drzwi. Kadi prowadzi mnie do piwnicy. Trzymają tam sprzęt komputerowy, a przede wszystkim mnóstwo broni. Wszystko jest starannie poukładane. Wybieram strzelbę, która przypomina moją, i napycham kieszenie nabojami. Moja nowa przyjaciółka bierze pistolet i kilka magazynków. Następnie prowadzi mnie na piętro, gdzie staramy się namierzyć zagrożenie, wyglądając przez szpary w okiennicy. Jest ich dwoje, dziewczyna i chłopak. Ona ma strzelbę, a on używa procy. Widzę ich lepiej, kiedy zapalają latarkę, żeby wycelować. Otwieram okno i biorę ich na muszkę pomiędzy dwiema drewnianymi listewkami. Chłopak dalej miota kamieniami w drzwi i w okna na parterze. Kadi idzie obserwować okolicę z innych pomieszczeń. Wskazuje mi inną grupę ze spluwami i jakąś lampą, która przypomina reflektor samochodowy.

– Mogę celować w światła – wyjaśniam jej.

– Dobra.

Nie spieszę się. Oddycham spokojnie, jak wtedy, kiedy ćwiczyłam strzelanie do tarczy z moim ojcem. Bang! Odrzut uderza mnie w ramię, ale światło gaśnie. Po krzyku, który do mnie dociera, orientuję się, że trafiłam nie tylko w reflektor.

– Super, Kori! Chodź, zajmiemy się resztą.

Idę za nią do małego pokoju, w którym od dawna nikt nie mieszka.

Przez dłuższą chwilę lustrujemy półmrok. Nie dociera do nas żaden dźwięk.

– Wygląda na to, że odjechali – stwierdza.

Wracamy na dół. Moja koleżanka gasi lampę i zapala świeczkę. Siadamy na kanapie. Pomimo naszego małego zwyczajstwa Kadi wydaje się przybita.

– Oni wrócą – mówi smutnym tonem.

Siedzimy tak skulone przez dłuższą chwilę, po czym Kadi zaczyna mi opowiadać o swoim życiu przedtem, o licznej rodzinie z trójką młodszych braci i młodszą siostrą. Pokazuje mi jej zdjęcie zrobione przez szkolnego fotografa. Mówi o swoim ojcu, kierowcy ciężarówki, i matce, która sprzątała u starszych osób.

– Przedtem w nocy zawsze była wrzawa, maluchy kłóciły się albo przynajmniej głośno oddychały. Teraz jest za dużo ciszy. A ty?

– Ja jestem jedynaczką. Moi rodzice chcieli mieć więcej dzieci, szczególnie chłopców, ale nie mogli. Tyle sama się domyśliłam, bo oni nie mówili za dużo, szczególnie o sprawach

intymnych. Mnie tam marzyli się bracia i siostry.

– Gdybyśmy się znały – mówi ona z półuśmiechem – moi rodzice mogliby cię adoptować.

– To miłe.

Wchodzimy na górę i kładziemy się spać w dawnym pokoju małżeńskim. Każda z nas zawija się w koc, pozostawiając broń w zasięgu ręki.

5 grudnia

Budzę się później niż Kadi. Zamknęła drzwi, żeby dać mi pospać. Wstaję. Na schodach słycać jakieś szepty. Od razu poznaję niskie głosy Youssa i Ibry. Kadi się przebrała i umalowała. Wygląda zjawiskowo. Chłopaki wydają się wyczerpani, ale witają mnie uśmiechem.

– To co, teraz pomieszkujesz u nas? – zaczyna Ibra.

– I korzystasz z naszego domu jako ambony myśliwskiej... – żartuje Youss.

Mam wrażenie, że na siłę starają się przybrać wyluzowany ton, ale są czymś zaaferowani. Kadi sypie mi do miski płatki czekoladowe i zaznacza:

– To nasze ostatnie. Potem zostaną już tylko naturalne. No chyba, że moi bracia gdzieś znajdą czekoladę.

Przyglądają mi się, jak jem. Mam wrażenie, że jestem bar dzo głośna. Po pięciu bardzo długich minutach Youss wreszcie się odzywa:

– Sytuacja pogarsza się z dnia na dzień i bandy bez przerwy toczą ze sobą walki.

Wcześniej, jeżeli szanowałeś terytorium drugiego, nikt nie przyjeżdżał ci bruździć.

Obowiązywało coś na kształt umowy – niepisanej, ale znanej wszystkim. Od jakiegoś czasu ciśnienie rośnie, jakby niektórzy starali się dolewać oliwy do ognia.

– I macie jakiś pomysł – pyta Kadi – kto mógłby to być?

– Ja bym stawiał na wojskowych – stwierdza Ibra.

– Ale w jakim celu? – wtrącam. – Oni chcą ograniczyć liczbę zabitych, nie?

– Przede wszystkim chcą ograniczyć liczbę ludzi, których nie kontrolują. Ich taktyka polega na zachęcaniu nas, żebyśmy powybijali się między sobą.

– Gdzie jest Marek?

– Pojechał spotkać się z innymi przywódcami, żeby negocjować zawieszenie broni.

Marek ma nadzieję, że potem połączy wszystkie bandy, żeby ustalić wspólną strategię stawiania oporu siłom porządkowym.

– Walczy o pokój – mówię z entuzjazmem. – To dobrze.

Obydwoj bracia uśmiechają się na moją uwagę. Uważają mnie za biednego dzieciaka, który nic nie zrozumiał. Drażni mnie to, ale staram się tego nie okazywać.

– Marek ma w nosie ratowanie innych, robi to, bo to dobre dla jego interesów – tłumaczy Youss.

Bracia kładą się spać, a ja wracam do siebie, żeby się odświeżyć. Następnie wyruszam rowerem odwiedzić Maksa, za którym zaczynam tęsknić. Robię duży objazd i dojeżdżam pod squat późnym rankiem. Witam się z gościem, z którym włamałam się do magazynu leków.

Chłopak stoi na warcie i wygląda na znudzonego. Chyba się cieszy, że mnie widzi. Proponuje nawet, żebyśmy spędzili razem chwilę, jak skończy swój dyżur. Nie zwlekam. Śpieszno mi do mojego kuzyna. Wdrapuję się po schodach i idę w stronę izby chorych. Delikatnie pukam do drzwi. Maïa wychodzi i zamyka drzwi za sobą. Mówi bardzo cicho:

– Dzień dobry.

– Dzień dobry.

– Przychodzisz po nowiny? Max ma się lepiej. Może za wcześnie jeszcze, żeby powiedzieć to z pewnością, ale wydaje się, że zakażenie się cofnęło. Opuchlizna maleje, a rana stopniowo nabiera zdrowszego wyglądu. Założyłam mu kilka szwów, żeby przyspieszyć gojenie.

– Bardzo ci dziękuję – mówię. – Naprawdę dziękuję. Mogę go zobaczyć?

– Oczywiście – odpowiada, otwierając drzwi. – Przez ostatnie kilka godzin był

pobudzony, więc dałam mu coś na uspokojenie. Nie jestem pewna, czy cię usłyszy. Zostawię cię. Zajrzyj do mnie potem.

Max śpi głęboko. Chwytam go za rękę i mówię cicho:

– Bałam się, że cię stracę, wielkoludzie. Nie wiem, jak mogłabym żyć, gdyby coś ci się stało. Jesteś bratem, którego nigdy nie miałam. Jesteś silny, odważny. Jesteś dobry, uprzejmy. Kocham cię, mój Maksie.

Wzrok mi się mąci. Czuję, jak pod powiekami wzbierają mi łzy. Jestem sama, więc pozwalam im płynąć. Całuję go w czoło przed wyjściem. Maia jest na korytarzu.

– Kiedy będzie można go przetransportować?

– Najwcześniej za cztery lub pięć dni. Tak będzie bezpieczniej. Nie można pozwolić, żeby jego rana zaczęła znów krwawić.

– Długo jeszcze będzie na lekach uspokajających?

– Będę mu stopniowo zmniejszała dawki. Myślę, że za dwa dni będzie mógł z tobą porozmawiać.

– Dobrze. Wrócę pojutrze. Jeszcze raz dziękuję, Maia.

Zbiegam ze schodów, trochę zawiedziona. Nie wyobrażałam sobie, że wrócę sama. Staram się spojrzeć na sprawy w pozytywny sposób. Max uniknął niebezpieczeństwa i jest pod dobrą opieką. Mijam gościa na dole schodów. Macham do niego na pożegnanie i idę w kierunku roweru.

– Już jedziesz? – woła do mnie.

– Jak widzisz... – odpowiadam, odwracając się. – Max śpi. Rozmawiałam z Maią, lepiej z nim.

Zabieram się do wsiadania na rower, kiedy on znów mnie woła:

– Koridwen!

Proszę, zna moje imię. Dziwię się, że Max im je podał. Zazwyczaj używa tylko zdrobnienia. Odwracam się. Chłopak kontynuuje:

– Możesz pogadać ze mną chwilę? Zmieniam mnie na warcie za dziesięć minut.

– Pogadać? O czym?

– Musimy porozmawiać o Khronosie!

Jego zdanie rozbrzmiewa we mnie. Zastygam w miejscu. Skąd może wiedzieć? I dlaczego może go to interesować? Odwracam się do niego. Chłopak mówi dalej, wyraźnie zadowolony z celnego strzału:

– Jesteś Koridwen, Ekspert z WOT!

– A ty kim jesteś?

– Nazywam się Jules i w grze byłem Spider Snake'iem.

– Spider Snake! W życiu bym się nie domyśliła.

– Zamierzasz iść na spotkanie?

– Pokonałam pięćset kilometrów traktorem, żeby tam pójść.

Chłopak uśmiecha się do mnie szeroko i dwa razy uderza się w serce zaciśniętą pięścią. Właśnie w taki sposób pozdrawialiśmy się w grze. Instynktownie odwzajemniam jego gest. Przechodzi mnie od tego przyjemny dreszcz, choć mimo wszystko czuję się trochę głupio. Milczymy przez dłuższą chwilę. Odnalazłam Spider Snake'a. To był mój pierwszy cel po przyjeździe tutaj. Wkrótce zacznie się nowa przygoda. I tym razem wydarzy się naprawdę. To już nie nasze postaci będą ratować świat, tylko Jules i prawdziwa Koridwen, razem w Paryżu, żeby spotkać się z Khronosem i zawrócić bieg czasu. W tak dużym mieście to praktycznie cud, że się spotkaliśmy. Próbuję tego nie okazywać, ale jestem w szoku na myśl, że minęłam się z nim już pierwszego dnia, w którym moja stopa stanęła w Paryżu. Jak miałabym wierzyć, że to tylko

przypadek? No, chyba że... no, chyba że maczała w tym palce Mamm-gozh.

Jules pierwszy przerywa ciszę:

– Wiesz kim jest Khronos? – pyta.

– W nosie mam, kim jest, no nie? Ważne, żeby przyniósł roz wiązanie.

Pyta mnie, jak odstraszać psy. Opowiadam mu o Mamm--gozh i jej recepturach, które nie zawsze działają. Wracam do tematu poszukiwania mistrza czasu.

– Namierzyłeś już miejsce spotkania 24 grudnia?

– Nie, nie miałem jeszcze czasu. A ty?

– Ja poszłam pod wieżę Zegarową i próbowałam znaleźć jakieś wejście. Oczywiście wszystko jest pozamykane na klucz, ale zamierzam wrócić tam za kilka dni z jakimiś narzędziami. Chciałbyś pójść ze mną?

– Najpierw muszę uzgodnić to z innymi. Wiesz, należę do komuny i mamy zwyczaj podejmować decyzje wspólnie.

– OK, wrócę za dwa dni. Wtedy mi powiesz, dobrze? A teraz idę.

– A jeżeli Max potrzebowałby cię w międzyczasie, jak cię znaleźć?

Zdejmuję plecak i wyciągam notes. Skrobię adres i wyry wam kartkę. Poprawiam czapkę i wsiadam na rower. Odnalazłam Spider Snake'a, ale jestem trochę zawiedziona. Jules naprawdę nie przypomina swojego awatara. Musi pytać swoich o pozwolenie, żeby móc gdzieś wyjść.

6 grudnia

Gdybym posłuchała siebie, to poszłabym popatrzeć, jak Max śpi. Brakuje mi go, a jednak muszę przyznać, że kiedy jest ze mną, często odczuwam jego obecność jako obciążenie. Wciąż muszę czuwać, żeby nic mu się nie stało. Wracam też myślami do Jules'a, którego wiara w Khronosa podniosła mnie na duchu. To spotkanie zachęciło mnie, żeby jak najszybciej zbadać wieżę Zegarową i jej okolice. Naprawdę mam nadzieję, że pójdziemy razem, nawet jeżeli daleko nam do idealnego duetu, który tworzyły nasze awatary w WOT.

Na razie czuję się samotna i bezproduktywna. Kręcę się po magazynie jak lew po klatce. Muszę wyjść. Podczas każdej z moich wypraw – czy może prawie każdej – odnoszę wrażenie, że igrzm z losem, ale nie mogę wytłumaczyć sobie, że dla bezpieczeństwa lepiej siedzieć tu w zamknięciu. Postanawiam pojechać do Z-Punktu Salpêtrière zobaczyć się z Sarah, Zoé i całą paczką. Ostatecznie im to obiecałam. Przed wyjściem szykuję dla nich mały prezent, żeby osłabić narzucających się im łobuzów. Oczywiście recepturę znalazłam w drugiej części książki Mamm-gozh.

#### *Wywoływanie gwałtownej biegunki*

*Zagotuj pół litra wody, wrzuć sześć fasolek z czarnym oczkiem, dwie łyżki suszonego strączyńca i dwa liście drzewa paternoster. Dodaj dwie grubo zmielone galki muszkatolowe.*

*Gotuj przez dziesięć minut, następnie przefiltruj i zostaw do ostygnięcia.*

*Rada: nie podawać więcej niż dziesięć kropli na litr. (Można się posunąć do piętnastu, jeżeli wróg jest naprawdę groźny).*

Wsiadam na rower i jadę znaną mi trasą. Zauważam, że ruch pojazdów wojskowych się nasilił. Wiele razy muszę się zatrzymywać i chować przed wzrokiem żołnierzy. Sam Z-Punkt i jego okolice mam rozpracowane, jednak wiem, że nie jestem tam mile widziana. Tak jak wcześniej korzystam z przejścia kanałami. Poprzednim razem miałam szczęście, bo bardzo szybko dostrzegłam jedną z dziewczyn. Tym razem tak nie jest. Oceniam, że w tym miejscu zbiera się coraz więcej ludzi. Niektórzy siedzą na trawniku i czekają w zimnie. Na widok ich wyraźnego zmęczenia i brudu domyślam się, że spędzili ostatnią noc na dworze.

Ukrywam się pod ścianą, z dala od uczęszczanych miejsc. Nie mogę się powstrzymać, żeby nie rzucić okiem na snajpera, który pilnuje wejścia ze swojego stanowiska na górze. Siedzę tu od pół godziny i zastanawiam się nad powrotem. Dwóch gości w odblaskowych kamizelkach podchodzi do młodych na dworze. Z daleka rozpoznaję tego, którego wyzwałam od tchórzy. Powoli się oddalam, żeby zniknąć mu z pola widzenia. Gość mówi przez megafon. Ogłasza tym, których nazywa „uchodźcami z przedmieść”, że zostaną sprawdzeni, przepytani i posortowani, po czym trafią do autobusów, które zawiozą ich do Z-Punktów za miastem. Zebrani żywo reagują na tę wiadomość, niektórzy unoszą w górę zaciśnięte pięści w geście sprzeciwu.

Szef podkręca głośność swojego megafonu, żeby zagłuszyć krzyki. Nagle nad głowami kontestatorów zaczynają świszczeć kule. Natychmiast zapada cisza. Wzdrygam się, bo ktoś chwyta mnie za ramię. Przez ułamek sekundy myślę, że zostałam rozpoznana. Gdyby tak było, zapewne dołączyłabym do tej gromady czekającej na wywiezienie. Oddycham z ulgą na widok Zoé, która całuje mnie na powitanie i prowadzi za budynek.

– Cześć Kori. Nie stój tu. Wy tłumaczmy ci, ale zasady się zaostrzyły, a ty ze swoją reputacją wiele ryzykujesz.

Tak jak poprzednio Zoé prowadzi mnie przez parking. Wsiadamy do ambulansu, gdzie dziewczyny najwyraźniej często bywają.

– Tutaj nie ma się czego bać. Coline może pilnować wejścia z okna w kuchni. Uprzedzi nas w razie pojawienia się intruza. Co z Makssem?

– Niebezpieczeństwo minęło. Wróciłam nocą po antybiotyki. Potem spotkałam kompetentnych ludzi, którzy zajęli się nim w jakimś squacie niedaleko waszego dawnego mieszkania.

– Wiedziałyśmy, że ci się uda. Dzień później zaserwowali nam regulaminowe przeszukanie sypialni i rzeczy osobistych. Cieszę się, że Max ma się lepiej.

– A wy?

– Tutaj jest trochę smutacko, szczególnie od przyjazdu tych wszystkich ludzi. Są w Z-Punkcie tylko tranzytem. Nie wolno się do nich zbliżać. Widzimy jak cierpią, ale nie mamy prawa podać im nawet szklanki wody.

– Ale dlaczego? To jakiś absurd. Władze robią wszystko, żeby ściągnąć młodych do Z-Punktów, gwarantują im bezpieczeństwo, opiekę zdrowotną, wyżywienie, z których będą mogli korzystać... a potem traktują ich jak psy.

– Każą im płacić za to, że tak późno się zdecydowali. „Kto późno przychodzi, sam sobie szkodzi”, jak powtarzają w ramach tłumaczenia. A kiedy próbujesz coś zrobić dla tych ludzi, wysyłają cię, żebyś do nich dołączyła. Adèle o mało co tak wczoraj nie skończyła. Myślałyśmy, że nas rozdzielią. A ty radzisz sobie całkiem sama?

– Znalazłam kilku przyjaciół w dzielnicy. A wczoraj poznałam gościa, którego znałam z internetu. Prawdziwy cud!

– Pójdę zmienić dziewczyny w kuchni. Mówimy, że wychodzimy na siusiu. Tym razem spotkasz się tu z każdą z nich, przygotuj się. Do zobaczenia, Kori.

– Super – mówię, całując ją na do widzenia.

Szybko dociera do mnie, że dziewczyny się dogadały, bo każda mówi o jakimś aspekcie życia tutaj, a potem zadaje mi inne pytanie. Wyobrażam sobie je potem w sypialni, jak starają się podsumować informacje. Dowiaduję się, że mieszkańcy Z-Punktu zostali poinformowani o konieczności zorganizowania na nowo życia po kryzysie. Za kilka tygodni każdy zostanie wezwany do określenia się w kwestii wyboru zajęcia albo zawodu pożytecznego dla kraju. Część szkolenia weźmie na siebie armia. Jeżeli ktoś zdecyduje się na pracę na roli, dostanie ziemię. Moim koleżankom marzy się założenie spółdzielni rolniczej i pytają o mój adres w Bretanii, w razie czego. Muszą mieć trochę idealistyczną wizję rolnictwa, ale ugościłabym je wszystkie z ogromną przyjemnością. Znowu skarżą się na chłopaków, którzy je molestują, kiedy dziewczyny mają dyżur na stołówce. Wręczam im mój prezent, mimo wszystko ostrzegając przed skutkami podania wywaru, po czym dodaję:

– Porządna biegunka, nic takiego, żeby nauczyć niektórych grzeczności. Osłabną, będą zawstydzeni i kompletnie zdani na waszą łaskę. Dajcie im do zrozumienia, że jesteście po trosze czarownicami. Takie głupoty mogą się czasem przydać.

Jako ostatnia przychodzi Sarah. Czuję, że jest zakłopotana. Patrzy mi prosto w oczy:

– Masz do mnie żal za to ostatnio, kiedy próbowałam... ?

– Nie – odpowiadam. – Byłam wtedy zestresowana z powodu Maksa, dlatego nie zrozumiałam, że to dla żartu. Pomyliłam się.

– Nie – stwierdza Sarah. – Nie pomyliłaś się. To był taki test, próba wybadania twoich uczuć względem mnie. Pociągasz mnie od naszego pierwszego spotkania, ale teraz wiem, że bez

wzajemności. Tak to jest. Chciałabym jednak, Koridwen, żebyśmy mimo wszystko mogły się dalej przyjaźnić. Czy gdybyśmy znów miały prawo swobodnie decydować o sobie, zgodziłabyś się, żeby zamieszkała niedaleko twojego domu na wsi? Nie chciałabym cię stracić.

– Bardzo bym chciała – mówię. – Będę tam na ciebie czekać, Sarah.

Opuszczam je z żalem, ale chwilę później czuję prawdziwą ulgę, że jestem na zewnątrz. W drodze powrotnej dociera do mnie, że gdyby nie katastrofa, nigdy nie poznałabym tych paryżanek z dobrych dzielnic. A dziś te dziewczyny wydają mi się takie bliskie.

Zaglądam do Kadi i jej braci późnym popołudniem. Infor muję ich o stanie Maksa i opowiadam o mojej wizycie w Salpêtrière.

– Koridwen! – gromi mnie Youss. – Unikaj takiego włóczenia się. Co ty sobie myślisz? Że życie znów jest takie jak dawniej? Kompletnie ci odbiło? Wyobrażasz sobie, co ci się może przydarzyć, jeżeli rozpoznają cię ludzie Atylli?

– Kori robi, co chce – wtrąca Kadi. – Nie jesteś jej bratem.

– A ty się zamknij! – denerwuje się Youss.

– Proszę, nie kłóćcie się przeze mnie – mówię. – Nie martw się, Youss. Jestem bardzo ostrożna.

– Uważaj, bo ci uwierzę! – odpowiada, wzdychając. – Wolałbym, żebyś – zamiast ryzykować własną skórą – zamieszkała tu z moją siostrą. Z nią nie będziesz się nudzić.

Odchodzi na piętro, może chce dołączyć do Ibry. Kadi szepcze do mnie bardzo cicho:

– Oni nie zdają sobie sprawy, jak trudno jest żyć cały czas w zamknięciu, w oczekiwaniu na nich, jak trudno spędzać cały czas na rozmyślaniu. Wydaje im się to naturalne, bo jestem ich młodszą siostrą.

Spędzam wieczór razem z Kadi. Jak zwykle, kiedy tylko zapada zmrok, jej bracia wychodzą „przejść się w interesach”. Kadi cieszy się, że z nią jestem. Po kolacji opowiada mi o swojej babce. Dowiaduję się, że w jej życiu, podobnie jak w moim, babka by ła bardzo ważna. Kadi, niestety, widywała ją tylko latem i to nawet nie co roku, dużo rzadziej. Jej rodzicom nie zawsze wystarczało pieniędzy, żeby opłacić jej bilet lotniczy do Mali.

– Myślisz – pyta Kadi – że epidemia dotarła aż tam?

– Nie wiem. Pamiętam, że wirus rozprzestrzenił się po całym świecie z niewiarygodną prędkością, ale niektóre kraje zamknęły swoje granice bardzo wcześnie. Potem przestały dochodzić jakiegokolwiek informacje. Zero radia, zero telewizji. Powiedz, gdybyś miała moc cofnięcia się w przeszłość, żeby zabić wirusa na samym początku i wrócić do poprzedniego życia, oczywiście byś to zrobiła?

Kadi patrzy na mnie dziwnie. Wydaje się naprawdę zszokowana moim pytaniem.

– Nigdy – odpowiada. – Nikt nie może wpływać na przeznaczenie, Koridwen. To, co się wydarza, zostało zapisane i niezależnie od tego, jak trudne się wydaje, z pewnością było konieczne.

– Ale jak to? – pytam, bardzo zmieszana. – Jak możesz mówić coś podobnego? Jak taka niesprawiedliwość mogłaby okazać się konieczna?

Przez dłuższą chwilę obie milczymy. Kadi chwyta mnie za ręce. Być może boi się, że się pokłócimy, podczas gdy tak bardzo potrzebujemy siebie nawzajem.

Koło północy Ibra i Youss znajdują nas zwinięte pod kocem w salonie, w samym środku rozmowy.

– Kori, w okolicy trafiła jakaś dziewczyna. Mówi, że jest twoją koleżanką. Pochodzi z Bretanii. Woleliśmy sprawdzić, czy się zgadzasz, zanim ją do ciebie wyślemy.

– Kto to? – pytam, bo niemożliwe, by moja jedyna prawdziwa przyjaciółka, Cindy, mogła mnie odnaleźć.



– Nazywa się Anna.

Uśmiecham się na to imię. To ta, którą zostawiłam na poboczu, bo, podobnie jak Marek, została oznakowana. Myślałam, że już nigdy się nie zobaczymy. Youss patrzy na mnie w oczekiwaniu na odpowiedź. Wyjaśniam mu okoliczności naszego spotkania, po czym dodaję:

– Myślałam, że się na mnie obraziła.

– To mamy jej powiedzieć „tak”? – pyta Youss.

– Powiedz jej, że może przyjść.

7 grudnia

Znów spałam z Kadi, ale tym razem to ja wstałam pierwsza. Zostawiam jej wiadomość, w której tłumaczę, że muszę pojechać po mojego kuzyna. Zajeżdżam do siebie, żeby się przebrać. Postanawiam pojechać po Maksa rowerem z przyczepką. Chcę go przewieźć tak, żeby nie musiał wykonywać najmniejszego wysiłku. Będę się upierać, żeby Maïa pozwoliła mu jechać. Nie mogę się doczekać, kiedy znów będziemy wspólnie żyć. No i czeka go niespodzianka – w końcu bardzo lubi Annę.

Pedałuję z zapalem, ale bardzo uważam na hałasy i pojazdy. Nie czuję się najlepiej na tym rowerze. Przed wjazdem w każdą nową ulicę lustruję to miejsce przez lornetkę. W pewnej chwili dostrzegam kilkaset metrów przed sobą grupkę bardzo poruszonych kolesi. Nie wiem, czy się biją, czy zabawiają. Wolę zawrócić i zrobić duży objazd.

Dziś w nocy nie mogłam powstrzymać się od myśli o Annie. Czy nie ryzykuję, przyjmując ją w magazynie? Zmuszę ją do gry w otwarte karty. Teraz już za późno, ale myślę sobie, że nie powinnam była zapraszać jej do siebie. Mogłam zaproponować jej spotkanie gdzie indziej.

Dojeżdżam do squatu. Witam się z Jules'em, który wygląda, jakby czekał na moje przybycie. Chce, żebyśmy porozmawiali o zrobieniu rozpoznania. Obiecuję mu, że zahaczę o niego w drodze powrotnej, i wspinam się aż do mieszkania. Naprawdę nie mogę się doczekać spotkania z Makssem.

Maïa stoi przed drzwiami izby chorych, pogrążona w rozmowie z jakąś dziewczyną o jasnych oczach, z ogromnym opatrunkiem na prawym policzku. Czekam w oddali i uśmiecham się uprzejmie. Maïa się do mnie odwraca.

– Dzień dobry, Koridwen. Poznaj, proszę, Katię, to nasza Sadowniczka.

– Dzień dobry – mówię zwyczajnie.

– Max się wybudził i jest w pełni sił. Katia cię zaprowadzi.

Mam ochotę powiedzieć, że znam drogę i nie potrzebuję nikogo, ale to nie było pytanie. Sadowniczka kroczy przede mną korytarzem.

Max jest rozbawiony. Alicja, uratowana przez nas dziewczynka, siedzi obok niego i nuci mu coś na ucho. Max zauważa moją obecność dopiero po dłuższej chwili. Przytulam go. Jestem wzruszona.

– Miło mi widzieć cię w takiej formie, wielkoludzie – mówię, ściskając go.

– Dzień dobry, Kori... Do widzenia, Kori! – rzuca z uśmiechem.

Przez kilka sekund stoję nieruchomo. Odmawiam przyjęcia tego, co kryje się za jego ostatnimi słowami. Wtedy Max naciska:

– Do widzenia, Kori!

– Co? Chcesz, żebym sobie poszła, tak? Przyjechałam po ciebie. Wrócimy razem i...

Przerywam, bo Max wciąż przygląda mi się z uśmiechem. Nie dociera do niego moje zakłopotanie. Dziewczynka powraca, jak gdyby nigdy nic, do swojej tajnej narady z Makssem. Katia delikatnie chwyta mnie za rękę i wychodzimy na korytarz. Daję się tak prowadzić aż do salonu, gdzie dziewczyna zaparza herbatę. Do pomieszczenia wchodzi jakiś kot. Przygląda mi się kilka sekund, po czym idzie dalej swoją drogą. Pewnie wywąchał mój odstraszacz. Przez dłuższą chwilę nie jestem w stanie wydusić z siebie ani słowa. Nie mogę uwierzyć, że Max może odrzucać mnie w ten sposób. Jestem na granicy łez. Powinnam wziąć się w garść w obecności tych ludzi, których przecież nie znam. Zmuszam się, żeby podziękować Sadowniczce za życzliwość.

– Czyli zajmujesz się ogrodnictwem? Wiesz, pochodzę z Bretanii, jestem córką rolników. Ale my zajmowaliśmy się głównie hodowlą.

– A zostawiłaś komuś zwierzęta? – pyta spokojnie. – To zna czy, ktoś ich tam dogląda?

– Nie. Mam nadzieję wkrótce tam wrócić. Po 25 grudnia.

– Chcesz świętować Gwiazdkę z przyjaciółmi w Paryżu?

– Coś w tym stylu. Dziękuję za wszystko, Katia, pójdę już sobie.

Nadstawia mi lewy policzek, całuję ją na pożegnanie. Ta dziewczyna działa na mnie kojąco. W innym życiu z chętnie bym się z nią zakumplowała.

– Kiedy wrócisz?

– Nie wiem – odpowiadam.

Schodząc ze schodów, wpadam na Jules'a.

– Już idziesz? – dziwi się. – Sama?

– Max woli zostać z Alicją.

Jules coś do mnie mówi, ale go nie słucham. Nagle przybiera wesoły ton i pyta:

– To jak, kiedy pójdziemy do Conciengerie?

Nie chcę się przy nim załamać, więc zmuszam się do odpo wiedzi.

– Sama nie wiem, Jules. Teraz, w tej chwili, nie mam ochoty widzieć się z nikim. Chcę tylko zostać sama. Cześć.

Biorę rower, starając się zapanować nad złością, która mnie ogarnia. Jadę szybko, pomimo ciężaru przyczepki, dopóki nie poczuję bólu w nogach, potem w plecach. Tego właśnie szukam: skupić się na fizycznym cierpieniu, żeby nie myśleć o Maksie. Pójdę jutro do Conciengerie bez Jules'a. Wiem, że go zawiodę. Już tego żałuję.

Po powrocie do magazynu robię porządk i sprzątam w oczekiwaniu na przybycie Anny. Koło południa rozlega się pukanie do drzwi. Rozstałyśmy się raptem z dwadzieścia dni temu, a ja mam wrażenie, jakby to była wieczność. Anna wydaje się bardzo zmęczona, ale stara się uśmiechać. Wciąż ma na sobie moje ubrania. Ściskamy się pospiesznie. Nie czuję się zbyt komfortowo i ona to wyczuwa.

– Gdzie Max? – zaczyna.

– Ma się dobrze, ale nie ma go tutaj.

– A gdzie jest?

Nie podejmuję tematu i proponuję jej, żeby usiadła. Przyglądamy się sobie przez dłuższą chwilę. Anna najwyraźniej nie może się zdecydować, żeby zacząć. Oświadczam oschłym tonem:

– Jesteś mi winna wyjaśnienia. Jeżeli chcesz tu zamieszkać czy nawet tutaj przychodzić, muszę mieć do ciebie zaufanie. Nie możesz przede mną niczego ukrywać.

Anna spuszcza głowę. Być może spodziewała się cieplejszego przyjęcia. Ponieważ nadal milczy, mówię dalej:

– Zostałaś oznakowana, bo zrobiłaś coś poważnego. Nie uciekłaś z ich obozu, inaczej zrobiłabyś wszystko, żeby zneutralizować swoją pluskwę. Czyli to wojskowi cię wypuścili.

Czego zażądali w zamian?

– Nie wiem.

– Źle się to zaczyna. Jeżeli się nie postarasz, od razu możesz się stąd zwijać.

Anna zakrywa oczy dłońmi. W co ze mną gra? Wstaję, żeby otworzyć drzwi wejściowe i zaproponować jej opuszczenie lokalu. Już żałuję, że poznała mój adres. Ależ ze mnie idiotka!

– Dali mi ostatnią szansę. Uwolnili mnie i obiecali anulować zarzuty, jeżeli zgodzę się na współpracę. Następnie wyjaśnili, że jeżeli skorzystam z tego, żeby zniknąć, spróbuję zamaskować lub usunąć pluskwę geolokalizacyjną, to ruszą za mną w pościg i ostatecznie wyślą do więzienia.

– I do czego się zobowiązałaś?

– W sumie do niczego wielkiego. Pojechać do Paryża, zaprzyjaźnić się z ludźmi żyjącymi poza Z-Punktami i czekać, nie wyróżniając się, aż wojskowi się ze mną skontaktują, gdyby mnie potrzebowali. Jeszcze nigdy nie próbowali do mnie dotrzeć. Poznałam mnóstwo ludzi w takiej samej sytuacji co ja, do nich też nigdy się nie zwrócili. Według niektórych prawdopodobieństwo, że do tego dojdzie, jest praktycznie zerowe.

– To dlaczego was oznakowali i wypuścili?

– To sposób, żeby się nas pozbyć. Wojskowych jest za mało, żeby skutecznie nadzorować obozy, i mają ważniejsze zadania. Myślę, że wymyślili tę historię ze śledzeniem, żebyśmy czuli, że jesteśmy pod nadzorem.

– A co zrobiłaś, że cię skazali?

– Zostałam uznana za współwinną zabójstwa jednego żołnierza. Awantura, która przybrała zły obrót. Tak naprawdę nic nie zrobiłam.

To, co mówi, wydaje mi się spójne, ale zachowam czujność. Wcześniej czy później z pewnością zostanie wezwana i wystawi nas na niebezpieczeństwo.

Przez całe popołudnie opowiada mi o swojej drodze do Paryża. Na chwilę zamieszkała w społeczności mniej więcej dwudziestu osób obok Wersalu. Jej członkowie niedawno przegłosowali, że zgłoszą się do Z-Punktu, i Anna z dnia na dzień znalazła się na ulicy. Udało jej się przekonać jednego chłopaka, żeby z nią został, ale zabiła go dwa dni później jakaś uzbrojona banda. Przypomniała sobie, że mówiłam o Gentilly, i starała się nawiązać ze mną kontakt.

Opowiadam jej w skrócie niemiłe przygody mojego kuzyna. Anna ich nie komentuje. Dręczy mnie jedno pytanie, które ostatecznie zadaje jej wieczorem:

– W jaki sposób ci wojskowi mieli się z wami skontaktować?

– Nie wiem tego dokładnie. Mówili tylko, że nas znajdą. Ale jestem przekonana, że całkowicie o mnie zapomnieli i nigdy do tego nie dojdzie.

– Jeżeli rzeczywiście wierzysz, że to ściema, zrobisz mi tę przyjemność i tym razem zgodzisz się osłonić swój nadajnik folią aluminiową.

Wstaje i idę poszukać folii. Biorę też taśmę klejącą i kładę wszystko przed Anną, która waha się kilka sekund, po czym robi sobie szeroką bransoletkę.

– Kiedy jesteś ze mną albo u mnie, nosisz tę bransoletkę na ręce, rozumiano?

– Zrozumiano.

8 grudnia

Marek zagłąda rano. Nie widziałam go od dwóch tygodni, od naszej wspólnej nocy. Naprawdę nie wiem, jak się zachować. Marek raczej nie podziela tego nastroju. Całuje mnie chyłkiem, pobieżnie w usta, ale nie bierze w ramiona. Nie przyszedł tu z sentymentalną wizytą.

– Jesteś całkiem sama?

– Anna się myje. Chcesz się z nią widzieć?

Jestem przekonana, że zjawił się tu z jej powodu. Nie powinnam czuć się zawiedziona. Znam jego potrzebę kontrolowania wszystkiego. Przyszedł tylko po to, żeby upewnić się, że nic mi nie grozi.

– Myślisz, że długo jej to zajmie?

– Przy panującym chłdzie raczej mało kto ociąga się przy myciu.

– Uważasz na siebie, Kori? Nie wychodzisz za dużo? Dowiedziałem się, co się stało Maksowi. Lepiej już z nim?

W ramach odpowiedzi kieruję do niego dyskretny uśmiech. Jestem pewna, że Marek dowiaduje się na bieżąco od braci Kadi o wszystkim, co robię. Teraz ja go pytam:

– A ty? Interes się kręci?

– Sprawy się komplikują – wyjaśnia. – Tymczasowe władze zaplanowały totalne zamknięcie Paryża przed upływem tygodnia. Wojskowi ustawią blokady filtrujące przy wszystkich wjazdach i zabudują wszelkie możliwe przejścia do stolicy. Mam te informacje od starego kumpla, który został wcielony do armii. W tej chwili wojskowi przeczesują Z-Punkty i osiedla, żeby zrekrutować młodych do pomocy przy wprowadzaniu nowego prawa.

– A jak sobie będziesz potem radził ze swoim biznesem?

– Wyprzedzimy ich i przyszykujemy podziemia. Zresztą, jak chcesz wziąć w tym udział, to przyjdź. Będziemy potrzebowali rąk do pracy.

– Czemu nie? Muszę wypełnić czymś czas, a wysiłek pomaga mi za dużo nie myśleć.

– Świetnie, powiem chłopakom, żeby wpadli po ciebie wczesnym popołudniem.

– Dołączę do nich raczej jutro rano. Na dzisiejsze popołudnie mam inne plany.

– W stylu?

Waham się przed odpowiedzią. Nie będę mu opowiadać o spotkaniu z Khronosem i podróży w czasie.

– Nie chcesz mi powiedzieć?

– Yyy... chciałam pójść... yyy – mówię, szukając najlepszego kłamstwa.

– No dokąd?

– W sumie to nigdzie.

– Ukrywasz coś przede mną.

– Nieważne. Tunel dziś po południu będzie OK. Możesz potwierdzić Youssowi i Ibrze, że się zgadzam.

– Od razu lepiej. Czuję się pewniej, kiedy wiem, że jesteś z nimi. Ach, tak, zapomniałbym... Słyszałaś o nowych rozporządzeniach? Do 15 grudnia wszyscy muszą zgłosić się do Z-Punktów. Osoby, które będą bez pozwolenia kręcić się po mieście, zostaną zatrzymane. Paryskie niebo pokryje się dronami, które będą ściągać wyjętych spod prawa. Wątpię, żebyś miała dołączyć do stada, więc postaraj się przemieszczać w ukryciu.

Jestem oszołomiona tym, co właśnie mi oznajmił.

Wreszcie pojawia się Anna. Zawinęła włosy w ręcznik i ma na sobie jeden z grubych swetrów mojego ojca, który opada jej prawie do samych kolan. Po ich spojrzeniach orientuję się,

że już się znają.

– Nie muszę was sobie przedstawiać – mówię.

– Rzeczywiście, nie ma takiej potrzeby – zaczyna Marek. – Domyślałem się, ale chciałem się upewnić.

Wstaje, żegna się ze mną i wychodzi.

Anna informuje mnie, że byli przez kilka dni przetrzymywani w tym samym obozie wojskowym niedaleko Rennes.

– Nie lubię go – oświadcza spontanicznie, po czym się poprawia: – W sumie to twój przyjaciel, tak? ... Nie mów mi, że jesteście razem?

– W zasadzie to nie do końca. Nie chcę o tym mówić. Wyjaśnij mi, czemu go nie lubisz. Nic mu nie powiem, obiecuję.

– W obozie Marek starał się narzucić swoją wolę innym więźniom, co prowadziło do spieć. Wdał się w bójkę z moim chłopakiem i dał popis przemocy. On też jest oznakowany, wiesz?

– Był. Osobiście usunęłam jego pluskwę.

Po południu zgodnie z planem przyjeżdżają Youss i Ibra. Cieszę się, że towarzyszy im Kadi. Ubieram się w roboczy kombinezon mojego ojca i kozaki sięgające aż do kolan. Zabieram też kilka narzędzi: kilof, grabie i łopatę. Ibra jest wniebowzięty:

– Wszystko masz w tej naczepie!

– To specjalna przyczepa, Ibra, służy do przewozu zwierząt.

Anna dołącza do nas, chociaż reszta kieruje na nią nieufne spojrzenia. Na skwerze oddalonym jakieś pięćset metrów od mojego lokum spotykamy kilkanaście osób. Bracia przedstawiają mnie jako kuzynkę.

– Koridwen to zbyt rzadkie i zbyt rozpoznawalne imię – wyjaśnił mi Youss po drodze. – Gdyby dotarło do uszu wiesz kogo, nie pożyłabyś długo.

Dowiaduję się, że chłopaki z grupy należą do dwóch band, które postanowiły się sprzymierzyć, bo sytuacja je do tego zmusza. Wchodzimy do kanału i podążamy tunelem przez jakieś sto metrów. Zatrzymujemy się przed betonowym murem, który został przebity na szerokość osiemdziesięciu i wysokość stu pięćdziesięciu centymetrów. Stoimy teraz naprzeciwko ziemnej przegrody i usypiska.

– Według naszego rozeznania jesteśmy pod bramą cmentarza Gentilly. Inni na powierzchni przebijają dziurę w opuszczonym grobowcu, stojącym obok ściany ogrodzenia.

– Ten tunel będzie długi? – pyta Kadi.

– Najwyżej kilka metrów. Dziś w nocy zrobiliśmy najtrudniejszą część: przebiliśmy betonową ścianę wielkim młotem pneumatycznym, podłączonym do generatora prądu. Dosłownie tonęliśmy w pyłe. Teraz będzie łatwiej. Dlatego przekazaliśmy sprzęt tym na górze. Będzie trzeba usuwać ziemię i w razie potrzeby podpierać tunel.

– Ale dlaczego nie wykorzystają tuneli kanalizacji? – pytam Youssa.

– Domyślasz się pewnie, że wojskowi przewidzieli taką opcję. Zorganizowali montaż krat w podziemiach, które łączą Paryż z przedmieściami. W naszej okolicy nie musieli ich dużo montować, bo sieć kanalizacyjna miasteczka uniwersyteckiego i sieć stadionu są podłączone tylko do systemu Paryża.

Chwytam za kilof i atakuję ścianę. Pół godziny później zmienia mnie jakiś chłopak. Ja wtedy zajmuję jego miejsce w łańcuchu transportującym wiadra ziemi i gruzu. Praca się posuwa, ale niezbyt szybko. Nasze wysiłki wstrzymuje krzyk. Tunel się zapada. Zaniedbaliśmy kwestię podparcia. Zabieram się do tego razem z Kadi, Youssefem i Anną. Bale, które wynaleźli, wydają mi się trochę zbyt wiotkie. Trzeba je przyciąć na odpowiednią długość piłą łańcuchową. Youss

nie potrafi jej uruchomić. Pozwalam mu się pomęczyć, po czym proponuję:

– Pokażę ci, chcesz?

Youss podaje mi narzędzie i uśmiecha się.

– Tak jest, wyłóżliwaj się na mnie, kuzynko! To coś nie działa i tyle.

Chwytam za piłę i sprawdzam dopływ paliwa. Pociągam za sznurek, warkot rozlega się już za pierwszym razem.

– Mieliśmy taką w gospodarstwie – staram się przekrzyczeć hałas. – Miałam prawo jej używać, odkąd skończyłam trzynaście lat.

Kadi wybucha śmiechem. Youss z początku wydaje się trochę obrażony. Odcinam kilka kawałków z bala, po czym oddaję mu piłę – niech też się pobawi.

Klinowanie bali okazuje się dość skomplikowane. Działamy na wycucie przez jakieś pół godziny, zanim udaje nam się znaleźć dobrą technikę. Około osiemnastej przerywamy robotę. Po mieście zaczynają krążyć patrole i trzeba się gdzieś schronić.

Wracam z Anną do magazynu. Szykujemy coś do jedzenia. W przeciwieństwie do wczorajszego dnia, Anna odzywa się tylko wtedy, kiedy jest to absolutnie niezbędne.

– Coś nie gra? To przez Marka?

– Nie, nie o to chodzi. Nie martw się, to nic takiego.

Śpimy obok siebie, każda w grubym śpiworze. Anna bardzo się wierci podczas snu.

Wracam myślami do zdania, które Kadi wyszeptala mi na ucho na do widzenia:

– Powinnaś wyrzucić tę Annę. Jakoś jej nie czuję.

9 grudnia

Dziś rano jestem na nogach od szóstej. Anna zniknęła. Prawie mnie to nie dziwi. Czy na zawsze? Idę zrobić sobie coś do jedzenia i znajduję jej torbę porzuconą w kącie magazynu. Czyli jeszcze wróci.

Wracam myślami do Maksa. Gdybym posłuchała wewnętrznego głosu, pojechałabym po niego od razu. Powstrzymuje mnie tylko strach, że złamię mi serce, odmawiając znów powrotu ze mną. Czułabym się jak matka, która przez cały dzień marzy o chwili, gdy odbierze swoje dziecko ze żłobka. A kiedy w końcu dociera do celu, dziecko przywiera do opiekunki, bo nie chce wracać. Do bólu wywołanego zawodem dochodzi poczucie wstydu wobec tych, którzy przyglądają się całej scenie. Muszę przyznać, że jestem zazdrosna o uczucia Maksa do Alicji. Nie pojedę tam dziś, ale zastanowię się nad tym jutro. Z czasem Max się znudzi i ostatecznie ucieszy na mój widok. A wszyscy inni stwierdzą, że to do mnie jest tak naprawdę przywiązany.

Anna wraca tuż przez siódmą. Zaparzam herbatę, a ona siada obok mnie. Czuję, że coś ją gryzie.

– Wcześniej się dziś zerwałaś – stwierdza, siląc się na uśmiech.

– Jak widać. Gdzie byłaś?

– Wyszłam się przejść.

Czemu mnie okłamuje? Patrzę jej prosto w oczy. Anna rozumie, że niełatwo mnie nabrać. Powtarzam pytanie równie spokojnym i oschłym tonem:

– Gdzie byłaś?

Anna spuszcza głowę i przez kilka minut milczy. Wreszcie się poddaje.

– Byłam w Paryżu. Spotkałam się z wojskowymi, którzy żądali ode mnie informacji.

Wczoraj po południu, pamiętasz, kiedy kopaliśmy tunel, oddaliłam się mniej więcej na godzinę. Nie mogłam już znieść smrodu ścieków i chciało mi się wymiotować. Szłam prosto przed siebie, oddychając głęboko, żeby wyгнаć z płuc zepsute powietrze, ale mdłości nie mijały. Odeszłam jeszcze trochę dalej. Za zakrętem spostrzegłam grupkę gości, którzy kogoś kontrolowali.

Widziałam, że przyglądali się z bliska jego przedramieniu. Kiedy ruszyłam z powrotem, trafiłam na inny patrol, idący prosto w moją stronę. Pozbyłam się bransoletki z folii i wyszłam im naprzeciw. Jeden z nich niósł jakieś urządzenie, które służyło, jak podejrzewam, do namierzania i identyfikowania oznakowanych ludzi. Zażądali ode mnie, żebym stawiała się na blokadę pod obwodnicą w ciągu dwudziestu czterech godzin. Podkreślali, że mam nie informować otoczenia o tym wezwaniu. Ponieważ nic nie odpowiadałam, jeden z nich dorzucił groźnym tonem: „Nie masz wyboru... Anno”. Poczekałam, aż się oddalą, potem nadłożyłam drogi i wróciłam pod ziemię.

– Powinnaś była mi o tym powiedzieć. Mów dalej.

– Koło piątej stawiałam się na blokadzie i tam zajął się mną jakiś koleś. Zaprowadził mnie do jakiegoś pomieszczenia kilometr dalej w kierunku centrum Paryża. Tam czekał człowiek w pełnym kombinezonie. Jego głos był zniekształcony przez mikrofon. Musiałam mu opowiedzieć dzień po dniu i prawie godzina po godzinie wszystko, co robiłam od opuszczenia obozu. Pozwalał mi mówić i przerywał tylko, kiedy chciał zapytać o szczegóły.

– Podałaś mu moje imię i adres?

– Nie. Byłam bardzo ostrożna. Skupiłam się szczególnie na moim życiu w Wersalu. Podkreślałam, że w nowym otoczeniu nie znam prawie nikogo. Zmieniłam twoje imię i nie mówiłam ani o tunelu, ani o twoich przyjaciółkach, ani o ich interesach. Myślę, że dobrze z tego wybrnęłam.



– A potem?

– Wyciągnął zdjęcia różnych gości i pytał, czy któregoś z nich spotkałam w okolicy. Postarałam się nie wskazać twoich przyjaciół, z których większość figurowała w ich kartotece. Ale mam wrażenie, że oni wszystko już wiedzieli o sytuacji w tym sektorze.

– Co dokładnie im o mnie powiedziałaś?

– Że nazywasz się Marie, pochodzisz z Bretanii, że spotkałyśmy się po drodze do Paryża, że mieszkasz w magazynie w Gentilly, którego dokładnego adresu nie znam. To wszystko. Wiesz, on nie miał złego wyrazu twarzy. Z początku byłam spięta, ale potem się rozluźniłam. Mówił uprzejmym głosem, prawie przyjacielskim.

Moje wnioski i wrażenia dotyczące tego spotkania są całkiem inne. Równie dobrze mogła dać się zmanipulować. Postanawiam nie mówić Youssowi i Ibrze o tym zdarzeniu. Stało się i za późno już, żeby zaradzić sytuacji.

Dzisiaj zrezygnuję z wyprawy do Conciergerie. Nie chcę opuszczać przyjaciół, zostawiać ich, żeby kończyli tunel sami. Z pewnością spytaliby o powód, a ja nie mam ochoty go ujawniać. To ten kawałek mojego życia, którym nie chcę się z nimi dzielić.

Po południu w drodze na miejsce pracy informuję Annę o mojej decyzji:

– Anno, chcę, żebyś opuściła mój dom jak najszybciej. Wystawiasz mnie i moich przyjaciół na niebezpieczeństwo.

Anna przyjmuje cios. Dłuższą chwilę zajmuje jej wybąkanie słabym głosem:

– Dobrze, Kori. Czy pozwoliłabyś mi zostać jeszcze tę noc? Nie mam gdzie się podziać. Obiecuję, że odejdę jutro rano.

Po czterech godzinach pracy dostrzegamy słabe światło docierające z zewnątrz. Połączyliśmy się z kopiającymi na górze. Teraz pozostaje tylko wzmocnić tunel, skończyć usuwanie ziemi i zamontować drabinę. Jutro wieczorem całość będzie gotowa do użytku. Wracamy wyczerpani. Kadi chciałaby, żebym przyjechała do niej na noc. Zgadzam się z przyjemnością.

– Ale bez twojej nowej koleżanki – uściśla głośno.

Anna, która to usłyszała, odwraca się do mnie, zanim zdążę zareagować. Zmusza się do uśmiechu.

– Idź, Kori. Nie przejmuj się mną. Jedyne, o czym marzę tego wieczora, to położyć się spać.

Nic nie odpowiadam i odwracam wzrok.

Przygotowując posiłek, Kadi i ja staramy się unikać kłopotliwych tematów. Rozmowa dryfuje więc w kierunku naszych minionych miłości. Nie mam za dużo do opowiadania, ona też nie. Raczej sobie żartujemy, przypominając chłopaków, o których marzyłyśmy i którzy nigdy nie zwrócili na nas uwagi.

– Od czasu epidemii – wyjaśnia Kadi – mam wrażenie, że ludzie odważają się na więcej, są bardziej bezpośredni. Być może boją się, że się już nigdy nie spotkają, i nie chcą...

– ...niczego potem żałować.

– Dokładnie, Kori. Wreszcie widzą w nas piękności, którymi jesteśmy.

– Właśnie tak!

Ktoś puka do drzwi. Chłopaki idą otworzyć. Posłaniec mówi bardzo cicho, ale po jego tonie orientuję się, że nie przynosi dobrych wieści. Youss i Ibra zamieniają z nim kilka słów i pozwalają odejść. Kadi daje mi znak, żebym podeszła z nią do drzwi.

– No więc, co się stało?

– Marek jest przetrzymywany przez bandę Atylli w jednej z ich piwnic. Oskarżają go, że ich oszukał podczas ostatniej transakcji.

– A wy co o tym myślicie? – pytam.  
– Oczywiście to nieprawda. W biznesie, kiedy tracisz zaufanie, tracisz wszystkich klientów.

– To dlaczego Atylla tak mówi?

– Chce osłabić swojego głównego konkurenta, wzbudzając wątpliwości u naszych klientów – sugeruje Kadi.

– Musi być coś jeszcze. Wiemy, gdzie trzymają Marka, więc pójdziemy tam dyskretnie dziś w nocy i spróbujemy nawiązać z nim jakiś kontakt.

– Czy to rozsądne? – pyta siostra.

– Jest jak jest, tak czy inaczej – rzuca Youss.

Wciągają swoje porcje makaronu z sosem pomidorowym i zagryzają serkiem topionym, włożonym między dwie kromki przeterminowanego chleba tostowego, po czym odjeżdżają w noc. Przez dłuższą chwilę milczymy.

– Powinniśmy spróbować wcześniej się położyć – proponuje Kadi.

Czuję, jak ogarnia mnie zmęczenie. Trzeba z tego skorzystać. Podczas snu nie martwię się o innych. Być może śnią mi się najgorsze koszmary, ale nigdy ich potem nie pamiętam.

Kadi to szczęściara. Ledwo zamyka oczy, już śpi. Ja na to miast przeglądam w myślach listę żyjących, którzy się dla mnie liczą, lecz jestem daleko od nich: Max mnie odrzucił, Cindy utknęła w Dourdu z podejrzanymi typami, Marka uwięził szaleniec, a moje koleżanki są zamknięte w Salpêtrière jak w klasztorze. Przez ten czas Anna jest u mnie sama. Czy będzie, jak podejrzewałam podczas naszego pier wszego spotkania, grzebać w moich rzeczach?

10 grudnia

Chłopaki budzą mnie koło szóstej. Ibra ogłasza mi zmęczonym głosem:

- Będziemy potrzebowali twoich czarodziejskich eliksirów.
- Do czego konkretnie?
- Chcielibyśmy, żebyś wyprodukowała truciznę: mocną, po rażającą, natychmiastową.

Myślisz, że to możliwe?

- Nigdy tego nie robiłam, ale mogę spróbować. Na kiedy potrzebujecie?
- Na dziś po południu. Zajrzymy do ciebie koło siedemnastej.
- A poznaliście prawdziwy powód przetrzymywania Marka?
- Wyjaśnimy ci potem. Teraz odwiozę cię motorem i kładę się spać. Jestem totalnie

skonany, Koridwen.

Po powrocie do siebie korzystam z tego, że Anna jeszcze śpi, żeby zagłębić się w księgę z przepisami Mamm-gozh. To niewiarygodne, ile śmiertelnych roślin można dziś znaleźć wokół domu. Niektóre gatunki są mi znane z nazwy. Fiolki i saszetki mojej babki wystarczyłyby do wyeliminowania kilkuset osób. Na pierwszej stronie części *Receptury śmierci* moja babka zamieściła przestrożę skierowaną do mnie.

*Koridwen,*

*zabierasz się do zadania śmierci. Możesz tego dokonać tylko w trzech ściśle określonych przypadkach, a NADE WSZYSTKO, jeśli wypróbowałaś wszelkie inne rozwiązania, nawet najniebezpieczniejsze i najbardziej skomplikowane.*

- *Kiedy musisz ratować swoje własne życie.*
- *Kiedy musisz ratować życie członka rodziny.*
- *Kiedy musisz ratować życie osoby, z którą jesteś związana na zawsze.*

*Jeżeli to żaden z powyższych przypadków, zamknij tę księgę i módl się do sił z zaświatów, żeby pomogły ci w inny sposób.*

*Mamm-gozh*

*PS Jeśli mimo wszystko musisz to zrobić, załóż rękawice i wyrzuć je po użyciu.*

Marek nie spełnia żadnego z trzech kryteriów i nie jestem nawet pewna, czy rzeczywiście chodzi o ratowanie jego życia. Jednak znam psychikę Atylli i wiem, że z pewnością jest to ten przypadek. Przewracam powoli strony i przyglądam się szkodom wyrządzanym przez te śliczne rośliny: drgawki, tachykardia, śpiączka, zawał serca... Trzeba przyznać, brzmi strasznie.

Bardzo ostrożnie obchodzę się z flakonikami i saszetkami, które mają od środka jeszcze jedną warstwę plastiku. Pilnuję się, żeby ich nie wachać. Mój wybór pada na korzeń tojadu. Ucieram kilka gramów tej rośliny, a następnie miażdżę sześć wilczych jagód. Mieszam wszystko i dodaję kilka kropel źródlanej wody. Ta ostatnia wskazówka Mamm-gozh niemalże przyprawia mnie o uśmiech. Czy kiedy chce się kogoś otruć, nie można użyć wody z kranu?

Chowam mój preparat w szufladzie stołu roboczego. Zaparzam herbatę. Anna pojawia się, kiedy tylko rozlega się gwizd czajnika.

– Dobrze było? – pyta swobodnym tonem. – Był tam twój ukochany?

– Masz na myśli Marka, jak rozumiem. Nie, zatrzymano go po południu w wyniku donosu.

– Ach, tak? – mówi Anna, unosząc brwi. – Myślisz, że to może mieć związek z moim porannym przesłuchaniem?

– Jeśli wyglądało tak, jak mi opowiedziałaś, to nie. Teraz nie wiem, czy rzeczywiście powiedziałaś wszystko.

– Oczywiście, że tak, Koridwen. Wątpisz w to?

– Musisz przyznać, że ten zbieg okoliczności jest niepokojący. A poza tym wiem, że masz do Marka żal o to, co się stało z twoim chłopakiem, kiedy byliście razem w obozie pod Rennes.

Anna głośno wzdycha, po czym odchodzi i zamyka się w pokoju. Kilka minut później wraca z torbą na ramionach.

– Idę – rzuca. – Być może jeszcze się spotkamy.

– Nie wiem – odpowiadam zwyczajnie.

– Mówiłaś innym, że zostałam wezwana do wojskowych?

– Nie.

– Dziękuję.

Moi kumple przyjeżdżają koło wpół do piątej i siadają ze mną do stołu. Żaden nie chce mówić pierwszy. Przeczuję najgorsze.

– To z mojego powodu Marek jest tam przetrzymywany, tak?

– W zasadzie nie do końca.

– Ale jednak trochę tak. Wyjaśnij mi, proszę.

– Atylla dał się przekonać, że nie żyjecie – zaczyna Ibra – kiedy jego kolesie znaleźli zwęglone zwłoki w ruinach warsztatu. Niedawno ponoć dotarły do niego informacje o dziewczynie o długich rudych włosach...

– To niemożliwe! Zawsze wychodzę z włosami schowanymi pod czapką. Nawet jak jestem u siebie, to często mam je schowane. Przepraszam, Ibra, przerwałam ci. Mów dalej.

– No więc podobno dostał informację o rudej dziewczynie kręcącej się z bandą Marka w Gentilly. To dlatego porwał naszego szefa na samym środku ulicy i więzi go w piwnicy budynku niedaleko stacji Porte de Vanves.

– A te informacje ma niby od kogo?

– Prosto od władz. A władze podobno pozyskały je od zaprzysiężonego informatora.

I wszystko jasne. Anna. Dowiedzieli się od Anny. Wstyd mi za brak ostrożności. Staram się ukryć zmieszanie i mówię:

– I czego właściwie chce Atylla?

– Wymiany: ty za Marka.

– Pójdę tam. Nie martwcie się, czuwa nade mną dobra gwiazda i nie może mi się stać nic strasznego. Zawieźcie mnie tam natychmiast.

Moi przyjaciele przyglądają mi się wystraszeni. Wyraźnie nie mają zaufania do sił z zaświatów.

– Spokojnie, piękności – wtrąca Youss spokojnym głosem. – Marek ma plan. Zdaje się, że znalazł sposób, żeby otruć Atyllę. Mamy mu tej nocy dostarczyć specyfik. Jest gotowy?

– Mogę pojechać z wami?

– Zastanawiasz się czasami choć trochę? – unosi się Ibra. – Jeżeli ktoś cię rozpozna, to będzie dowód na to, że Marek skłamał. Zmasakrują go na miejscu.

Ich argument jest nie do zbitcia i muszę pogodzić się z tym, że zadziałają beze mnie, chociaż po raz kolejny to ja jestem źródłem ich nieszczęść. Wstaję i idę po preparat.

– To bardzo mocne – uprzedzam ich. – Wystarczy kilka kropel. Efektu nie można cofnąć. I jeszcze jedno: ta trucizna nie jest bezbolesna. Przed śmiercią mocno się cierpi.

– Dzięki, Kori, właśnie tego nam było trzeba. Chcemy, żeby ten wieprz cierpiał.

11 grudnia

Przez większą część nocy przewracałam się z boku na bok, żałując, że nie zdecydowałam się od razu spać u Kadi. Nie miałam odwagi wprasać się do niej w samym środku no cy, kiedy prawdopodobnie już zasnęła. Mogłybyśmy pocieszyć się nawzajem w naszych zmartwieniach i cierpieniach. A przede wszystkim wcześniej dotarłyby do mnie wieści o misji Youssa i Ibry.

Teraz wstaje świt, a ja nie spałam więcej niż trzy godziny. Koło czwartej obudziły mnie trzy następujące po sobie eksplozje. Wyszłam nawet na ulicę, żeby zorientować się, czy to gdzieś w pobliżu. W rzeczywistości dobiegały z dużo większej odległości, z pewnością kilkuset metrów. Wyobraziłam sobie, jak musiały się czuć osoby mieszkające tuż obok: jakby nastąpił wybuch atomowy albo bombardowanie.

Nie wytrzymam tego dłużej. Postanawiam iść do Kadi. W połowie drogi dociera do mnie gorzki swąd spalenizny, który wnika głęboko do płuc. Zbliżam się do jednego z pożarów. Dwa bloki mieszkalne są całe pokryte sadzą. W powietrzu unosi się również dziwny zapach przypominający benzynę. Kiedy docieram przed dom Kadi, nie muszę nawet pukać, żeby mi otworzyła. Domyślam się, że wyczekuje powrotu braci. Ściskamy się. Z pewnością mam tak samo zmęczone oczy jak ona.

– Nie rozumiem – zaczyna Kadi. – Mówili, że to tylko szybka dostawa. Zastanawiam się, czy nie padli ofiarą bomb zapalających, które helikoptery zrzuciły w nocy na osiedle gangu Ginkgos. Wiatr podsycił płomienie i skierował je w stronę sąsiednich domów. Ibra i Youss mówili, że wkrótce zacznie się wielkie czyszczenie przedmieść. Myślę, że mieli rację. Zgadnij, ile różnych pożarów widziałam z okien na górze w ciągu tej nocy.

– Powiedziałaś, że osiem.

– Skąd wiesz? Ty też wspięłaś się na dach, żeby przyglądać się temu piekielnemu spektaklowi?

– Nie, strzelałam. Przysięgam.

Słowa pieśni Mamm-gozh same pojawiają się w mojej głowie. Minęło już tyle czasu, zastanawiałam się, czy o mnie nie zapomniała. Do końca pozostały tylko cztery liczby, co stanie się potem?

– *Zaspiewaj mi sekwencję numer osiem, niech się jej dziś nauczę – prosi dziecko.*

*A druid mu odpowiada:*

– *Wieje osiem wiatrów; osiem wiatrów ognia w miesiącu maju na wojennej górze.*

Podobnie jak poprzednim razem, zasiadamy nad miską płatków śniadaniowych. Jak zapowiedziała Kadi kilka dni temu, zostały już tylko naturalne. Obydwie wahamy się chwilę przed rozpoczęciem jedzenia. „Jak zaczniemy, to przyjdą” – mawiał mój wuj, kiedy członkowie rodziny bardzo się spóźniali na jakiś posiłek. Unoszę do ust pierwszą łyżkę, wymawiając życzenie, żeby chociaż raz ta formułka zadziałała. No hej, Mamm-gozh, pokaż mi, że jesteś tam także od tego, żeby przynosić dobre wieści. Proszę.

Twarz Kadi się rozpromienia. Odwraca się i spieszy do wejścia. Jej bracia są już w środku. Cali pokryci pyłem, mają podkrążone oczy. Kadi bez chwili wahania rzuca się im na szyję.

– Dostaliście się pod bomby? Nie wolno wychodzić po godzinie policyjnej. To zbyt ryzykowne. Wojskowi są o wiele bardziej niebezpieczni niż dzieciaki w waszym wieku.

– Spokojnie, siostrzyczko – stwierdza Youss. – Niepotrzebnie się zamartwiasz. Dziś w nocy zrobiliśmy tylko to, co mieliśmy do zrobienia.

– A kiedy będziemy mieli jakieś wieści o Marku? – pytam.

– Nie wcześniej niż za dwa dni. Damy ci znać. A właśnie, mam nadzieję, że splawiłaś tę Annę?

– Poszła sobie wczoraj rano.

– Tym lepiej. Wiesz, że Marek chciał ją sprzątnąć?

– Dlaczego?

– Na pewno miał swoje powody. Powstrzymał się, żeby nie sprawić ci przykrości.

Przez plecy przebiega mi dreszcz. Chłopaki idą się umyć i kładą spać. My siadamy na kanapie porozmawiać. Kadi wrócił dobry humor, tymczasem ja jestem wstrząśnięta ostatnimi słowami jej brata. Kadi upiera się, żebym opowiedziała jej o moim życiu w gospodarstwie i przede wszystkim o doglądaniu zwierząt. Zwierza mi się, że dojenie krów zawsze ją fascynowało. Chciałaby kiedyś spróbować, a jednocześnie bałaby się, że zrobi zwierzętom krzywdę.

– Rzadko robiłam to ręcznie. Tylko kiedy dojarki się psuły albo ostatnio, kiedy odcięto elektryczność. Mogę cię kiedyś nauczyć, jak chcesz. Niedługo tam wrócę. Mogłabyś do mnie dołączyć. Ładnie tam jest. A przede wszystkim o wiele spokojniej.

To już trzeci raz, jak zwierzam się komuś z tego planu w ciągu kilku dni. Faktem jest, że myślę o tym coraz więcej. Brakuje mi Bretanii, gospodarstwa też. Stopniowo nasza rozmowa staje się mniej żywa. Coraz częściej trafiają nam się chwile milczenia. To zmęczenie nas dopada. Kadi kładzie głowę na moich kolanach i zamyka oczy. Czekam kilka minut, po czym wstaję i podkładam jej poduszkę pod policzek. Dla siebie łączę dwa fotele. Ledwo się na nich kładę, moje powieki same się zamykają.

Po przebudzeniu odkrywamy, że Ibra i Youss przygotowali jedzenie. Właściwie podgrzali dwie puszki soczewicy i otworzyli dwie inne z sardynkami. Soczewicy nie mam w swoich zapasach, więc cieszę się z takiego posiłku. Oświadczam wszystkim, że chcę się przebrać, a potem jadę po Maksa.

– I tym razem zabiorę go po dobroci albo siłą. Pokażę mu, kto tu rządzi.

– W której to dzielnicy? – pyta się Youss.

– Koło stacji Port-Royal.

– Kori, lepiej się tam dziś nie zapuszczaj. Według naszych kontaktów armia i jej nowi rekruci chcą się tam zgrupować, żeby zlikwidować squaty uzbrojonych po zęby gangów. Istnieje ryzyko, że będą strzelać, gdzie popadnie. Przykro mi. Twój kuzyn na pewno może poczekać jeden dzień dłużej.

– Masz rację – odpowiadam z ciężkim sercem.

Po powrocie do siebie snuję się jak cień. Chciałabym, żeby już było jutro, żebym mogła przyspieszyć czas. Idealnie byłoby zasnąć i nie myśleć o niczym. Kładę się i próbuję z *Ar Rannou*. Kończę wyliczankę, lecz nie odczuwam żadnego zmęczenia. Wstaję, żeby przejrzeć książkę z przepisami mojej babki. Co prawda nie znajduję tam spokoju, ale przynajmniej na chwilę zajmuję czymś głowę. Jak za każdym razem, babka proponuje rozwiązanie mojego problemu:

*Lekarstwo na sen*

*Wrzucić do pół litra bulgoczącej (ale nie wrzącej) wody po dwie płaskie łyżki następujących składników: liści chmielu, liści waleriany, liści męczennicy, kwiatów lawendy*

*i liści melisy. Dodać cztery łyżki alkoholu z dziurawca. Zostawić do naciągnięcia na dwie godziny z dala od światła.*

*Dawkowanie: jedna łyżka na jedną godzinę pożądanego snu.*

Filtruję mój napar, wącham go, po czym trochę słodzę. Szybko obliczam dawkę, jakiej mi trzeba. Smak jest dziwny i chce mi się od niego wymiotować. Natychmiast kładę się do łóżka i wślizguję do śpiwora. Moje powieki stają się ciężkie niemal od razu. Dziękuję, Mamm-gozh.



12 grudnia

Czy to był eliksir na sen czy na śnienie? Produkt uspokajający czy halucynogeny? Budzę się z głową kipiącą od scen i obrazów. Jest już po południu. Nie mogę się doczekać spotkania z Maksem. Spryskuję sobie twarz lodowatą wodą, a następnie połykam pół paczki maślanych ciastek. Nagle nasuwa mi się pewien pomysł. Muszę zachować jakiś ślad po tych snach, zapisać je, zanim wszystko zapomnę. Mamm-gozh znów do mnie przemówiła i być może skorzystała z okazji, żeby przekazać mi jakąś wiadomość. Chwytam długopis i zeszyt.

*Sen z 11 na 12 grudnia*

*Schodzę po schodach i zagłębiam się w mrok. Wchodzę do wąskiego korytarza. Rękami obmacuję ściany w poszukiwaniu drzwi i w końcu je znajduję. Otwierają się na małe pomieszczenie o białych ścianach, puste i bez okna. Zapalam świeczkę. Klękam. Widzę napis zrobiony ołówkiem na wysokości moich oczu. To ciąg cyfr. Kończy się na 1 (albo 7).*

*Inne schody, tym razem kamienne. Okno. Zawrót głowy. Zagłębiam się w pustkę. Ktoś mnie powstrzymuje. Kwadratowa wieża pomiędzy starymi budynkami.*

*Wreszcie Menesguen. Stare drzewo pośrodku pola. Przywieram do jego pnia, a ten mówi w nieznanym języku. Leżę z rozpostartymi rękoma pośród kwiatów, które smaga wiatr.*

Pedałuję maksymalnie szybko. Spieszy mi się. Ale im bliżej jestem celu, tym bardziej czuję, jak rośnie we mnie fala lęku. Nie boję się już, że Max mnie odrzuci. Tę myśl przegnałam z głowy kilka dni temu. Nie, boję się, że będzie... martwy, że znajdę tylko jego porzucone zwłoki wśród ruin, ciało wydane na pastwę żarłocznych szcurków. Czy to jeszcze jeden sen, który śnił mi się poprzedniej nocy, a teraz wychodzi na powierzchnię? Oczy mam zamglone od łez. Przez kilka sekund otacza mnie absolutna ciemność i nie wiem, co się wokół mnie dzieje.

Po przyjeździe przeżywam szok. Drzwi zostały wyważone, a pomieszczenia wyglądają na drobiazgowo przeszukane. Sprawdzam każdy kąt ze ściśniętym gardłem, lękając się znaleźć tam nieruchome ciało Maksa albo kogoś innego czy choćby ślady krwi. Nic. Squat jest opustoszały. Być może zostali aresztowani za posiadanie broni. Wracam myślami do słów Youssa o wojnie z uzbrojonymi gangami, do wypowiedzenia której szykuje się policja. Oni tworzyli tylko niezależną społeczność, która chciała przetrwać w pokoju.

Opadam na jakiś fotel, kompletnie przybita. Muszę wziąć się w garść i zastanowić. Gdyby chciano ich zatrzymać, broniliby się i znalazłabym ślady walki, dziury po kulach. Uciekli. Schronili się gdzieś indziej. A Max jest z nimi. Kręcę się przez dłuższą chwilę po korytarzach i pokojach, bez wyraźnego celu. Na co mam jeszcze nadzieję? Że zostawili mi jakąś wiadomość? Jak niby mieliby znaleźć na to czas?

Przed odejściem zaglądam do izby chorych. Szafy są powywracane, a ściany i podłogi przesiąknięte zapachem lepkiej mieszanki syropu i odkażacza. Siadam na łóżku, które zajmował Max. Chwytam jego poduszkę, żeby poczuć jego zapach i znaleźć się bliżej niego. Nagle w ręce wpada mi miniaturowy kawałek papieru. Rozprostowuję go i czytam:

*Spider Snake zmienia epokę. Pole minowe zajęte przez Wrogów. Następnym kontaktem na Twoim poziomie gry.*

Tak jak się domyślałam: przenieśli się i Jules wkrótce do mnie zajrzy.

Wracam do magazynu totalnie rozbita. Mam do siebie żal. Dostałam, na co zasłużyłam. Moja duma mnie zaślepiła. Powinnam była pojechać tam wcześniej. Za późno teraz, żeby cofnąć bieg wydarzeń, ale jestem zła na siebie.

Wracając, waham się, czy zażyć mój eliksir nasenny. Boję się, że nie usłyszę Jules'a, kiedy po mnie przyjdzie. Teraz będę żyła w niepokoju, że go przegapię.

Gdy zapada zmrok, z ulicy dobiegają mnie odgłosy. Wstaję i rzucam okiem na zewnątrz. To Youss.

– Gdzie Max? – pyta, wchodząc.

– Nie wiem. Squat był opuszczony. Przenieśli się, ale mają mój adres, muszę tylko czekać. A Marek?

– My też czekamy. Przyjedziesz do nas na noc? Kadi o ciebie pytała.

– A jeśli mój znajomy przywiezie do mnie Maksa dziś wieczorem?

– Od kiedy wprowadzili godzinę policyjną, a patrole przeczesują Paryż, wędrówki nocą stały się niemożliwe. Chyba że chodzi o takich zawodowców jak my. No chodź. Nie zostawaj sama.

Nie opieram się. Youss ma rację. Lepiej będzie mi u nich i wrócę tuż po wschodzie słońca. Wpycham kilka rzeczy i trochę żarcia do plecaka, a potem wsiadam na motor.

– Super! – wybucha radością moja koleżanka. – Pomyślałaś o wafelkach!

Około dwudziestej trzeciej do drzwi puka posłaniec. Przez kilka minut rozmawiają z Ibrą na ganku. Kiedy Ibra zamyka drzwi i odwraca się, już wiemy, że Marek nie żyje. Ta wiadomość rozwala nas wszystkich. Ibra chodzi w tę i z powrotem, jego brat siedzi i trzyma się za głowę. Mój żołądek skręca się z bólu. Czuję się winna. Kadi ściska mnie w ramionach przez kilka minut. Wszyscy czworo zbieramy się przy stole w kuchni i pijemy kawę z cykorii. Zazwyczaj nie lubię smaku tego napoju, ale dziś jego ciepło i gorzyc dobrze mi robią. Youss pierwszy przerywa milczenie:

– Nie poddał się. Umarł jak przywódca.

– Przysięgam, że go pomszczę – dodaje jego brat.

– Nie rób głupot – hamuje go Kadi. – Marek was kochał i nie chciałby, żebyście umierali, nawet za niego.

Bracia nic nie odpowiadają. Następnie Ibra wyciąga z kieszeni małą kulkę pogniecionego papieru i pcha ją w moją stronę.

– Napisał to dla ciebie.

Rozprostowuję miniaturową karteczkę i po cichu czytam.

*Kori, nie wyrzucaj sobie niczego. Sam wybrałem takie życie i znałem ryzyko, które się z nim wiąże. Żałuję tylko, że umieram tak wcześnie. Chciałbym móc świętować siedemnaste urodziny za tydzień z tobą i przyjaciółmi. Życzę ci wszystkiego dobrego. Zasługujesz na to. Chciałbym, żebyś czasem o mnie pomyślała.*

*Marek*

Moje oczy wypełniają się łzami. Kadi delikatnie głaszcząc mnie po głowie. Czemu służy moje życie poza ściąganiem nieszczęść na tych, którzy mnie otaczają?

13 grudnia

Chłopaki budzą nas przed świtem. Wykorzystali noc, żeby podsumować sytuację i zarysować scenariusze na przyszłość. Ja byłam w stanie tylko płakać nad swoim losem.

Kadi musi się spakować. Przyjeżdżają po nią kuzyni z prowincji. Może się u nich schronić. Youss i Ibra starają się nie sprawiać wrazenia, że składają broń i uciekają. Zamierzają bronić za wszelką cenę swoich interesów i reputacji. Teraz, kiedy zaczęło działać tajne przejście, chłopaki planują opuszczenie domku i przeprowadzkę do Paryża. Są przekonani, że ich siedziba stanie się celem ataku w najbliższych dniach.

– Śmierć przywódcy zawsze osłabia ekipę, nawet jeżeli nie brakuje następców. Tak przynajmniej wszyscy sobie po myśla.

Zbieram swoje rzeczy i mocno ściskam Kadi. Przez kilka minut tkwimy w tej pozycji, z oczami pełnymi łez. Wsuwam w jej dłoń karteczkę, na której napisałam mój adres w Bretanii. Kadi ją przyjmuje i stara się uśmiechać. W tej chwili ani ona, ani ja nie wierzymy w możliwość ponownego spotkania i prowadzenia kiedyś szczęśliwego życia. Żegnam się z chłopakami, którzy ściskają mnie przez krótką chwilę. Nie mam odwagi wypowiedzieć słów „do zobaczenia” i zamykam za sobą drzwi.

W domu myję się w lodowatej wodzie. Moja skóra cierpnie od chłodu. Czuję, jak rośnie we mnie ogromna złość, której nie mogę już w sobie zdusić. Mam żal do całego świata, a w pierwszej kolejności do siebie – za to, że jestem tak beznadziejna – oraz do sił, które zdają się kierować moje życie w stronę chaosu. Mamm-gozh, powiedz mi, proszę, że to nie potrwa długo! Bardzo cię proszę, Mamm-gozh!

Ubieram się, dygocząc. Moje ciało stopniowo się rozgrzewa. Wsuwam się do łóżka. Muszę się przespać.

Po przebudzeniu, godzinę później, czuję się inaczej, chociaż nie pamiętam, żeby coś mi się śniło.

W wydarzeniach, które wstrząsnęły moim życiem w tych ostatnich dniach, jest pewien sens: wszyscy ci ludzie, żywi lub martwi, którzy zniknęli z pola widzenia, zostali odsunięci po to, żebym została sama i skoncentrowała się na swojej misji.

Przyjechałam do Paryża dla Khronosa, na spotkanie 24 grudnia, bo chciałam w to uwierzyć, bo chcę w to wierzyć, bo powrót do przeszłości jest możliwy. Pozostało tylko kilkanaście dni, a ja straciłam dużo czasu. Muszę natychmiast wrócić do działania. Jeszcze tego ranka przedostanę się do środka Conciergerie, żeby dokonać wstępnego rozpoznania. Przygotować się na tę wielką chwilę to mój obowiązek.

Porządnie się ubieram – dla ochrony przed zimnem i żeby możliwie najlepiej ukryć swoją tożsamość. Plecak wypełniłam narzędziami: mam obcęgi, młotek, śrubokręt, nożyce do drutu, piłkę do metalu, cieńsze i grubsze żelazne pręty. Wsiadam na rower i ruszam w opustoszałe miasto. Unikam głównych arterii, bo na skrzyżowaniach często stoją czołgi. Nieustannie nasłuchuję nawet najcichszego podejrzanego odgłosu. Gdy przejeżdżam przez most nad Sekwaną, przez chwilę jestem na widoku. Czuję, że jacyś ludzie mnie obserwują, chociaż sama nikogo nie dostrzegam. Jadę wzdłuż Pałacu Sprawiedliwości i odkrywam wejście od strony nabrzeża. Okazuje się, że ciężka krata jest uchylona.

Schodzę z roweru, żeby ją pchnąć. Chwytam rower i prześlizguję się pod portykiem. Wchodzę na mały dziedziniec z mnóstwem pancernych drzwi i zakratowanych okienek. Pełno tu kamer monitoringu, przymocowanych pod wszelkimi kątami. Prawdziwy bunkier. Podejrzewam, że jestem na jednym z dziedzińców Pałacu Sprawiedliwości, co tłumaczyłoby takie środki

bezpieczeństwa. Mnie interesuje inne miejsce – wieża Zegarowa na rogu Conciergerie. Jednak bezpośrednio wejście do tego byłego więzienia, zamienionego dziś w muzeum, wychodzi na bardzo odsłonięty bulwar, gdzie szybko zostałabym dostrzeżona. Nożycami do drutu przecinam kratę w jednym z okien i wybijam szybę młotkiem. Wchodzę do pierwszego biura, którego drzwi zamknięte na klucz z łatwością otwieram. To pozwala mi przejść do drugiego identycznego pomieszczenia, potem do trzeciego. Blokuję przed zamknięciem trzy pary ciężkich metalowych drzwi. Dzięki temu łatwiej będzie mi wracać. Wreszcie wchodzę do ogromnej sali, która przypomina kość ciół z żebrowym sklepieniem.

– Styl gotycki – szepczę sama do siebie.

To z pewnością echa lekcji historii w podstawówce. W WOT można znaleźć podobne obiekty. To idealne miejsce na spotkanie rycerzy albo Ekspertów walki. Przebiegam promieniem latarki po wszystkich zakamarkach. Po starych schodach można wejść na piętra. Dość szybko znajduję dostęp do szczytu wieży Zegarowej. Z góry można oglądać panoramę miasta. Dostrzegam w oddali kwadratową wieżę z mojego snu. To znana budowla, którą widziałam już w książkach o Paryżu. Przypomina mi się jej nazwa: wieża św. Jakuba.

Schodzę z powrotem na dół, żeby obejrzeć resztę. Chcę zbadać szczegółowo to skrzydło budynku, a szczególnie piętra wieży Zegarowej znajdujące się pod cyferblatem. Najpierw ruszam na pierwsze piętro. Natrafiam tam na małe, prawie kwadratowe wnętrza o wysokim stropie. Dwa podłużne okna wychodzą na Sekwanę. To jakieś biuro, stoją tu metalowe szafy i dwa stoły pełne dokumentów. Schodzę piętro niżej, gdzie ulokowano pomieszczenia służące do przechowywania najróżniejszych sprzętów: zużytych kserokopiarek i starych komputerów, a także kartonów wypełnionych ryzami papieru. W podziemi docieram do miniaturowych pustych salek, pozbawionych naturalnego światła. To bardziej przypomina półmrok, w którym byłam zanurzona w moim śnie. Wchodzę do jednej z nich i przejeżdżam snopem światła po ścianach. Mój wzrok przyciąga napis wykonany ołówkiem na kartonowo-gipsowej płycie, metr nad ziemią. Kiedy próbuję go przeczytać, nagle zalewa mnie fala gorąca, a moje ciało łagodnie osuwa się na ziemię. Wypuszczam latarkę z ręki. Klęczę z czołem opartym o ścianę wśród papierów porozrzucanych po podłodze. Kilka sekund zajmuje mi dojście do siebie. Z trudem łapię oddech. Chwytam latarkę i wstaję. Muszę jak najszybciej wyjść, to miejsce mnie przytłacza.

Wracam tą samą trasą i dyskretnie wychodzę z budynku. Powietrze na zewnątrz dobrze mi robi. Droga powrotna trwa o wiele dłużej. Szybko dopada mnie zmęczenie i prawie spadam z roweru przy każdym najmniejszym wertepie. Nagle w na wpół zwęglonym budynku, który właśnie mijam, rozlegają się jakieś krzyki. Podskakuję ze strachu, ale nie jestem w stanie przyspieszyć. Czuję się nagle bezbronna w obliczu zagrożenia. Na szczęście nikt mnie nie atakuje. Ocierają się tylko o mnie dwie lub trzy sfory psów, lecz nie naprzykrzają mi się zbyt długo. Kładę się spać tuż po powrocie na miejsce.

Budzi mnie łomotanie do drzwi. Rzucam okiem na ulicę. To Anna, wygląda na bardzo zaaferowaną. Na dworze leje jak z cebra, a ona jest cała przemoczona.

– Nie martw się – zaczyna. – Nie zostanę. Chciałam cię tylko uprzedzić.

– O czym?

– Znowu wezwano mnie na przesłuchanie. Tym razem interesowali się tobą. Ponieważ mam wrażenie, że za pier wszym razem dałam się zmanipulować, teraz nic im nie powiedziałam. Natomiast dowiedziałam się, że znają twoje nazwisko: Le Guennec, osadę twoich rodziców: Menesguen. Chcieli wiedzieć, czy wspominałaś w mojej obecności o Dourdu, to taka wioska w Bretanii, i czy spotkałam w twoim otoczeniu pewną bardzo wysoką dziewczynę o jasnoszarych włosach i chłopaka o śniadej karnacji, z prostymi włosami. Pytali mnie, czy wyjaśniłaś mi, dlaczego przyjechałaś do Paryża, i czy miałas w planach powrót do Bretanii.

Przyglądam się jej bez słowa. Możliwe, że ci, którzy się nią posługują, wysłali ją, żeby przetestowała moją reakcję na te słowa. Kim są ci ludzie, z którymi mnie kojarzą, a których ja sama nie znam?

– Dziękuję – mówię zwyczajnie.

Anna wydaje się całkiem wyczerpana.

– Nie chcesz tu dziś zostać na noc? – proponuję jej. – Wyglądasz na skonaną, przeziębisz się.

– Nie, Koridwen, chcę mieć pewność, że więcej nie ściągnę na ciebie kłopotów. Ale masz racje, mam już dość. Poproszę, żeby wysłali mnie z powrotem do więzienia. Tak będzie prościej. Żegnaj, kochana.

Anna nie czeka na moją odpowiedź i wyslizguje się przez uchylone drzwi.

Cztery

14 grudnia

Wczoraj wieczorem przygotowałam sobie miskę bulionu w proszku z makaronem w kształcie nitek. Zjedzenie go sprawiło mi ogromną przyjemność. A przecież pamiętam, że kiedyś niezbyt go lubiłam. Tak jak w dzieciństwie, najpierw zjadłam całą zupę, a potem dobrałam się widelcem do makaronu.

Ponieważ nie mogłam zasnąć, pozwoliłam sobie na kilka łyżek eliksiru Mamm-gozh. Dzięki niemu przespałam siedem godzin z rzędu. Około piątej nad ranem usłyszałam jakieś strzały na ulicy, na którą wychodzą tylne drzwi. Nie poszłam tego sprawdzić. Schowałam się w „jaskini” Maksa, pod stołem z rysunkami gwiazd. Strzelanina trwała tylko kilka minut. Krzyki mieszały się z warkotem motorów lub samochodów. Zdawało mi się nawet, że słyszę energiczne stukanie do drzwi. Chwyciłam za broń i byłam gotowa jej użyć.

Potem nie mogłam już spać spokojnie.

Dziś rano jestem w lepszej formie niż wczoraj, jednak psychicznie nie czuję się najlepiej. W moim życiu zbyt wiele się dzieje i właściwie nad niczym nie panuję. Ubieram się i idę dyskretnie rzucić okiem na ulicę na tyłach budynku, żeby zobaczyć, czy po walkach z wczorajszej nocy zostały jakieś ślady. Uchyłam drzwi i jakieś dwadzieścia metrów po lewej dostrzegam trupa uwalanego błotem. To Anna.

Wracam myślami do tego stukania w drzwi. Anna szukała u mnie schronienia, a ja nie zareagowałam. Dlaczego zginęła? Czy mimo woli znalazła się w środku jakiegoś starcia, czy była jego celem? Wciążam jej ciało do środka i myję jej twarz gąbką. Przyglądam jej się, płacząc. Co mam z nią zrobić? Muszę jak najszybciej przygotować jej grób, zanim coś mi w tym przeszkodzi.

Na sąsiedniej posesji jest ogródek. Zaciągam tam Annę, wyznaczam łopatą prostokątną powierzchnię i zaczynam kopać. Gleba jest miękka. Poniżej pierwszych trzydziestu centymetrów robi się twardsza. Pocę się mimo chłodu. Wszystko mnie boli. Ale nie mam co się skarżyć, bo zasłużyłam sobie na ten ból. To zajęcie pochłania dużą część mojej energii, nie pozwala mi zbyt dużo myśleć. Wczesnym popołudniem kończę wyczerpana. Wbijam w ziemię krzyż, bardziej żeby zaznaczyć obecność grobu, niż przypisać Annie jakiegokolwiek wyznanie.

Zaraz zapadnie zmrok. Umyłam się i przebrałam. Tkwię przed czarką gorącej herbaty. Mam dreszcze i czuję się tak, jak bym miała gorączkę. Wkładam kurtkę i czapkę, ale nie przynosi to efektu. Nie daję rady oczyścić umysłu. Ile osób zginęło, bo spotkało mnie na swojej drodze? Nicolas i Camille, Marek i Anna. Ich życziwe spojrzenia mnie prześladowają. Jestem sama. Maksa wciąż tu nie ma, a ja nie umiem go odnaleźć. W żołądku mam wciąż rosnącą kulę i czuję, że za chwilę załamie się i poryczę. Przypomina mi to najgorsze chwile w Menesguen, kiedy pożądlawie spoglądałam na fiolkę z trucizną wyprodukowaną z lekarstw moich rodziców. Muszę zatamować tę falę przygnębienia. Mamm-gozh, Mamm-gozh, pomocy!

– *Moje dobre, piękne dziecko – mówi druid. – Cóż mam ci zaśpiewać?*

– *Zaśpiewaj mi sekwencję numer jeden, niech się jej dziś nauczę.*

– *Nie ma sekwencji o numerze jeden – odpowiada druid. – Wyjątkowa konieczność, Śmierć, ojciec Bólu, nic wcześniej, nic później.*

– *Zaśpiewaj mi sekwencję numer dwa, niech się jej dziś nauczę.*

Docieram do jedenastu, prawie krzycząc. Nigdy nie doszłam tak daleko. Czuję, że dziś to remedium mojej babki na nic mi się nie zda.

– *Zaśpiewaj mi sekwencję numer jedenście, niech się jej dziś nauczę – prosi dziecko.*

– *Jedenastu uzbrojonych kapłanów; przyszli z Vannes z połamanymi mieczami; ich szaty krwią zbroczone, podpierają się kulami...*

Podskakuję, bo ktoś gwałtownie puka do drzwi. Nie rozpoznaję kodu umówionego z Ibrą i Yousseem. Być może to ludzie Atylli, którzy przyszli wykonać na mnie wyrok. Zamieram w miejscu jak sparaliżowana.

– To ja, Jules, otwórz mi!

Nareszcie. Zanim go wpuszczę, biorę głęboki wdech. Zza metalowej bramy docierają do mnie pospieszne kroki. Przeczuję, że to pilne. Natychmiast przypomina mi się ciało Anny. Otwieram szeroko bramę. Jules nie jest sam. Prowadzi go jakiś brunet, a drugi gość wykręca mu rękę na plecach i trzyma lufę spluwy przy jego skroni.

– Wybacz, wzięli mnie z zaskoczenia.

Usuwać się, żeby zrobić im przejście. Teraz widzę, że to jakaś wysoka, szczupła dziewczyna grozi mojemu gościowi. U ich stóp ujada kaleki pies.

– Zamknij za nami, Yannis. A ty odsuń się dalej! – rozkazuje dziewczyna.

Wspomniany Yannis trzyma w rękach karabin szturmowy. Gdyby Jules nie był w niebezpieczeństwie, być może od razu spróbowałabym gościa rozbroić. Twarz dziewczyny wydaje mi się znajoma. Być może widziałam ją w jakimś Z-Punkcie albo może w liceum w Morlaix. To byłby niewiarygodny zbieg okoliczności. Najwyraźniej denerwuje ją to, że się tak przyglądam. RzUCA mi nienawistne spojrzenie. Z pewnością jest mocno zestresowana. Nie wyglądają mi na zbirów, których Atylla zatrudnia do brudnej roboty. Zwłaszcza że ci przy wypełnianiu swojej misji na pewno nie zawracaliby sobie głowy trzynogim psem. Wygląda na to, że na razie wymknęłam się mojemu prawdziwemu wrogowi. Ci tutaj przede wszystkim szukają schronienia. Pomimo realnego zagrożenia odczuwam ulgę.

Podchodzę do Jules'a, żeby zapytać o Maksa. Dziewczyna oschle każe nam się zamknąć. Mam dość tych wyglupów i nie dam sobie dłużej niczego dyktować. Prostuję się, żeby stanąć z nią twarzą w twarz. Moje zachowanie potęguje jej złość. Jeśli posunę się za daleko, ona nie zdoła się opanować. Muszę podkulić ogon i pomyśleć o tym, co się naprawdę liczy: Max, który mnie potrzebuje. A potem spotkanie z Khronosem. Dla osiągnięcia tych dwóch celów najważniejsze jest, żebym się zbytnio nie narażała. Muszę dotrzeć w jednym kawałku, pozostać przy życiu i jak najszybciej odzyskać wolność.

Na razie odpuszczam i pozwalam się zaprowadzić w głąb pomieszczenia. Koleś wiąże nam ręce za plecami i sadza pod ścianą. Dziewczyna oznajmia, że ona i jej kumpel są poszukiwani za zabójstwo i akt terroryzmu i że w celu zapewnienia sobie bezpieczeństwa nie będą się nad nikim rozczulać. Przyj mujemy to do wiadomości. Chłopak o imieniu Yannis wydaje się bardziej bać reakcji swojej dziewczyny niż naszych. Stara się ją uspokajać, mówi coś do niej łagodnie.

Bingo, już wiem, skąd ją znam. Nazywa się Stéphane. Rzadkie imię u dziewczyny. Nie mam już żadnych wątpliwości, to córka tej rodziny z Nantes, która mieszkała w osadzie Cindy. Z pewnością nie rozpoznała mnie – w tej czapce i tak daleko od rodzinnych stron. Przedstawiam się z nadzieją, że to trochę rozładuje napięcie. Dziewczyna podchodzi do mnie i przykłada mi lufę broni do czoła. Rozpuszcza moje włosy oschłym gestem i cofa się, żeby mi się przyjrzeć. Czuję, że kusi ją, żeby ze mną porozmawiać, ale się powstrzymuje. Domyślam się, co chce



wiedzieć: jej brat, matka – czy uniknęli katastrofy? Jak może to sobie wyobrażać? Nie chcę przeciągać tego oczekiwania. Staram się, by w moim głosie zabrzmiała pewność:

– Nie żyją. Twój brat i matka, razem z twoim ojczymem. Wszyscy troje.

Dziewczyna zaprzecza temu, co usłyszała, więc stawiam sprawę jasno:

– Jedna z moich przyjaciółek widziała ich ciała. Ja... tak mi przykro.

Stéphane jest zdruzgotana. Jak dziewczyna jej pokroju mogła wierzyć w taki cud?

Co za palanty! Trafiłam z Jules'em do jakiegoś schowka bez okien. Myślałam nawet, że nas zakneblują, bo ośmieliliśmy się poskarżyć. I po co to wszystko? Bo obawiają się, żebyśmy nie wydali ich władzom. Co oni sobie myślą? Że są pępkiem świata? Że nie mamy do załatwienia o wiele ważniejszych spraw? Skoro odmówiliśmy udania się do jakiegoś Z-Punktu z resztą stada, to chyba jasne, że my też wystrzegamy się sił porządkowych, no nie?

Nie wiem za bardzo, co mam myśleć o chłopaku Stéphane, przystojnym brunecie o imieniu Yannis. Coś mi mówi, że to łagodny typ, który próbuje zgrywać twardziela. Prawie przeproszał, że musi mnie związać.

„Kto ci każe, durniu? – miałam ochotę go spytać. – Nie jesteś wystarczająco duży, żeby decydować samemu?”

Już mam, znalazłam związek między ostatnim przesłuchaniem Anny i nadejściem naszych gości. Pewna „bardzo wysoka dziewczyna o jasnoszarych włosach” (ja powiedziałabym raczej: „mysich”) oraz „chłopak o śniadej karnacji, z prostymi włosami”. Policja na pewno badała wszystkie tropy. Śledczy ustalili, że moi rodzice i rodzice Stéphane mieszkali w tych samych okolicach w Bretanii. Według nich istniała możliwość, że Stéphane będzie szukała u mnie schronienia. Ta informacja mogłaby zainteresować naszych dwóch klawiszy. Sprzedam im ją, kiedy staną się bardziej uprzejmi. W razie najazdu glin ja mimo wszystko mam szansę się z tego wywinąć. Oni nie.

Siedzimy w całkowitej ciemności. Z początku nasi prześladowcy na zmianę starali się podsłuchiwać nasze rozmowy. Słyszeliśmy ich oddechy. Nie ustalaliśmy tego między sobą, ale i Jules, i ja milczeliśmy. Wykorzystaliśmy ten czas, żeby uporządkować trochę na ślepo pomieszczenie zawalone kartonami. Chodziło przede wszystkim o to, żeby poukładać je jeden na drugim i odepchnąć w głąb. Potrzebowaliśmy trochę miejsca, żeby usiąść albo się położyć.

Kilka minut temu sobie poszli, ale Jules przysnął. Poznają to po jego regularnym oddechu. Zimno mi. Rozcieram ręce i uderzam nimi o uda, ale efekt nie trwa długo. Nie dam rady tak zasnąć. Na szczęście po jakichś dwudziestu minutach Jules się budzi.

– Czyli co, znasz tę dziewczynę? – zaczyna.

– W zasadzie to słabo. Spotkałam ją w ostatnie wakacje. Jej matka kupiła dom w osadzie niedaleko mojego domu. Jej rodzice się rozeszli. Ona mieszkała z ojcem w Lyonie. Nigdy tak naprawdę z nią nie rozmawiałam. Miała już wtedy taki trochę gotycki wygląd, ale nie wydawała się groźna. Teraz jest kompletnie pocięta.

– Przy wszystkich Z-Punktach wiszą listy gończe z ich twarzami – informuje mnie Jules.

Czyli buntowniczka Stéphane o krótkich włosach i poważnym spojrzeniu, ten mieszczuch z Lyonu, weszła na drogę terroryzmu. Stała się sławna.

– Uprzedziłeś swoich kumpli, że idziesz do mnie? Na pewno będą cię szukać, nie? Być może są jakieś szanse, że nas uwolnią.

– Nie, nie powiedziałem im dokładnie, dokąd idę.

– Czyli musimy liczyć wyłącznie na siebie.

– Masz jakiś pomysł?

– Coś wymyślę. Jestem na swoim terenie. Mam przewagę. Opowiedz mi o Maksie.

Komuna Jules'a została zmuszona do ucieczki. Mój kuzyn bardzo źle zniósł zmianę

miejsca. Od kiedy tam jest, nie odzywa się do nikogo i przestał jeść.

Chociaż stan Maksa nie jest najlepszy, muszę przyznać, że czuję się pocieszona. To tylko kolejny kryzys. Bałam się, że mógł zrobić sobie krzywdę albo ściągnąć na nich poważne kłopoty. Jules relacjonuje mi, jak został namierzony przez Youssa i Ibrę przy wejściu na cmentarz, kiedy szukał sposobu na ominięcie blokad i przedostanie się do Gentilly. Po nieco szorstkim przesłuchaniu chłopaki na szczęście puściły go dalej.

– Przed chwilą, tuż przed tym, jak tych dwoje się na mnie rzuciło, słyszałem cię przez drzwi – kontynuuje Jules po chwili ciszy. – Recytowałaś coś jakby modlitwy...

– To nie modlitwy. To tylko taki tekst z moich rodzinnych stron, który sobie powtarzam, żeby się uspokoić.

– A o czym opowiada?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Tak, tak myślę. Tak czy inaczej, mamy czas.

To fakt. Zawsze byłam dumna z moich bretońskich korzeni i sprawia mi przyjemność, że mogę podzielić się trochę moją kulturą. Wyjaśniam tajemnicze pochodzenie tego tekstu i tematy, które podejmuje. Przywołuję również postać Mamm-gozh, która mnie go nauczyła.

– A tych jedenastu kapłanów w zakrwawionych szatach to kto?

– Z pewnością kapłani, którzy tysiące lat temu dbali o kult, posiadającego tajemną wiedzę, boga Dagdy. W zasadzie nikt tego nie wie. A dzisiaj każdy może w tym chyba widzieć to, co chce. Na przykład my, gracze Warriors of Time, moglibyśmy porównać celtyckich kapłanów do tych, którzy posiadają wiedzę, to znaczy do nas, Ekspertów gry.

– A ty myślisz, że ten tekst może przepowiadać przyszłość, na przykład to, co nam się przydarzy 24 grudnia o północy, kiedy spotkamy Khronosa?

– Nie... w sumie... nie wiem.

Nie wyobrażam sobie, że mogłabym mu się z tego zwierzyć. Jednak naprawdę wierzę coraz bardziej, że moje przeznaczenie mogłoby być związane z tym starym bretońskim tekstem. Gdybym opisała mu znaki, które odczytywałam od momentu opuszczenia Menesguen, uznałby mnie za wariatkę.

– Słuchaj, Jules, a gdybyśmy spróbowali się przespać? – proponuję. – Jeżeli chcemy jutro odegrać się na tej dwójce świrów, to musimy być w formie.

– Masz rację.

Kiedy się kładę, mój łokieć dotyka jego ramienia. Słyszę, jak tłumi krzyk bólu.

– Przepraszam. Nie myślałam...

– To nie twoja wina. Mam ranę na przedramieniu. Źle się goi.

– Pokażesz mi jutro. Wiesz, że jestem też trochę znachorką.

– Z miłą chęcią. Dzięki.

Jules przerywa ciszę po upływie kilku minut.

– Koridwen?

– Tak?

– Poszłaś tam ostatecznie, do wieży Zegarowej, rozejrzeć się przed spotkaniem z Khronosem?

– Tak, Jules. Opowiem ci o tym później. Teraz naprawdę chciałabym się przespać.

– Dobra.

W ogóle nie mogę zasnąć. Ostatnie słowa Jules'a przywołały w mojej pamięci obrazy z wyprawy do wieży Zegarowej, szczególnie te poprzedzające moment, kiedy prawie straciłam przytomność. Jak gdyby samo miejsce chciało mi powiedzieć: „To tam, Koridwen. Jest jak w twoim śnie. Znalazłaś to miejsce. To tam do tego dojdzie. Będiesz wtedy sama. Bez nikogo,

kto mógłby cię poprowadzić. Tylko ty, Koridwen, tylko ty”. Moje ciało przenika dreszcz, serce mi łomocze. Przyglądam się Jules’owi, który zasnął. Zazdroszczę mu.

Muszę znaleźć sposób, żeby wydostać nas stąd jak najszybciej. Z dwojgiem uzbrojonych napastników nie mamy szans. Słabym punktem pary wydaje się ten chłopak. Czułam jego zakłopotanie, kiedy mnie przeszukiwał, niezdarność, z jaką obchodził się z moim ciałem, żeby mnie związać. Widziałam też, jak się rumienił, kiedy patrzyłam mu prosto w oczy. Czyli jutro trzeba będzie liczyć na choćby chwilową nieobecność Stéphane, żeby przejść do ataku.

15 grudnia

Drzwi otwierają się o świcie. Nasi strażnicy prowadzą nas do umywalni i pilnują podczas mycia. Stéphane ma ściągniętą twarz, ale wydaje mi się mniej zdesperowana niż wczoraj. Grymas Jules'a podczas podciągania rękawa przypomina mi, że mój przyjaciel jest ranny. Dostrzegam bliznę w kształcie litery V pośrodku jego przedramienia. Podchodzę do niego i szepczę:

– Jules, dałeś się oznakować.

Jules przygląda się swojej ręce przestraszony.

– Ktoś musi mi to wyjąć. Natychmiast.

– Nie możemy o tym powiedzieć tym dwojgu, Jules, to zdecydowanie zbyt niebezpieczne.

Nie wiemy, jak mogliby zareagować.

– Morda w kubel! Zdaje wam się, że jesteście na letnich koloniach czy co?!

Niestety, wygląda na to, że wysoka panna się nie uspokoiła. Przechodzimy przez magazyn w kierunku biura. Stéphane i Yannis wyciągnęli żarcie z moich zapasów. Krzywię się na myśl, że dla rozrywki grzebali w moich rzeczach całą noc. Stéphane położyła spluwę przed miseczką. Podczas gdy my pijemy ciepłą wodę, ledwo zabarwioną rozpuszczalną kawą, dziewczyna wyjaśnia nam, że muszą jak najszybciej znaleźć laptopa z naładowaną baterią, żeby poznać zawartość pewnego pendrive'a. Potem znikną z naszego życia. Natychmiast przychodzi mi do głowy piwnica Kadi i jej braci, w której aż kipi od najróżniejszych towarów. Poza tym przy odrobinie szczęścia moi przyjaciele szybko zrozumieją sytuację i pomogą mi z niej wybrnąć.

Wykładałam mój plan, ale strażnicy nie pozwalają mi nawet skończyć. Od razu wyczuwają przekręt. Wtedy proponuję im wyprawę do pobliskiej szkoły, z której zabrałam przybory dla Maksa. Widziałam tam w salach lekcyjnych kilka laptopów. Musielibyśmy mieć pecha, gdyby okazało się, że żaden nie działa. Pomysł, żeby wyszabrować coś w szkole, trochę ich uspokaja.

Pójdzie ze mną Yannis. Czyli to dziś rano muszę wykorzystać szansę, która została mi dana, i odwrócić sytuację na naszą korzyść. Nasi nowi przyjaciele uzgadniają kod, który pozwoli Stéphane rozpoznać nas podczas powrotu. Następnie dziewczyna rzuca pod moim adresem jeszcze kilka gróźb. Wyraźnie mi nie ufa. Ma rację.

Wreszcie wychodzimy na powietrze. Yannis idzie za mną ze swoim psem i z pistoletem w prawej ręce. Staram się chować, żeby uniknąć dronów, które ścigają nastolatków na ulicach. Szkoła nie jest zbyt daleko. Przechodzimy przez plac zabaw – przez kilka sekund jesteśmy na widoku – po czym wchodzimy do szkoły przez kuchnię. Prowadzę Yannisa do klas pierwszaków. Wchodzimy do każdej sali, włączamy kompy, żeby sprawdzić stan baterii. Za trzecim razem się udaje. Yannis jest uradowany i szybko chowa sprzęt do torby. Muszę spróbować odebrać mu broń, zanim wrócimy. Rozglądam się w poszukiwaniu pomysłu i mój wzrok pada na trzy śnięte złote rybki, które żałośnie dryfują po powierzchni akwarium. Przyglądam im się, udając zamyśloną. Moja kumpela Cindy nazywała to „romantycznym spojrzeniem”.

– Kiedy byłam mała, też mieliśmy w klasie złote rybki – mówię łagodnym tonem.

To nieprawda. W podstawówce hodowaliśmy wyłącznie mączniki młynarki, brązowe insekty, które nauczyciel trzymał w głębi swojej szafy, bo robale nie lubiły światła. Między sobą nazywaliśmy je karaluchami. Czuję na sobie wzrok Yannisa. Odwracam się i patrzę mu prosto w oczy. Rumieni się. To jasne, że zrobiłam na nim wrażenie. W życiu nie pomyślałabym, że to możliwe.

Muszę zebrać się na odwagę. Tu i teraz. Najwyżej się wyglupię, jeżeli coś sobie

ubzdurałam. Uśmiecham się, robiąc krok w jego stronę. Wyciągam szyję w jego kierunku i podnoszę głowę, jak gdybym chciała podać mu usta do pocałunku. Yannis nachyla się w moją stronę i opuszcza broń w kierunku podłogi. Czuję jego słabość i zamierzam ją wykorzystać.

Ledwo dotknął moich warg swoimi, zabieram mu spluwę. Stoi jak porażony prądem. Cofa się. Wyczytuję na jego twarzy bardziej zawód niż złość. Jeszcze chwila i prawie byłoby mi wstyd. Celuję w niego z broni, a on jest mi posłuszny. Ruszamy z powrotem do magazynu. Kiedy tylko odwraca się do mnie plecami, nie mogę powstrzymać się od uśmiechu. Oczarowałam przystojnego bruneta, jak w jakimś filmie. Gdybym wiedziała, że to takie proste, spróbowałabym wcześniej z innymi. Jestem czarodziejką. Pies Yannis'a wyczuł zagrożenie, warczy i pokazuje kły, ale jego pan go uspokaja. Dobrze robi, bo chociaż lubię zwierzęta, to wiem, że człowiek ma prawo je zabijać, kiedy jest to niezbędne do jego przeżycia.

W drodze powrotnej Yannis stara się negocjować, ale nie naciska. Dziwię się, że ani przez chwilę nie próbuje odzyskać z powrotem przewagi. To prawie zbyt proste. Trzeba by się zastanowić, czy ta nowa sytuacja nie pasuje mu bardziej. Zbliżamy się do mojego lokum i będę musiała zagrać ostro. Yannis używa kodu, nie próbuje mnie wykiwać. Stéphane zna się na rzeczy. Zablokowała wejście, żeby opóźnić wtargnięcie ewentualnych agresorów. Yannis musi się mocno wysilić, żeby otworzyć bramę.

Stéphane od razu orientuje się w sytuacji, jeszcze zanim usłyszy moje słowa, wygłoszone pozornie swobodnym głosem:

– Niespodzianka!

Jednak zamiast podnieść ręce do góry, jak zakładałam w moim scenariuszu, chwytając za broń i sama też celuje nią we mnie.

– I nawzajem – rzuca.

Biorę głęboki wdech, próbując się uspokoić, ale to na nic. W dodatku moja prawa noga zaczyna dygotać. Nie przestając celować w głowę jej kumpla, szukam wzrokiem Jules'a. Siedzi osłabiony w kącie. Dociera do mnie, że Stéphane usunęła mu nadajnik. Dobry pomysł, dzięki temu unikniemy odwiedzin wojskowych. Stéphane pochłapała wszystko krwią. Panienska nie jest zbyt pedantyczna. Powinna była zrobić staż u mojej matki.

Yannis potrzebuje kilku sekund, by zrozumieć, że jego towarzyszka nie torturowała mojego przyjaciela. Zoperowany jest chwilowo wyłączony z gry. Szkoda, bardzo przydałaby mi się pomoc. Mierzymy się wzrokiem. Nie mam najmniejszej ochoty zabijać przystojnego bruneta, ale równie mocno nie chcę poddać się Stéphane. Jestem u siebie i musi mnie szanować. Sytuacja wydaje się patowa. Muszę z powrotem przejąć kontrolę. Staram się pokazać, że jestem cool, ale najwidoczniej nie wydaję się zbyt wiarygodna.

– Cóż, cóż, cóż. A może byśmy się trochę uspokoiły, droga Stéphane? W głębi duszy wiemy to obydwie. Nikt nie ma tu ochoty nikogo zastrzelić. W takim razie, chociaż jesteśmy trochę zdenerwowani i źle spaliśmy, trzeba spróbować się uspokoić. No, Yannis, zgadzasz się? Szkoda by było. Gdybyśmy byli w grze komputerowej, to strzeliłabym, nie wahając się ani sekundy. Ulżyłoby mi od tego i nie miałyby to większych konsekwencji. Ale tu, kiedy się zdechnie, nie ma się prawa do nowej gry. Grywałeś w coś, Yannis, przystojniaku, przed katastrofą? My z Jules'em byliśmy fanami WOT, nawet Ekspertami! Ach, mówi ci to coś, Yannis?

– Rycerz Adrial – oświadcza Yannis.

– Spider Snake – oznajmia Jules bełkotliwie.

– OK, w grze nazywałam się Lady Rottweiler – rzuca Stéphane jakby z niesmakiem.

Proszę, ona jedna wybrała sobie dobrą ksywkę. Teraz lepiej rozumiem, gdzie nauczyła się swoich wojowniczych sztuczek. Nasze awatary w grze często działały razem i nigdy nie

zdradziły jeden drugiego. Postanawiam zakończyć rozgrywkę, podejmuję ryzyko i kładę broń na ziemi. Jeden Ekspert nie może zabić drugiego, jeżeli ten jest nieuzbrojony. Tak to wygląda w grze... Zobaczmy, jak jest w prawdziwym życiu.

Stéphane, której wyraźnie ulżyło, też odkłada swoją spluwę na ziemię i rezygnuje z walki.  
– OK, koniec z wygłupami – rzuca do wszystkich.

Pytam Jules'a, jak się czuje. Najwyraźniej wysoka dziewczyna zna się na rzeczy, bo Jules nie wygląda, jakby mocno ucierpiał. Stéphane i Yannis ustawiają laptopa na jakiejś skrzynce wygrzebanej z magazynu. Pomagam Jules'owi zbliżyć się do ekranu. Dawno już nie widziałam działającego komputera. Stéphane podłącza pendrive'a, którego zabrali jakiemuś wojskowemu podczas ucieczki. Mają nadzieję, że dowiedzą się z niego, co zawierają ich kartoteki. Na pulpicie znajdują się liczne pliki, rzeczywiście opatrzone nazwiskami osób. Oni oboje są wśród nich. Stéphane klika plik Yannisa. Ukazuje się karta ze zdjęciami rodziny i jakiegoś budynku. W swojej teczce Stéphane znajduje potwierdzenie, że nie kła małam co do śmierci Nathana i jej matki. Po krótkiej chwili ciszy, kiedy czuję, że dziewczyna zaraz się załamie, Stéphane otwiera plik o nazwie PARYŻ/KHRONOS. Czyli śledczy interesowali się z bliska grą.

*Troje z czworga osobników podejrzanych w śledztwie kryminalnym, którego klasyfikacja się zmienia, poświęciło swoje ostatnie połączenia na zalogowanie się na forum gry sieciowej zwanej WOT. (...) Te połączenia wskazują na możliwe spotkanie w Paryżu, 24 grudnia, z innymi elementami kryminalnymi, nawet jeśli wiadomość animatora gry KHRONOSA jest mistyfikacją.*

Wiadomość jest mistyfikacją... Jeszcze kilka dni temu to proste zdanie sprawiłoby, że bym się załamała. Dziś już wiem, że rzeczywistość nie jest taka prosta, jak sobie wcześniej wyobrażałam. Jest jak puzzle, które trafiając na swoje miejsce, zmieniają obraz oczekiwany na starcie. Podróż jest prawdziwa, nawet bez Khronosa i całej otoczki z gry. Gdy się nad tym zastanawiam, wydaje mi się to całkiem normalne. Khronosa nie było w moim śnie.

Czuję, że chłopaki są totalnie poruszone. W przeciwieństwie do Stéphane, która czyta dalej na głos, tak jak nauczyciel durnym i nieświadomym uczniom:

*KHRONOS to awatar mistrza gry WOT. Chodzi o silnik gry typu Eugene Goostman (sztuczna inteligencja). (...) Jego zadaniem jest zarządzanie interakcją między graczami podczas ich podróży w czasie.*

#### **SPOTKANIE 24 GRUDNIA:**

*Według pracujących dla nas wiarygodnych osób zaproszenie do podróży w czasie złożone na forum przez silnik gry KHRONOS wynika z wielu alertów docierających do silnika podczas ostatniego tygodnia działania (awarie zasilania, wiadomości Ekspertów o zagrożeniu U4 interpretowanym przez silnik jako wirus komputerowy). Silnik gry jest w takim przypadku zaprogramowany, żeby wysłać wiadomość. Ta wiadomość nakłania graczy do resetu powodującego powrót do wersji, która rozpocznie rozgrywkę w czasie rzeczywistym tam, gdzie się ona zaczęła: 24 grudnia (rok nieznany, Wojna Kłamców) u stóp wieży Zegarowej.*

Itd. To jasne, Khronos zbugował, taka prawda.

Ponieważ niektórzy uczestnicy forum WOT, podejrzewani o wywrotowe i (lub) kryminalne zamiary, wykorzystali to forum do odnalezienia się w dniach, które nastąpiły po wybuchu epidemii, nie można wykluczyć, że to spotkanie, zwołane przez SI i pozbawione znaczenia, spowoduje mimo wszystko wysyp innych wywrotowych zgromadzeń...

Czyli armia będzie na spotkaniu 24 grudnia i każdy, kto tam pójdzie, podejmuje ogromne

ryzyko.

– Nie cofniemy się w czasie, chłopaki! Koniec marzeń! – ogłasza Stéphane tonem wyższości.

Ani Stéphane nie ma powodu do radości, ani inni do zawodu. O tylu rzeczach nie wiemy.

– Nie masz o tym pojęcia, Stéphane – rzucam do niej poirytowana.

Mam ochotę dodać: „I nie doprowadzaj chłopaków do łez, bo sobie na to nie zasłużyli”. Gdybym się nie bała, że poczują się przede wszystkim upokorzeni, wzięłabym ich w ramiona w ramach pocieszenia.

Pies Yannisa się denerwuje i to nie tylko dlatego, że jego pan się rozplakał. Na ulicy są jacyś ludzie – to z pewnością żołnierze poszukują naszej dwójki terrorystów. Powinnam była jednak poinformować Yannisa i Stéphane o ustaleniach glin na ich temat. Trzeba uciekać, ale z zachowaniem odrobiny rozsądku. Musimy zabrać ze sobą rzeczy niezbędne do przeżycia przez kilka dni. Postanawiam wziąć dużą torbę i wrzucam do niej żarcie, wodę, moje babcine eliksiry.

Zagrożenie staje się coraz poważniejsze. Moi towarzysze oczekują, że ich poprowadzę. Wychodzimy przez tylne drzwi na ulicę za budynkiem i przedostajemy się na podwórko sąsiedniej posesji, gdzie zawaliło się drewniane ogrodzenie. Zaprowadzę ich do kanału w warsztacie – tam, gdzie przetrwaliśmy pożar razem z Maksem. Nasz sektor jest częściowo spalony i niewiele ścian trzyma się jeszcze w pionie. Nikt się tam już nie zapuszcza. Zapachy spalenizny, oleju napędowego i rozkładu działają jak niewidzialna bariera między nami a psami żołnierzy.

Zanim tam dojdziemy, musimy wyjść z powrotem na ulicę i przejść nią jakieś pięćdziesiąt metrów, po czym przeciąć aleję. Nagle pojawia się przed nami dwóch młodych w mundurach. Ich rozgorączkowanie budzi strach. Są gotowi puścić w nas serię na najmniejszy ruch. Stéphane to zrozumiała i uspokaja atmosferę. Idę za jej przykładem. Jeżeli w najbliższych minutach nie przybędą posiłki, szybko wykorzystamy naszą przewagę. Yannis, który podpiera Jules’a, wciąż trochę otumanionego, nadchodzi tuż za nami ze swoim trzynogim psem. Przez chwilę trwa cisza, słyszymy, jak wszyscy pospiesznie oddychają.

Nagle Jules rzuca się jak szalony na jednego z tych chłopaków i powala go na ziemię. Kto by pomyślał? Yannis napuszcza psa na drugiego gościa. Już mamy ich z głowy, możemy wyciągnąć spluwy. Celuję z broni w kierunku kolesia, który z trudem trzyma się na nogach, ale nie mam odwagi nacisnąć spustu. A jednak tak trzeba. Musimy ich zneutralizować, żeby się zmyć, zanim okrążą nas inne patrole. Pada strzał. Jeden z mundurowych osuwa się na chodnik. Drugi jest ogłuszony. Biegniemy uliczką i przeslizgujemy się pod kratą. Jesteśmy na miejscu. Kluczemy wśród gruzu i metalowych belek poskręcanych od gorąca. Podnoszę jedną z płyt kanału i mówię im, żeby poszli za mną. Stéphane wchodzi jako ostatnia i zasuwa pokrywę. Zarządzam całkowitą ciszę. Ścigający za chwilę tu będą.

Siadam obok Yannisa. Stéphane opatruje ranę Jules’a. Pies, któremu nie podoba się mój zapach, oddala się od nas. Słyszymy ludzi kręcących się na powierzchni, ale nie bardzo blisko. Nikt się nie rusza, można by pomyśleć, że śpimy. Wkrótce pozwalamy sobie na szeptanie. Dociera do mnie, że rana Jules’a się otworzyła i chłopak cierpi.

– Mam bardzo skuteczny, naturalny środek uspokajający, jednak może on wywołać halucynacje. Wypróbowałam go na sobie.

– Wolałbym nie – odmawia Jules.

– Jest w płynie. Myślę, że działa również na psy.

Zdaje się, że dosłyszałam jakieś śmiechy. Pewnie biorą mnie za świruskę. Tym lepiej, skoro można tak rozładować atmosferę.

Z powrotem wszyscy pogrążamy się w ciszy. Każdy musi sam sobie wszystko poukładać,

zwłaszcza po rewelacjach na temat Khronosa. W moim przypadku wszystko zadziało tak, jak to wyjaśniono w raporcie. Wiadomość była zmyłką, przynętą, która miała zwabić mnie do Paryża, zachęcić myślą, że nawet jeżeli nic tam nie znajdę, to przynajmniej spotkam przyjaciół z gry. A potem, kiedy już ruszyłam w drogę, głos Mamm-gozh przejął tę rolę, zgodnie z nieuchronną kolejnością sekwencji *Ar Rannoù*. Musiałam zobaczyć znaki na własne oczy, żeby poczuć, że mam przed sobą pewną drogę i pozostaje mi tylko ją zaakceptować. Teraz jestem już gotowa.

Zostaniemy w tej dziurze co najmniej siedem godzin. Potem wykorzystamy półmrok, żeby wyjść i opuścić Gentilly. Następnie, kiedy tylko Jules wytłumaczy mi, gdzie to jest, zaprowadzę wszystkich do nowej kryjówki jego komuny drogą przez kanały i cmentarz. Nie mogę się doczekać spotkania z moim kuzynem.

Po fazie osobistych przemyśleń przechodzimy do etapu skruchy. Każdy przeprosza za przykrość, którą sprawił drugiemu. Zalewa nas fala braterstwa. Jest lepiej niż kilka godzin temu, kiedy groziliśmy sobie naładowanymi spluwami.

Yannis wreszcie nawiązuje ze mną rozmowę. Chce mnie poznać. Dobrze się składa, ja jego też. Pochodzi z Marsylii, a jego droga była długa i skomplikowana. Nie ukrywa przede mną, że zostawił za sobą kilka trupów. Nic nie dodaje. Nie wyobrażam sobie, że ja z kolei opowiem mu o wszystkich ludziach, którzy zginęli z mojego powodu.

Następnie Yannis idzie zaopiekować się Jules'em i Stéphane zajmuje jego miejsce. Mówi, że jej przykro z mojego powodu, bo przez nich wszystko straciłam. Nie chcę o tym myśleć. Przeżyłam i wkrótce znów zobaczę mojego kuzyna. Cała reszta to tylko przedmioty. Poza tym nie przekreślam opcji powrotu do magazynu po rzeczy za kilka dni. Zresztą, kto wie, co by się stało, gdyby tych dwoje nie przyszło? Być może razem z Jules'em zostalibyśmy zaatakowani po drodze przez ludzi Atylli i teraz bylibyśmy już martwi. Zapewniam ją, że ostatnie, czego bym chciała, to żeby mnie żałowała.

Stało się wszystko to, co miało się stać. Jak ona może myśleć, że to czysty zbieg okoliczności, że wpadli właśnie na mnie w tak gigantycznej aglomeracji jak Paryż? Czy panienka wierzy w przypadek? Ja nie. Mówię coraz bardziej jak moja babka.

– Czyli wciąż wierzysz, że można cofnąć się w czasie? – pyta mnie Stéphane.

– Czemu nie? I niekoniecznie musimy z góry brać za prawdziwe informacje, które pochodzą od władz. One również mogą kłamać albo próbować nas zwodzić.

Stéphane nie odpowiada, ale domyślam się, że moje słowa wywołują u niej uśmiech. Mimo wszystko postanawiam skonfrontować ją z tym, co ostatnio przeżyłam.

– Jak powstają sny, Stéphane?

– Sny są wytworami naszego mózgu. Obrazy czy sceny z naszych snów pochodzą z naszej pamięci, często z ostatnich dni, a czasem z bardzo odległych wspomnień. Do czego zmierzasz?

– Przeżyłam ostatnio coś, po czym zrozumiałam, że sny mogą także przepowiadać przyszłość.

– W bajkach tak, ale nie w rzeczywistości.

– Pozwól, że ci to opowiem, a potem sama ocenisz. Pewnego ranka obudziłam się z głową pełną obrazów. Nie zdarza mi się to często, więc postanowiłam zapisać to, co zapamiętałam. Opisałam tam szczegółowo pomieszczenie o białych ścianach, bez okien. Na jednej ze ścian, metr nad ziemią, znajdował się ciąg cyfr napisanych ołówkiem. Dwa dni później poszłam do wieży Zegarowej. Udało mi się dostać do środka i zbadłam dokładnie wszystkie pietra. W podziemiach weszłam do małego pomieszczenia, które było dokładnym odwzorowaniem tego ze snu, z cyframi w tym samym miejscu. Oczywiście domyślasz się, że byłam tam po raz pierwszy w życiu.



– Albo już tam byłaś, ale tego nie pamiętasz, albo zobaczyłaś to, co chciałaś zobaczyć.

– To znaczy?

– Nie opowiadałaś czasem przed chwilą, że testowałaś substancje psychotropowe? Twoja świadomość w odmiennym stanie wymieszała obrazy ze snu z rzeczywistością. Założę się, że jeśli tam kiedyś wrócisz, nie będziesz już mieć tego samego wrażenia.

Przywołuję teraz postaci Elwen i Erell, dwóch starych koleżanek Mamm-gozh, które pozostały przy życiu, ale mam wrażenie, że Stéphane ledwo mnie słucha. Trudno się z nią rozmawia. Nie jestem pewna, czy wciąż tego chcę. Podejmuję ostatnią próbę, przywołując wspólne wspomnienia: Bretanii, jej brata, ostatnich wakacji. Stéphane milczy. Z pewnością nie chce rozdrapywać ran w mojej obecności. Rozumiem ją i teraz to ja milknę.

– Wiesz, gdzie znajdują się ciała Nathana i mojej matki? – pyta nagle Stéphane.

– Moja koleżanka powiedziała, że były w lasu za ich do mem, razem z ciałem twojego ojczyma. Mam nadzieję, że zrobiła coś, żeby ochronić je od padlinożerców.

Zapada noc. Próbuję wyjść na zewnątrz. Delikatnie przesuwam płytę i wymykam się na górę. Temperatura nie różni się zbyt od tej na dole. Nie zapalam latarki i idę zgarbiona. Na skrzyżowaniu stoją czołgi. Patrole nadal przeczesują całą dzielnicę. Słysząc, jak się nawołują. Dziś wieczorem nie damy rady dotrzeć do wejścia do podziemi. Spędzimy noc w kanale w warsztacie. Moi towarzysze uważnie wysłuchują mojego sprawozdania. Nie przewidziałam takiej sytuacji i nie zabrałam swojego śpiwora. Będę marzła przez całą noc.

Yannisowi robi się mnie żal i stara się mnie rozgrzać. Pociera mnie energicznie. Efekt jest tylko chwilowy, ale doceniam, że się mną zajmuje. Stéphane przekazuje mi swój śpiwór. Zawijam się w niego. Od razu czuję się lepiej. Opieram się o Yannisa i kładę mu głowę na ramieniu. Być może wreszcie zasnę.

16 grudnia

Pora wyjść z kanału. Kolejny raz mnie ochronił. Pies wygląda trochę tak, jakby miał halucynacje, i dziwnie poszczekuje. Dziś w nocy, żeby zapobiec namierzeniu nas przez żołnierzy, namoczyłam kawałek drewna w środku nasennym Mamm--gozh i, nie pytając nikogo o zdanie, dałam go zwierzęciu do polizania. Potem już go nie słyszeliśmy.

Idę na przedzie. Ulice znów całkiem się wyludniły, panuje spokój. Docieramy na skwer w kilka minut. Wprowadzam wszystkich do kanałów. Nikt nie wydaje się zaskoczony ani nie zgłasza żadnych zastrzeżeń. Czy już to robili? Idziemy dalej praktycznie po ciemku, odprowadzani wzrokiem przez kilka spokojnych szczurów. Mój odstraszacz przeciera nam drogę. Po raz pierwszy korzystam z naszego tunelu, który prowadzi na cmentarz. Po wyjściu z niego przez chwilę jesteśmy na widoku. Przyspieszam kroku.

Przy pierwszym włączu do kanałów, na który natrafiamy po wyjściu z cmentarza, z powrotem zagłębiając się we wnętrzu ziemi. Jules objaśnia mi trasę. Z początku trzeba iść tą samą drogą co do Salpêtrière. Dziś rano nikt nie żartuje ani nie rozmawia. Zdaje się, że każdy ponownie zamknął się w swoim świecie. Kiedy wychodzimy na podziemny parking, Jules przejmuje prowadzenie. Jakiś nastolatek należący do jego komuny trzyma wartę na parterze wieżowca w 13. dzielnicy, który obrali sobie za siedzibę. Zna mnie z widzenia, więc pozwala mi wejść razem z Jules'em, który będzie negocjował pozwolenie na wejście dla Stéphane i Yannisa.

Poznaję ich nowe lokum. Zagospodarowali całe piętro i mają teraz kilka mieszkań. Cały czas trzymam się Jules'a, który wskazuje mi pokój Maksa. Witam się z Maïą na korytarzu. Mój kuzyn siedzi na podłodze, plecami oparty o ścianę, obejmując rękami kolana. Podchodzę do niego spokojnie i głaszczę go po głowie. Otwiera oczy. Zdejmuję płaszcz i biorę go w ramiona. Czuję, jak jego ciało stopniowo się rozluźnia. Max prostuje nogi przed sobą i kładzie mi ręce na plecach. Cicho płacze. Niemal idę w jego ślady. Szepczę mu do ucha:

– Jestem tu, mój ty wielkoludzie, jestem tu.

Nie usłyszałam wejścia Maï. Kuca przy nas i mówi do mnie cicho, neutralnym tonem, bez cienia wyrzutu.

– Doprowadził się do stanu wegetacji. Odmawiał jedzenia, nawet picia. Z początku wołał rodziców i ciebie. Potem zamknął się w swoim milczeniu. W końcu udało mi się namówić go do picia, ale tylko w małych ilościach.

– Bardzo ci dziękuję, Maïa. Mam do siebie żal, że go zostawiłam.

– Wszystko jest teraz dobrze, jesteś przy nim – odpowiada, dotykając czule mojego ramienia.

Maïa zamyka za nami drzwi. Siedzimy z Maksem spleceni przez długi czas. Staram się uwolnić, więc szepczę do ucha mojego kuzyna:

– Dam ci coś do picia, zostawiłam torbę obok drzwi.

Max mnie nie puszcza i czuję, że jego oddech przyspiesza.

– Nie wychodzę – tłumaczę mu. – Zostaję z tobą.

Max wypija łączywie pół butelki wody mineralnej, którą zachowałam z nocy. Zajada się moim ostatnim opakowaniem wafelków. Potem biorę go za rękę i idziemy poszukać jakiejś łazienki z zapasem wody. Namaczam myjkę, żeby go umyć. Max nie protestuje. Ubieram go w ciuchy, które ktoś położył na łóżku. Domyślam się, że mieszkańcy komuny przetrząsnęli szafy okolicznych mieszkań. Kiedy całuję go w czoło i szepczę, że teraz ładnie pachnie, Max stwierdza:

– Śmierdzisz, Kori.

Uśmiecham się. Trudno zaprzeczyć. Max zgadza się sam wrócić do pokoju, a ja w tym czasie pospiesznie się myję i przebieram. Rzucam okiem na zewnątrz. Znajdujemy się w wysokim wieżowcu, stojącym pośród innych na betonowej płycie, razem ze sklepami, dziś już porzuconymi.

Dołączamy do pozostałych, zgromadzonych w głównym pomieszczeniu. Witam się ze wszystkimi. Niektórzy chłopacy rzucają mi mało przyjazne spojrzenia. Jestem tą złą, która porzuciła kuzyna. Na szczęście jest tam Katia, która ściska mnie ciepło. Zdjęła już wielki opatrunek, który nosiła ostatnim razem. Teraz lepiej widzę rozmiar szkód.

– Za kilka miesięcy – mówię, patrząc jej prosto w oczy – będziesz mogła pójść na operację do specjalisty. Na pewno jakiś się gdzieś uchował, niechby i w armii. Tacy potrafią czynić cuda, wiesz.

– Prawdziwa z ciebie optymistka, Koridwen – stwierdza Katia, powstrzymując się od płaczu. – Dziękuję, że jesteś nią za nas dwie. Powiedz, zamierzasz tu z nami zamieszkać?

– Nie wiem, czy Jules wyjaśnił wam sytuację. Uciekliśmy z mojej kryjówki, która jest pewnie przeszukiwana przez żołnierzy. Cała dzielnica Gentilly została wyczyszczona. Nie będę mogła wrócić tam w najbliższym czasie. Od jutra zabieram się za szukanie nowego schronienia, ale na pewno tu w pobliżu, być może na którymś z pięter tego budynku.

– Tak, to byłby dobry pomysł.

Max rozsiadł się w kuchni. Chyba dalej jest głodny. Katia proponuje, że zrobi mu makaron.

– Dziękuję – odpowiadam. – Zajmę się tym. Gdzie jest Alicja?

– Ta wysoka z szarymi włosami...

– Stéphane.

– Stéphane ją bada. Chce zrozumieć, w jaki sposób dziecko w jej wieku mogło przeżyć epidemię.

– Czemu, zna się na tym?

– Najwyraźniej. Jej ojciec jest wirusologiem, a ona sama brała udział w badaniach w Lyonie.

Mała do nas dołącza, bez pytania moszcząc się na kolanach Maksa. Uśmiechają się do siebie. Yannis siada obok mnie bez słowa. Przygląda mi się po kryjomu. Można by powiedzieć, że mnie adoruje. Może przemawia przeze mnie zarożumiałość, ale naprawdę mam takie poczucie. To dla mnie coś nowego i jest mi przyjemnie. Kiedy tylko kieruję na niego wzrok, spuszcza oczy. Wołałam go w naszym tunelu, w zimnie, byliśmy wtedy mniej zakłopotani.

Do kolacji siadamy wszyscy razem. Dostrzegam jakąś blondynkę, której wcześniej nigdy nie widziałam. Stéphane zniknęła. Według Jules'a, utrzymywała, że musi „ratować pewnego przyjaciela w wielkim niebezpieczeństwie”. Nie wiem, czy to prawda i czy Yannis w to uwierzył, ale dziś wieczór wydaje się zaaferowany. Mogę zrozumieć, że czuje się skołowany, skoro tak gwałtownie opuściła go przyjaciółka. Tej nocy najpierw zajmę się Maksem, a potem, jeżeli Yannis nie będzie mógł zasnąć, pójde do niego, żeby go pocieszyć. Uśmiecham się do siebie na tę myśl. Muszę przyznać, że ten chłopak mnie pociąga, choć nie jestem w nim zakochana. Myślę, że najbardziej kręci mnie w nim to, że się mną interesuje.

Słucham rozmów innych i dostrzegam, że wypowiadają się przede wszystkim faceci, szczególnie Jérôme, który wygląda na ich przywódcę. On i jeszcze jeden Vincent grali w WOT przed katastrofą, ale nie doszli do poziomu Ekspertów. Jules informuje ich, co tak naprawdę ukrywa się pod imieniem Khronos. Mówi, że armia prawdopodobnie przybędzie 24 grudnia na spotkanie, o którym, zdaje się, już im opowiadał. Jérôme i Vincent najwyraźniej chcą tam pójść mimo wszystko, ale nie wiem, w jakim celu. Cieszę się, że nie pytają mnie o zdanie na ten temat.

Po raz kolejny wysłabym na dziwaczkę.

Śpię w pokoju razem z Maksym. Śpiewam mu smutne piosenki, które u nas w Bretanii nazywamy *gwerz*. Mój kuzyn dość szybko zasypia. Myślę o Stéphane, która pewnie błąka się samotnie po ulicach. Nie zazdroszczę jej. Dziś wieczorem jestem zadowolona, że śpię w cieple. Ta dziewczyna jest do mnie podobna i jestem pewna, że w innych okolicznościach mogłybyśmy być jak siostry. Jednak potrzebowałybyśmy więcej czasu, żeby każda odważyła się pokazać, jaka jest naprawdę. Jeżeli już jej więcej nie zobaczę, będzie mi żal.

17 grudnia

Po trzech godzinach wiercenia się na materacu i wzdychania łamię się. Gdybym była u siebie, mogłabym wziąć mój środek uspokajający. Tutaj boję się, że będę śnić zbyt intensywnie i obudzę innych. Jakby tego było mało, Max rozpoczyna spektakularny koncert chrapania. Wstaję i zawijam się w śpiwór. Wychodzę z małego mieszkania zaadaptowanego na izbę chorych i idę do większego, w którym ulokowała się większość członków komuny. Idę jak najciszej, żeby nie obudzić tutejszych mieszkańców, śpiących to tu, to tam. Przemykam aż do głównego pomieszczenia. Przywieram do tafli szkła i podziwiam widok. Ten szarawy ogrom może przywołać na myśl ocean. Deszcz, który spływa po szybie, przypomina mi moją Bretanię. Paryż jest wygaszony. Już nie jest miastem światła.

Zawijam się w śpiwór i kładę na kanapie. Jedna z *gwerz*, które śpiewałam Maksowi, tłucze mi się po głowie. Podśpiewuję ją mimowolnie. Opowiada historię biednej dziewczyny, która na próżno wyczekuje powrotu swojego ukochanego. On wyruszył walczyć z morzem i jego potworami. Dziewczyna boi się, że jakaś zła syrena rzuci urok na jej ukochanego i pociągnie go w głębinę oceanu. Z zamkniętymi oczami skupiam się na słowach. Przypominam sobie jakieś urywki refrenu po bretońsku. Z pewnością zniekształcam niektóre słowa, ale nic sobie z tego nie robię. Tutaj, w tej chwili, czuję się spokojna. Zapominam o chłódzie. Prawie że wracam do domu.

Otwierają się drzwi do mieszkania i pojawia się w nich Yannis. To on byłby moim bohaterem wyłaniającym się z otchłań. Siada obok mnie z uśmiechem na ustach. Chyba przetrwał już odejście swojej przyjaciółki.

– To... to tylko ja – zaczyna.

– To też tylko ja – odpowiadam.

Jakie to romantyczne! Zapraszam go do śpiwora, żeby mógł się ogrzać. Yannis tylko na to czeka. Jego obecność sprawia mi przyjemność. O nic go nie pytam, żeby nie zepsuć tej chwili. Żadne z nas nie wychodzi z inicjatywą pocałowania drugiego. Dziś wieczór wystarcza nam ta zwyczajna bliskość. Wreszcie dopada nas zmęczenie i każde wraca do swojego pokoju na resztę nocy.

Mój kuzyn budzi się koło siódmej. Przechodzimy do kuchni. Jérôme i Vincent już tam są. Witam się z nimi, ale żaden mi nie odpowiada. Myślę, że nie wybaczyli mi porzucenia Maksa u nich na tak długo. Utwierdza mnie to w przekonaniu, że muszę jak najszybciej znaleźć dla siebie jakieś miejsce poza tą komuną. Przychodzi Jules i uśmiecha się do mnie. Całe szczęście, że on tu jest. Yannis przybywa jako ostatni i oświadcza, że już dziś musimy udać się do Conciergerie. Pozostali są niezdecydowani. Obawiają się patrolujących dronów, z którymi będzie trzeba się zmierzyć na zewnątrz. Proponuję im, że pójdę i namierzę jakąś trasę tunelami metra i kanałami. Jérôme ostatecznie zarządza, że jutro udadzą się do wieży Zegarowej, jeżeli do tego czasu znajdę im jakąś drogę. Yannis chciałby mi towarzyszyć. Udaję, że nie dosłyszałam, bo wolę pójść tam sama.

Kilka minut później jestem już na dworze. Prawie na czworakach docieram aż na brzeg betonowej płyty. Wychylam głowę za murek. Starannie obserwuję okolicę, zanim zaryzykuję zejście po schodach na ulicę. Wchodzę na stację metra Olympiades. Dociera do mnie, że niedawno musiała być sceną brutalnych walk. Każda banda zabrała swoich zabitych, ale nikt nie pomyślał o wyczyszczeniu śladów krwi i teraz podłoga trochę się klei. Sprawdzam plan metra. Trasa jest łatwa do zapamiętania. Pójdę wzdłuż linii 14 aż do Châtelet, potem skieruję się czwórka aż do stacji Cité. Zagłębiam się w tunel w kierunku centrum Paryża. Idę po podkładach,

a za jedyne towarzystwo mam odgłos moich podeszew stukających o drewno. Oszczędzam latarkę i zapalam ją tylko na skrzyżowaniach. Robię sobie przerwy, żeby upewnić się, że ciszy nie przerywają żadne dźwięki poza piskiem kolonii szczurów, które rozpanoszyły się wszędzie.

Tuż za peronami Cour Saint-Émilion natrafiam na jakichś czterech gości. Z daleka słyszę, jak nadchodzą, więc mam czas na znalezienie sobie kryjówki. Nie starają się być dyskretni, rapują coś albo się wygłupiają, wydając zwierzęce okrzyki.

Prawdziwe niebezpieczeństwo pojawia się trochę później, na stacji Gare de Lyon. Dostrzegam dużą grupę nastolatków wyposażonych w latarki, w towarzystwie psów. Idą dwójkami i noszą odbłaskowe opaski. Słyszę, jak zwraca się do nich ktoś dorosły, z pewnością wojskowy. Wyznacza im strefy do przeszukania. Mają skorzystać z gwizdka, gdyby usłyszeli jakikolwiek podejrzaną odgłos. Wciskam się w jakąś wnękę i modłę się, żeby odstraszyć Mamm-gozh zadziałał. Dwóch kolesiów patrolujących mój tunel spokojnie rozmawia. Opowiadają sobie anegdoty o polowaniach na ludzi – to ich codzienne zajęcie. Rozkoszują się opisywaniem najbardziej odrażających zdarzeń. Daleki dźwięk gwizdka urywa ich ohydny rozmowę. Zwijają się, nagle bardzo podekscytowani, żeby ruszyć w pościg za „zwierzyną”. Czekam jeszcze kilka minut, zanim się oddalę.

Stacja Châtelet jest ogromna. Długie korytarze łączą różne linie. Czuję się tu mniej bezpieczna niż w tunelach, bo gładkie ściany nie dają żadnej możliwości schronienia.

Wreszcie docieram do celu. Odnajduję swoją pozycję na planie dzielnicy wiszącym na stacji. Jestem tuż obok Pałacu Sprawiedliwości, ale na równoległej ulicy. Wychylam głowę na zewnątrz. Spokój. Dostrzegam najbliższy wjazd do kanałów, otwieram go i schodzę po metalowej drabinie. Zapamiętuję kierunek i zagłębiam się w podziemne ulice. Idę wzdłuż Conciergerie, skręcam w lewo za rogiem, tuż obok wieży Zegarowej. Podnoszę pokrywę wjazdu i stwierdzam, że jestem kilkadziesiąt metrów od wewnętrznego dziedzińca, przez który weszłam kilka dni wcześniej. Misja wykonana. Mogę ruszać z powrotem.

W drodze powrotnej, między dwiema stacjami, tam, gdzie mrok jest najgęstszy, wyczuwam obecność człowieka. On ma te same odruchy co ja: przy najmniejszym hałasie się chowa, zamiera w bezruchu i czeka, aż ten drugi ruszy. Teraz, jeżeli żadne z nas dwojga nie zdecyduje się na ruch, spędzimy tu całą noc.

- Nie szukam zaczepki – mówię w przestrzeń. – Chcę tylko iść dalej swoją drogą.
- Ja też – odpowiada ten drugi. – Pokaż się pierwsza i...
- Nie, ruszymy jednocześnie i minimy się, zachowując dystans.
- OK, zrobimy to spokojnie. Uwaga, jestem uzbrojony i zastrzeliłem już kilka osób.
- Ja też.

Wstaję i robię kilka kroków w przód. Słyszę, że on robi to samo. Jesteśmy dwa metry od siebie. Dostrzegam jego sylwetkę i kieruję w jego stronę pistolet. On wycelował we mnie swój. Nie dostrzegam jego twarzy. Mijamy się i każde przyspiesza kroku. Już po wszystkim. Żyję. Biegnę aż do wejścia budynku, w którym mieszka komuna Jules'a.

Dołączam do pozostałych i składam im szczegółowy raport. Zgadniają się, żebym zaprowadziła ich na miejsce jutro o świcie. Mijam się z Maksem, który ledwo obdarza mnie spojrzeniem. Bawi się z Alicją. Na pewno cieszy się, że znów tu jestem, ale nie ma najmniejszej ochoty spędzać ze mną czasu. Jestem zawiedziona. Wróciłam tu tylko dla niego.

Wychodzę na klatkę schodową w poszukiwaniu jakiegoś mieszkania tylko dla siebie. Chciałabym móc tam gościć Maksa albo Yannisa. Przyznaję, że przez cały dzień myślałam o tym drugim wiele razy. Dwie ostatnie noce spędziliśmy obok siebie, pod tą samą kołdrą. Czy dziś wieczór zrobimy krok dalej? Bardzo bym chciała. Kontakt z nim mnie uspokaja i sprawia mi radość. Mam wrażenie, że jeżeli spędzę noc sama, to znów pograżę się w czarnych myślach albo

będę sobie coś wkręcać. Po nocy z Markiem mam już pewne doświadczenie seksualne, ale jeżeli nie spróbuję niczego z Yannisem, być może tamten seks pozostanie moim jedynym. Szkoda by było. Moja własna śmiałość przyprawia mnie o rumieńce. Czy to normalne, żeby mieć takie pragnienia?

Jestem na klatce na drugim piętrze. Dwoje drzwi pozostało otwartych po przejściu rabusiów. Wolę sforsować trzecie, zatrzaśnięte – dzięki temu mam większe szanse, że mieszkanie uniknęło inwazji szczurów. Wykorzystuję zdjęcie rentgenowskie Mamm-gozh, żeby otworzyć drzwi. Naśladowuję ruchy Youssa i udaje mi się to po kilku próbach. Nie czuję żadnego nieprzyjemnego zapachu. Być może mieszkanie należało do rodziny, która przed ucieczką opróżniła je z psujących się produktów. Pomimo chłodu otwieram szeroko okna.

Wchodzę do pokoju jednego z dzieci tej rodziny, małej dziewczynki o imieniu Nine. Tak jest napisane na jej drzwiach. Pokój przypomina mi mój własny z okresu, kiedy miałam cztery czy pięć lat. Jest tu łóżko z mnóstwem pluszaków. Pamiętam, że ja przed zaśnięciem układałam je sobie wokół poduszki i potem nie mogłam się ruszyć. Jest tam też małe biurko, przy którym można bawić się w szkołę i udawać, że się ma jakąś pracę do zrobienia. Biurko ma kolor fuksji i jest pokryte małymi, białymi odciskami dłoni. Z pewnością wykonały je rączki dziewczynki.

Obraz jest zbyt wyraźny, żeby mógł mi umknąć. Mamm--gozh powraca z dziewiątą serią wyliczanki *Ar Rannoù*. To już tydzień, jak babka nie dawała mi znaków. Nie będę sprawdzać, czy liczba odcisków jest właściwa. Wiadomość już teraz jest dostatecznie wyraźna, wystarczy samo imię tej, która tu kiedyś spała. Nine wymawiane z angielska to dziewięć. Nie będę szukać w jej biblioteczkę bretońskiej bajki o skrztach koriganach ani albumu z małymi zwierzątkami. Na pewno wszystko by się tu znalazło.

– *Zaspiewaj mi sekwencję numer dziewięć, niech się jej dziś nauczę – prosi dziecko.*

*A druid mu odpowiada:*

– *Dziewięć białych rączek na kamiennym stole, obok wieży Lezarmeur, i dziewięć jęczących matek. Dziewięć skrztów tańczących z kwiatami we włosach i w sukienkach z białego lnu, wokół fontanny, przy pełni księżyca. Locha i jej dziewięć warchlaków u wrót swojego legowiska, locha chrząka i kwiczy, kwiczy i chrząka: Maluchy! Maluchy! Maluchy! Biegnijcie do jabłoni! Stary dzik da wam lekcję.*

Wychodzę z pokoju i kieruję się w stronę kuchni. Za każdym razem, kiedy daję się zaskoczyć tej wyliczance, czuję małe ukłucie w brzuchu. A przecież powinnam być przyzwyczajona. Zostały tylko trzy sekwencje. A co stanie się potem? Czy naprawdę odbędę podróż w czasie? A może właśnie wpędzam się w obsesję? Czy Stéphane nie ma racji, kiedy mówi, że widzę tylko to, co chcę zobaczyć?

Wynajduję saszetkę herbaty o nieco słodkawym zapachu i butelkę wody mineralnej. Kiedy napój jest gotowy, napełniam nim termos. Siadam na podłodze w przedpokoju, żeby pozbierać się po tylu emocjach.

Otwieram szafy i wyciągam z nich prześcieradła, koce, poduszki, kołdry. Robię miejsce na środku salonu – odsuwam meble pod ściany i idę do pokoju rodziców Nine po duży materac, który kładę na ziemi. Układam wszystko warstwami i montuję coś na kształt przytulnego, mięciutkiego legowiska. Namierzam w kuchni metalową latarenkę z ledwo napoczętą świeczką. Stawiam ją obok poduszki razem z pudełkiem zapalek. Dziś w nocy będę spać wygodnie i w cieple.

Pod biurkiem w pokoju nastolatka znajduję porzucony pęk kluczy. Za pomocą jednego

z nich udaje mi się zamknąć moje nowe mieszkanie. Schodzę na dół, żeby u sąsiadów z wieżowca wymienić dwa kanistry mętnej wody, z pewnością pochodzącej z Sekwany, na dwa opakowania maślanych ciasteczek. Dodaję do obydwu pojemników trochę wybielacza. Dzięki temu nie będę ciągle zależna od innych.

Przetrząsam kieszonki mojego plecaka w poszukiwaniu prezerwatyw. Nieruszone pudełko, które moja matka wcisnęła mi, kiedy wyjeżdżałam do internatu, wciąż jest na miejscu. Przypominam sobie, że niezłe rozśmieszyło to Cindy, która nie potrafiła wyobrazić sobie, żeby jej rodzicielka mogła zrobić coś takiego. Ja byłam wtedy bardzo zażenowana. Rozumiałam intencje mojej matki, ale odbierałam je przede wszystkim jako wtrącanie się w moje życie intymne. Czego się po mnie spodziewała? Co wyobrażała sobie na mój temat? Tak łatwo byłoby porozmawiać, ale ona nie była do tego zdolna. W każdym razie pudełko jest całe.

Przyjrzałam się Yannisowi podczas kolacji. Przez cały czas rozmawiał z Jules'em. Nie jest już mną zainteresowany czy robi się nieśmiały w obecności innych? Jeżeli ta druga hipoteza jest prawdziwa, to muszę się z nim zgodzić. Ja też nie lubię afiszować się przed innymi. Pomogę trochę przy zmywaniu, a potem położę spać Maksa, który przeszedł przemianę w ciągu jednego dnia. I to nie tylko dzięki mnie. Cieszę się, że jest szczęśliwy, ale wolałabym, żeby okazał mi więcej uczucia.

Na Yannisa i jego psa wpadam na korytarzu. Czekał na mnie. Zdaje mi się, że nasze ciała nieodparcie się przyciągają, bo całujemy się, zanim padnie choć jedno słowo. W tej chwili żadne z nas dwojga nie martwi się, że ktoś mógłby nas nakryć. Prowadzę go do siebie. W kuchni stawiam miskę z wodą dla psa. Potajemnie wkraplam tam trochę mojego magicznego środka uspokajającego.

– Podoba ci się moja aranżacja? Chciałam zrobić mięciutkie i bardzo ciepłe legowisko.

– Jest bardzo ładnie – stwierdza z uśmiechem.

Zapalam latarenkę i gaszę latarkę.

Rozbieram się całkowicie i kładę na plecach. Zamykam oczy. Czuję, jak ciepło świeczki przemyka po moim ciele. Przechodzi mnie dreszcz przyjemności. Po kilku sekundach Yannis kładzie się przy mnie, ale wciąż w ubraniu. Waha się. Biorę go za rękę.

– Nigdy jeszcze tego nie robiłem – wyrzuca z siebie nieśmiało.

– Nie jestem dużo bardziej doświadczona od ciebie, wiesz? Mój pierwszy i jedyne raz to było raptem miesiąc temu.

– Kto to był?

– Nazywał się Marek.

– Kochałaś go?

– Nie sędzę. Zrobiłam to, żeby się upewnić, że jestem do tego zdolna. Ale pozostało mi dobre wspomnienie.

Czuję, że trudno mu zrobić pierwszy krok, a mnie zaczyna być zimno. Robię, co mogę, żeby poczuł się pewnie. On wreszcie się decyduje. Zakopani w koce, bez pośpiechu kierujemy się nawzajem w stronę tego, co sprawia nam przyjemność. Tego wieczoru słusznie się odważyłam.



18 grudnia

Jestem w gotyckiej sali. Trwa piekielna walka. Żołnierze w hełmach strzelają do wszystkiego, co się rusza. Moi towarzysze pochowali się za filarami, sparaliżowani ze strachu. Unoszę się nad nimi. Czerwone lasery snajperów oświetlają moje ciało. Świst kul jest ogłuszający. Żadna z nich mnie nie dosięga, bo chroni mnie pole siłowe. Coś nieubłaganie ciągnie mnie ku schodom. Zagłębiam się w mrok podziemi. Jedne z drzwi emanują dyskretnym niebieskim światłem. Otwieram je.

– Kori? Kori! Co z tobą?

Oddycham gwałtownie. Yannis głaszcze mnie po głowie. Stopniowo powraca mi świadomość miejsca, w którym się znajduję. Mamm-gozh raz jeszcze do mnie przemówiła. Tym razem zobaczyłam, co wydarzy się 24 grudnia o północy. Przez dłuższą chwilę nie otwieram oczu, żeby dojść do siebie po tym śnie.

Yannis przygląda mi się łagodnie. Nie wiem, czy żywi do mnie jakieś uczucia albo czy chciałby je żywić. Czy naprawdę można przywiązać się do kogoś w tak krótkim czasie? Tej nocy niczego sobie nie obiecaliśmy, ale byliśmy szczęśliwi w swoich objęciach. Wolę postawić sprawę jasno, w razie gdyby wyobrażał sobie coś w kwestii moich uczuć:

– Yannis... Dziękuję, było miło. Jednak nie powinniśmy angażować się bardziej. Nie lubię kłamać. Moje przeznaczenie mnie wzywa i muszę się z nim zmierzyć sama.

Odwracam się, żeby nie spotkać jego wzroku. Chowam głowę w pościel i staram się ponownie zasnąć.

Jest szósta rano, a my jesteśmy już na nogach. Prowadzę przez podziemia skupioną i milczącą grupę. Z początku staram się unikać spojrzeń Yannisa, ale widzę, że się do mnie uśmiecha, co mnie trochę pociesza. Albo nie ma do mnie żalu, albo robi dobrą minę do złej gry. Nie widział tego, ale spryskałam jego ubrania moim odstraszcaczem. Jestem mu to winna. Chcę, żeby żył długo i pozostał przystojny.

Trasa wydaje mi się krótsza niż wczoraj, bo mam tu już swoje punkty orientacyjne. Bez przeszkód docieramy aż do Châtelet – no, chyba że za przeszkodę uznam morze szczurów, które robią na moich towarzyszach mocne wrażenie. Wymachuję kurtką spryskaną odstraszcaczem nad ich głowami, żeby odgonić gryzonie. Zwierzęta się oddalają i wszyscy się uspokajamy. Podobnie jak wczoraj spotykamy patrole wysłane w kierunku centrum Paryża. Władze doskonale rozumieją, że podziemia stanowią idealną drogę dla nielegalnych, którym zależy na unikaniu dronów. Jesteśmy już całkiem blisko celu, kiedy nas zauważają i rusza za nami pogoń. Wszyscy biegną za mną na stację Cité, a potem do kanałów.

Ścigający szybko gubią trop. Możemy wówczas spokojnie przedostać się do Conciergerie. Pozwalam im rozejrzeć się po piętrach i zakątkach ogromnej sali. Nie tłumaczę dokładnie, gdzie się wybieram. Sama wchodzę do małego pomieszczenia, w którym poprzednim razem o mało nie zemdlałam. Kiedy otwieram drzwi, nie doznaję już szoku. Dziś uderza mnie tylko banalność tego miejsca. Przebiegam palcami po kartonowo-gipsowej płycie w poszukiwaniu jakiegokolwiek nowego wrażenia. Nic. Mimo wszystko notuję sobie (żeby potem nie żałować) serię cyfr, którą odkryłam przy okazji mojej pierwszej wizyty:

25.12 (0.05) –275 / 25.03 –1

Myślę, że mają tylko znaczenie techniczne, być może powstały podczas prac elektrycznych. Podnoszę z podłogi kupon Astrochance, zdrapkę z serii ze znakami zodiaku. Jest na niej symbol Strzelca – centaura, który mierzy z łuku w coś lub kogoś za nim. Wyrzucam kartonik, który opada praktycznie w to samo miejsce, z którego przed chwilą go wzięłam. Muszę

stawić czoła faktom, nie znalazłam tu nic magicznego po prostu dlatego, że nic takiego tutaj nie ma.

Wracam do zbrojowni. Czego miałabym się spodziewać? Graffiti z wielką strzałką wskazującą: „To tam, Kori”? Jak rozpoznać coś, czego się nigdy nie widziało? Jak wygląda taki powietrzny wir albo maszyna do cofania się w czasie? W rzeczywistości nikt tego nie wie. Dla mnie, w przeciwieństwie do Stéphane, nie oznacza to jednak, że coś takiego nie istnieje. Niewiele osób na świecie doskonale orientuje się we wszystkich dokonaniach naukowych. Możliwe, że gdzieś powstają supertajne projekty, ale ci, którzy nami rządzą, nie ujawniają ich, bo obawiają się konsekwencji. Czy jeśli przeszłość zostanie naruszona, świat nie zawali się jak domek z kart?

Yannis się łamie. Oznajmia, że nie przyjdzie 24 grudnia. Nie wiem, co spowodowało tę nagłą przemianę. Chłopak za wszelką cenę stara się przekonać nas wszystkich, że też powinniśmy zrezygnować. Boi się o nas. Reszta stara się go przekonać do przyjścia. Ale po co? Każdy ma prawo decydować o swoim losie, szczególnie tej nocy.

– Rób jak uważasz – rzucam – ale...

– Nie możesz się poddać! – przerywa mi Vincent. – Potrzebujemy każdego, żeby...

Jules po przyjacielsku każe mu się zamknąć. Podchodzi do Yannisa. Rozmawiają i wymieniają się czymś, jak dwaj bracia rozstający się na zawsze. Odchodzę kilka kroków na bok. Czuję się wykluczona. Sama tego chciałam. Yannis mija mnie i uśmiecha się do mnie. Odruchowo robię to samo. Ten chłopak pozostanie dla mnie tajemnicą i pewnie ja dla niego też. Nasze drogi tylko na chwilę się skrzyżowały, a teraz się rozchodzą.

Bez przeszkód wracamy do dzielnicy Olympiades. Po dro dze nikt nic nie mówi. Jesteśmy bardzo wyczuleni na wszelkie oznaki zagrożenia. Wciąż nie rozumiem, dlaczego Yannis nas opuścił. Nie potrafię pozbyć się wrażenia, że moja decyzja o odsunięciu go była jednym z powodów. Być może jednak się mylę i łudzę co do jego uczuć. Pewniejsze jest, że chce dołączyć do Stéphane, za którą na pewno tęskni. Przeszli razem przez coś, co związało ich na zawsze. W drodze do Paryża uratowali sobie nawzajem życie. Może odkryją, że są w sobie zakochani. Mam taką nadzieję. Pocieszałyby mnie świadomość, że są razem. We dwoje łatwiej jest przetrwać.

Wracamy przed południem. Postanawiam umyć się starannie, żeby pozbyć się zapachu ścieków. Potem kładę się w swoim legowisku, żeby odpocząć po wyprawie i zregenerować siły przed najbliższą nocą. Zaoferowałam się trzymać wartę na dole schodów. Zrobiłam to, żeby nie uważali mnie za pasożyta, który żyje na koszt komuny. Czuję pokrewieństwo z Jules'em i Katią. Wiem, że wiele zawdzięczam Mai, ale mam wrażenie, że traktuje mnie chłodno, i nie mam odwagi się do niej zbliżyć. Ich przywódca, Jérôme, totalnie mnie rozwała ze swoją maniacką chęcią kontrolowania wszystkiego.

Przez dwie godziny trwam w półśnie, ale nie jestem w stanie zasnąć. Myślę o książkach napisanych przez ludzi, którzy próbowali wyobrazić sobie, jak mogłyby wyglądać miejsce lub rzecz pozwalające na podróż w czasie. Być może niektórzy z nich byli wizjonerami i udałoby mi się skorzystać z ich opisów. Tunele pełne elektryzującej mgły o migoczących kolorach, czarne dziury bez dna, świetliste drzwi... Niczego takiego nie widziałam w podziemiach. Jednak w niektórych powieściach możliwość cofnięcia się w czasie ograniczona jest tylko do konkretnych momentów. Przejścia nie są otwarte przez cały czas. Tylko tej nadziei jeszcze się chwytam. Przejście istnieje, ale zmaterializuje się dopiero 24 grudnia po północy, specjalnie dla mnie.

Biorę udział w przygotowaniu obiadu i pomagam przy zmywaniu, a potem wczesnym popołudniem wracam do swojego kąta. Kilka razy mijam się z Maksem. Wydaje się szczęśliwy. Dobre i to.

Wieczorem jem ze wszystkimi, ale nie przysłuchuję się ich dyskusjom. Często tak robiłam kiedyś w domu. Moi rodzice uznawali to za brak szacunku. Gdy nagle słyszałam obok siebie podniesione głosy, gwałtownie wracałam z bujania w obłokach prosto pod deszcz wyrzutów typu: „Masz gdzieś, co się mówi!”, „Myślisz tylko o sobie!”. Wcześniej, kiedy Mamm-gozh była jeszcze z nami, stawiała w mojej obronie i mówiła, że taką mam naturę i że nie robię tego przeciwko rodzicom.

Żegnam się ze wszystkimi i wychodzę na korytarz, żeby objąć wartość. Ubrałam się ciepło, mam picie i coś do jedzenia. Vincent pożycza mi walkie-talkie do komunikacji w razie potrzeby i gangsterską broń, jaką widywałam w filmach: pistolet maszynowy uzi. Pokazuje mi, jak go załadować i odbezpieczyć. Daje mi też kilka rad:

– Użyj go tylko wtedy, gdyby jakaś banda zaatakowała cię z zaskoczenia. Opróżnij magazynek, żeby ich zastopować, i przybiegnij nas ostrzec. Mimo wszystko daję ci jeszcze jeden. W każdym jest po trzydzieści naboí. Jeśli przytrzymasz palec na spuście, wystarczy ci tylko na kilka sekund. Ale pociesz się, na pewno nie będziesz musiała z niego korzystać. Wiem, że zabiłaś kiedyś tego szaleńca, który chciał spalić Alicję. Kogoś więcej?

Zdecydowanie nie umiem zdobyć się na odpowiedź. Wiem, że za tym pytaniem nie kryją się żadne mroczne podteksty, jednak nie daję rady odpowiedzieć.

Od trzech godzin jestem sama i nie chce mi się spać. Przyjrzałam się z bliska śmiercionośnej maszynie, którą mi powierzono. Waży co najmniej cztery kilo, ale jest dość wygodna. Operuję nią delikatnie, chociaż wiem, że jest zabezpieczona jak trzeba.

19 grudnia

Co godzinę schodzę na betonową platformę, żeby nasłuchiwać i węszyć. Budynki płoną, słychać wymianę strzałów, helikoptery patrolują, ale bardzo daleko od nas, we wschodniej części Paryża. Podśpiewuję różne piosenki i rozmyślam o przyszłości. Opracowuję scenariusze z serii „jeśli”. Wyobrażam sobie filmy, w których Super-Koridwen ratuje ludzkość od chaosu. To wszystko głupie, ale pozwala mi się czymś zająć.

Koło piątej czuję, jak w moim brzuchu rośnie kula lęku, której towarzyszy gorzki smak w ustach. Staram się przywołać do porządku: Kori, nie masz prawa mieć mrocznych myśli. Recytuję na głos zdania, które mają mnie pocieszyć:

– Mamm-gozh jest z tobą. Będzie ci towarzyszyć.

Nie działa. Po moich policzkach spływają łzy. Słyszę swoje słowa wymawiane głosem małej dziewczynki:

– Mamo, czemu mnie zostawiłaś? A ty, tato, gdzie ty niby byłeś?

Płacz dobrze mi robi. Pozwalam łzom płynąć przez dłuższą chwilę. Potem wstaję i przechadzam się po płycie. Oddycham głęboko zimnym powietrzem. Kryzys chyba już minął.

Koło szóstej słyszę, jak otwierają się drzwi jednego z mieszkań. Ktoś schodzi na dół. To Jules. Oświadcza, że zastąpi Séverine, która miała mnie zmienić, ale źle się czuje. Jules przyszedł godzinę wcześniej. Siada obok mnie. Po kilku sekundach wahania wyrzuca z siebie:

– Wciąż jeszcze wierzysz w Khronosa mimo tych informacji od władz?

Co chce ode mnie usłyszeć? Najwyraźniej pożegnał się już z nadzieją. Pójdzie na spotkanie tylko po to, żeby spotkać kilku Ekspertów lub ewentualnie wciągnąć ich do przyszłych projektów swojej komuny.

– Khronos nie istnieje. Przeczywałam to, zanim jeszcze Stéphane i Yannis otworzyli ten plik.

– Domyślałaś się, tak?

– To nie było zbyt jasne. Przyznaję, że zobaczyć to na własne oczy, na piśmie i udowodnione, to jednak był dla mnie totalny szok.

– I myślisz, że mimo wszystko możemy cofnąć się w czasie?

– Jeżeli mam być z tobą całkiem szczerą, to nie jestem pewna niczego, ale pozostaję otwarta na wszystkie możliwości. Miewam fazy głębokiego zwątpienia. W innych momentach moje przekonanie jest niezłomne.

Jules draży. Chce wiedzieć, na czym opieram moje przeżycie. Wspominam o snach, które są coraz bardziej szczegółowe, o Mamm-gozh, która nade mną czuwa i dodaje odwagi z zaświatów. Jules spogląda na mnie poważnie. Nie śmieje się. Nie ocenia mnie.

– Chciałbym, żebyś miała rację, Kori – stwierdza poważnie. – Nie wiem, czy mogę w to uwierzyć, ale chciałbym, żeby wszystko mogło znów być takie jak kiedyś.

Koło siódmej zostawiam Jules'a samego. Dobrze się trzymałam, nie przysypiałam ani na chwilę i cieszę się z powrotu do łóżka. Zakopuję się w swoim legowisku.

Śpię jak kamień aż do czternastej. Po przebudzeniu czuję ogromny głód. Wchodzę na górę do wspólnego mieszkania i wpadam na mojego kuzyna. Podchodzi i wtula się we mnie. Ten kontakt sprawia mi ogromną przyjemność. Spontaniczna pieśczość z jego strony jest taka rzadka. Głaszczę go po włosach. Pozwala mi na to. Wkrótce będę musiała go opuścić i tym razem nie będę mogła niczego mu obiecać. Max wstaje, uśmiecha się do mnie i idzie się pobawić ze swoją przyjaciółką Alicją. Ja zostaję z Katią. Przez dłuższą chwilę nie wiemy za bardzo, o czym ze sobą rozmawiać. Nie łączyło nas nigdy ani żadne zajęcie ani wspólna pasja, więc

trudno zacząć rozmowę. To ona przerywa ciszę:

– Co lubisz czytać, Koridwen?

– Nic takiego – odpowiadam z lekkim poczuciem winy. – Na początku gimnazjum lubiałam powieści przygodowe, no i romanse. Potem zabrałam się za Warriors of Time. Szybko uzależniłam się od gry. Szczególnie że mieszkaliśmy niedaleko anteny nadawczej, więc połączenie miałam bardzo dobre. Widzisz, nie jestem zbyt interesującą dziewczyną.

– Każdy jest interesujący – odpowiada Katia swoim łagodnym głosem.

– Wychodziłaś już kiedyś na dach tego budynku?

– Nie, nigdy. Wiem tylko, że to ponad trzydzieści pięter do pokonania na nogach.

– Pójdiesz ze mną? Rozruszałybyśmy się trochę.

– W sumie czemu nie? Uprzedzę Séverine.

– Séverine to ta blondynka, której głosu nigdy jeszcze nie słyszałam?

– Tak, to ona. Jest nieśmiała, ale zyskuje przy bliższym poznaniu.

Atakujemy schody trochę za szybko i musimy zrobić pierwszą przerwę, zanim dojdziemy na dziesiąte piętro. Wspólny wysiłek nas zbliża. Katia pozwala sobie na kilka zwierzeń o swojej rodzinie. Pochodzi z zamożnego środowiska, ale nie była chyba szczęśliwsza ze swoimi rodzicami niż ja z moimi. Jednak przynajmniej miała braci i siostry. Ja opowiadam jej o Maksie, którego uznaję za młodszego brata, chociaż jest ode mnie trochę straszny. Robimy sobie przerwy co pięć pięter. Zdarzają się kondygnacje, na których smród jest nie do zniesienia. Za niektórymi z tych drzwi są trupy w stanie rozkładu. Żadna z nas tego nie komentuje. To bezcelowe i wiemy o tym aż za dobrze. Wreszcie docieramy na samą górę. Podstawiam metalową drabinę i wspinam się jako pierwsza. Klapa łatwo się otwiera i wychodzimy na dach. Domyślam się, że to miejsce mogło służyć jako wyjście awaryjne. W razie pożaru można by ewakuować stąd poszkodowanych helikopterami.

Na górze oszałamiają nas wiatr i piękny widok. Po raz pierwszy, od kiedy przyjechałam do Paryża, rozpoznaję znane mi wcześniej punkty tego miasta. Na razie lepiej orientuję się w kanałach i tunelach niż na ulicach stolicy. Dostrzegam wieżę Eiffla, bazylikę Sacré-Coeur oraz Łuk Triumfalny. Katia uśmiecha się, widząc, jak upajam się widokiem tych typowo turystycznych miejsc. Pozostajemy schowane i tylko nasze głowy co jakiś czas wysuwają się za gzyms. Nagle przelatuje nad nami mnóstwo ciężkich samolotów, lecących od zachodu z ogłuszającym hukiem. Maszyny z pewnością transportują ludzi gotowych rozwalić tych, którzy nie chcą dołączyć do ich szeregów. Podchwytuję to, ubawiona:

– Jest ich dziesięć, prawda?

– Tak – potwierdza Katia. – Dziesięć. Lecą na północno-wschodnie przedmieścia.

Możemy wracać? Zimno mi i nie czuję się najlepiej. Vincent powiedział, że bym uważała na drony.

W drodze na dół podśpiewuję sobie cicho:

– *Zaśpiewaj mi sekwencję numer dziesięć, niech się jej dziś nauczę – prosi dziecko.*

*A druid mu odpowiada:*

– *Dziesięć wrogich okrętów, które nadciągają z Nantes: Nieszczęście na was!*

*Nieszczęście na was! Mieszkańcy Vannes!*

– Co to za piosenka? – pyta Katia.

– Taka sobie.

Wracam do siebie i dopiero wieczorem przychodzę do nich, żeby pomóc

w przygotowywaniu posiłku. Przy kolacji Jérôme wyjaśnia swoim przyjaciołom, że komuna będzie musiała opuścić to mieszkanie. Przywódca grupy obawia się, że w najbliższych dniach armia zaatakuje dzielnicę Olympiades, uznawaną za kryjówkę wyjętych spod prawa. Podzielił się już nawet tymi przemyśleniami z innymi przywódcami gangów w okolicy. Jérôme ogłasza też, że znalazł kilkaset metrów stąd miejsce, do którego będą mogli się wycofać. Decyzja jest poddana pod głosowanie dla zasady, bowiem nikt nigdy nie podważa autorytetu przywódcy. Wszyscy biorą się za organizację przeprowadzki. Następnie kierują wzrok na mnie, bo nie zabierałam głosu w dyskusji.

– Pomogę wam w transporcie i urządzeniu się, ale potem wracam do mojego dawnego lokum w Gentilly. Mam nadzieję, że żołnierze go nie podpalili i że będę mogła zabrać stamtąd kilka rzeczy. Wrócę najszybciej, jak się da.

– Podejmujesz niepotrzebne ryzyko. Tutaj mamy wszystko, czego nam trzeba – wtrąca Katia.

– Ostrożna ze mnie dziewczyna.

– A w kwestii wielkiego wieczoru? – pyta Vincent.

– Nie zmieniłam zdania, będę tam.

20 grudnia

O piątej wszyscy stawiają się do pracy, gotowi do pakowania toreb i ustawiania ich przy drzwiach wyjściowych. Biorę udział w pierwszym kursie. Maïa zostaje na miejscu, żeby pilnować Alicji i Maksa oraz dalej sortować rzeczy. Prowadzę ich do kanałów. Dla Séverine i Katii to musi być pierwszy raz, bo czuję, że są wyjątkowo niespokojne. Wychodzimy z kanałów tuż przed nowym budynkiem. Vincent wynurza się jako pierwszy i biegnie do przedsionka. Przez dłuższą chwilę lustruje niebo, po czym pozwala nam wyjść. Rozglądamy się po nowym miejscu, mniej obszernym niż po przednie. Dziewczyny już tu zostaną, żeby zacząć się urządzić. Ja wracam z chłopakami na kolejne kursy.

Jérôme oświadcza, że teraz nie mogą już otwierać okiennic, bo drony cały czas przeczesują Paryż w poszukiwaniu każdego podejrzanego ruchu. Przed ruszeniem w ostatni kurs biorę mojego kuzyna na stronę, żeby wytłumaczyć mu, że znów zmieni lokum. Max słucha mnie, nie buntuje się i sam przygotowuje część swoich rzeczy. Pomysł wyjścia z mieszkania go cieszy, nawet jeżeli praktycznie od razu będzie musiał zejść do podziemi. Jules bierze Alicję na rękę. Dziewczynka jest pod dużym wrażeniem i przez całą drogę ma zamknięte oczy.

Popołudnie poświęcone jest rozpakowywaniu rzeczy i wyprawie po pożywienie. Przenosimy zapasy z restauracji ulokowanej po sąsiedzku. Coraz trudniej znaleźć jedzenie, którego nie tknęły szczury albo robaki. Najczęściej ograniczamy się do konserw. Na dłuższą metę taka dieta doprowadzi do braków koniecznych składników odżywczych. Myślę szczególnie o Alicji, która jest w wieku intensywnego rozwoju. Mówię o tym Jérôme'owi, który informuje mnie, że planują wyjazd na wieś. Nie mam odwagi zobowiązać się do tego od razu, ale jeżeli mój sprzęt nie jest mocno uszkodzony, dam im go w prezencie. Dociera do mnie, że tak blisko terminu podróży w czasie nie biorę już pod uwagę możliwości porażki.

Spędzam z nimi wieczór i potwierdzam, że jutro rano zamierzam ich opuścić. Maksa poinformuję o tym podczas usypiania, żeby nie martwił się moją nieobecnością, kiedy się obudzi. Oświadczam Jules'owi, że wracam pojutrze.

Na zewnątrz ryczą głośniki z rozkazem ewakuacji, a syreny wyją w regularnych odstępach czasu jak strzały ostrzegawcze. Niedługo przed północą ściany zaczynają drżeć. To helikoptery atakują wieżowce. Jérôme słusznie kazał swoim przenieść się tak prędko. Paskudny zapach benzyny wdzierają się do mieszkania, kiedy gigantyczne płomienie pochłaniają drapacze chmur. To czyszczenie napalmem, które mieli okazję obserwować Stéphane i Yannis, kiedy jeszcze byli w Lyonie. Wszyscy podrywają się na nogi, poza Alicją i Maksem, którzy smacznie śpią. Członkowie komuny podchodzą dwójkami do okien i starają się dojrzeć spektakl między listewkami okiennic. Orientuję się, że trzymają się za ręce. Nie zauważyłam, że wszyscy tu tworzą pary: Maïa i Jules, Katia i Vincent, Séverine i Jérôme. Czyli jestem jedynym singlem w grupie. Naprawdę pora, żeby wyruszyła.

21 grudnia

Budzę się koło szóstej. Ogień w dzielnicy Olympiades nie całkiem się jeszcze wypalił. Nie widać już płomieni, ale gęsty dym w dalszym ciągu wydostaje się ze szczytu jednego z wieżowców. Vincent i Jérôme jedzą śniadanie. Żegnam się z nimi i życzliwie rozmawiamy o tych, którzy jeszcze śpią. Oni wszyscy tworzą coś na kształt prawdziwej rodziny. Zanim wyjdę, ściskamy sobie ręce. Przywódca po raz pierwszy się do mnie uśmiecha.

– Powodzenia, Kori. Jeżeli nie będzie przejścia, wracaj natychmiast. Zawsze będziesz tu mile widziana.

Takie zaproszenie z jego strony zaskakuje mnie i cieszy.

– Dziękuję. Wy też uważajcie na siebie. Wracam jutro.

Wchodzę do kanałów. Echo moich kroków rozbrzmiewa na betonie. Po jakimś kilometrze orientuję się, że nie jestem tu sama. Na pewno obok mnie są co najmniej dwie osoby, chociaż nie odzywają się do siebie. Idą przede mną, ale nie wiem, w jakiej odległości. Wędruję dalej, ale zwalniam kroku. Nie chcę ich dogonić, choć przecież niekoniecznie muszą okazać się agresywne. Mimo wszystko wyciągam broń. Czołówkę zostawiam włączoną, bo nie za dobrze znam to miejsce i boję się ześlizgnąć do cuchnącej wody. Nagle przestaję słyszeć kroki. Być może ci ludzie czekają, żeby zastawić na mnie pułapkę. Przywieram do jakiejś wnęki, gaszę lampkę i wstrzymuję oddech.

Snop światła ich latarki oświetla ściany jakieś sto metrów stąd. Wędrowcy zawrócili, żeby mnie poszukać. Dostrzegam ich sylwetki. Dwóch chłopaków. To nie nastolatki wcielone do armii, bo nie noszą opasek. Rozmawiają cicho:

– Pomyśl sobie, a gdyby to była dziewczyna...

– Marzenia... Dziewczyny dołączyły do Z-Punktów już dawno temu. Te, które pozostały, nie wychodzą bez eskorty. Musiałaby być naprawdę szalona.

Jestem uwięziona. Robię sobie wyrzuty. Powinnam była się cofnąć albo wyjść pierwszym włazem, kiedy tylko dostrzegłam zagrożenie. Chłopaki drobiazgowo przeszukują wszystkie zakamarki. Przeladowuję broń. Usłyszeli mnie i teraz się gapią. Jednocześnie gaszą swoje latarki. Nie chcą posłużyć mi za cel.

– Chcemy tylko pogadać – rzuca jeden. – Pokaż się i przedstaw.

Jeżeli usłyszą mój głos, zrobią się bezczelni i już mi nie odpuszczą. Nie ruszam się.

– Jeśli strzelisz – uprzedza drugi – ściągniesz tu patrol, a nie sądzę, żebyś miał na to ochotę, mam rację? Gdybyś był po ich stronie, nie kręciłbyś się po kanałach.

Moje palce zaciskają się na spuście i czuję, jak ramię ugina mi się pod ciężarem broni.

– Nie masz żadnych szans – denerwuje się jeden z nich. – My też jesteśmy uzbrojeni.

Jego głos się zbliża. Nie rezygnują, ale muszą iść na palcach. Szepczą sobie na ucho coś, czego nie mogę dosłyszeć. Podejrzewam, że jeden z nich zapali latarkę, a wtedy drugi weźmie mnie na cel. Słyszę jak odliczają. Chcą się zsynchronizować.

– Cztery, trzy, dwa, jeden...

Strzelam, zanim oślepi mnie światło. Wybuch na chwilę mnie ogłusza, ale zduszony krzyk wskazuje, że jednego trafiłam. Jakiś metalowy przedmiot gwałtownie upada na ziemię. Trafiłam strzelca. Zapalam czołówkę i biorę na cel drugiego. Ten jedną ręką stara się podtrzymać kumpla. Bezwładne ciało niebezpiecznie zawisa nad strumieniem, w którym dryfują niewyraźne przedmioty. Strzelam w leżącą broń, a chłopakowi wrywam latarkę. Cofam się i wspinam po pierwszej napotkanej drabince. Wychodzę na powietrze i zasuwam za sobą pokrywę włazu. To bulwar Kellermanna. W dole dostrzegam bramę cementarza Gentilly. Mam do pokonania co



najmniej pięćset metrów. Ruszam biegiem. Cięży mi torba i nie biegnę tak szybko, jak bym chciała.

Nagle słyszę odgłos sygnalizujący, że zostałam dostrzeżona. Wkrótce widzę już maszynę, która mnie namierzyła. Przypomina zabawkę. Wybijam szybę stojącego obok samochodu i nurkuję do środka. Przypomina mi się rozmowa, w czasie której Vincent tłumaczył mi, że są różne rodzaje dronów. Niektóre mają kamerę transmitującą obraz na żywo, a inne tylko czujniki ciepła. W obydwu przypadkach należy spodziewać się patrolu w ciągu piętnastu minut.

Mój dron zawisł w powietrzu kilkanaście metrów nad samochodem. Celuję do niego i trafiam za drugim razem. Wychodzę z samochodu i ruszam dalej. Wchodzę na cmentarz i idę na przełaj przez groby. Dosłownie rzucam się do dziury wykutej w środku grobowca. Udało się, jestem bezpieczna, przynajmniej przez kilka minut. Łapię oddech i zmieniam magazynek.

Dość szybko docieram kanałami do mojego poprzedniego domu. Cała dzielnica była czyszczona z użyciem miotaczy ognia. Fasada budynku jest poczerniała, a szyby eksplodowały od ciepła. Z ulgą odkrywam, że wewnątrz częściowo ocalało, chociaż ktoś przeszukał i porzucił rzeczy, zabrał broń i naboje. Zaczynam od zasłonięcia okien dwoma warstwami kartonu. Ochroni mnie to przed chłodem i nie pozwoli światłu przedostać się na zewnątrz. Rzucam się do prac domowych, jakbym szykowała się na jakieś ważne wydarzenie. Zabieram się też do wielkich porządków w przyczepie. Te zajęcia zajmują mnie fizycznie, ale pozostawiają czas na przemyślenia. Boję się przyszłości. Jeżeli cofnę się w przeszłość, czy stanę na wysokości zadania? Czy będę potrafiła przekonać o zagrożeniu ważnych ludzi? Dlaczego nie powierzono tego zadania dziewczynie takiej jak Stéphane, skoro jej ojciec jest ekspertem od wirusów?

A jeśli podróż w czasie nie dojdzie do skutku, z pewnością zostanę zatrzymana przez władze, oskarżona o przynależność do terrorystów i uwięziona. Słyszałam, jak Stéphane i inni mówili, że wynaleziono szczepionkę. Coś na kształt normalnego życia wkrótce będzie możliwe, a ja będę z niego wykluczona.

Przegryzam coś i biorę kilka łyżek mojego „domowego środka uspokajającego”, po czym, nie zdjęwszy ubrania, zawijam się w kołdrę. Muszę się przespać. Jutro będę widzieć wszystko jaśniej.

22 grudnia

Dziś rano budzę się pełna wątpliwości. To właśnie w takich chwilach chłodnej refleksji mam wrażenie, że coś sobie wkręcam. Widzę wyraźnie, że mieszam wszystko: moje obecne życie, bretońskie legendy opowiadane przez Mamm-gozh i moje wspomnienia z gry. Czasami mam tendencję do zapominania, że mój awatar o imieniu Koridwen to nie jestem praw dziwa ja.

Czyli co, całkiem sama mam przekroczyć korytarz czasu? Nie wiedząc nawet jak? Zdaję się na magię, wiarę, którą pokładam w Mamm-gozh. Gdybym nie była dziś rano smutna, mogłabym się z tego śmiać. Stwierdzam, że muszę się umyć i zrobić pranie, żeby poukładać sobie wszystko w głowie. Po skończeniu zaczynam grzebać w mojej torbie, poruszona myślą, której sens dociera do mnie stopniowo. Właściwie to szukam mojego notesu, do którego przepisałam cyfry ze ściany w podziemiu wieży Zegarowej.

*25.12 (0.05) –275 / 25.03 –1*

Skąd ta nagła chęć przeczytania na nowo tych cyfr, przyjrzenia się ich porządkowi? I nagle mam coś jak przeblysłk: doznaję oświecenia. Znaczenie dwóch pierwszych liczb samo się narzuca: 25.12 to 25 grudnia, noc spotkania z Khronosem, a 0.05 mogłoby wskazywać godzinę. Po 275 znajduję kolejną datę: 25.3, czyli 25 marca. Rok nie jest podany, ale tuż potem dostrzegam –1. To mógłby być sposób na oznaczenie roku. Czyli rzeczywiście chodziłoby o cofnięcie się w czasie. Ale co robi to 275 wciśnięte tym miejscu? Podobnie jak 1, poprzedza je minus. Dwieście siedemdziesiąt pięć dni? Szybko obliczam to sobie w pamięci. Dwieście siedemdziesiąt pięć dni to dokładnie dziewięć miesięcy.

Przechodzą mnie dreszcze, od których prawie tracę równowagę. Chwytam powietrze, otwierając szeroko usta. Tę serię cyfr można interpretować w następujący sposób: 25 grudnia, tuż po północy cofnę się w czasie o dwieście siedemdziesiąt pięć dni, żeby trafić na 25 marca. Czyli to jest data w przeszłości, do której powrócę, jeżeli pojutrze otworzy się przejście. Wszystko wydaje się gotowe na wielką wyprawę.

A więc miałam rację, podążając za instynktem i przyjeżdżając do Paryża na spotkanie zwołane przez Khronosa. Zabawne jest tak wracać myślami do mistrza WOT, który – dziś już to wiem – jest tylko rodzajem sztucznej inteligencji. Magiczne moce, które mnie prowadzą i które stworzyły plan wysłania mnie w przeszłość, nie mogły przewidzieć, że dotrę do tej informacji. Po prostu chciały posłużyć się grą i jej najważniejszą postacią, żeby przekazać mi wiadomość, wskazać odpowiednie miejsce i czas. Wiedziały, że jako Ekspert nie mogłabym przejść obojętnie obok ich znaków. To był tylko środek do celu. Na szczęście wszystko zrozumiałam i nie poddałam się jak inni, gdy dowiedziałam się, że Khronos nie ma fizycznej postaci.

Skupiam się teraz na przypomnieniu sobie obrazka z kuponu-zdrapki. Przedstawiona na nim postać to Strzelec. Strzelec, o którym wspomina ostatnia sekwencja *Ar Rannoù*, ta, która ogłasza koniec. Jak mogłam wcześniej na to nie wpaść?

*– Zaśpiewaj mi sekwencję numer dwanaście, niech się jej dziś nauczę – prosi dziecko.*

*A druid mu odpowiada:*

*– Dwanaście miesięcy i dwanaście znaków; przedostatni, Strzelec, wypuszcza strzałę uzbrojoną w grot. Dwanaście znaków jest na wojnie. Piękna krowa, czarna krowa z gwiazdą na czole wychodzi z lasu pełnego trupów. W jej piersi tkwi grot ze strzały; jej krew płynie strumieniami; krowa ryczy ze zwieszoną głową: rozbrzmiewa trąba; ogień i grzmot; deszcz*

*i wiatr; grzmot i ogień. Nic; nic więcej, żadnej sekwencji!*

Grzebię w kuferku z książkami Mamm-gozh. Wyjmuję jedną, zatytułowaną *Znaki i symbole w mitologii*. Mnóstwo tam stron o znakach zodiaku. Czytam:

*Znak astrologiczny Strzelca jest najczęściej przedstawiany w postaci centaura strzelającego z łuku. Kierunek strzału ma znaczenie symboliczne. Można wskazać trzy pozycje odpowiadające każdemu dekanatowi. W pierwszej centaur ma ciało skrzycone do tyłu, a jego strzała jest wymierzona w przeszłość. W drugiej centaur strzela w powietrze, co symbolizuje teraźniejszość. W trzeciej celuje w przyszłość.*

Centaur z mojej zdrapki celował w przeszłość. Czuję, jak policzki mi płoną. Nie mam z kim podzielić się moimi skołowanymi myślami.

Postanawiam wrócić do komuny, tak jak im obiecałam. Chcę im podarować klucze do traktora i tym samym przekazać wszystko, co ważnego posiadam. Wiem, że zrobią z tego dobry użytek. Poczuję się uwolniona od tego dziedzictwa, wolna, żeby podążać swoją drogą. Co ważniejsze, żeby moja misja się udała, muszę zdobyć od Maï, która jest ich specjalistką od spraw medycznych, informacje o szczepionce. Poza tym mam ochotę uściskać Maksa. Wzruszam się do łez na samą tylko myśl o chwili, kiedy będę go obejmować – być może po raz ostatni. To ma być tylko szybka wizyta u przyjaciół, bo teraz muszę zostać sama. Nic ani nikt nie może stanąć na drodze mojego przeznaczenia. Mam poczucie, że jestem inna niż reszta i że jestem już trochę gdzie indziej.

Kilka minut później idę kanałami. Inaczej niż wczoraj, kiedy dałam się zaskoczyć, tym razem wykazuję wyjątkową ostrożność. Zatrzymuję się na każdym skrzyżowaniu, nadstawiając ucha. Mam szczęście, bo przez całą drogę nie dociera do mnie żaden podejrzanym odgłos. Szczury natomiast są wszędzie. Ich obecność prawie mnie pociesza. Gdyby ktoś się tu pojawił, ich zachowanie by mnie ostrzegło. Idę naokoło, żeby ominąć miejsce, w którym wczoraj kogoś zabiłam. Za bardzo się boję, że ciało wciąż tam jest, na wpół pożarte przez gryzonie. Do komuny docieram przed południem.

Na szczęście Jules i Maïa są na miejscu. Reszta gdzieś wyszła. Przekazuję klucze do traktora Jules'owi i proszę go uroczyście, żeby przygarnął mojego kuzyna. Jules patrzy na mnie z uśmiechem. Mam wrażenie, że się tego spodziewał.

– Oczywiście – mówi. – Alicja nie może się bez niego obyć. Sama wybrała go sobie na starszego brata. Znów zaczęłaś liczyć na swój powrót do przeszłości, dobrze myślisz?

– Tak, nie mogę zabrać ze sobą nic ani nikogo.

– A masz jakieś dodatkowe informacje?

– Znam teraz miejsce, dzień i godzinę rozpoczęcia podróży. To będzie w podziemiach wieży Zegarowej, trochę po północy 25 grudnia.

– Jak w wiadomości Khronosa?

– Nie do końca, ale trudno byłoby mi to wytłumaczyć. Dziękuję ci za Maksa.

– To nic takiego, jesteśmy przyjaciółmi.

– Masz rację. Jesteśmy przyjaciółmi.

Pójdę do Maï, żeby powiedziała mi wszystko, co wie o szczepionce. Przypominam sobie, że kiedy przyszliśmy do komuny z Yannisem i Stéphane reszta mówiła o tym cały czas. Ja wtedy zajmowałam się przede wszystkim moim kuzynem. Wreszcie poznaję powód, dla którego tylko my, nastolatki w wieku od piętnastu do osiemnastu lat, daliśmy radę przetrwać chorobę. Kilka lat temu masowo zaszczepiono nas przeciwko agresywnej postaci zapalenia opon mózgowych. Pamiętam to, byłam wtedy w szóstej klasie. Chciałam, żeby moi rodzice odmówili, jak to zrobili

rodzice Idy, mojej koleżanki z klasy. Oni jako zapaleni ekolodzy zionęli nienawiścią do przemysłu farmaceutycznego.

Cóż, moja matka miała rację, gdy stanowczo opierała się moim namowom. Ta szczepionka, MeninB-Par, została wycofana po trzech latach, bo w przypadku niektórych osób miała bardzo poważne skutki uboczne. Teraz okazuje się, że zawierała pewną molekułę zdolną do blokowania rozwoju choroby i zabicia filowirusa. Dowiaduję się również, dlaczego przeżyła Alicja. Jej dziadek, pediatra, miał dobrą intuicję i w momencie wybuchu epidemii zaszczerpił małą.

Wołam Makska i jeden jedyny raz mój kuzyn przychodzi od razu. Z pewnością przeczuwa, że mam mu coś ważnego do powiedzenia.

– Max, wyruszam na jakiś czas w podróż, a ty zostaniesz z Jules'em, Małą i Alicją. Zawsze będę o tobie myślała, bo cię kocham i jesteś tu, w moim sercu.

– Ty też – odpowiada Max, pokazując na klatkę piersiową. – Jak tata i mama.

Obejmuję go na kilka sekund. Max się uwalnia, uśmiecha do mnie i znika w pokoju, w którym z pewnością bawi się jego przyjaciółka.

Wstaję i ruszam do wyjścia, kiedy Jules rzuca:

– A my widzimy się za dwa dni.

Powrót przez kanały i cmentarz zajmuje mi o wiele więcej czasu niż droga w tamtą stronę. Na bulwarze jest mnóstwo ludzi. Z daleka dobiegają mnie echa jakiegoś starcia. Ponad godzinę spędzam schowana w jakimś kącie. Czekam, aż po wróci zupełna cisza.

Co zrobię z całym tym czasem, który dzieli mnie od spotkania? Nie mogę wystawiać się na niebezpieczeństwo, czyli wychodzić, ani też pozostać bez zajęcia. W tym drugim przypadku za bardzo bym się bała, że dopadną mnie zwątpienie i strach. Już za późno, żeby się wycofać.

Przygotowuję sobie coś do jedzenia i popijam posiłek kilkoma łykami magicznego napoju. Spać i nabierać sił – to najlepsza opcja.

23 grudnia

Dziś rano budzę się pełna strasznego lęku. A jeśli o wszystkim zapomnę, gdy już cofnę się w przeszłość? A jeżeli ta nie bez pieczna wyprawa na nic się nie zda? A jeśli będę – jak bezduszny robot – wykonywać te same bezużyteczne czynności co przedtem? Muszę się czym prędzej przygotować. Ale co zrobić?

Zaczynam od napisania sobie na nadgarstku nazwy szcze pionki. MeninB-Par.

– MeninB-Par, MeninB-Par, MeninB-Par, MeninB-Par!

Powtarzam ją w kółko na głos, żeby wbiła mi się w pamięć.

Nie wiem dokładnie, jak uda mi się zaalarmować wszystkich. Nikt nie będzie mnie słuchał, dopóki nie pojawią się pierwsze oznaki. Nie będę też mogła przedstawiać się jako dziewczyna, która przybywa z przyszłości, bo wezmą mnie za wariatkę. Będę musiała postawić na Stéphane. Odwiedzę ją u jej matki w Bretanii podczas wakacji. Ona dzięki swojemu ojcu z pewnością skuteczniej niż ja przekona władze i epidemiologów. Problem w tym, że wątpię, by mnie wysłuchała i nie potraktowała z góry. Na pewno znajdę jakieś rozwiązanie – trzeba je znaleźć.

Teraz zastanawiam się nad inną ważną kwestią. Czy ja sama w to uwierzę? Uwierzę, że przeniosłam się w czasie i wróciłam, żeby uratować świat? Istnieje ryzyko, że pozbędę się śladów czegoś, co z pewnością uznam za szaleństwo. Zapewne postawię hipotezę, że na jakiejś imprezie ktoś podsunął mi psychotropy.

Najlepiej będzie, jak napiszę list do samej siebie.

*Koridwen,*

*jeżeli czytasz ten list, to znaczy, że mi się udało. Ta wiadomość to nie żart. Nie wyrzucaj jej. Piszę ją dziś w pełni władz umysłowych. Jestem tobą, Koridwen, starszą o kilka miesięcy.*

*Powtarzam ci, to nie żart i przede wszystkim nie wyrzucaj tego listu.*

*Szykuje się straszna katastrofa, pewien wirus zniszczy prawie całą populację. Pierwsze oznaki pojawią się w październiku. Wiem to, bo przeżyłam to za pierwszym razem. Siły, których nie udało mi się zidentyfikować, postanowiły podarować ludzkości środek na uniknięcie katastrofy i wysłały mnie w przeszłość. Cofnęłam się o kilka miesięcy. Znam sposób na powstrzymanie tej tragedii. Istnieje szczepionka, MeninB-Par, która może zastopować rozwój choroby. Wiem, że to, co piszę, jest niemożliwe do pojęcia. Nie wyrzucaj tej kartki. Schowaj ją starannie. Wkrótce zobaczysz, że nic nie zmyśliłam.*

*Koridwen*

Składałam list na czworo i wsuwam do czystej koperty, którą znajduję w dawnym biurze. Przed włożeniem listu do wewnętrznej kieszeni kurtki, którą będę mieć na sobie podczas podróży w czasie, przyglądam mu się dłuższą chwilę. Muszę dodać jakąś wskazówkę. Może... „Do otwarcia pod koniec października”. To wtedy w mediach będzie mowa o pierwszych ofiarach wirusa U4. Jeżeli otworzę list w marcu, na pewno nie wezmę na serio takiego scenariusza. Kiedy stawiam czubek długopisu na papierze, zalewa mnie fala gorąca i ledwo utrzymuję się na nogach. Już kiedyś pisałam te słowa na jakiejś kopercie. Zawierała list, którego ostatecznie nie

przeczytałam przed wyjazdem z Menesguen. Machinalnie schowałam go w głąb szuflady na skarpetki w moim pokoju w Bretanii, kiedy Max wrzeszczał z krwawiącym nosem.

Osuwam się na ziemię. Już... Już kiedyś miałam to przeżyć i nie potrafiłam... Nie wiedziałam jak... Moje oczy wypełniają się łzami, które płyną potem po policzkach. Przez długie minuty tkwię w bezruchu, w rozpaczy, po czym wstaję. Chwytam ponownie długopis i piszę:  
*Otworzyć natychmiast!*

*(Nie czekaj, Kori.)*

Chowam kopertę do kieszeni kurtki. Wychodzę na zewnątrz. Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza. Staram się oczyścić umysł, wyгнаć wyrzuty i żale, które mogłyby mnie zniszczyć. Muszę się skupić na chwili obecnej, żeby więcej nie popełniać tych samych błędów. Wspinam się na dach, żeby przyjrzeć się okolicy przez lornetkę. Wszystko zdaje się doskonale spokojne. Dostrzegam, choć bardzo daleko na północy, jakieś punkty na niebie. To mogą być drony. Wszystkie wyraźnie koncentrują się nad Paryżem. Armia, jak się zdaje, opuściła przedmieścia. Wydaje jej się, że opróżniła je totalnie i zniechęciła wszystkich do powrotu w te rejony. Czyli są szanse, że po tej stronie obwodnicy jestem całkiem sama. Ta myśl sprawia, że mam chęć odwiedzić miejsca, które naznaczyły mój pobyt tutaj i które opuszczam na zawsze. Przez całą drogę mimo wszystko zachowuję ostrożność, wyczulona na najmniejszy podejrzany znak. Docieram do warsztatu, mijam go, żeby dojść do niezagospodarowanego terenu, gdzie pochowani są Nicolas i Camille. Podchodzę do prostokąta niedawno poruszonej ziemi i pochylam się, żeby ich pozdrowić. Nie jestem w stanie wygłosić mowy ani się pomodlić, bo dopadają mnie emocje. Jedyne słowo, jakie potrafię z siebie wydusić, to: „Przepraszam”. Idę dalej i wchodzę do baru, gdzie po raz pierwszy spotkałam Youssa i Ibrę. Potem idę w kierunku ich domku, z żołądkiem ściśniętym z lęku. A jeżeli znajdę tam ich ciała? A jeśli nie udało im się schronić gdzieś na czas? A Kadi, moja przyjaciółka?

Nic. Z ich domu nie pozostało nic. W tym miejscu zionie krater, będący z pewnością wynikiem ogromnej eksplozji. Być może przed wyjazdem wysadzili w powietrze zapas amunicji – albo armia się tym zajęła. Kończę wyprawę w miejscu spoczynku Anny, tuż obok magazynu. Jeszcze jedna osoba, która spotkała mnie na swoje nieszczęście. Jeszcze jedna, której nie umiałam ochronić.

Kładę się spać wcześniej i szybko zasypiam dzięki mojemu magicznemu syropowi.

24 grudnia

Jest czwarta rano, a ja nie śpię już od dłuższego czasu. Jestem za bardzo zdenerwowana, żeby ponownie zasnąć. Waham się, czy nie zażyć raz jeszcze mojego środka nasennego, ale na dłuższą metę mógłby zaburzyć moje zdolności do myślenia lub reakcji w sytuacji zagrożenia. Kilka razy wstaję i przemierzam magazyn we wszystkie strony. O piątej otwieram drzwi, żeby zaczerpnąć więcej powietrza. Słyszę warkot pojazdów kilkaset metrów stąd. Hałas dobiega z obwodnicy. Nie jestem w stanie oprzeć się chęci popatrzenia na nie z bliska. Nie spieszę się i idę ostrożnie, przywierając do ścian. Docieram na miejsce w świetle półksiężyca. Tu niedaleko żołnierze ustawili kiedyś blokadę, lecz dziś miejsce jest opustoszałe. Ulicę przegradza teraz gruba krata. Paryż stał się więzieniem albo fortecą.

Długi konwój wojskowych ciężarówek sunie po szerokiej asfaltowej wstędze. Przemykam między samochodami porzuconymi wzdłuż chodników aż do barierki bezpieczeństwa. Wojskowe pojazdy są odkryte i dostrzegam sylwetki nastolatków wychylających się na zewnątrz. To cywile jadący na prowincję. Ilu ich jest? Dokąd jadą? Atmosfera jest raczej wesoła, niektóre grupki śpiewają i się wygłupiają. Oni raczej nie boją się przyszłości. Lustruję wzrokiem wszystkie maszyny aż do ostatniej. Liczę, że dojrzę gdzieś dziewczyny z Salpêtrière, w drodze do Bretanii, w moje strony. Na próżno. Wracam się położyć i ostatecznie znowu zasypiam.

Wstaję dość późno. Tym lepiej, krócej będę czekać. Chciałabym móc stanąć z boku albo przyspieszyć bieg czasu. Chciałabym, żeby wreszcie nadszedł moment wyruszenia w podróż. Kilka godzin biję się z myślami, a potem postanawiam wyjść. Idę swoją zwyczajową trasą do stolicy. Przemierzam ją zapewne po raz ostatni. Gdy wchodzę do paryskich kanałów, już po pokonaniu cmentarza, zdaję sobie sprawę, że droga będzie długa i niebezpieczna. Nie jestem tu sama. Przez chwilę echo niesie głosy, bardzo daleko ode mnie. Nie zapalam czołówki i idę po omacku. Sprawdzam nazwy ulic, przechodząc pod żeliwnymi włączami, przez które przedostaje się światło. Odgłosy się nie zbliżają, więc spokojnie idę dalej. Nagle nieruchomieję i wciskam się w jakąś wnękę. Wyczuwam kogoś kilka metrów za mną. Musiałam przejść obok niego i się nie zorientować. Stał w idealnym bezruchu, kiedy go mijałam. Pojawia się światło, a potem suchy odgłos przeładowywanego pistoletu. Na razie nie może mnie widzieć, chociaż myślę, że wie, gdzie się schowałam. Mniej niż metr ode mnie śwista kula. Trzęsę się, podnosząc broń. Snop światła jego latarki właśnie musnął czubek mojego buta. Chybił zaledwie o kilka centymetrów. Chce mnie nakłonić do wyjścia z mojego kąta, żeby łatwiej mu było do mnie strzelać.

– Nie strzelaj, poddaję się – krzyczę.

– Wyrzuć broń do kanału!

Schyłam się, wciąż przy ścianie, żeby chwycić jakiś kamień walający mi się pod nogami.

– Szybciej albo cię rozwalę – słyszę jego krzyk.

Rzucam kamieniem w jego stronę, z nadzieją, że go ochłapię. Kiedy trafia w wodę, wychylam się z ukrycia. Dwa razy strzelam, lecz niecelnie. Uciekam biegiem przed siebie. Wokół mnie świszczą kule. Skręcam na pierwszym skrzyżowaniu i szukam miejsca, w którym mogłabym się schronić. Magazynek mam pusty. Został mi już tylko jeden, z ośmioma nabojami. Szukam go w plecaku i udaje mi się wcisnąć go na miejsce za pierwszym razem. Jestem z powrotem gotowa. On nadchodzi. Domyślam się, że przymocował sobie latarkę do lufy broni. Kucam skulona, bo dostrzegam, że gość oświetla raczej górę ścian. Mam go na muszce. Strzelam i trafiam prosto w głowę. To jakiś chłopak o twarzy anioła. Musiał być równie przestraszony jak ja. Przyglądam się jego oczom zastygłym w wyrazie przerażenia i mówię sobie, że z pewnością

istniało jakieś rozwiązanie, żeby uniknąć tej zbrodni.

Zgiełk naszej strzelaniny musiał ściągnąć patrole, bo kanały wypełniają się nagle krzykami i rozkazami wydawanymi władczym głosem. Muszę wyjść, nawet za cenę pewnej konfrontacji z dronami. Wspinam się na pierwszą drabinkę i wydostaję na zewnątrz. Czołgam się aż do dwuskrzydłowych drzwi i wślizguję do wnętrza starej kamienicy. Oceniam, że pokonałam dwie trzecie trasy. Daję sobie godzinę na ochłonięcie po tych emocjach. Mam duży zapas czasu. Wspinam się na kolejne piętra i wchodzę do jakiegoś otwartego mieszkania. Przywieram do szyby i obserwuję ulicę. Przechodzi nią kilka patroli z psami.

Znów schodzę do kanałów, w których wreszcie zapanował spokój. Powoli posuwam się do przodu i zatrzymuję na każdym skrzyżowaniu. Nagle dobiega mnie powarkiwanie psów jakieś pięćdziesiąt metrów przede mną. Być może namierzili mnie już wcześniej, ale czekali na mój powrót. Muszę jak najszybciej wracać na górę. Wspinam się na pierwsze szczeble i słyszę, jak kawalkada zbliża się wielkimi krokami. Wysuwam się z tunelu i zasuwam pokrywę włazu. W tej samej chwili dostrzegam hełm żołnierza, wylaniający się z półmroku. Staję na żeliwnej pokrywie, żeby nie mogli jej podnieść. Wiem, że długo tak nie wytrzymam, szczególnie jeżeli podeprą ją w kilku. Przykładałam lufę do centralnego otworu i strzelam trzy razy. Facet musiał dostać, bo pokrywa przestaje się unosić.

Pospiesznie ruszam w kierunku mostu nad jednym z ramion Sekwany. W oddali słyszę ciężarówkę. Rzucam się na ziemię i wczołguję pod porzuconą furgonetkę. Jest tam bardzo ciasno. Moje ubrania zahaczają o metalowe elementy wystające z podwozia. Czuję się jak w pułapce. Moja twarz przylega do zimnego, brudnego asfaltu. Staram się prawą ręką wymacać, co krępuje mi ruchy, i uwolnić się od tego. W końcu mi się udaje. Jestem zmęczona. Najwyższy czas, żeby to się skończyło, żebym opuściła tę rzeczywistość. Czuję, że stałam się maszyną do zabijania.

Przez chwilę, której długości nie jestem w stanie ocenić, leżę pod ciężarówką w jakimś półśnie. Składają mi wizytę tylko zbłąkane psy, które obwąchują mnie, wyją, a potem odchodzą.

Od dawna jest już ciemno. Rzadziej pojawiają się pojazdy. Postanawiam wyjść. Pozostaje mi do pokonania raptem około stu metrów. Przemierzam je, opierając się o ściany. Na moje szczęście żaden dron nie przeczesuje dzielnicy tak późno. Docieram na miejsce pół godziny przed ustaloną porą.

Schodzę prosto do podziemi Conciergerie, bo tam wszytko ma się wydarzyć. Jestem zbyt zdenerwowana, żeby cierpliwie siedzieć w mojej klitce i czekać na te niewiarygodne wydarzenia. Zamiast tego błąkam się po korytarzach i schodach. Słyszę hałasy dobiegające z wyższych pięter. Na razie powstrzymuję się przed pójściem do sali gotyckiej, żeby zobaczyć tych, którzy tu dotarli. To spotkanie nie jest już częścią mojej historii, ale nie mogę powstrzymać się przed myśleniem o tym, co ich czeka. Niepokoję się. We śnie widziałam, że kiedy armia wkroczy do akcji, rozpocznie się krwawa łaźnia. Nie mogę jej zapobiec.

Gdybym w wiadomościach od Mamm-gozh, wysyłanych za pośrednictwem snów, widziała się w roli przewodnika wskazującego drogę do korytarza czasu, nie wahałabym się ani sekundy. Po prostu ogłosiłabym, że jestem Khronosem i zaprowadzę ich wszystkich na spotkanie, kiedy otworzy się przejście. Jednak od wielu dni jestem przekonana, że moja misja nie przewiduje towarzyszy drogi. Stawka jest zbyt wysoka, żeby ignorować znaki. To mogłoby nawet uniemożliwić samą podróż.

Dla nich nadeszła pora. Mam świadomość ryzyka, ale jednak wchodzę do zbrojowni, żeby spędzić chociaż kilka chwil z moimi braćmi z gry i być może po raz ostatni dojrzeć gdzieś Jules'a. Trzymam się na uboczu i przyglądam Ekspertom, którzy zgromadzili się wokół koksownika. Jest ich około trzydziestu. Sami odważni, którzy odrzucili schronienie w Z-Punktach i dotarli tu z narażeniem życia. Są milczący i poważni. Ilu z nich umrze za kilka



minut? Nie powinnam za dużo o tym myśleć. Szczególnie, że jeśli mi się uda, dostaną drugą szansę na powrót do swoich rodzin.

Jules zszedł ze szczytu wieży, gdzie, jeżeli dobrze pamiętam, miał stać na czatach aż do chwili spotkania. Nie zauważył mnie. Mówi do Jérôme'a i Vincenta, że armia już się zbliża. Gdzieś tam wybija północ. Jérôme wzywa do wycofania się. Od strony drzwi wychodzących na bulwar słychać strzały.

– Posłuchajcie mnie uważnie. Khronos nie istnieje... – mówi Jérôme donośnym głosem.

Zgromadzenie jest poruszone. Wielu nie dowierza albo uważa, że ich zdradzono. Przyjaciel Jules'a przemawia dalej. Zaprasza, by przyłączyli się do jego komuny. Jednak najpierw muszą wydostać się żywi z tej pułapki. Jérôme kieruje wszystkich w głąb sali, żeby ewakuować ich pewną drogą. Jules mnie dostrzega i daje mi znak. Pozdrawiam go w odpowiedzi. Wtedy drzwi eksplodują. Wpadają przez nie żołnierze uzbrojeni w karabiny z laserowymi celownikami.

Jérôme przewraca koksownik. Sala pogrąża się w ciemnościach. Chowam się za filarem. Ze wszystkich stron świszczą kule. Wybuchają panika. Pociski trafiają w kolejne osoby wokół mnie, ranni padają na kamienną posadzkę. Niektórzy tracą głowę i zaczynają wrzeszczeć. Zostają skoszeni w następnej kolejności.

– Dziesięciu, dziesięciu nie żyje – krzyczy tuż obok mnie jakiś chłopak ze łzami w oczach. – Wszyscy moi kumple zabici. Dlaczego...?

Kula trafiająca go w środek czoła nie pozwala mu skończyć zdania.

Jedenastu, mówię sama do siebie, jedenastu Ekspertów.

*Jedenastu uzbrojonych kapłanów; przyszli z Vannes z połamanymi mieczami; ich szaty krwią zbroczone, podpierają się kulami...*

Dla mnie to sygnał. Została jedynie sekwencja dwunasta, ostatnia. Muszę dołączyć do Strzelca, który poprowadzi mnie w kierunku przeszłości. Kładę broń na ziemi. Nie będzie mi już potrzebna. Nadszedł mój czas, muszę wypełnić swoje przeznaczenie. Misja dopiero się zaczyna. Trochę boli mnie czaszka i nic już nie słyszę. Docieram do schodów i zagłębiam się w podziemia. Idę po omacku. Drzwi są o dwa kroki stąd. Uda mi się. Wreszcie wchodzę do środka. Jestem na miejscu...

## Epilog

Nie wiem, która godzina, ale czuję, jak przez moje powieki prześwituje już światło słoneczne. Przegapiłam gimbus, więc nie pójdę dziś rano do szkoły. Czuję się trochę dziwnie. Oczy same mi się zamykają. Może jestem chora.

Słyszę, jak skrzypią stare drewniane schody. To moja matka.

– Obudziłaś się, Koridwen? Dziwnie dziś wyglądasz. Musiałaś złapać jakieś choróbko podczas tego weekendu w Rennes.

Pozwalam jej mówić, ale nie rozumiem ani trochę, do czego pije. Dociera do mnie, że nie mam żadnych wspomnień z dwóch ostatnich dni, które spędziłam ponoć daleko od gospodarstwa.

– Wróciłaś w nocy – kontynuuje matka – kiedy już spaliśmy. Koło czwartej zeszłam do kuchni po szklankę wody i dostrzegłam światło w twoim pokoju. Poszłam zobaczyć, co ty tam kombinujesz. Spałaś na łóżku całkiem ubrana, w kamizelce myśliwskiej ojca i czarnej czapce na głowie. To ja cię rozebrałam i położyłam spać. Wydałaś mi się trochę rozgorączkowana dziś rano, więc wołałam dać ci pospać. Jeżeli ci nie przejdzie, wezwę lekarza. Zaniósłam wszystkie twoje ubrania do prania. Nie wiem, gdzie się szwendałaś, córeczko, ale towarzyszył ci bardzo nieprzyjemny zapach. Jakby ścieków.

Nagle dopada mnie niepokój i pytam wciąż niepewnym głosem:

– Mamo, pomyślałaś, żeby wyjąć wszystko z moich kieszeni przed praniem? Coś mi się przypomina, że... że... miałam przy sobie jakiś list...

– Znalazłam go. Przed chwilą położyłam go na twoim biurku. To jakiś ważny dokument?

– Zdaje mi się, że tak, ale nie pamiętam dlaczego.

Poszła sobie. Staram się wstać, ale czuję się bardzo słaba. Odkrywam, że na moim nadgarstku napisana jest jakaś nazwa. Z trudem ją odszyfrowuję: MeninB-Par. Przypomina nazwę jakiegoś leku.

Dlaczego nic nie pamiętam?

Muszę koniecznie jeszcze trochę się przespać. Kiedy się obudzę, wrócą mi wspomnienia. To pewne. Wyrecytuję sobie wyliczankę, to działa za każdym razem.

– *Moje piękne, dobre dziecko – mówi druid. – Cóż mam ci zaśpiewać?*

– *Zaśpiewaj mi sekwencję numer jeden, niech się jej dziś nauczę...*

<sup>1</sup> Fr. *cornes* – rogi, a także myśliwskie określenie na głowę kozła, utożsamianego z Szatanem; fr. *Saint-Denis* – św. Dionizy, pierwszy biskup Paryża, męczennik ścięty w wyniku prześladowań ze strony rzymskiego cesarza Waleriana I – *przyp. tłum.*

<sup>2</sup> Chodzi o dworzec Montparnasse (fr. *gare Montparnasse*), nazywany potocznie bretońskim, przez który na przełomie XIX i XX wieku przewijali się migrujący w poszukiwaniu pracy przybysze z Bretanii oraz innych regionów północno-zachodniej Francji – *przyp. tłum.*

## Bretońska wyliczanka, Ar Rannou (Sekwencje, albo druid i dziecko)

Ta pieśń jest pierwszym utworem zamieszczonym w *Barzaz Breiz*, zbiorze tradycyjnych pieśni bretońskich. Zebrał je Théodor Hersart de La Villemarqué. Dzieło opublikowano w 1848 roku. Autor opisuje tę pieśń jako „jedną z najbardziej zdumiewających i jedną z najstarszych w poezji bretońskiej”. Jest to dialog między druidem i jego uczniem. W tej rozmowie druid wyklada kosmogonię, teologię, geografę, astronomię i medycynę...

Tekst był przekazywany w tradycji ustnej w dialekcie kornwelskim.

– *Moje dobre, piękne dziecko – mówi druid. – Cóż mam ci zaśpiewać?*

– *Zaśpiewaj mi sekwencję numer jeden, niech się jej dziś nauczę.*

– *Nie ma sekwencji o numerze jeden – odpowiada druid. – Wyjątkowa konieczność, Śmierć, ojciec Bólu, nic wcześniej, nic później.*

– *Zaśpiewaj mi sekwencję numer dwa, niech się jej dziś nauczę – prosi dziecko.*

*A druid mu odpowiada:*

– *Dwa woły zaprzęgnięte do skorupy; ciągną, zdechną; oto cud.*

– *Zaśpiewaj mi sekwencję numer trzy, niech się jej dziś nauczę – prosi dziecko.*

*A druid mu odpowiada:*

– *Są trzy części na świecie: trzy początki i trzy końce, dla człowieka tak samo jak dla dębu. Trzy królestwa Merlina, pełne złotych owoców, błyszczących kwiatów i małych, śmiejących się dzieci.*

– *Zaśpiewaj mi sekwencję numer cztery, niech się jej dziś nauczę – prosi dziecko.*

*A druid mu odpowiada:*

– *Cztery kamienie do ostrzenia, ostrzałka Merlina, kamień, który ostrzył miecze śmiałków.*

– *Zaśpiewaj mi sekwencję numer pięć, niech się jej dziś nauczę – prosi dziecko.*

*A druid mu odpowiada:*

– *Pięć ziemskich stref, pięć wieków w trwaniu czasu, pięć skał dla naszej córki.*

– *Zaśpiewaj mi sekwencję numer sześć, niech się jej dziś nauczę – prosi dziecko.*

*A druid mu odpowiada:*

– *Sześcioro małych dzieci z wosku, ożywionych światłem księżycy, ty tego nie wiesz, a ja wiem. Sześć leczniczych roślin w kociołku; mały karzeł miesza napój z palcem w ustach.*

– *Zaśpiewaj mi sekwencję numer siedem, niech się jej dziś nauczę – prosi dziecko.*

*A druid mu odpowiada:*

– *Siedem słońc i siedem księżyców, siedem planet, w tym Kwoka. Siedem elementów razem z mąką powietrza.*

– *Zaśpiewaj mi sekwencję numer osiem, niech się jej dziś nauczę – prosi dziecko.*

*A druid mu odpowiada:*

– *Wieje osiem wiatrów; osiem wiatrów ognia w miesiącu maju na wojennej górze.*

– *Zaśpiewaj mi sekwencję numer dziewięć, niech się jej dziś nauczę – prosi dziecko.*

*A druid mu odpowiada:*

– *Dziewięć białych rączek na kamiennym stole, obok wieży Lezarmeur, i dziewięć jęczących matek. Dziewięć skrzatów tańczących z kwiatami we włosach i w sukienkach z białego lnu, wokół fontanny, przy pełni księżycy. Locha i jej dziewięć warchlaków u wrót swojego legowiska, locha chrząka i kwiczy, kwiczy i chrząka: Maluchy! Maluchy! Maluchy! Biegnijcie do jabłoni! Stary dzik da wam lekcję.*

– *Zaśpiewaj mi sekwencję numer dziesięć, niech się jej dziś nauczę – prosi dziecko.*

*A druid mu odpowiada:*

– *Dziesięć wrogich okrętów, które nadciągają z Nantes: Nieszczęście na was! Nieszczęście na was! Mieszkańcy Vannes!*

– *Zaśpiewaj mi sekwencję numer jedenastę, niech się jej dziś nauczę – prosi dziecko.*

– *Jedenastu uzbrojonych kapłanów; przyszli z Vannes z połamanymi mieczami; ich szaty krwią zbroczone, podpierają się kulami...*

– *Zaśpiewaj mi sekwencję numer dwanaście, niech się jej dziś nauczę – prosi dziecko.*

*A druid mu odpowiada:*

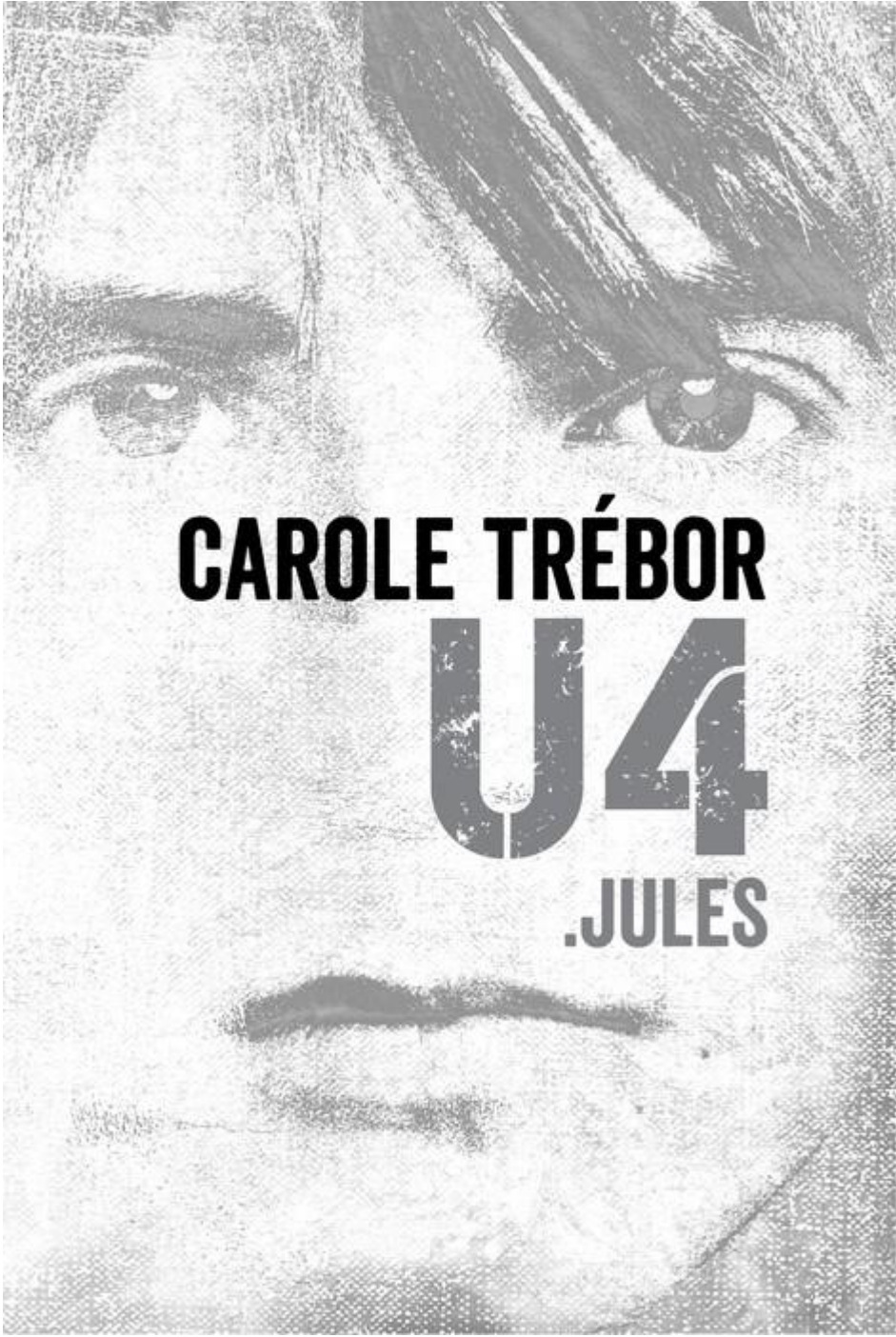
– *Dwanaście miesięcy i dwanaście znaków; przedostatni, Strzelec, wypuszcza strzałę uzbrojoną w grot. Dwanaście znaków jest na wojnie. Piękna krowa, czarna krowa z gwiazdą na czole wychodzi z lasu pełnego trupów. W jej piersi tkwi grot ze strzały; jej krew płynie strumieniami; krowa ryczy ze zwieszoną głową; rozbrzmiewa trąba; ogień i grzmot; deszcz i wiatr; grzmot i ogień. Nic; nic więcej, żadnej sekwencji!*

## Podziękowania

Dziękuję współautorom serii: Carole, Florence i Vincentowi, dzięki którym dwa lata pracy stały się wspaniałą przygodą.

Dziękuję też mojej „wydawniczej rodzinie” – wydawnictwu Syros, które od razu uwierzyło w ten projekt i które towarzyszyło mi przez cały czas pisania z życzliwością i profesjonalizmem.

Dziękuję też Camille’owi Cousinowi, pasjonatowi kultury bretońskiej, za to, że dzięki niemu odkryłem *Ar Rannoù*.



**CAROLE TRÉBOR**

**U4**

**.JULES**

4 listopada, wczesne popołudnie

Głodny jestem. W kuchni nie ma już nic do jedzenia.

W kranie od rana brak wody, gazu nie ma od wczoraj, prądu od trzech dni. Na próżno po omacku przesuwałem ręką po ścianie, próbując zapalić światło w salonie. Wszystko na nic – nadal panowały egipskie ciemności. Od zmierzchu, czyli mniej więcej od siódmej wieczorem, mieszkanie tonie w mroku.

Na szczęście w komodzie przy wejściu znalazłem dwie latarki. Muszę szybko zdobyć do nich baterie, a także świece. Poza tym trzeba zrobić zapasy węgla drzewnego i zapalek, żeby podtrzymać ogień na kominku. Zaczyna być zimno. Potrzebuję żywności.

Lego bez przerwy miauczy. Skończyły się chrupki dla kota. On też umiera z głodu. Ze złości, żeby się zemścić, drapie fotele i kanapy. Łapie wszystko, co się rusza, porwał mi nawet zegarek, który kupiłem sobie przez internet. Wydałem na ten zegarek całe kieszonkowe i zrobiłem z niego przedmiot kolekcjonerski – wygrawerowałem z tyłu nożykiem litery WOT. Teraz nie mogę go znaleźć, więc potrzebuję też baterii do budzika – inaczej nie będę nawet wiedział, która jest godzina.

Okropnie boję się wyjść z domu. Muszę jednak stawić czoła Paryżowi, zanim noc zagarnie ulice. Miasto, na które patrzę przez okno, nie jest już moje. To jest miasto nie do zniesienia.

Wczoraj widziałem ludzi w kombinezonach astronautów oraz czymś w rodzaju masek przeciwgazowych. Zbierali trupy i wrzucali je na opancerzone ciężarówki. Dokąd zwieźli te wszystkie splątane ze sobą ciała? Do grobów zbiorowych? A może je spalą? Może oni wiedzą, co wszystkich zabija? Co to za cholerny wirus, który atakuje i uśmierca w ciągu kilku godzin? Czy mogą mi powiedzieć, dlaczego wciąż żyję? Miałem ochotę pobiec i dołączyć do nich, ale nie ruszyłem się od okna, nie byłem w stanie nic zrobić. Prośba o pomoc zmusiłaby mnie do uznania, że wszyscy naprawdę umarli, do zaakceptowania tej ciszy i tego smrodu. A tego nie mogę zrobić. I nie chcę.

Wyjść.

Muszę wyjść, muszę poszukać jedzenia.

Trudno, najwyżej się zarażę.

Nawet gdybym miał umrzeć, wolę umrzeć na zewnątrz z powodu epidemii niż w domu z głodu.

Dziadek mówił, żebym nie wychodził. Ale może jestem odporny na tego wirusa? Może zachowałem życie, by wypełnić misję Khronosa i pozostałych Ekspertów? Muszę wytrzymać do 24 grudnia i pójść pod najstarszy zegar w Paryżu, żeby przekonać się, czy powrót do przeszłości jest możliwy.

Co to za dźwięki w salonie?

Cholera, chrobot się nasila. Idę tam.

Kolejna inwazja szczurów! Są olbrzymie. Jak dostały się do mieszkania? Boże, co za koszmar!

– Spieprzajcie, wstrętne bydlaki! A kysz!

Mój histeryczny głos brzmi dziwnie. Czy to naprawdę ja mówię? Szczury są megaagresywne, jakby zmutowane. Jeden wgryza się mi w kostkę. Kopię, żeby mnie puścił. Bardzo się boję, ruszam biegiem w stronę drzwi i wypadam z mieszkania.

Zbiegam po schodach między chmurami szczurów. Na wycieracze na czwartym piętrze potykam się o coś lepkiego i wilgotnego. Padam na marmurową podłogę. Z całej siły zaciskam



oczy, przerażony smrodem zgnilizny, który gryzie mnie w gardło i wyciska łzy. Nigdy w życiu nie czułem równie okropnego zapachu. Oddychanie staje się nieznosne. Dostaję drgawek, przestaję kontrolować swoje ciało.

Wiem, o co się potknąłem, i wiem, że muszę szybko się podnieść. Inaczej czeka mnie śmierć.

Ten miękki, gąbczasty przedmiot, o który zawadziłem, to trup. Jedna z ofiar wirusa. Wirusa, który być może właśnie mnie atakuje.

Podnoszę się na kolana. Nogi mam jak z waty, nie mogę nawet wstać. Jak zahipnotyzowany wpatruję się w ciało: to moja sąsiadka z piętra niżej. Obok leży jej syn. Też nie żyje. Czuję się ogłuszony. Jestem niezdolny do odczuwania czegokolwiek. Szumi mi w uszach. Twarz kobiety jest zupełnie biała, aż zielonkawa, na szyi widać sine ślady. Jej skóra wygląda, jakby ktoś naciągnął ją na kości. Gałki oczne ma zapadnięte, jakby pokryte plastikową błoną. Jest zupełnie sztywna. Można by pomyśleć, że to figura woskowa z muzeum Grévin, ale najgorsze są larwy i robaki, które do żywego mięsa objadły skórę na brzuchu. Dlaczego umarła na wycieraczkę? Dlaczego nie w domu? Nie musiałbym jej oglądać. Ale co to za głupie myśli, czy mi padło na mózg? Biedaczka, pewnie chciała zaprowadzić synka do lekarza na drugim piętrze i nagle dopadła ją choroba. Zmarła tu, na klatce schodowej, z dzieckiem u boku.

Pod koniec października, gdy jeszcze działała sieć, widziałem ofiary wirusa w internecie. Chorych powalała gorączka, a później dochodziło porażenie ciała, wymioty, plucie krwią, krwawienie ze wszystkich porów skóry. Nie mogę oderwać wzroku od ciała sąsiadki. Rączka chłopca nadal tkwi w dłoni matki, jakby kobieta chciała trzymać go do ostatniej chwili życia. Które z nich umarło pierwsze? Groza tego pytania wywołuje u mnie skurcze żołądka i mdłości. Miotają mną gwałtowne torsje. Wymiotuję. Samą żółcią. Pewnie matka odeszła pierwsza, mały złapał ją za rękę, zanim umarł. Znów mam torsje, zginam się w pół. Nic już nie jestem w stanie z siebie wyrzucić, tylko rozpacz i obrzydzenie.

Wstaję chwiejnie i zaraz chwytam się poręczy. Czuję w głowie pustkę. Ten stan chroni mnie przed światem równie skutecznie jak warstwa waty. Kiedy docieram na parter, przypominam lunatyka.

Gdy tylko wychodzę na aleję Obserwatorium, zaczyna mnie dusić ten sam wszechobecny smród rozkładającego się mięsa, zepsutych jaj i nieświeżych ryb.

Mam wrażenie, że te wyziewy żyją, wnikają wszędzie, osaczają mnie jak dementorzy. Asfalt jest usiany wzdętymi, sztywnymi ciałami. Z bliska wszystko wydaje się jeszcze bardziej nierzeczywiste niż z piątego piętra. Z góry ulice wyglądały jak zastygłe pod chmurą czarnych ptaszysk. Nie chcę wierzyć własnym oczom, ale nie mogę dłużej ignorować tego, co widzę. One tam są, te potworne trupy. Ich obecność napędza mnie grozą. Nigdy wcześniej nie widziałem martwego człowieka, a teraz nawet nie zdołałbym ich policzyć. Nie mają już w sobie nic ludzkiego, zaczęły się rozkładać, unoszą się nad nimi roje much. Czy to jeszcze w ogóle są ludzie? Czy tylko ludzkie szczątki?

I ta cisza... Cisza, która ogłusza mnie bardziej niż ruch uliczny, odgłosy autobusów ruszających na zielonym świetle, krzyki dzieci, warkot skuterów. Brakuje mi dźwięków Paryża. Od kilku dni nie słyhać nawet syren. Gdzie podziali się ludzie w kombinezonach, których widziałem wczoraj? Czy tylko oni, w specjalnych skafandrach, przeżyją epidemię? I kim są?

Dlaczego na ulicach nikogo nie ma? Nie widzę żadnych przemykających postaci. Nikogo, z kim można by zamienić słowo.

Lękliwe poszczekiwanie psa przerywa ciszę. Odwracam się. To bardzo łagodny biały labrador naszych sąsiadów z trzeciego piętra. Zbliżam się do niego pełen nadziei, ale na widok zielonkawej rzeczy, którą trzyma w pysku, znów robi mi się słabo. To ręka. To kiedyś była ręka.

Żołądek mi się skręca, w gardle czuję palący smak żółci. Przykładam do nosa chusteczkę i przechodzę przez bulwar pełen wywroconych koszy na śmieci. Plastikowe torebki, zawilgocone foldery reklamowe, opakowania z McDonalda i puszki po piwie muszą wystarczyć za ozdoby pogrzebowe. Taki sam chaos panuje w parku Wielkich Odkrywców. Uczepione drzew i metalowych krat fragmenty plastiku szeleszczą na wietrze. Gruba warstwa zeschniętych liści pokrywa alejki małego Ogrodu Luksemburskiego, jak nazywamy tę oazę zieleni w naszej dzielnicy.

W powietrzu na pewno roi się od wirusów, bakterii i innych tego rodzaju świństw. Przydałaby mi się maska gazowa albo przynajmniej maseczka higieniczna. Mógłbym znaleźć ją w aptece. Powiew wiatru przynosi nieznośne wyziewy zgnilizny. Nie jestem w stanie oddychać, jakbym zamiast serca miał kamień, który nie pozwala krwi krążyć w żyłach. Kaszlę, żeby pozbyć się z gardła smaku gęstej pleśni.

Czy wszyscy paryżanie umarli? Chciałbym sprawdzić, czy moi koledzy przeżyli, ale nie mam odwagi, za bardzo boję się natrafić na ich ciała.

A rodzice? Brat? Czy ich odnajdę? Nie ma nikogo, kto mógłby odpowiedzieć na to pytanie.

Za bardzo się boję.

Trzy dni temu udało mi się jeszcze skontaktować z Ekspertami WOT na forum internetowym. Na samą myśl o tym wstrząsa mną dreszcz. A jeśli oni też umarli od czasu ostatniej wiadomości od Khronosa?

Zmuszam się do pójścia w stronę Ogrodów Luksemburskich. Mam nadzieję, że tam będzie mniej trupów, a powietrze bardziej rześkie. Na ulicy stoją porzucone samochody. Nie mogę uwolnić się od smrodu, który wnika w moje ubrania. Cuchnę teraz śmiercią. Wejście do parku, naprzeciw liceum Montaigne'a, jest zamknięte. Ruszam ulicą Auguste-Comte w kierunku bulwaru św. Michała. Próbuję nie potykać się o ciała leżące przed Akademią Górniczą, nie zemdlec na chodniku. Mam ochotę położyć się między tymi... sam już nie wiem, jak ich nazywać. Mam ochotę zwinąć się obok na betonie, zasnąć i więcej się nie obudzić, opuścić tę pustkę, poddać się uczuciu wyczerpania, które opanowało mnie i sprawia, że każdy krok staje się wysiłkiem nie do zniesienia.

Mimo wszystko idę dalej. Po drodze nie spotykam żywej duszy.

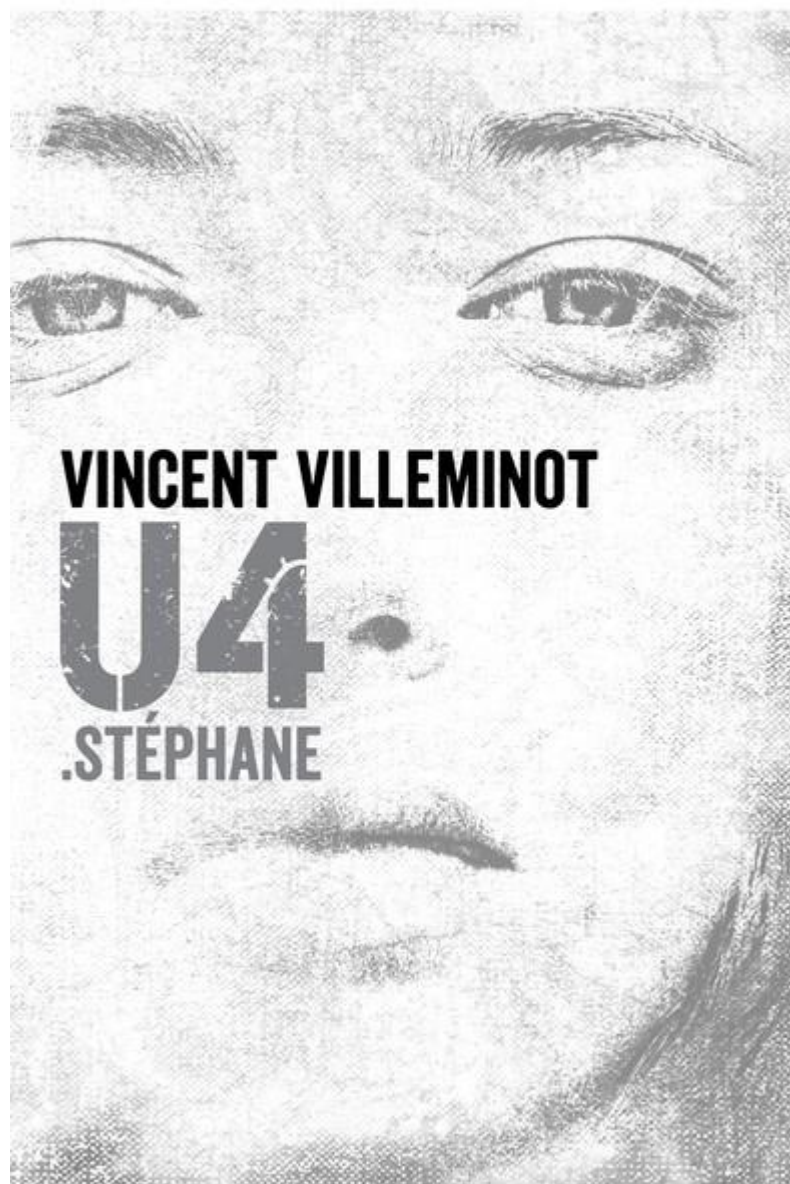
Mijam autobus, który uderzył w ogrodzenie parku. Rozbite samochody wbiły się w jego tył.

Zbliżam się do supermarketu przy ulicy Monsieur-le-Prince.

Najgorsze – poza smrodem i ciszą przerywaną okrzykami żarłocznych sępów – jest całkowite znieruchomienie wszystkiego, co tu kiedyś żyło. Życie to ruch, a teraz panuje zupełny bezruch... Jeśli nie liczyć chmar czarnych ptaków i stad szarych szcurów.

Nagle orientuję się, że jestem tuż obok merostwa 5. dziel nicy. Ostatecznie postanawiam wrócić na ulicę Soufflot – muszę zdobyć jakieś informacje. Być może uda mi się nawiązać kontakt z innymi ocalałymi, a także sprawdzić, czy ktoś nie wywiesił jakiegoś afisza albo Odezwy do ocalałych.

Niewzruszony, majestatyczny Panteon jak zawsze osłania grobowce sławnych ludzi. Jakie to dziś śmieszne! Na skrzyżowaniu ulicy Saint-Jacques mam wrażenie, że obok kamiennego mauzoleum stoi jakiś człowiek. Czy ja śnię? Po chwili znika mi z oczu, ale kiedy przemierzam szybkim krokiem plac Panteonu, serce wali mi w piersi – nie jestem sam!



**VINCENT VILLEMINOT**

**U4**

**.STÉPHANE**

2 listopada

Jest ich około dwudziestu. Wyglądają, jakby byli w moim wieku, mają siedemnaście albo osiemnaście lat, dziewczyny i chłopaki. Stoją nadzy nad brzegiem rzeki, mają cudowne ciała – zdrowe, żywe, nienaruszone – w tej ogromnej kostnicy pod gołym niebem.

Myją się, nie żałując wody, na stopniach nabrzeża, pomimo chłodnego wiatru. W pobliżu na dwóch dużych ogniskach parują balie, w których przed myciem zagotowali zapewne wodę z rzeki. W innej balii wygotowują bieliznę i ubrania. Dwie młode dziewczyny rozkładają je na stopniach, żeby wyschły. Nie mogę oderwać wzroku od tego niecodziennego spektaklu. Obserwuję ich zza barierki mostu Guillotièrre, który łączy brzegi Rodanu. Widzę stąd, jak się ochlapują, słyszę pokrzykiwania, kiedy któreś spryska resztę zimną wodą. Czasami się śmieją, nawołują. Zapomniałam już, jak brzmi śmiech.

Słyszę ich głosy, które jesienny wiatr niesie z północy – pierwsze odgłosy życia w umarłym mieście – ale nie rozumiem słów. Przypomina to jakąś scenę z życia ludzi pierwotnych: rzeka, w której się myją; ogień; bezwstydnie nagie ciała na brzegu rzeki i ten dziwny język. Można by się spodziewać, że zaraz znikną otaczające ich mosty, drogi, asfalt, budynki, całe miasto Lyon. Może tak właśnie będzie? Może są ostatnimi ocalonymi w całkowicie zdziczałym Lyonie i za kilka dni nie pozostanie już nic z cywilizacji, którą znaliśmy?

Jeden z nich nagle mnie dostrzega. Wyraźnie daje mi znaki, zaprasza, żebym do nich dołączyła. Potem kolejni obracają się w moją stronę, wołają mnie. Mimowolnie się uśmiecham, oparta łokciami o moją barierkę, ale czar pryska. Przechodzę na drugą stronę rzeki, zostawiając ich za sobą, schodzę z mostu pustego jak cały półwysep widziany z mieszkania mojego ojca. Miasto jest wyludnione. Poza uczestnikami tej cudownej kąpieli nie ocalał nikt.

Na ulicy Saint-Michel natykam się na dwa nowe trupy. Nie sposób ich ominąć, leżą na samym środku drogi. Trzymają się za ręce, dwoje tragicznych kochanków, których uścisku nie rozdzieliła nawet śmierć. Może tutaj, u stóp kamienicy, powaliła ich gorączka, kto wie? Albo może spotkali się w tym miejscu, żeby ze sobą skończyć? Mieli dwadzieścia czy sześćdziesiąt lat? Tylko ich ubrania skłaniają mnie ku pierwszej hipotezie. Z wyglądu ciał nie da się nic wywnioskować: oboje nie mają już twarzy, tylko strupy zakrzepłej krwi; ich ręce zaczęły się rozkładać. Romeo + Julia?

„Nie rozczulaj się, nie koloryzuj”.

„Co wiesz, Stéphane? Co rozumiesz? Analizuj...”

Krew. Strupy. Gorączka.

„Fakty. Jakie fakty?” Ludzie zaczęli krwawić jedenaście dni temu. Objawy za każdym razem były takie same: bóle głowy, migreny siatkówkowe, rozległe krwotoki – wewnętrzne i zewnętrzne. Krew sączyła się z oczu, nosa, uszu, przez skórę. Wszyscy umierali w mniej niż czterdzieści godzin. Nowy filowirus krwotoczny, typu ebola, bliższy szczepowi Utrecht, ale nieskończenie bardziej zjadliwy. Oficjalnie nazwany U4, od „Utrechtu 4. typu”. Zaraził dziewięćdziesiąt procent populacji, a wszyscy, których dopadł, umarli – wszyscy, tylko nie my.

Przeżyły wyłącznie nastolatki między piętnastym a osiemnastym rokiem życia. A przynajmniej ich przeważająca większość. Tyle mogłam wyczytać z najważniejszych portali informacyjnych, przynajmniej na początku. Potem dziennikarze internetowi umarli – jak wszyscy dorośli, jak dzieci. Strony stawały się niedostępne jedna po drugiej. Awarie zasilania coraz częściej rozwalają internet. Tylko na stronie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych wciąż wyświetlały się dawno nieaktualne zalecenia: zachować spokój, nie panikować, nosić rękawiczki i maski ochronne, nie dotykać zarażonych, opuścić niezwłocznie domy lub mieszkania

zainfekowane przez wirusa. Nie ruszać zwłok. Zgłosić się do Z-Punktów, miejsc zbórnych zorganizowanych przez władze.

Potem internet zgasł. Wszystko zgasło.

Odtwarzam sobie po raz setny chronologię wydarzeń, żeby opanować wstręt podczas mijania ciał dwojga kochanków. Moja obecność przeszkodziła drapieżnikom żerującym na trupach, insektom, muchom i szczurom, setkom szczurów, które panują teraz nad całym miastem. Wszystkie one roją się, śmierdzą. Te pasożyty żywią się zmarłymi, tym, co z nas zostało.

„Analizuj, nie roztrzęsaj. Wyprzedzaj fakty”.

Gryzonie przywloką inne epidemie. Umrą od nich nieliczni ocaleni – nastolatki. Cholera albo dżuma wydają się śmieszne w porównaniu z U4, ale również będą śmiertelne.

Podążając tropem własnych myśli, zostawiam za sobą dwa trupy. Ojciec zawsze mi mówił: „Podczas niesienia pomocy medycznej należy się skupić na informacjach naukowych, na tym, co się wie i czego nie wie, żeby nie poddać się emocjom”.

Powtarzał mi to, żeby nauczyć mnie panowania nad treścią przez egzaminami. Czy domyśla się teraz, gdziekolwiek jest, jak bardzo przydają mi się jego rady – dziś w tym umarłym mieście?

Porzucone samochody, powywalane bagaże; odpadki i śmieci. Aleję blokuje przewrócony, leżący na boku tramwaj. Jego motorniczy z pewnością wpadł w konwulsje podczas pracy, stracił kontrolę nad pojazdem... Pasażerowie zginęli w wypadku czy raczej mieli czas, żeby wrócić do domów i tam umrzeć? Unikam spoglądania w ciemne, zaporowane okna tramwaju.

Na ulicach nie leży zbyt dużo ciał, spodziewałam się, że będzie gorzej. Nie ma już nic, tylko pasożyty i cisza. W mediach mówiono o milionach zmarłych, oglądałam zdjęcia w internecie i widziałam niezliczone ilości zbiorowych grobów. Tutaj chorzy zapewne zostali w domu, żeby umrzeć godnie, dyskretnie, po lyońsku. A może wszyscy pospieszyli do szpitali, które stały się jednocześnie kostnicami i podstawowymi ogniskami rozprzestrzeniania się epidemii? Przez dwa pierwsze dni, kiedy myślano, że chodzi o zapalenie opon mózgowych albo płamicę piorunującą, chorzy z gwałtownie rosnącą gorączką i krwotokami byli zabierani przez pogotowie. Zwyczajowe środki ostrożności okazały się niewystarczające. Pacjenci zarazili personel medyczny, który dołączył do grona chorych.

Jednak nie wszyscy lekarze zachorowali.

Nie epidemiolodzy, którzy w swoich laboratoriach starali się stawić czoła wirusowi. Mój ojciec?

No to jesteśmy. Wreszcie docieram pod najwyższe budynki dzielnicy Gerland. Gula, którą mam w żołądku, dręczy mnie jak wrzód.

„Boisz się, Stéphane. Boisz się tego, czego się dowiesz”.

Dostrzegam wieżowiec P4 i na chwilę przystaję. Laboratorium, w którym pracował mój ojciec, jest pogrążone w ciemnościach. Zamykam oczy, biorę głęboki wdech. Trzeba iść dalej, sprawdzić to, zrobić jeszcze kilka kroków.

„Tato. Wyjechałeś, umarłeś?”

Gdyby pozostali jacyś badacze, byłby tu choć jeden generator, agregaty działałyby nawet w środku dnia. Nic nie byłoby ważniejsze dla przyszłości niż praca wykonywana w tych laboratoriach przez mojego ojca i zespoły naukowców, którymi kierował, jego kolegów badających śmiertelne wirusy, którzy starali się zwalczyć U4.

Wieżowiec jest pogrążony w ciemności, czyli pusty.

„Wyjechałeś, umarłeś? Kiedy wrócisz?”

Kilkanaście metrów od wejścia widzę dwóch młodych ludzi. Pałą.

– Został tu jeszcze ktoś? – zagajam.

– To zależy. Kogo szukasz? – pyta mnie wyższy z nich z nieufną miną.

Ma tyle lat co ja i strzelbę pod pachą. Pokazuję na wieżowiec.

– Mój ojciec, doktor Certaldo, pracował w laboratorium P4.

– To możesz zapomnieć – odpowiada drugi z nich trochę uprzejmiej. – Wojskowi ewakuowali laboratorium drogą powietrzną dziewięć dni temu, razem ze wszystkimi naukowcami. Dwa najniższe poziomy są zaminowane, wstęp wzbroniony aż do powrotu wojska.

Za dużo informacji naraz... Słabo mi. Są jeszcze jacyś do rośli, wojsko, żołnierze.

Pozostali przy życiu. Ewakuowali badacze dziewięć dni temu. Ewakuowano ich, więc są żywi.

Polecieli. Mój ojciec poleciał.

„Wróć, kiedy tylko się da” – napisał mi dziesięć dni temu. I dzień później uciekł. Beze mnie. Nawet mnie nie uprzedził.

Może próbował?

– Liczyłaś na niego? – pyta grzeczniejszy z dwóch młodych palaczy. – Jak nie masz dokąd pójść, to możesz się zgłosić do strefy zaopatrzenia, czyli Z-Punktu. Tu niedaleko jest jeden, w kampusie uniwersyteckim. Gdzie chodziłaś do szkoły?

– Do Liceum Parkowego.

– No to musisz iść i zarejestrować się w parku Tête d’Or. Powiedzą ci, gdzie możesz się ulokować.

– W porządku – dukam. – Dam sobie radę.

## Noc z 2 na 3 listopada

Zmrok prawie mnie zaskoczył, kiedy wracałam do domu. Wchodzę na czwarte piętro w ciemnościach, po omacku. To już dwadzieścia cztery godziny, jak nie ma prądu. Czy na zawsze? Najwyraźniej ocalonych jest za mało, żeby miał kto obsługiwać elektrownie...

Na schodach moje serce zaczyna bić szybciej. W momencie wkładania klucza do zamka ogarnia mnie niedorzeczna nadzieja. Wciąż jeszcze nie mogę jej porzucić, ręce mi drżą... Otwieram.

Pusto. Nie wrócił. Nie dziś. Nie ma go tu tak samo jak wczoraj. Zostawiłam dla niego kartkę przed ramką ze zdjęciem na stole w jadalni: „Poszłam Cię szukać w Gerland. Wracam za trzy godziny. S.”

Chwytam ramkę z portretem, oglądam go po raz setny. Zdjęcie zostało zrobione podczas jednej z jego Misji Ebola w Gwinei. Na zdjęciu doktor Philippe Certaldo jest brudny, zmęczony, z nagim, spoconym torsem pod rozpiętym białym fartuchem, ale się uśmiecha...

Dostrzegam swoje własne odbicie w szkle ramki. Ja też wyglądam na wyczerpaną, tylko że się nie uśmiecham. A jednak dalej go przypominam: ta sama wysoka sylwetka, szczupła i nerwowa, ta sama mocno pociągła twarz i siwe, krótko przycięte włosy o niesfornych kosmykach, te same kościste ręce, trochę zbyt blade jak na kogoś, kto lubi słońce. Ładny obrazek... Mówi się, że mam też jego oczy, szare oczy o inteligencji, która mnie u niego zawsze zdumiewała. Mój ojciec był uwodzicielskim mężczyzną, który miewał „przygody” z wieloma lekarkami i nie przejmował się moją matką. Ja jestem dziewczyną. Dziewczyną, której rodzice dali tak zwane dwupłciowe, durne imię Stéphane; dziewczyną, której włosy od dzieciństwa są siwe, jak by były oznaką przedwczesnej starości, i która przez swoją impulsywność przypomina chłopczycę. Próbuję otworzyć elektryczne rolety zasłaniające okna. Jaki sens wciąż się tak barykadować? Wdychałam dziś zepsute powietrze Lyonu pełnymi płucami i wciąż żyję.

Kiedy ostatecznie udaje mi się siłą odsunąć jedną z rolet za pomocą metalowej nogi krzesła, jest już noc. Mieszkanie pogrąża się w ciemnościach. Zapalam świeczkę, a jej płomień drga. Drugi listopada, Święto Zmarłych. Moja matka, Bretonka i praktykująca katoliczka, wierzyła w te rzeczy: w śmierć, zmartwychwstanie. Czy dane jest jej wciąż w to wierzyć, wśród ocalonych, czy otrzymała wreszcie ostateczną odpowiedź?

Gdzie jest? Gdzie jest cała trójka: tata, mama, Nathan? Razem?

Chwytam komórkę, prawie rozładowaną, jakbym miała potrzebę przeczytania tego raz jeszcze, żeby samą siebie przekonać. Jedenaście dni temu ojciec wysłał mi SMS-a: „Absolutnie nagły przypadek. Muszę Cię opuścić na trzy doby”. Potem kolejny SMS, dzień później, kiedy zaraza osiągnęła efekt progowy: „Nie wychodź z domu pod żadnym pozorem. Działaj tak, jak Cię nauczyłem. Wróć, kiedy tylko się da”.

Znam te wiadomości na pamięć.

Staram się uporządkować myśli, przyswoić to, czego się dziś dowiedziałam. Czy ojciec już nie wróci? Razem ze swoimi kolegami z wieżowca P4, jedyne miejsce we Francji, gdzie bada się śmiertelne wirusy, znalazł się na pierwszej linii walki z pandemią. Jeżeli nie zginął od wirusa w pierwszych godzinach, to został ewakuowany. Chwytam się tej myśli ze wszystkich sił: ojciec na pewno żyje. Ale dokąd go ewakuowano? I czy dotrzyma słowa, przybędzie tu po mnie? Czy po ewakuacji wyruszy najpierw do Bretanii po mamę i Nathana, mojego brata?

Muszę zostać, czekać na niego. Na wszelki wypadek.

Wykonałam szczegółowo wszystkie jego zalecenia, dokładnie tak, jak mnie nauczył w tych ostatnich latach, opowiadając o pandemiach. Lady Rottweiler, mój awatar,

rozpowszechniła jego rady na forum Warriors of Time, naszej gry sieciowej, już 24 października: zamontować filtry do wody i zawsze przegotować ją przed spożyciem, stłuc lufcik i zastąpić szybę filtrem z węglem aktywnym z kuchennego okapu, żeby zapewnić wymianę oczyszczonego powietrza. Pozatykać pozostałe nawiewy i klimatyzację bibułą, a potem regularnie ją zwilżać. Kilka razy na godzinę myć ręce roztworem alkoholu. Nie panikować.

Zasygnalizować swoją obecność, oczekiwać pomocy na miejscu.

Pomoc nie nadeszła. I nie nadejdzie.

Staralam się na forum dowiedzieć czegoś o tym, co dzieje się w Bretanii. Jednak nie sposób było otrzymać wiarygodnej informacji o sytuacji w Dourdu, kilka kilometrów od Morlaix, gdzie od tego lata mieszkali moja matka i mój brat.

Mieszkali... Nawet myślę o nich w czasie przeszłym.

Prawie nie mam już wody, pomimo wszystkich tych misek, które poustawiałam na balkonie i na dachu. Zero deszczu. Jutro będę musiała udać się do jednego z tych Z-Punktów, żeby zaopatrzyć się w wodę butelkowaną. Wolałabym się stąd nie ruszać, ale nie mam wyboru.

Dzisiaj wieczór, jak we wszystkie poprzednie wieczory, szukam schronienia w gabinecie mojego ojca. W kącie piętrzą się kartony ze sprzętem z misji humanitarnych. Jutro zaniosę wyposażenie medyczne do Z-Punktu. Tam przynajmniej na coś się przyda.

—

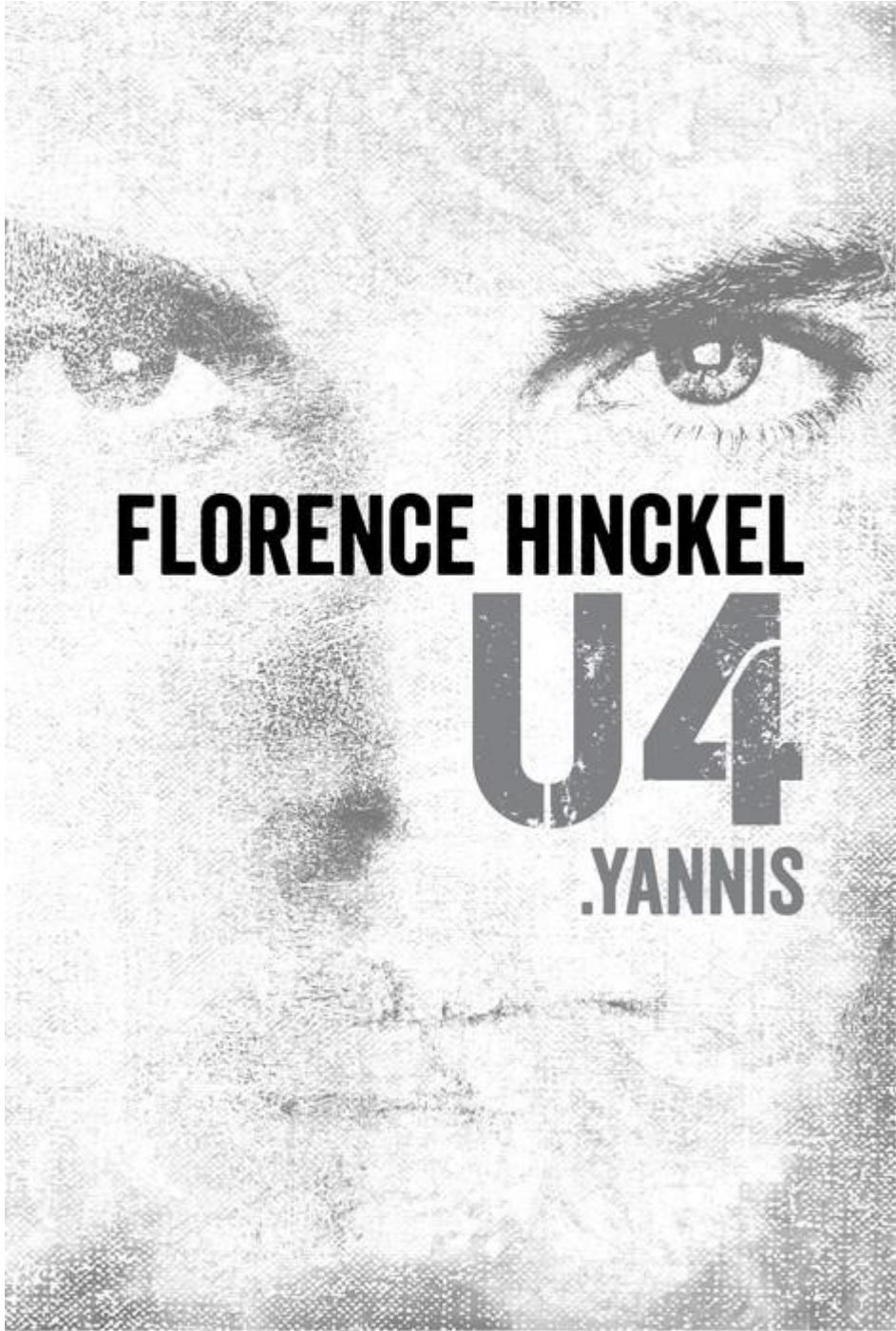
Nie daję rady zasnąć. Nie śpię już od trzech dni.

Tata – ewakuowany?

Mama – wciąż żyje? Z nim i Nathanem?

A może udało jej się przeżyć razem z nowym mężem i moim bratem w ich nowym domu? Nie wierzę w Niebiosa, ale odmawiam za mamę i Nathana jedną z niewielu katolickich modlitw, które jeszcze pamiętam – matka nauczyła mnie jej, gdy byłam dzieckiem. Zaczyna się od słów, które kierują moje myśli również ku tacie: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie...”.





**FLORENCE HINCKEL**

**U4**

**.YANNIS**

1 listopada, godzina 8.00

Coś unosi się na wodzie.

Świat właśnie się kończy. Płomienie tańczą, ich jęzory sięgają aż do nieba. A ja nie mogę oderwać wzroku od dryfującego czegoś.

Moje serce rozpadło się na miliardy kawałków, nogi odmawiają posłuszeństwa, zimne słońce nie ogrzewa twarzy.

Przedmiot mojej obserwacji jak zagubiona łódka powoli zbacza z kursu na wysokości pałacu Pharo. Słońce oświetla port i nagle zauważam coś błyszczącego. To guzik kurtki martwego człowieka, którego ciało płynie z nurtem rzeki.

Wcześniej żadnego nie widziałem. Trupy dopiero po kilku dniach wypływają na powierzchnię. Wkrótce pojawią się kolejne i port zmieni się nieodwracalnie. Na bulwarach też już nigdy nie będzie tak jak dawniej. Śmiechy, spacerowanie nad brzegiem morza, przesiadywanie na ławkach, zjadanie lodów, łowienie ryb na przynętę z chleba, zagadywanie rybaków na kutrach, gonienie mew, podziwianie skrzących się fal... To wszystko się skończyło. Na zawsze.

Gdyby nie wiadomość od Khronosa, nic nie zmusiłoby mnie do opuszczenia domu. Nie mógłbym się od nich oderwać – od taty, mamy, Camili, mojej rodziny.

Wiedziałem, że w końcu będę musiał wyjść – w przeciwnym razie zostałbym na zawsze w swoim pokoju i umarł z głodu po zjedzeniu wszystkich herbatników, jabłek, pomarańczy i jogurtów przechowywanych w chłodzie pod parapetem. I po wypiciu wszystkich puszek coli. A może umarłbym z zimna, bo zaczęło się robić chłodno, prąd został odcięty na dobre, a w domu nie mogłem już znaleźć nic do spalania, bo nie śmiałem niczego dotknąć.

Gdyby nie ta wiadomość, przez całe dni siedziałbym przybity, i choć słońce codziennie by wschodziło, czy zdołałbym liczyć kolejne dni? Z pewnością straciłbym rachubę czasu. Pozwoliłbym, aby pochłonęła mnie nicość.

Gdyby nie ta wiadomość i Happy, nigdy by mi się nie udało stamtąd wyjść. Mój wierny pies leżał obok mnie. Co jakiś czas zniknął, pewnie żeby poszukać jedzenia, ale zawsze wracał, skamlał i kładł pysk na moich nogach. W jego błyszczących oczach widziałem niezliczone pytania. Zanurzałem dłonie w jego gęstej, czarnej sierści i białym kołnierzu na szyi, lecz milczałem, bo słowa mnie opuściły. W myślach nadal byłem Ekspertem Warriors of Time – gry, której poświęcałem cały wolny czas, zanim to wszystko się zaczęło. Tak dałem się wciągnąć w wirtualny świat, że mój najlepszy kumpel RV, z którym w dzieciństwie włóczyłem się całymi dniami, skarżył się, iż wcale już mnie nie widuje.

W ostatnim czasie, przerażony martwą ciszą, zapomniałem o Yannisie, słabowitym chłopaku, zagubionym w rozpadającym się świecie, by stać się jego awatarem z WOT, potężnym Adriałem, rycerzem podróżującym w czasie i wychozącym cało z licznych wojen.

Od czasu do czasu dochodziły do mnie krzyki. Łkania rozlegały się nagle, a po chwili zamierały. W sąsiednich mieszkaniach rozbrzmiewały kroki. W świetle dnia wszystko było nieruchome, ulica ożywała po zapadnięciu mroku. Zapalałem trzy świece stojące obok podręczników szkolnych i słuchałem dobiegających zza okna odgłosów. Kroków, najpierw powolnych, później szybszych, a w końcu oszalałych ze strachu. Rozdzierających wołań. Czasem odległych wybuchów. Pif! Co to było? Paf! Można by pomyśleć, że to strzały z broni palnej. Ale kto strzelał? Do czego? Do kogo? Wycie rozdzierało powietrze. Z całej siły zatykałem uszy, zamykałem oczy, chciałem zniknąć...

Kiedy znów pojawiał się prąd, mrużyłem oczy w świetle lampy. W różnych częściach dzielnicy nagle rozlegała się muzyka, puszczona na cały regulator, wywołująca fałszywe

i nerwowe śmiechy. Myślałem tylko o jednym: żeby wejść w świat WOT, gdzie kolekcjonowaliśmy broń i techniki walki z przyszłości, by zdobyć przewagę w przeszłości. Czasem działało to także w przeciwnym kierunku – przeszłość mogła pomóc przyszłości. Byłem bardzo dobry w tej grze. O wiele lepszy niż w życiu czy nauce... Od wybuchu epidemii łączyłem się z internetem tylko po to, żeby skontaktować się z kolegami Ekspertami i dowiedzieć się, czy dostali wiadomość od Khronosa, który ponad tydzień wcześniej jakby zapadł się pod ziemię. Wszyscy Eksperci mówili to samo, bez względu na to, czy pochodzili z Bretanii, Paryża, Tuluzy, Metz czy Lyonu. Wirus niepodzielnie panował nad Francją. Cały kraj opanowała panika.

SuperThor3: o co w tym wszystkim cho, ja pier\*\*\*lę, to istny koniec świata, czy co? tu jest jak w piekle...

Laféedhiver: ja mieszkam w megaodizolowanej wiosce. Ale wirus tu też dotarł...

Adrial: w tele mówią, że to się dzieje na całym świecie...

Lady Rottweiler: taaa, to samo w Lyonie, uważajcie na siebie, posłuchajcie. Przede...

Lady Rottweiler z Lyonu zdawała się mieć jakieś takie pojęcie o medycynie i w pierwszych dniach zdążyła przekazać nam kilka zaleceń dotyczących higieny. Później zgiełk sieci też umilkł i każdy z nas został sam. W samym sercu apokalipsy.

Myślałem, że oszaleję, kiedy okazało się, że nie można połączyć się z WOT. To było moje ostatnie źródło informacji na temat tego, co dzieje się na zewnątrz. I ostatnie źródło otuchy.

Wiem, że za słowami Ekspertów, nawet Lady Rottweiler, kryły się smutek, żaloba, rozpacz, łzy, strach, poczucie opuszczenia. Ja też nie poruszałem tych tematów. Chcieliśmy nadal zachowywać się jak bohaterowie, nawet w tym kurewsko rzeczywistym świecie.

Zachowywać się jak bohaterowie! A tymczasem nie miałem odwagi nawet ruszyć się z domu! Za bardzo mnie rozpieszczano i dziś nie umiałem sobie poradzić. Rodzice nigdy nie pozwalali mi ugotować niczego poza makaronem ani dotknąć gwoźdźca czy młotka. Woleli, żebym się uczył. A ja nie należałem do chłopców, którzy za wszelką cenę chcą wstąpić do skautów. Tylko podczas grania w WOT nie czułem, że tracę czas. Świat wirtualny był moją przyszłością i jedynym miejscem, w którym zdobywałem znaczenie towarzyskie, oczywiście z przekonaniem, że w dłuższej perspektywie wyjdzie mi to na dobre. Szkoła nie była moją mocną stroną. Zamiast zakuwać, ukradkiem ćwiczyłem swoje umiejętności no-life, które – byłem tego pewien – miały mi się kiedyś przydać w życiu.

Gdyby rodzice się dowiedzieli! Myśleli, że dobre oceny z francuskiego zawdzięczam godzinom ciężkiej pracy. To prawda, że francuski był moim ulubionym przedmiotem, choć nikt nie pomagał mi w lekcjach, bo rodzice dobrze mówią, ale kiepsko piszą. A właściwie...

Dobrze mówili, ale kiepsko pisali.

– Opanuj się, Yannis – rozkazuje mi Adrial.

A ja wyobrażam sobie jego postać w zbroi, jego długie włosy, stalowe mięśnie, miecz w dłoni i kałasznikow na ra mieniu. Dwa razy uderzam się pięścią w klatkę piersiową i z wściekłością powstrzymuję łzy.

– OK, tylko mnie nie opuszczaj, proszę. Zostań ze mną, zostań ze mną...

1 listopada, godzina 9.00

Dziś, śledząc wzrokiem trupa tańczącego na falach, rozmawiam ze Śmiercią. Ona, której imię wcześniej ledwie śmiałem wymówić, jest teraz moją przyjaciółką. Hej, Śmierci, jak życie? Ile osób dziś pocałowałaś? Ach tak, jednak...

Śmierć... Trzęsąc się pod kołdrą, czekałem, aż zapuka do moich drzwi. Fascynował mnie błękit nieba, kpiącego ze wszystkich: żywych, martwych, konających, a przede wszystkim ze mnie. Niebo zajmowało się przybieraniem elegancko stonowanych barw, blaknących na początku i pod koniec każdego dnia. Woda w porcie odbijała jego kolory tak jak wcześniej, maszty statków uderzały o siebie jak wcześniej, mewy krzyczały jak wcześniej, tylko nie było słyhać żadnego słowa, okrzyku, warkotu motoru, muzyki. Żadnego sygnału ludzkiej obecności.

Gdy nadchodził wieczór, przerażał mnie dźwięk ciał rzucanych do wody. Idioci... Chociaż nie wiem zbyt wiele o życiu, rozumiem, że woda jest cenna. Ojciec powtarzał to często, a matce z dzieciństwa spędzonego w Algierii pozostał zwyczaj oszczędzania każdej kropli. Śmiejąc się z samej siebie, zawsze podkładała miskę pod kran – na wypadek, gdyby zaczął przeciekać. Wrzucanie trupów do wody to najgorszy sposób pozbywania się martwych. Tą drogą najłatwiej rozprzestrzenić wszelkie możliwe świństwa i jeszcze bardziej zatruć powietrze w mieście.

Dziś w nocy obudziłem się, szcękając zębami. Sprawdziłem godzinę na zegarku taty. Przedwczoraj założyłem ten zegarek na rękę, bo zorientowałem się, że bateria w moim telefonie wkrótce się wyczerpie. Była dokładnie pierwsza jedenaście nad ranem. Początkowo myślałem, że obudziłem się z zimna, ale wtedy usłyszałem piknięcie, które uświadomiło mi, że przez sen słyszałem ten sam dźwięk. Włączono prąd! Najpierw położyłem rękę na kaloryferze obok łóżka. Był ciepły, przyjemnie rozgrzewał w tym arktycznym klimacie. Piknięcie oznaczało, że uruchomił się termostat. Natychmiast rzuciłem się do komputera. Dostałem wiadomość z WOT. Wiadomość od Khronosa.

*Znam sposób na cofnięcie czasu. Zawsze go znałem. Jednak sam nie mogę nic zrobić.*

*Dołączcie do mnie. Razem możemy uniknąć katastrofy, napisać przeszłość na nowo. Uwierzcie we mnie, uwierzcie w samych siebie, a pokonamy naszego najpotężniejszego wroga: wirusa.*

*Spotkanie 24 grudnia o północy pod najstarszym zegarem w Paryżu.*

Zaraz pomyślałem sobie: „Oby tylko inni Eksperci też ją dostali i przeczytali!”. Poczulem ogromną falę nadziei, która stworzyła cieniutką zasłonę oddzielającą mnie od śmierci. Ponownie przeczytałem słowa Khronosa i sam nie wiedziałem, czy mam się śmiać, czy płakać. „Znam sposób na cofnięcie czasu...”

Cały ten chaos musiał wkurzyć mistrza gry. Nieważne. Liczy się tylko spotkanie. Odnalezienie się. Zjednoczenie. Bohaterowie świata wirtualnego, tak samo jak rzeczywistego, zwykli walczyć. Bez względu na to, czy istnieje sposób na cofnięcie czasu czy nie – będziemy toczyć bój. Żeby przeżyć. Żeby odbudowywać. Żeby uniknąć samotności.

Nic lub prawie nic nie wiem o pozostałych Ekspertach, ale jako znak rozpoznawczy posłuży nam wspólny gest: dwukrotne uderzenie prawą pięścią w klatkę piersiową.

Kiedy zaczęło dnieć, zdecydowałem się ruszyć z domu. To ja, Yannis, do wewnętrznej kieszeni puchówki włożyłem zdjęcie naszej rodziny, zrobione podczas dziewiątych urodzin mojej

młodszej siostry. Jesteśmy na nim razem: tata, mama, Camila i ja. Wsunąłem tam też kopertę, którą tata – kiedy poczuł się chory – położył na moim biurku z taką delikatnością, jakby był to kruchy kwiat. „Przeczytasz te słowa, kiedy nie będziesz już wiedział, kim naprawdę jesteś. Zrozumiałeś?” Oczy mu błyszczały nie tylko z powodu gorączki. Nic nie rozumiałem, ale z powagą pokiwałem głową. Przed wyjściem z domu wziąłem komórkę i ładowarkę. Nie mogłem się też powstrzymać przed zabraniem jednej z figurek z *Władcy pierścieni*. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, bym mógł porzucić Froda wymachującego mieczem, gdy stawiam czoła całemu światu.

Natomiast to Adrial dał Happy’emu znak do wyjścia. To on wyszedł z mojego pokoju, żeby skonfrontować się ze zgrozą i smrodem w salonie. On w trybie przeżycia spakował mój plecak: ubrania na zmianę, mydło, sznurek. Wziął też zapalniczkę, pudełko zapalek, scyzoryk, śpiwór, prowiant. To on przeszedł obok ciał moich rodziców, nadal leżących na kanapie, podczas gdy mnie atakowały złowrogie wspomnienia: oczekiwanie na lekarza, desperackie starania, które podjąłem, żeby ich uratować, a później moje pełne rozpaczny krzyki... Doskonale panujący nad swoimi emocjami Adrial otworzył drzwi i wybiegł z mieszkania.

Moja zbroja rycerska zniknęła na klatce schodowej. Nagle zaatakował mnie bezmiar obrazów. Obładowana zakupami mama wchodzi po schodach, uśmiecha się do mnie albo mnie ochrzania, ale nie złości się na mnie. Mama niesie w ramionach malutką Camilę albo trzyma ją za rękę. Camila pokazuje mi język i zaśmiewa się podczas zabawy w pomidora. Spokojny tata przeciąga dłonią po niemal łysej głowie – taki miał zwyczaj. Dostrzega mnie, oczy zaczynają mu błyszczeć, uśmiech rozjaśnia jego twarz. Mówi: „Mój syn...”.

Zszokowany zakryłem twarz ramieniem. Otarłem łzy. Happy niespokojnie popiskiwał. Pociągnąłem nosem i czym prędzej zszedłem na niższe piętro. Od dwóch dni byłem chyba jedynym żywym człowiekiem w kamienicy, ale chciałem przynajmniej mieć czyste sumienie. Z całej siły zacząłem dobijać się do drzwi pod dziesiątką.

– Franck! Jesteś tam, Franck?

Happy poszcze kiwał. Franck często przychodził do nas, żeby dawać mi korepetycje z matematyki. Uwielbiał przekomarzać się z Camilą. W zamian za lekcje tata wykonywał w jego mieszkaniu drobne prace remontowe. Zanim tata zaczął prowadzić sklep spożywczy, był murarzem. Franck studiował na uniwerku. Ile mógł mieć lat? Może wcześniej zaczął studia? Był przecież taki zdolny. Filowirus U4 nie oszczędza nikogo poniżej piętnastego i powyżej osiemnastego roku życia, to szybko stało się oczywiste. Nie wiadomo, dlaczego tak się dzieje, wiadomo tylko, że unicestwia każdego, kto stanie mu na drodze. W panice zawołałem:

– Ile masz lat, Franck? Ile miałeś? Odpowiedz! W jakim jesteś wieku?

Cisza. W całej kamienicy nie było żywej duszy. Ile czasu spędziłem pod dziesiątką?

Adrial obudził się skulony pod ścianą, gdy promień słońca padł na jego policzek. Happy tulił się do niego. Rycerz pospiesznie się rozprostował i głęboko odetchnął przed zejściem po schodach. Zanurzył się w chłodzie ulic oświetlonych listopadowym słońcem i smaganych wiatrem – zimnym, porywistym mistralem. Adrial zebrał śmieci zawałające wejście do mojego domu i sąsiednich kamienic, a potem zrobił z nich stosy – na korytarzu, klatce schodowej, a przede wszystkim przed moim mieszkaniem. Znów wyszedł na ulicę i krzyknął:

– Nikogo tu nie ma? Jeśli ktoś jest, niech wyjdzie!

Czekał.

– Niech ktoś wyjdzie, na Boga! Franck! Jesteś pewien, że cię tam nie ma? Pani Tibaut? Younis? Majda?

A nieustannie zrzedzący staruszek z laską? A pochodząca z Komorów rodzina o nazwisku niemożliwym do wymówienia? Czy naprawdę ich tam już nie ma?

Wiatr hulał po ulicach. Adrial wyczuwał za plecami czyjeś ruchy, szepty, obecność. Zapewne obserwowano go zza potłuczonych szyb. Być może był przedmiotem drwin, jako ktoś, kto rozmawia z umarłymi. Trudno. Tym lepiej. Niech wezmą z niego przykład. Niech przestaną rzucać ciała do wody. Niech go naśladowają.

Adrial wyjął zapalniczki. Zapalił jedną z nich i przez kilka sekund obserwował płomień, a później rzucił ją na stos gazet i innych papierów. Patrzył na rosnące, wznoszące się ku niebu płomienie, głaszcząc przerażonego Happy'ego. Dla niego prawdziwym wyrazem szacunku było spalenie całej kamienicy wraz z tymi, którzy przeżyli tu momenty radości i smutku, chwile żaloby i szczęścia. W dzielnicy Panier stare budynki paliły się jak słoma, zwłaszcza że wiał silny wiatr.

Adrial poczuł łzy na policzkach. Modlił się do znanych sobie bogów. Połączył nadludzkiem wysiłkiem ostatnie okruczności woli. O ileż łatwiej byłoby zginąć na ulicy albo rzucić się w płomienie. Tak byłoby znacznie łatwiej, ale on tego nie zrobił. Wstał, bo nazywał się Adrial, był rycerzem WOT. Później biegł aż do tego miejsca, na ten brzeg, nad wodę w porcie, która skrzyła się w podmuchach mistralu. Za jego plecami tańczyły płomienie.

Ja, Yannis, płaczę teraz gorzkimi łzami. Religia, w której zostałem wychowany – lecz wcale nie jestem pewien, czy mogę ją uznać za swoją, bo od pięciu dni nie wierzę już w nic – mówi, że nie pali się zmarłych. Ciało musi wrócić do ziemi, żeby bezpośrednio i możliwie najszybciej połączyć się z naturą. Spalenie ciała uniemożliwia jego powrót w wielkim cyklu życia i przysparza cierpienie duszy. Błagałem boga moich rodziców, aby uwierzył, że chodzi o zupełnie wyjątkową sytuację, i zrozumiał, iż nie miałem wyboru. Skąd miałbym wziąć siły, żeby przetransportować trzy ciała na cmentarz za centrum handlowym Bourse i wykopać tam groby?

– Boże, kimkolwiek jesteś i jakkolwiek byłaby religia tego walącego się świata, wybac mi i zachowaj dusze moich bliskich!

Za moimi plecami płonie kamienica. Przede mną rozciąga się morze wymiotujące trupami. Naprzeciwko, na wzgórzu, wznosi się nieruchomy, złożony posąg Matki Boskiej, tej, która ma chronić Marsylię. U moich stóp leży psiak, mieszanka border collie i nieznanego rasy. Myśli zaprzęta mi kwestia zegara w Paryżu, o którym nic nie wiem. A w sercu przechowuję obraz mojej rodziny.